



DOMINIK DAMIAN

# RUDA MODELKA

CZYTELNIK

DOMINIK DAMIAN

# RUDA MODELKA



C Z Y T E L N I K · 1 9 6 8

# CZEŚĆ PIERWSZA

## I

Człowiek, który zeznawał, był blady, wystraszony. Ręce mu drżały. Dopiero gdy dyżurny milicjant podał mu papierosa, uspokoił się nieco, lecz wciąż jeszcze patrzył oczami pełnymi niepokoju.

Sierżant tarł z roztargnieniem nie ogolony podbródek.

— Uspokójcie się — powiedział ostro. — Mówcie, jak to było.

— Ja do roboty jeżdżę tramwajem — zaczął przytłumionym głosem. — Jestem palaczem w „Grandzie“, a mieszkam w Jelitkowie. O piątej mamy zmianę. Spieszyłem się, żeby zwolnić Gabrysiaka, bo stary rannym pociągiem chciał jechać do córki, do Wejherowa... No, ale zasnęłam. Tramwaj uciekł mi sprzed nosa. Nie chciałem czekać na następny. Poszedłem na skróty, brzegiem morza...

— To nieważne — przerwał mu sierżant. — Mówcie konkretnie.

Palacz przetarł czoło kościstą dłonią.

— To było tak. Ja się okropnie spieszyłem, bo myślę sobie: „Jak się spóźnię, to mnie Gabrysiak ochrzani...“

— Nieważne — w głosie milicjanta zabrzmiała nuta zniecierpliwienia. — Kiedyście zobaczyli?

— No tak... — palacz chrząknął i palcami przejechał po krawędzi stołu. — Był okropny wiatr i deszcz. Kiedy dochodziłem do pierwszych domów, jak nie dmuchnie od morza, to aż mi czapkę zerwało i poniosło na plażę. Ja za czapką, a tu patrzę, ktoś leży na piasku...

— O której to było?

Palacz zastanawiał się chwilę. Znużonymi oczami wodził po ścianach.

— O której to mogło być? Dokładnie nie wiem, ale jak wychodziłem z domu, było pół do piątej.

— Więc to było około piątej?

— Tak... albo kilka minut po piątej, bo z Jelitkowa to przecież kawał drogi.

— I co dalej?

— Patrzą, a tu ktoś leży... jakaś kobieta. Tak leżała jak dziecko. Jakby zasnęła nad morzem. „Może śpi, może się upiła i zasnęła na plaży?...“ Bo to u nas rozmaicie z tymi letnikami bywa. Raz to widziałem, jak się upili i w nocy w ubraniach do morza skakali...

Milicjant wykrzywił usta niedowarzoną uśmiechem, ale wnet nadał swej szerokiej twarzy wyraz pełen skupienia i urzędowej godności.

— To nas nie obchodzi, mówcie konkretnie.

— Mówię panu, panie sierżancie, leżała jak dziecko. Nogi bose, podkurczone, głowa na piasku, jakby przytulała się do poduszki. Żal mi się jej zrobiło, bo to przecie deszcz i zimno i fale podchodziły aż do nóg. Wołam: „Proszę pani, trzeba wstawać!“ A ona ani mru-mru, ino leży jak dziecko. „Proszę pani, zimno, przezięb się pani!“ A ona ani słowa. I wtedy coś mnie tknęło. Chwyciłem za rękę, chciałem dźwignąć, a ręka zimna i sztywna. Dopiero wtedy zrozumiałem, że nie żyje — urwał nagle, westchnął i zaciągnął się papierosem.

Sierżant zabębnił palcami na krawędzi stołu.

— No tak... a czy ona nie miała niczego przy sobie?

— Czy ja tam wiem? Taki mnie strach wziął, że nie obejrzałem się nawet, tylko pobiegłem do „Marysieńki” i zatelefonowałem na milicję.

— Wiem — przerwał mu sierżant. — A czy torebki przy sobie nie miała?

Palacz uniósł ramiona gestem zdziwienia.

— Nie widziałem.

— I była bosa?

— Bosa jak sierota.  
— I żadnych śladów koło niej nie było?  
— Siadów chyba nie było, bo przecie deszcz. A jak deszcz, to i tak ślady by znikły.  
— Na plaży nie było wtedy nikogo?  
— Nikogusieńko. Niedziela, kto by o tej godzinie na plażę wychodził. A do tego deszcz i wicher.  
— I nic więcej nie możecie powiedzieć?  
Palacz wzruszył ramionami.  
— Ja?... Przecie wszystko już powiedziałem. No i zaraz zatelefonowałem.  
— Dobrze. Możecie już odejść. A jak trzeba będzie złożyć dodatkowe wyjaśnienia, to was wezwiemy.  
Palacz wstał. Odsapnął z ulgą.  
— Dzięki Bogu, bo ten Gabrysiak to mnie chyba przeklnie. Ale co ja jestem winien? Gdybym zdażył na tramwaj, to nie miałbym tyle kłopotu. — Gdy wychodził, zatrzymał się jeszcze w progu: — Biedna — powiedział jakby do siebie. — Mówię panu, panie sierżancie, leżała jak dziecko. I do tego bosa. Ciekawe, kto jej te buty ściągnął?

\*

Sierżant Wlazło kończył właśnie nocny dyżur. Był niezwykle zadowolony, że cała noc minęła spokojnie. Nigdzie go nie wzywano. Nawet chuligani nie wszczęli awantury, mimo że była to sobota, dzień wypłaty, i do Sopotu z Gdańska, z Gdyni i z okolicznych miejscowości zjeżdżały męty wszelakiego autoramentu. Miał więc przed sobą niezwykle ponętną perspektywę spędzenia wolnej niedzieli. Weźmie z Milicyjnego Klubu żaglówkę i wypłyną z żoną w zatokę. Bardzo lubił te morskie wyprawy, które pozwalały mu zupełnie zapomnieć o codziennej, ciężkiej służbie.

Nad ranem, o świcie, zaczął padać deszcz. Bębnił o zakurzone okna milicyjnej izby. To nieco zmąciło nastrój sierżanta. Ale pocieszał się, że deszcz szybko minie, a rano

wypogodzi się zupełnie. Ileż to razy tak bywało? Na Wybrzeżu pogoda kapryśniejsza jest. od kobiety. Zabierał się właśnie do pisania raportu, gdy nagle odezwał się telefon. Przygodny przechodzień zawiadamiał posterunek, że na plaży naprzeciw „Marysieńki“ leży jakaś martwa kobieta.

— Psiakrew! — zaklął odkładając słuchawkę. — Nigdy nie dadzą człowiekowi spokoju. Diabli wzięli piękne plany.

Zawołał dyżurnego motocyklistę. Wsiadł do przy- czepki i przeklinając w duchu służbę, kazał się wieźć na plażę. Było mroczno. Znad morza nacierały zwały sinych chmur. Drobnym, zimnym deszczem siekło z ukosa. Wichur pędził grzywiaste fale i z wyciem napierał na przybrzeżne topole, które gięły się pokazując morzu srebrzyste grzbiety. Za falochronami w kłębach sinej piany kolebała się zakotwiczona żaglówka. Z daleka wyglądała jak drobna łupinka.

Zatrzymali się przed domem wczasowym „Marysieńka”. Na ścieżce wśród kęp morskiej trawy stało kilka skulonych postaci: dwie pokojowe, jakiś wyrostek, portier z pobliskiego domu wypoczynkowego i stary ogrodnik. Siłując się z napierającym wichrem, nachylali się ku plaży, jak gdyby bili pokłony chlustającym falom. Wzrok utkwiony mieli w jeden punkt: w leżącą na piasku kobietę. Ta z wysokości wydm wyglądała jak martwy ptak wyrzucony na brzeg przez fale.

— Panowie władza! — zawołał portier zwracając się ku nadchodzącym milicjantom. — Zabierzcie ją, bo ją wnet fale zmyją.

Sierżant nic nie odpowiedział. Zatrzymał się chwilę na wydmie. Badał, czy na piasku nie pozostały czyjeś ślady. Prócz świeżych śladów człowieka, który zawiadomił go o wypadku, nie spostrzegł jednak innych. Potem szybko zbiegł na plażę. Ciężkie buty grzęzły głęboko w mokrym piasku. Gdy zbliżał się do leżącej, miał wrażenie, że ona śpi głębokim, spokojnym snem, którego nie potrafi zakłócić ani wyjący wiatr, ani huk fal, ani głośny syk piany wsiąkającej w żółty piach plaży. Podświadomie wspiął się na palce, jak gdyby się bał, że obudzi ją odgłos kroków. Zatrzymał się

przy spoczywającej na piasku głowie. Nagle drgnął, gdyż wydało mu się, że martwa postać poruszyła się. Było to jedynie złudzenie: silniejszy podmuch wiatru rozwiał jej włosy barwy jasnej miedzi i odwinął rąbek zakietu. Po chwili jednak cała postać zakrzepła znowu w niezmaconym bezruchu i tylko piana tocząca się z falą obmywała nagie stopy, jak gdyby chciała zagarnąć je i nadać im pozory ruchu.

Sierżant uklęknął i pochylił się ostrożnie nad leżącą. Wyteżonym wzrokiem badał, czy nie dojrzy gdzieś rany. Ale smukłe nogi, wąskie dłonie, twarz i czoło nie skalane ani jednym zadrażnieniem połyskiwały delikatną bielą. Oczy miała przymknięte jak człowiek pogrążony w głębokim śnie, wargi lekko rozchylone jak w półśmiechu, dłonie czyste i starannie utrzymane spoczywały bezwładnie na piasku.

Uniósł jedną rękę, była lodowato zimna. Wypuścił ją. Opadła bezwładnie. „Nie żyje od kilku godzin“ — pomyślał i nagłym ruchem dłoni skinął w stronę stojących na wydmie ludzi.

— Hej, obywatele, zbliżcie się!

Zbliźali się wolno, ostrożnie, z migotliwym lękiem w oczach. Stanęli półkolem. Kobiety przeżegnały się. Mężczyźni zdarli z głów czapki.

— Kto z was telefonował?

— Ja — powiedział wysoki, kościsty mężczyzna o chudej twarzy, z czarnym nalotem sadzy w zmarszczkach.

— Dobrze. Pogadamy później. A wy — zwrócił się do pozostałych — nie znacie tej kobiety?

Odpowiedziały mu przeczące ruchy głowy.

— Nikt z was nie widział jej przedtem?

— Nie.

— A może słyszeliście w nocy jakie podejrzane odgłosy?

— Gdzie tam, panie sierżancie — powiedziała krępa, przysadkowata pokojówka, otulając się szczelnie gumowym płaszczem. — Przecież morze szumi i wiatr... Ryczeć można i nikt nie kiwnie palcem.

— A wieczorem nie kręcił się ktoś po plaży?

Portier o twarzy przerażonej sowy wzruszył ramionami.

— Kto by tam na to zwracał uwagę. Sobota była. Sporo ludzi kręciło się w krzakach. Zwłaszcza parki... — chrząknął i z uśmiechem przymrużył oko.

— Nie o to chodzi! Czy nie zauważyliście czegoś, co wydałoby się wam podejrzane?

— E, tam — mruknęła druga pokojówka, dziewczyna smagła, z czarnymi oczami — kto by na to zwracał uwagę. Taki ruch. To przecież sezon.

— Więc nic nie wiecie o niej? — wskazał ruchem głowy na leżącą.

Odpowiedzieli mu gestami zaprzeczenia.

Sierżant wstał, strzepnął z kolan grudki mokrego piasku, wyprostował się.

— Dobrze. Możecie już odejść. — A gdy nikt nie ruszył się z miejsca, podniósł głos: — Na co czekacie? Proszę odejść. To nic ciekawego...

Odchodzili ociągając się. Zamieniali szeptem słowa.

— Jaka młoda... — powiedziała przysadkowata pokojówka.

— I elegancka, prawda? — dodała śniada, z czarnymi oczami.

— Pewno jakiś chuligan ją wykończył — mruknął ogrodnik i westchnąwszy, jeszcze raz spojrzął na leżącą.

Portier kręcił głową.

— Takie to życie... Nawet nie wiesz, kiedy koniec.

— Ruda była, a rude to nie mają szczęścia — wtrąciła śniada pokojówka.

— Kto tam wie, czy ruda. Pewno farbowana — zaśmiała się ta krępa, przysadkowata.

Mężczyzna, który telefonował na posterunek, cmoknął zafrasowany.

— Wszystko możliwe, ale powiedzcie, kto jej mógł zabrać buty?

Sierżant zdjął pelerynę i ostrożnie zakrył leżącą, a gdy pierwszy podmuch zerwał pelerynę, przysypał jej brzegi piaskiem. Potem zawołał motocyklistę.

— Słuchajcie, Łobęda. Popilnujcie jej tutaj. Ja pójdę do



„Marysieńki“ zatelefonować do Gdańska. To grubsza sprawa. Sami nie mamy sobie rady. Zresztą lekarz musi przyjechać... — urwał i nie dokończywszy odszedł w stronę wydm. Po drodze myślał, że przepadła cała niedziela. Zanim spisze pierwszy protokół, zanim przyjadą z Gdańska i załatwią obowiązujące formalności, minie pół dnia, a potem... Potem trzeba się trochę przespać. Pocięszał się tylko tym, że i tak nie wypłynąłby żaglówką w morze. W taką pogodę można się tylko powiesić...

\*

Lekarz kończył pisanie orzeczenia. Był to mężczyzna okrągły, rumiany, wzbudzający zaufanie i sympatię. Podpisał zamasyście blankiet, wysuszył go starannie bibułą, przebiegł jeszcze raz wzrokiem po rzędach okrągłych jak on liter i podał blankiet Sałydze, oficerowi z wydziału śledczego.

— I co pan o tym sądzi, doktorze? — zapytał nagle Sałyga.

— To wszystko, co mogłem stwierdzić: Zgon nastąpił około północy, spowodowało go prawdopodobnie zażycie dużej dawki środków nasennych. Zresztą to tylko moja hipoteza. O szczegółach dowiemy się dopiero po sekcji. Nie ma żadnych obrażeń ciała. Gwałt też wykluczony...

Sałyga pokręcił jasną, kształtną głową.

— Tajemnicza sprawa — powiedział jakby do siebie. — Może samobójstwo?

— Wszystko możliwe. Ale to już wasza sprawa — uśmiechnął się doktor dobrodusznie i jął wycierać chusteczką szkła okularów. Każdy jego ruch zdradzał pedantyczną staranność.

Wzrok Sałygi spoczął na postaci tkwiącego w kącie sierżanta. Wlazło stał oparty o ścianę. Jego szeroka, nalana twarz wyrażała piekielne znużenie. Zaczernienione oczy przymykały się co chwila, a głowa chwiała się na tęgim karku.

— Możecie już odejść, Wlazło — powiedział wolno oficer.

Sierżant wyprężył się.

— Tak jest, panie kapitanie.

Sałyga przestał zwracać na niego uwagę. Nie słyszał nawet, jak sierżant mruknął: „Do chrzanu z taką pogodą“ — i zmęczonymi oczami spojrzął w okno, za którym stał zroszony ogród, osnuty nitkami siąpiącego deszczu. Skrawek nieba nad dachami był tak szary, że aż nużył swą szarością. Sierżant jeszcze raz strzelił obcasami i z uczuciem ulgi opuścił pokój. Lekarz ubierał się. Dokładnie zapinał zielony deszczowiec.

— Pieska pogoda — rzucił od niechcienia, jakby chciał czymś wypełnić przedłużającą się chwilę ciszy.

— Dobrze tło do tego... — Sałyga trzepnął palcami w plik papierów leżących przed nim na stole. A potem dodał z gorzkim uśmiechem: — Zupełnie jak w powieści... I martw się teraz, człowieku, skoro nie ma ani jednego śladu.

Lekarz wziął z krzesła swą torbę.

— To musi być ciekawa robota.

— Tak. Zupełnie jak rozwiązywanie krzyżówki — rzucił z przekąsem Sałyga. — Tylko że do tej pory nie mamy ani jednej danej. Nie ma punktu zaczepienia.

— Znajdzie się. Trzeba tylko trochę cierpliwości. — Lekarz wyciągnął na pożegnanie pulchną, osypaną gęstym włosiem dłoń. — A więc powodzenia.

— Kiedy sekcja?

— To zależy od kliniki.

— Postarajcie się, doktorze.

— W porządku.

Krótki uścisk dłoni zakończył rozmowę. Gdy lekarz wyszedł, Sałyga podszedł do okna. Patrzył na krzaki bzu ociekające wodą. Był wściekły. I jemu ten wypadek pokrzyżował niedzielne plany. Wczoraj właśnie poznał na plaży pewną dziewczynę z wczasów. Umówił się z nią na dansing w Jelitkowie, a tymczasem major wlepił mu tę sprawę. Czy nie było kogoś innego?

Z rozmyślenia wyrwało go skrzypnięcie otwieranych drzwi. Gdy się odwrócił, zobaczył w progu zadowoloną

twarz porucznika Łatyszewskiego.

— Mamy, kapitanie — powiedział tamten zbliżając się.

— Co mamy?

— Jest już przynajmniej zahaczenie.

— No?...

— Mam kobietę, u której wczoraj zatrzymała się ta nasza delikwentka.

— Jak żeście ją znaleźli?

— W prosty sposób. Poszedłem na dworzec, rozpytywałem się wśród „łapiduchów“, czy ktoś nie widział tej kobiety?

— U „łapiduchów“? Jakich „łapiduchów“?

— Tak tutaj nazywają pośredników, którzy wynajmują prywatne pokoje dla gości. Złapałem jednego, który powiedział, że zaprowadził wczoraj pewną młodą, rudą kobietę w szarym, kostiumie na ulicę Monte Cassino.

— Macie go tutaj?

— Oczywiście, kapitanie. Jego i tę gospodynię, która wynajęła pokój.

Sałyga ożywił się.

— Brawo, poruczniku. Nie spodziewałem się, że tak szybko traficie na ślady.

— Robiło się, co się dało, kapitanie.

— To świetnie. Dawajcie mi tego „łapiducha“.

Po chwili do pokoju wszedł człowiek nieco przygarbiony, o twarzy bladej i bezbarwnej. Jego stary deszczowy płaszcz ociekał wodą. Sałyga już z daleką poczuł wódkę.

— Niech pan siada — wskazał mu krzesło, a gdy tamten spoczął, nie mógł powstrzymać się od złośliwej uwagi: — Czy pan jest na tyle trzeźwy, że może pan odpowiadać na pytania?

Jegomość o szarej, bezbarwnej twarzy zamrugnął małymi, przekrwionymi oczkami.

— Ja nie pił za wiele — zaciągnął śpiewnym wileńskim akcentem. — A po drugie, jeśli już o to się rozchodzi, to niech pan komisarz powie, czy w taki dzień można nie pić. Toż to sama dusza się rwie...

— Dobrze, dobrze... — przerwał mu kapitan. — Więc to

pan wczoraj zaprowadził tę rudą, młodą kobietę na ulicę Monte Cassino?

— Ja... panie komisarzu. Ale niech pan powie, czy mogłem ją zostawić samą na dworcu. Toż to grzech byłby...

— Gdzie pan ją zaczepił?

— Ja?... Toż to ona sama do mnie podeszła.

— Gdzie?

— Na dworcu.

— Którym pociągiem przyjechała?

— Warszawskim, wieczorowym.

— Miała bagaż?

— Toż to właśnie najdziwniejsze, że nie miała. Ja patrzę, a ona wychodzi bez walizeczki, jakby z Gdańska przyjechała.

— Może oddała do przechowalni.

— Toż ja bym widział. Ale nic, ona prosto do mnie, czy nie ma jakiego wolnego pokoju?

— Torebkę miała?

— Miała.

— Skąd pan wie?

— Toż ja wiem, bo mi potem z tej torebki pieniądze wyciągała, dwadzieścia złotych za usługę dała.

— Jaka była ta torebka?

Człowiek o bezbarwnej twarzy uniósł brudną dłoń do czoła:

— Zaraz, zaraz... Toż to ona na pewno miała torebkę, ale jaką? Niech ja sobie przypomnę... — Chwilę tarł z roztargnieniem czoło, potem uśmiechnął się, pokazując próchniejące zęby i chore białe dziąsła: — Niech mnie kule biją, ale ja nie pamiętam. Żebym ja wiedział, że pan komisarz będzie się pytał, tożbym ja zapamiętał, a tak... — uniósł ramiona gestem bezradnego zakłopotania.

— Czy prócz torebki miała coś przy sobie?

— Nie, nie miała.

— O czym pan z nią mówił?

— Ja?... Toż ja ją zaprowadził, ale ja z nią nie rozmawiał. Próbowałem, ale ona była taka jakaś dziwna...

— Co znaczy... jakaś dziwna?

— Jakby to panu komisarzowi wytłumaczyć. Ona była smutna, cna była zdenerwowana. Chciała jak najszybciej dostać ten pokój.

— I pan ją zaprowadził na ulicę Monte Cassino?

— Tak. Na Monte Cassino 35.

— Dlaczego właśnie tam?

— Bo tam był wolny pokój.

— Aha... A skąd pan wiedział, że tam jest wolny pokój?

— Toż pani Łabudziewicz powiedziała mi: „Jak pan będzie miał dobrego gościa, to niech pan do mnie przyprowadzi. Mam ładny pokój z werandą do wynajęcia.“ Toż pan komisarz wie, że ludzie pokoje wynajmują, żeby trochę budżet podreperować.

— Pan przypuszczał, że ta kobieta to lepszy gość?

— Racja, panie komisarzu. Toż to niczego sobie kobieta. Ładna, elegancka... taka z Warszawy.

— Mówiła, że z Warszawy?

— Nie mówiła, ale to się widzi. Szykowna kobieta — „łapiduch“ cmoknął dla podkreślenia swego podziwu.

Sałyga zamyślił się. Dłonią przesunął po jasnych, falujących włosach. Nieruchomymi oczyma patrzył w zmiętą, odrażającą twarz siedzącego przed nim człowieka. Wiedział, że już niczego więcej od niego się nie dowie.

— Tak... — mruknął. — A czy później nie spotkał jej pan?

— Nie, panie komisarzu. Ja ją zaprowadził na Monte Cassino i później poszedł do domu.

— Dobrze — Sałyga plasnął dłonią w leżące przed nim papiery. „Łapiduch“ wzdrygnął się przestraszony. Kapitan zaśmiał się krótko, a po chwili powiedział z ulgą: — Może pan odejść. I niech pan poprosi do mnie tę...

— Panią Łabudziewicz — podjął skwapliwie „łapiduch“. Nie czekając na dalsze wyjaśnienia szybko opuścił pokój.

Kobieta, która weszła za chwilę, była pulchna, rozlewająca się. Twarz, zwiotczała, obwisła, wyrażała zaniepokojenie. Głęboko osadzone, ciemne paciorki oczu zdradzały napiętą czujność. Usiadła ostrożnie, jakby się bała, że krzesło załamie się pod jej ciężarem. Uśmiechnęła się niepewnie.

— Ja bardzo przepraszam — zaczęła uprzedzając pytania Sałygi. — Ja nie mogłam zameldować tej pani. Przyjechała wieczorem, gdy urząd meldunkowy już zamknięty.

„Ma nieczyste sumienie. Zaczyna się usprawiedliwiać” — pomyślał Sałyga i zapytał ostro: — Ale kartę meldunkową pani wypełniła?

— Nie... — twarz kobiety stężała w zakłopotaniu. — Nie — dorzuciła szybko — bo przecież myślałam, że będzie czas w niedzielę rano. Zresztą ta pani bardzo się spieszyła...

— To niedobrze — kapitan Sałyga pokręcił karcąco głową. — Przez panią nie wiemy nawet, jak się ona nazywała. Pani już chyba nie pierwszy raz wynajmuje pokój i powinna pani znać przepisy meldunkowe.

— Znam, znam... Ale to jakoś tak się złożyło. Ten człowiek przyprowadził ją wieczorem...

— O której?

— Zaraz po przyjeździe warszawskiego pociągu.

— To znaczy o której?

— Mogła być dziewiąta. Może pociąg się spóźnił.

— Proszę o podanie dokładnej godziny.

Kobieta rozłożyła ręce.

— Dokładnie... to ja nie wiem. Ale to było między dziewiątą a dziesiątą.

— Pani Ją widziała po raz pierwszy?

— Tak.

— Jakie wrażenie zrobiła na pani?

Kobieta odchyliła się. Białą, pulchną dłoń położyła na krawędzi stołu. Uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

— Jakby to panu powiedzieć... Ona była trochę dziwna... Bardzo roztargniona, zdenerwowana, jakby się czegoś obawiała... Ja chciałam, żeby wypełniła kartę meldunkową. Ale ona bardzo się spieszyła. Powiedziała: „To głupstwo, jutro to załatwimy!” Zapytałam, na jak długo chce wynająć pokój. „Nie wiem — odpowiedziała — może na kilka dni. Może na dłużej.” Poprosiła o ręcznik i mydło, umyła się i wyszła z domu.

— Była bez bagażu?

— O właśnie... To mnie najwięcej zdziwiło. Była bez rzeczy. Nawet nie miała ze sobą ręcznika. Czy porządny gość tak przyjeżdża nad morze? I jeszcze jedno, proszę sobie wyobrazić, ona nie miała przy sobie pieniędzy.

— Skąd pani wie?

— Prosiłam, żeby mi dała zadatek. To przecież normalne. Ale ona nie miała pieniędzy. Powiedziała, że jutro zapłaci.

— A ten człowiek, który ją przyprowadził do pani, twierdzi, że zapłaciła mu dwadzieścia złotych.

— Tak. Płaciła przy mnie. Przypuszczam jednak, że była to jej ostatnia dwudziestozłotówka.

— Dlaczego pani tak przypuszcza?

— Wyciągnęła przy mnie pugilares. Więcej pieniędzy w pugilarzesie nie miała.

— Pugilares wyciągnęła z torebki, prawda?

— Oczywiście, z torebki.

— Czy przypomina sobie pani, jaka była ta torebka?

— Czarna... taka z zamszu.

— A ten pugilares?

— Szary... Jeżeli się nie mylę, też z zamszu.

Nastała cisza. Kapitan Sałyga spojrział w okno, jakby stamtąd oczekiwał pomocy. Srebrzyste strugi spływały po szybie. Było tak cicho, że słyszał szmer padającego deszczu i ciężki, świszczący oddech siedzącej przed nim kobiety. Pomyślał, że niewiele się od niej dowie. Sprawa tajemniczej kobiety stawała się coraz bardziej zagadkowa.

— Aha — rzucił, jakby się nagle ocknął — czy nie przypomina sobie pani, jakie miała buty?

— Buty?... Jeżeli się nie mylę, to jasne, zamszowe szpilki... Tak, jestem pewna. Nawet mi się podobały.

— To pani, dzięki Bogu, dobrze ją sobie obejrzała — zażartował cierpko.

— No cóż — uśmiechnęła się przymilnie — kobiety mają ten zwyczaj. I muszę przyznać, że ona była ubrana tip-top. Skromnie, ale elegancko. I w ogóle przystojna...

— A gdyby tak ktoś zapytał panią, jaki był jej zawód, co by pani odpowiedziała?

— Hm... — skrzywiła się. — Trudno określić. Jedno pewne, należała do kobiet, które się nie przemęczają.

— To znaczy nie pracują?

— O właśnie. Do takich, co to lekko sobie żyją.

— Co pani przez to rozumie?

— Ja?... No cóż, niejedna taka przyjeżdża do Sopot bez pieniędzy, a wyjeżdża... — urwała i zachłysnęła się mimowolnym śmiechem.

Kapitan zabębnił palcami, jakby chciał dać do zrozumienia, że śmiech nie jest stosowny w tej sytuacji.

— Więc miała pani wrażenie — podjął — że to była kobieta podejrzanego konduity?

— No nie... Mogłam się mylić. Ona nawet wyglądała na uczciwą. Ale pan rozumie — mrugnęła porozumiewawczo — tak bez rzeczy, bez pieniędzy...

— Mogła się znaleźć w przykłej sytuacji — zauważył i naraz zrozumiał, że powiedział to niepotrzebnie, jakby usiłował bronić nieznaną.

— To też możliwe — potwierdziła. — W życiu różnie bywa. Ja tam nie wiem, co i jak. Mnie to nie interesuje.

Kapitan zagadnął ostrzej.

— Czy nie zostawiła u pani jakiegoś przedmiotu, jakiejś kartki, świstka papieru?

— Nie. Sprzątałam dziś rano i nic nie znalazłam.

— Więc mówi pani, że ona była zdenerwowana. Może mówiła coś pani?

Kobieta wzruszyła ramionami.

— Proszę pana, ja tam o nic się nie pytałam. Co mnie to wszystko obchodzi.

— Nie wspominała, kiedy wróci?

— Nie. Dałam jej klucz od mieszkania. Taki mam już zwyczaj.

— Nie bała się pani oddać klucz nieznanemu osobie? — zagadnął prędko, jakby tym pytaniem chciał ją zaskoczyć. Ale kobieta wydeła tylko lekko wargi i popatrzyła na niego lekceważąco.

— Wynajmując pokój trzeba mieć do człowieka zaufanie.



Kapitan Sałyga gwałtownym ruchem wyciągnął ku niej rękę.

— A może pani ją znała?

Cofnęła się, obronnym gestem wysunęła przed siebie rękę.

— Ja? Wczoraj widziałam ją pierwszy raz... i chyba ostatni.

— Chyba ostatni — powtórzył Sałyga i westchnął. — Dziękuję pani. Jeżeliby ktoś przyszedł i pytał o nią, to proszę nas natychmiast zawiadomić. Dziękuję — powtórzył. Wstał i nie patrząc przed siebie, podszedł do okna. Gdy otwierała drzwi, odwrócił się nagle. — I jeszcze jedno. Na drugi raz niech pani pilnuje przepisów meldunkowych, bo może być krucho.

— Oczywiście, oczywiście — zawołała i cofając się, szybko zamknęła drzwi.

Nastała cisza, w którą wplatał się jedynie senny plusk deszczu. Ogród tonął we mgle. Skrawek nieba był jeszcze bardziej szary i smutny. Kapitan Sałyga myślał przez chwilę o dziewczynie, z którą umówił się na dansing do Jelitkowa. Miała duże, niebieskie oczy. Spoglądała ciepło i obiecująco. To dziwne, ile pogody i wdzięku może być w jednym spojrzeniu kobiety?

Z zamyślenia wyrwał go odgłos kroków na korytarzu. Po chwili ukazał się porucznik Łatyszewski. Patrzył na kapitana pytająco.

— Dobrze, żeście przyszli, poruczniku — powiedział Sałyga. — Trzeba będzie natychmiast zawiadomić Warszawę. Zdaje mi się, że bez Warszawy nie postąpimy ani kroku naprzód. I jeszcze jedno. Trzeba szukać torebki i bucików. Mamy już pewne wskazówki. Torebka była z czarnego zamszu, a buty — jasne, też zamszowe.

— Wiem. Dowiedziałem się po drodze.

— Dobrze. Ale najważniejsze to zawiadomić Warszawę. Najlepiej telefonicznie — podał porucznikowi kartkę, na której na dole widniała data — niedziela, siódmy lipca 1957 r.

## II

Wtorek, drugiego lipca.

Po upalnym dniu nastał wieczór cichy, łagodny. Nad Warszawą zapadał mrok. Powietrze pachniało jeszcze słońcem. Ale gdy tylko wysypały się pierwsze gwiazdy, nasiąkało z wolna ożywczym chłodem.

W ogrodzie klubu Stowarzyszenia Dziennikarzy, przy stoliku osłoniętym dyskretnie zwisającymi gałęziami, siedziało trzech dziennikarzy. Znużeni całodziennym upałem nie kwapili się zbyt do rozmowy. W milczeniu sączyli chłodne, perlące się w szklankach piwo.

— Czy znaliście tę rudą modelkę z „Tip-Top“? — zagadnął nagle redaktor Napieralski, reporter z „Wieczoru Warszawy“.

Pytanie to ożywiło nieco rozmowę.

— Oczywiście — odezwał się Tomasz Żabielski, sprawozdawca sportowy tego samego dziennika. — Klasa dziewczyna. A jakie nogi!... — cmoknął, by zaakcentować swój podziw.

— Czy to ta sama, która brała ostatnio udział w pokazie mody na Targach Poznańskich? — zapytał Keller, kierownik działu miejskiego.

— Tak, ta wysoka, z dużymi, zielonymi oczyma. Podobała ci się, co? — uśmiechnął się Napieralski.

— Tańczyłem z nią. Morowa dziewczyna. Chciała mnie uczyć rock and rolla.

— Takiego słonia! — parsknął Żabielski. Uwaga była niezbyt taktowna, ale celna. Redaktor Keller swą potężną postacią przypominał raczej zażywnego piwosza niż wykonawcę rock and rolla.

— Phi — odął się Keller. — Czy to takie trudne? Wystarczy wypić pół litra, trząść się jak galareta i rzucać partnerką jak workiem. Z tą rudą tobym nawet zatańczył. Ona miała w sobie coś pociągającego.

— Czy ty się znasz na kobietach — kpił dalej Żabielski,

mrużąc ładne, ciemne oczy. — Powiedz lepiej, kiedy nadejdzie z Bułgarii pierwszy transport pomidorów. Czytelnicy domagają się jawności życia gospodarczego.

Keller łypnął niechętnie burymi oczami, machnął nonszalancko ręką i zwrócił się do Napieralskiego:

— Więc co z tą rudą modelką?

— Ciekawa historia. Wyobraźcie sobie, jestem dzisiaj w redakcji „Kuriera“, a tu nagle łapie mnie woźna. „Panie redaktorze — mówi — jeśli pan mi nie pomoże, to już nie wiem, co mam robić“. Nawiasem mówiąc, załatwiłem jej kiedyś pewną drobną interwencję i stąd nasza znajomość.

— No, dobrze — przerwał mu Keller — ale co to ma wspólnego z rudą modelką?

— Okazało się, że to jej matka.

— To ona ma dobre pochodzenie społeczne — zakpił Żabielski.

— Zamknij się — jęknął Keller.

— Wyobraźcie sobie — podjął Napieralski — że ta ruda zniknęła w tajemniczy sposób.

— O!... To coś dla ciebie. Będiesz miał nowy temat. Znowu posypią się szlagiery — Żabielski cedził słowa w swój zwykły kpiący sposób.

Szeroka, ogorzała twarz Kellera ożywiła się nagle.

— Ciekawe... — pokręcił głową. — Ale jak mogła zniknąć tak nagle!

— W tym właśnie cała zagadka. Matka mówi, że w zeszłym tygodniu we wtorek była u niej, żeby posprzątać, i od tego czasu córka nie wróciła do domu.

— A ty jutro machniesz sensacyjny reportaż z morałem: „Matko, pilnuj swej córki, bo ci się zacznie puszczać...” — wtrącił Żabielski.

Keller złapał szklankę. Udając, że się zamierza, uniósł ją w górę.

— Tomek, daj spokój, bo cię trzepnę. Z tobą nie można o niczym porozmawiać. Chyba o wynikach rozgrywek ligowych albo w jakim czasie pewien dureń przebiegł 5 000 metrów.

— To przynajmniej konkretne sprawy, a nie jakieś tajemnicze zniknięcie rudej modelki.

— A mnie to bardzo zainteresowało — powiedział jakby do siebie Napieralski. — Będę miał znowu ciekawą robotę. Lubię rozwiązywać zagadki.

— Człowieku — zaśmiał się Żabielski — a jeśli się okaże, że ona wyjechała z jakimś facetem na ryby?

— Nie szkodzi. Zresztą ja mam dobrego nosa. Pamiętajcie, jak w marcu zahaczyłem o jakieś nieporządki w żłobku na Mokotowie, a w rezultacie wykryłem głośną aferę w Spółdzielni „Współpraca“. Do tych spraw trzeba mieć smykałkę i zamięłowanie.

— Oczywiście, pamiętamy. Redaktor Napieralski w roli trybuna ludu! Sensacyjny tytuł na trzy szpalty! Rozróbka w całej spółdzielczej branży metalowej. — Żabielski wychylił do dna zawartość swej szklanki i łypnął zaczepnie na Napieralskiego. — Słuchaj, Staszek, tyś się minął z powołaniem. Tyś powinien pracować w służbie śledczej, a nie w gazecie.

— Mylisz się. Dobry reporter musi być wszechstronnie uzdolniony i rzetelnie informować czytelników o tym, co się dzieje.

— O tym, co się dzieje w mieszkaniu rudej modelki?

— O tym, co się dzieje wokół nas wszystkich. A jeżeli chodzi o tę modelkę, to już moja sprawa... Taki mam system pracy. Biorę jakiś fakt jako punkt wyjścia i idąc jego śladem dowiaduję się ciekawych, rzeczy. Każdy ma swój styl. Mnie najbardziej odpowiada właśnie ten.

— Przyznaję, że fakt jest ciekawy — wtrącił Keller.

— I ma wspaniałe nogi — dodał Żabielski.

Napieralski przyjął żart z dobrodusznym uśmiechem. Lubił Żabielskiego i już dawno przyzwyczaił się, do jego kpiącego sposobu rozmowy. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiąta.

— Słuchajcie, bardzo was przepraszam, ale muszę opuścić wasze zacne towarzystwo.

— Szkoda — mruknął Keller. — Myślałem, że postawisz

ćwiartkę.

— Daj mu spokój — Żabielski trącił Kellera łokciem — on idzie rozwiązywać zagadkę rudej modelki.

— Żebyś wiedział, że tak. Umówiłem się z jej matką. Mamy iść do jej mieszkania.

— Uważaj, żeby cię nie spotkała jakaś niespodzianka.

— Nie ma obawy. To nie mecz bokserski, podczas którego rozkwaszają sobie nosy. Cześć! — skinął kolegom. — Jutro zobaczymy się w redakcji.

— Powodzenia! — zaśmiał się Żabielski.

\*

Taksówka zawiozła ich na Polną.

— To tu — wskazała woźna.

Zatrzymali się przed pięciopiętrową starą kamienicą, oplecioną siatką rusztowań. Napieralski spojrział w górę.

— Remontują staruszkę — powiedział jakby do siebie.

— Tak, od dwóch tygodni — skinęła kobieta. — Zosia mieszka na piątym piętrze. Znowu będę musiała fatygować pana redaktora — dodała, gdy weszli w ciemną bramę. Pachniało tu świeżym wapnem i zaprawą murarską.

— Nie szkodzi. Lubię Wspinaczkę — zażartował.

Wspinali się wolno po stromych, wyszczerbionych schodach, obiegających spiralą ciemny, martwy szyb windy.

— Mój Boże — westchnęła, gdy zatrzymała się na chwilę dla zaczerpnięcia powietrza. — Odkąd ta moja Zosia nie wraca do domu, nie mogę sobie znaleźć miejsca. Wciąż mi się zdaje, że coś jej się stało. I po co jej to życie... Takie życie — zakryła twarz chudymi dłońmi.

— Nie trzeba martwić się na zapas. Może wszystko skończy się szczęśliwie — starał się ją pocieszać. — Ale dlaczego do tej pory nie dała pani znać na milicję?

Oderwała dłonie od twarzy. Spojrzała trwożnie na Napieralskiego. Jej oczy były suche, ale dziennikarz czuł, że kobieta drży.

— Czy to warto zaczynać od razu z milicją?

— Powinna pani zawiadomić. W takich wypadkach nie można zwlekać ani chwili.

Wzruszyła chudymi ramionami.

— Czy ja to wiem. Ja zawsze boję się zaczynać z milicją. A nuż... — ucieła i w milczeniu ruszyła w górę.

Na piątym piętrze poręcz schodów była zerwana. Zastępowała ją chwiejąca się deska.

— Psiakrew — zaklął redaktor — nie zabezpieczyli klatki schodowej. No niech pani patrzy, a gdyby tak ktoś spadł? To są nasze porządki.

Woźna nic nie odrzekła. Spojrzała tylko w ciemną czeluść i wzdrygnęła się ze strachu. Potem z czarnej ceratowej torebki wyjęła pęk kluczy. W tej chwili dziennikarz zobaczył zatkniętą w drzwi kartkę.

— Ktoś zostawił list.

Woźna wyjęła kartkę ze szpary.

— Tu ciemno.

— Wejźmy do środka, przeczytamy przy świetle.

Kobieta otworzyła drzwi. Przedpokój był mały. Z trudem przepchnęli się między szafą a wieszakiem. Weszli do środka. Była to mansarda z ukośną ścianą frontową, z małym oknem w głębokiej wnęce. W powietrzu unosił się zapach dobrych perfum, pudru i mydła. W kącie stał tapczan przykryty kraciastą narzutą, obok mały okrągły stolik, na którym w kryształowym wazoniku tkwiły zeschnięte, pożółkłe goździki. Dwa krzesła, mała półeczka na książki uzupełniały skromne umeblowanie, świadczące, że mieszkająca tu osoba nie przykładła wielkiej wagi do otaczających ją przedmiotów. Koczowała tutaj raczej niż mieszkała.

Redaktor stanął na środku. Rozejrzał się.

— Czy zastała pani pokój w takim stanie, w jakim jest obecnie?

— Skądże, panie redaktorze, przecie ja tu już sprzątałam.

— Rozwinęła kartkę papieru, uniosła ją do oczu. Po chwili pokręciła głową. — Może pan to przeczyta. Ja mam słabe

oczy. A do tego takie gryzmoły. — Podała kartkę dziennikarzowi.

Istotnie pismo było bardzo niewyraźne. Ktoś pisał w wielkim pośpiechu i zdenerwowaniu. Nierówne rzędy liter wiły się powykęcane, jakby nie mogły zmieścić się na skrawku wydartego z zeszytu papieru. Dziennikarz z trudem odszyfrował poszczególne wyrazy, a gdy uporał się z nimi, czytał głośno:

— „Kochana! — Jestem bardzo zaniepokojony. Dlaczego nie przysłaś? Przecież obiecałaś. Co się z Tobą dzieje? Mogłaś przynajmniej zatelefonować. Ja bardzo tęsknię. Myślałem, że jesteś chora. Byłem u Ciebie, ale niestety nie zastałem Cię w domu. Przychodzę już drugi dzień. Czy zapomniałaś o tym, cośmy mówili? Ja już tak bardzo się cieszyłem, że to się wszystko skończy. Teraz znowu nie wiem, co o tym myśleć. Czy masz jakieś kłopoty? Trzeba było zadzwonić do mnie, powiedzieć... Nie mamy względem siebie nic do zatajenia. Nie mam do Ciebie żalu ani złości. Przecież wiesz, jak bardzo Cię kocham. Odezwij się, bo nie wiem, co myśleć. To straszne żyć w takiej niepewności... Błagam Cię, odezwij się. Ja już myślałem, że to koniec tej szarpaniny. Więc zadzwoń do mnie albo przyjdź i daj znak życia, bo nie wiem, co mam robić...”

Podpisu nie było, tylko jakiś zawył zakrętas kończył ten list pełen znaków zapytania i nieudomówień.

— Czy pani domyśla się, kto to pisał?

Kobieta patrzyła na dziennikarza szeroko rozwartymi oczami. Wargi jej drżały.

— Skądże, panie redaktorze... Skąd ja bym wiedziała.

— Czy ktoś przychodził ostatnio do pani córki?

Wzruszenie ramion.

— Ja nie widziałam.

— Kiedy pani była tu ostatni raz?

— Dzisiaj, panie redaktorze, bo ja co dzień przychodzę. Czekam. A nuż wróci.

— Więc ten list zostawił ktoś dopiero dzisiaj.

— Wczoraj go nie było.

— Dobrze — dziennikarz usiadł na tapczanie. Zapalił papierosa. Kobieta stała jak skamieniała. Wyblakłe, przygasłe oczy wbiła w kartkę papieru, którą Napieralski położył na stole. — Musi pani zawiadomić milicję, i to jeszcze dzisiaj — powiedział zaciągając się dymem.

Drgnęła.

— Czy to konieczne, panie redaktorze?

— Tak. Wydaje mi się, że to najlepsze, co może pani uczynić, zwłaszcza po tym liście.

— Ja nic nie rozumiem.

— Ja też rozumiem niewiele. Jedno jest pewne, że pani córka miała jakieś przejście, a to w powiązaniu z jej zniknięciem...

— To pan myśli, że ona... — gwałtownym ruchem wyciągnęła suchą dłoń ku Napieralskiemu.

— Ja nic nie wiem i nic nie myślę — powiedział spokojnie.

— Widzę jednak, że w niczym nie mogę pani pomóc. Tą sprawą musi się zająć milicja.

Kobieta zbliżyła się do niego. Chudymi palcami wczepiła się silnie w jego ramię.

— Panie redaktorze, niech pan powie, czy jej się coś stało?

— Potem nagle opadła na tapczan, zakryła oczy, westchnęła: — O Boże! Mnie już różne myśli nachodzą... Okropne myśli. Boję się nawet mówić o tym.

Napieralski doznał takiego uczucia, jakby się dusił. Podszedł do okna, otworzył je szeroko. Powiew świeżego powietrza owionął jego rozpaloną twarz. W dole z szumem przetoczył się autobus. W dali, w fiolecie mroku mieniły się światła Mokotowa. Redaktor odwrócił się. Kobieta wciąż jeszcze siedziała na tapczanie, kryjąc twarz w dłoniach.

— Jeżeli mi wiadomo, pani córka pracowała jako modelka w „Tip-Top“. Czy pani nie dowiadywała się tam o nią?

— Byłam już wczoraj. Nic nie wiedzą. Powiedzieli mi, że jak nie przyjdzie w czwartek do miary, to poszukają kogoś innego na jej miejsce, bo w sobotę jakiś tam pokaz...

Redaktor miał ochotę wyjść, ale zatrzymała go wrodzona ciekawość.



— Niech mi pani powie — zagadnął siadając na krześle — jak ten pokój wyglądał, gdy pani przyszła we wtorek?

Spojrzała pytająco, jakby nie rozumiała, o co chodzi.

— Pokój, jak pokój... Tapczan nie zaścielony, na stole stała jakaś butelka i dwa kieliszki, w popielniczce pełno niedopałków... Jednym słowem nieporządek...

— Gdzie jest ta flaszka?

— Wyniosłam do łazienki.

— Czy mogłaby mi pani ją pokazać?

Woźna ciężkim krokiem poczłapała do przedpokoju, skąd wiodły drzwi do łazienki. Po chwili wróciła z butelką do połowy napełnioną jasnym, żółtawym płynem. Redaktor z daleka poznał po etykietce szkocką whisky, a gdy upewnił się, że się nie myli, pokręcił z uznaniem głową.

— Dobra rzecz, szkoda gadać.

— Jakaś zagraniczna wódka — zauważyła kobieta. — Może pan spróbuje, panie redaktorze.

— O nie! Dziękuję — zaprzeczył ruchem ręki. — Czy pani często znajdowała tutaj butelki po zagranicznych wódkach?

— Nie. To chyba pierwszy raz.

— A inne?

— Czasem były jakieś po winie albo po czystej — odparła z zażenowaniem. — Ale moja Zosia nie piła dużo, panie redaktorze. Ona tylko tak z gościnności...

Napieralskiego wzruszyła ta matczyzna zapobiegliwość o dobre imię córki. Zamyślił się, a potem nagle zapytał:

— Niech mi pani powie, ale szczerze, jaka była ta pani Zosia?

Pytanie zaskoczyło kobietę. Uniosła dłoń do warg i palcami przesunęła z zakłopotaniem po zapadłym policzku.

— Moja Zosia... — rzekła przeciągle — i nagle opadła na krzesło, jakby jej zabrakło sił. — Panie redaktorze — wyciągnęła ręce ku dziennikarzowi — nie tego ja się po niej spodziewałam. Czy ona nie mogła żyć uczciwie, no, niech pan powie. Czy ja się nie starałam? Ale ją inne życie ciągnęło. Żeby chociaż przyszła i powiedziała: „Mamo, mnie ciężko. Mamo, ja tak albo tak.“ Ale ona wszystko w

sobie dusiła. Słowa jej z gardła wydrzeć nie można było, taka była w sobie skryta. A uparta! Zawsze na swoim musiała postawić. Nie daj Boże uwagę jej zwrócić. Patrzała jak na wroga... Och, mój Boże, czy ja na to zasłużyłam? A przy tym dobra była dziewczyną, dobre serce miała... — westchnęła, oczy utkwiała w splecionych na kolanach dłoniach i zamilkła.

— Kiedy wyprowadziła się od pani?

— Będzie już trzy lata — rzekła kiwając z żalem siwiejącą głową. — Ja panu redaktorowi powiem prawdę. To wszystko przez koleżanki. One ją wciągnęły. A najgorsza była ta chuda Stefka od Karolaków. To nasi sąsiedzi — wyjaśniła. — Ona ją z domu wyciągała. Ona rozmaitych włóczykijów pod dom przyprowadzała. Czy nie mogły uczciwie pracować, no niech pan powie, panie redaktorze.

— A gdzie ona wtedy pracowała?

— Razem z tą Stefką, na Szwedzkiej, w fabryce opakowań. Z początku to nam dobrze było, ale potem... — machnęła ręką. — Najpierw na jedną noc nie wróciła, potem trzy dni jej nie było, a potem to się całkiem z domu wyniosła... Błagałam — nie pomagało, płakałam — nie pomagało, tłukłam i biłam — jeszcze gorzej. I niech pan powie, co ja mogłam zrobić, kiedy taką naturę miała. Mówię panu, panie redaktorze, natura nieraz silniejsza od człowieka. Ale co z tego? Widzi pan... ona teraz wielka pani. Matki się wstydzi. I co ma z tego? Och, żeby się tylko jakoś zmieniło, żeby tylko wróciła... bo... bo to przecie jedyne dziecko.

Nastała chwila przewlekłej ciszy. Napieralski wstał. Nie mógł patrzeć na zabiedzoną, zrozpaczoną kobietę.

Historia, którą przed chwilą usłyszał, wydała mu się banalna. „Szkoda się tym babrać — myślał. — I tak jej nic nie pomogę.” Mimo to zagadnął po chwili:

— A z tą Stefką co się stało?

Kobieta machnęła ręką.

— Na psy zesła. Mówię panu, panie redaktorze, ruina. W domu nie przyznają się do niej.

— Gdzie ją można spotkać?

- Czy ja tam wiem? Po ulicach się włóczy. Tak skończyła.
- Jak ona się nazywa?
- Stefka Karolak, ale teraz to na Stenię się przemieniła, jakby to jej coś pomogło.
- Więc nie wie pani, gdzie ją można spotkać?
- Stara Karolakowa mówiła, że do „Polonii” chodzi. Tam na gości czeka.
- „Polonię” już zlikwidowali — powiedział jakby do siebie i pomyślał, że była „polonistkę” łatwo będzie można spotkać w „Kaskadzie” lub w „Stolicy”. — No tak — dodał po chwili milczenia — radzę pani zawiadomić o wszystkim milicję. Najgorzej zamartwiać się i żyć w niepewności. Milicja wyjaśni sprawę i...
- Panie redaktorze! — uniosła drżącą rękę, jakby się bała tego, co powie. — Panie redaktorze, a jeśli ona przed milicją uciekła?
- Chyba nie jest tak źle — uśmiechnął się niezdarnie.
- A ta kartka? — Spojrzenie jej przesunęło się na leżący na stoliku list.
- Hm — mruknął — to prawdopodobnie inne sprawy... sercowe. Przecież córka pani pracowała ostatnio.
- No tak... ale co to można wiedzieć. Taka była skryta, taka skryta.
- Napieralski rozłożył ręce.
- Cóż ja pani poradzę?... Chyba niech pani zawiadomi radio. Może ogłosią komunikat o zniknięciu córki.
- W oczach kobiety zamigotała niepewność. Drżącym ruchem uniosła dłoń do warg.
- Żeby się wszyscy dowiedzieli... — wyszeptwała.
- Dziennikarz zachnął się zniecierpliwiony.
- Więc cóż pani właściwie chce?
- A może — zawahała się — może z tym radiem będzie najlepiej. Tylko ja tam nikogo nie znam.
- To ja już pani załatwię.
- Dziękuję, panie redaktorze, pan zawsze dla mnie taki dobry...
- Głupstwo — przerwał jej oschle — tylko musi mi pani

powiedzieć, kiedy wyszła, jak była ubrana, no i datę urodzenia... — usiadł, wyjął notes i długopis, po chwili zaczął układać krótki komunikat, który zamierzał z redakcji przetelefonować do Grzebnickiego, redaktora z rozgłośni warszawskiej.

— Więc jak była ubrana?... — zwrócił się do kobiety.

— Nie wiem, ale może w szary flanelowy kostium, bo go nie ma w szafie.

— Kiedy wyszła z domu?

— We wtorek rano, bo wtedy przyszłam posprzątać i już jej nie było.

— We wtorek ubiegłego tygodnia?

— Tak.

— To znaczy 25 czerwca.

— Tak.

— Była wysoka, szczupła, miała rude włosy.

— Rude, panie redaktorze.

— Czy zabrała coś ze sobą? Walizkę, torbę?

— Zabrała tę sportową torbę.

— Jaka to była torba?

— Taka z zielonego brezentu.

— Dobrze... Teraz data urodzenia.

— Siedemnasty marca 1935 roku.

— To znaczy skończyła dwadzieścia dwa lata.

— Tak.

Gdy napisał komunikat, wyrwał z notesu kartkę i przeczytał na głos: „Dnia 25 czerwca wyszła z domu Zofia Michalczykówna, lat dwadzieścia dwa, i do tej pory nie wróciła. Ubrana była w szary flanelowy kostium, miała ze sobą sportową torbę z zielonego brezentu. Rysopis: wysoka, włosy rudawe, twarz owalna, oczy zielone. Kto spotkałby zaginioną lub wiedział o miejscu jej pobytu, proszony jest o zawiadomienie matki, Katarzyny Michalczykowej — Warszawa, ulica Żąbkowska 14, lub najbliższego posterunku Milicji Obywatelskiej.“ — Chrząknął, spojrzął na woźną i zapytał: — Dobrze tak będzie?

— Dobrze. Tylko skąd pan wie, jakie ona miała oczy? —

zapytała zdziwiona.

— Hm — uśmiechnął się — ładna ta pani córka. Dobrze się jej przypatrzyłem.

— Oj, ładna, ładna — westchnęła — i to ją właśnie zgubiło. Niech mi Pan Bóg wybaczy, ale wolałabym już garbatą. Przynajmniej nie miałabym tyle wstydu...

— Pani tylko tak mówi — rzucił jakby na pocieszenie. — Jeśli wszystko skończy się pomyślnie, będzie się pani cieszyć, że córka ma powodzenie.

— Ech — westchnęła i gestem rezygnacji opuściła obie ręce. Redaktor wstał. Zerknął na zegarek.

— Muszę już iść. Jutro rano zatelefonuję do pani do redakcji. Powiem pani, czy przyjęli w radio ten komunikat. To nie taka prosta sprawa — wyjaśnił wpatrzony w niego kobiecie. — Gdyby pani córka była dzieckiem, głuchoniemą lub cierpiącą na zanik pamięci staruszką, nie byłoby kłopotu, a tak nie wiadomo, czy się zgodzą. W każdym razie mam tam kilku kolegów. Poproszę, żeby pchnęli sprawę. Pani zostaje? — zapytał kierując się do drzwi.

— Przenocuję tutaj — powiedziała słabym głosem — może wróci.

— Życzę pani tego z całego serca.

— Dziękuję, panie redaktorze. Żeby pan wiedział, co ja przeżywam.

— Głowa do góry, pani Michalczykowa. Miejmy nadzieję, że wszystko skończy się szczęśliwie.

Odprowadziła go do drzwi.

— Tylko niech pan uważa na tę poręcz — ostrzegła na pożegnanie.

\*

Gdy mijał trzecie piętro, naraz tuż przed nim uchyliły się drzwi, a z głębi ciemnego korytarza odezwał się niski głos.

— Bardzo pana przepraszam, pan od Zulejki?

Zatrzymał się gwałtownie i w tej samej chwili.

— Od Zulejki? — wybąkał zdumiony.

— Od tej z piątego piętra, co zginęła — usłyszał ten sam niemiły głos, a gdy nieco wyteżył wzrok, w uchylonych drzwiach zobaczył niską, przysadkowatą postać kobiecą, obleczoną w długi szlafrok z błyszczącego chińskiego jedwabiu.

Wahał się chwilę; czy schodzić, czy też odpowiedzieć coś czatującej w drzwiach kobiecie, ale był tak zaskoczony, że nadal tkwił bez ruchu.

— Pan pewno z prasy? — zagadnęła kobieta w szlafroku, uchylając nieco szerzej drzwi.

„Cóż ona ode mnie chce?” pomyślał wytrącony zupełnie z równowagi.

— Niech pan pozwoli na chwilę — zapraszała go zachęcającym gestem. — Mam do pana pewną sprawę.

— Przepraszam — wybąkał wreszcie z wielkim trudem — ale jaką sprawę?

— Chodzi o tą z piątego piętra — wskazała ruchem głowy na klatkę schodową.

Dopiero teraz w blasku prószącej skąpym światłem, zakurzonej żarówki zobaczył całą postać czyhającej nań kobiety i omal nie parsknął śmiechem. Była to grubiutka osoba, wtłoczona w obcisły szlafrok. Twarz miała pełną, nalaną, białą od grubej warstwy pudru, małe, świdrujące oczka tonęły w fałdach tłuszczu. Silnie uczernione łuki brwi i uszmińkowane usta nadawały tej obrzęklej twarzy wyraz starego kłowna. Skręcone w papiloty włosy gniotły się pod przezroczystą fularową chustką.

— Bez ceregieli, panie redaktorze, bez ceregieli — zachęcała go widząc, że stoi niezdecydowany.

Był tak zaskoczony i ubawiony jej widokiem, że po chwili wahania wszedł do zatłoczonego starymi gratami korytarza. Wkrótce znalazł się w ciemnym i dusznym pokoju. Wnet w blasku małej lampki stojącej na stoliku ujrzał zielonkawę światełka kocich oczu, zwróconych ku niemu beznamiętnie i chłodno. Ciche miauknięcie z ciemnego kąta dawało znać, że w tym mieszkaniu znajduje schronienie cała kocia generacja. Po chwili z tapczanu zarzuconego starym,

dziurawym kocem zeskoczyło wielkie, białe kocisko i nie okazując odrobiny lęku zaczęło mu się łąsić u nóg.

Napieralski odsunął się i syknął, sygnalizując w ten sposób swe niezadowolenie.

— Niech się pan nie boi. To takie miłe stworzenie. Maciuś, przywitaj pana.

Biały kocur jednym susem znalazł się na ramieniu dziennikarza. Ten otrząsnął się jak pies z wody i strącił gościnnie usposobionego kocura.

Kobieta spojrzała ze zdziwieniem.

— Czy pan nie lubi kotków?

— Owszem — wykrztusił — ale z daleka.

— Jak można — rzekła z dezaprobatą i widząc, że redaktor stoi na środku pokoju, podsunęła wyplatane krzesło.

Napieralski rozejrzał się. Wszystko w tym pokoju wydało mu się dziwnie odpychające. Wyłysiała skóra żbika, służąca za dywanik, lustro w staromodnej ramie, upstrzone przez muchy, ciężkie, aksamitne stopy posiwiałe od kurzu, tkwiąca w rogu na tapczanie szmaciana cyganka z wyskubanymi włosami... i ten kleisty, przyprawiający o mdłości zaduch.

— Bardzo panią przepraszam — rzucił zerkając na zegarek — ale już dawno powinienem być w drukarni. — Chciał ruszyć ku drzwiom, lecz kobieta zagroziła mu drogę swym bujnym biustem, wysuwającym się niezbyt dyskretnie spod brudnego szlafroka.

— No tak — uśmiechnęła się — byłam pewna, że pan jest z prasy. Dobrze mam oczko, co? Proszę siadać.

— Kiedy naprawdę nie mam czasu.

— He, he, he... — zerknęła przekornie. — Ale ta ruda Zulejka z piątego to pana na pewno zainteresuje.

— Zulejka? — zrobił zdziwioną minę.

— To nie wie pan, że tak ją nazywają?

— Nie.

— A ja wiem, he, he, he... Ja wszystko wiem, choć nie wychodzę wcale z pokoju. I to wiem, że jeszcze nie wróciła... I nie wiadomo, czy w ogóle wróci.

— Czy pani ją zna? — zapytał, gdyż wydało mu się, że kobietę w szlafroku z rudą modelką łączą jakieś tajemnicze stosunki.

— Ale skąd, drogi panie. Gdzieżby taką...

— Więc skąd pani przypuszcza, że nie wróci?

— Po co miałyby wrócić, he, he, he... Do tego studencika, co codziennie pod oknami się włóczy? Przecież to golec. Spodnie, za przeproszeniem, połatane.

— Do jakiego studenta? — przerwał jej ostro. — O czym pani w ogóle mówi?

— No właśnie — zamrugwała bezrzęsymi powiekami. — Nic pan nie wie, a chce pan uciekać. Czy wszyscy dziennikarze tacy niecierpliwi? — Chwyciła go za rękaw i zmusiła do pozostania.

Redaktor spojrział na ciężkie kotary.

— Przepraszam, czy nie można by uchylić okna?

— Zabite gwoździami.

— Szkoda.

— Duszno panu?

— Trochę.

— To może pan się napije herbatki?

— Dziękuję, muszę zaraz odejść.

Kobieta w szlafroku podeszła do stolika. Położyła pulchną dłoń na rozłożonych kartach.

— Właśnie przed chwilą układałam pasjansa i wyszło, że nie wróci.

— Kto?

— Zulejka. Po co miałyby wracać, kiedy wyjechała z dyplomata.

— Tak pani wyszło w pasjansie?

— Nie. Widziałam, jak po nią zajechał limuzyną. Mówię panu, wspaniała limuzyna. Seledynowa... Dziwię się tylko temu...

— Komu?

— Temu dyplomacie, że chciał taką zabrać. A może ona była szpiegiem?

— Szpiegiem?! — wyszeptał zdumiony dziennikarz, lecz



gdy tylko spojrzął na kobietę w szlafroku i na jej otoczenie, natychmiast ochłonął. Pomyślał, że w tym pokoju wszystko zakrawa na kpinę lub groteskę. — Pewno tak z pasjansa wynika — dorzucił szybko drwiącym tonem.

Kobieta zmrużyła paciorkowate oczka.

— Nie wierzy pan, że limuzyną po nią przyjechał? Może pan nie wierzy, że ten student pod bramą się kręci? A kto wczoraj list zostawił?

Patrzył na tę Pytię w chińskim szlafroku i ogarniało go coraz większe zdumienie. Skąd ta baba wie o wszystkim? Czyżby ją śledziła? Z listem zgadzało się. Może limuzyna i student też są w sferze rzeczywistości? Zapytał więc obojętnie:

— Widziała pani list zatknięty w drzwiach.

— Nie — zaprzeczyła gwałtownie. — Przecież mówiłam panu, że nie wychodzę z pokoju. Widziałam, jak ten student pisał na kolanie jakiś list, a potem wchodził na piąte piętro. Z okna można zobaczyć wiele ciekawych rzeczy.

Redaktor jeszcze szerzej otworzył oczy.

— A skąd pani wie, że to student?

— He, he, he... a skąd ja wiedziałam, że pan jest redaktorem — łypnęła okrągłym oczkiem i niemal z pogardą spojrzała na Napieralskiego. — Ja wszystko wiem. Niech pan częściej do mnie zagląda, to dowie się pan rozmaitych ciekawych rzeczy. Teraz pan pewno jakiś artykuł do gazety szykuje.

— Nie — zaprzeczył może zbyt gwałtownie. — Chciałem tylko pomóc tej nieszczęśliwej kobiecie.

— Matce, co? — podchwyciła bystro. — Nieszczęśliwa, to fakt, ale też głupia. Przychodzi do niej sprzątać, jakby jej nie było stać na sprzątaczkę. A ta nawet się nie chce do niej przyznać. Słyszałam, jak kiedyś mówiła do dozorczy: „Proszę pana, jak przyjdzie ta kobieta, co u mnie sprząta, to proszę jej powiedzieć, że wyjechałam na tydzień do Poznania.” Ciekawe, co? Pojechała do Poznania wystawiać się. Ciekawe, ile jej za to zapłacili?

— To jej zawód — zauważył nerwowo. — Jeżeli pani jest

tak dobrze poinformowana, to pani wie, że pracuje w „Tip-Top” jako modelka.

— Od pół roku — uśmiechnęła się złośliwie — a przedtem to z czego żyła?

Dziennikarz wzruszył ramionami.

— A kto jej to mieszkanie kupił? Osiemdziesiąt kawałków wybulił i jeszcze łazienkę kazał budować. Hrabina z Targówka.

„Teraz przemawia przez nią zwykła babska zazdrość“ — pomyślał i zakpił: — No cóż, młoda, ładna, szykowna dziewczyna. Łazienka jej się należała.

— A na Targówku w jednej miednicy z całą rodziną się myła i dobrze było.

— Widocznie znudziła jej się wspólna miednica.

— Oczywiście, że wygodniejszy porządek bidet — rzuciła z przekąsem. — Dziwię się tylko, że tyle naiwnych żyje na tym bożym świecie. Ten, co jej kupił to mieszkanie, też poszedł w odstawkę. Jakiś gość z grubszą forszą. Ale co mu z tego. Sprytna, mieszkanie kazała zapisać na siebie i siebie zameldowała. Mówię panu, panie redaktorze, dzisiaj tylko takie mogą żyć na świecie.

Dziennikarz z uznaniem pokręcił głową.

— Muszę przyznać, że informacje ma pani znakomite.

— Chociaż nie wychodzę z mieszkania.

— To z pani prawdziwy geniusz.

— Geniuszem to ja nie jestem — uśmiechnęła się przymilnie — ale wie pan, to dziwne, wszystko mnie interesuje. A zresztą ludzie... Ludzie to jak telefon bez drutu. Człowiek nie chce, a i tak o wszystkim się dowie.

Biały kocur znowu otarł się o nogi gościa. Miauknął przeraźliwie, domagając się, by go pogłaskano. Redaktor wstał.

— Niech mi pani powie, dlaczego mnie pani zawołała?

Biała, obrzękła twarz stężała. Była teraz uderzająco podobna do maski zamyślnego kłowna.

— Myślałam, że pan chce się czegoś dowiedzieć o tej z piątego piętra. To się przecież samo prosi, żeby ją

obsmarować w „Wieczorze“.

— Aha — uśmiechnął się kpiąco. — Niestety nie mam zamiaru napisać o niej ani słowa.

— Szkoda. Taka ciekawa historia.

„Historia zaczyna być interesująca — pomyślał. — Jeżeli wszystko to, co mówi ta Pytia, zgadza się z prawdą, można by przypuszczać, że to rzeczywiście złotodajna żyła dla reportera.“ Chcąc jeszcze raz sprawdzić, czy kobieta w chińskim szlafroku nie kłamie, zapytał ostro: — Kiedy przyjechał po nią ten człowiek z limuzyną?

— We wtorek, w ubiegły wtorek — rzuciła szybko.

— Jest pani pewna, że była to limuzyna zagraniczna?

— Ja się na tym znam. Miała zagraniczny numer. Zresztą, kto u nas takimi limuzynami jeździ?

— A ten student?... Czy on tu często przychodził?

— Czasem czekał na nią na ulicy, ale na górę go nie wpuszczała.

— Kogo więc wpuszczała?

— Najpierw oczywiście tego, co jej to mieszkanie kupił...

— A potem? — przynaglał ją jak na przesłuchaniu.

— Raz widziałam jakiegoś firecyka. Przystojny chłopak, ale jakiś taki zmanierowany. Zresztą nie zabawił długo, zaraz wyszedł. Ona sprytna i widać, że się szanuje. Teraz to już niżej dyplomacji nie zaczyna.

— Awans — mruknął jakby do siebie redaktor.

— Albo szpiegostwo — szepnęła.

Napieralski roześmiał się.

— Pani od razu takie przypuszczenia.

— Bo dzisiaj to nic nie wiadomo.

Napieralski wyciągnął paczkę „Giewontów“, podsunął kobiecie.

— Dziękuję, ale nie palę. Dbam o to, żeby powietrze było świeże w mieszkaniu.

Sam zapalił. Z przyjemnością zaciągnął się dymem.

Gorzka woń papierosa przyćmiła na chwilę odór kocich wydzielin.

— Przepraszam — powiedział patrząc na drzwi — muszę

już uciekać.

— Nie popije pan nawet herbatki? — zapytała z odcieniem żalu.

— Dziękuję. Może kiedy indziej.

— Niech pan przyjdzie rano. Zobaczy pan, że ten studencik od świtu będzie wystawał pod bramą. On musi być zakochany w niej po uszy.

— Szkoda chłopca.

— Więc wpadnie pan rano?

— Zobaczymy.

— Może pan przyjść, jestem zawsze w domu.

Redaktor skłonił się z powściągliwą grzecznością.

Pytia w szlafroku wyciągnęła swą pulchną dłoń.

— Jestem Walentyna Schnaps, wdowa po radcy ministerialnym.

— Napieralski — wyszeptał swe nazwisko. — Dziękuję za informacje.

— A jeśli pan pisze do gazet — zatrzymała go w progu — to niech pan napisze, żeby w naszej kamienicy klatkę schodową wyremontowali, bo można sobie nogi połamać. Od zewnątrz to tynkują, a w środku, pozał się Boże. Nie wyleczyli się jeszcze z tej fasadowości.

Z niewymowną ulgą wyszedł na klatkę schodową. Głęboko wciągał świeże powietrze. Myślał, że sprawa zaginięcia modelki z „Tip-Top” zaczyna być bardzo interesująca.

### III

Z restauracji „Pod Arkadami” zatelefonował do Radia. Grzebnieckiego jednak nie zastał. Postanowił więc, że złapie go z samego rana i wtedy przekaze mu komunikat o zniknięciu modelki. Połączył się jeszcze z nocną redakcją „Wieczoru”. Zapytał, czy nie ma dla niego jakiejś wiadomości lub zlecenia. Dyżurny redaktor zbył go żartem:

— Jeżeli chcesz, to mogę zamówić pożar z wyskakiwaniem przez okno, żebyś miał o czym pisać.

Ubawiony odwiesił słuchawkę. Poszedł coś przekąsić do pobliskiego „Rarytasu“. U wejścia przywitał go portier. Był to wysoki, barczysty dryblas z siwymi wąsiskami. Zanim trafił do „Rarytasu“, spełniał funkcję wykidajły w licznych nocnych lokalach. Znany był z atletycznej siły i wielkiej zręczności. Upartego awanturnika potrafił wynieść z lokalu jak dziecko.

— Moje uszanowa... panie redaktorze — zawołał rozkładając ręce gestem radosnego zdziwienia. — Co się z panem dzieje? Dawno już moje oczy nie widziały pana redaktora.

— Zdzieracie skórę i chcecie, żebym do was przychodził — zażartował Napieralski.

— Dla szanownej prasy to i tak za tanio — odciął portier mrużąc oko. — Co się stało, że pan redaktor samotny? Zawsze z przyzwoitą damską obstawą, a dzisiaj jak sierota.

— Brak rodzinnych apanaży — zaśmiał się dziennikarz. W tej samej chwili pomyślał, że portier na pewno znał rudą modelkę. Schwycił go za srebrny guzik i pociągnął w głąb hallu.

— Panie Romanie — zaczął przyciszonym głosem — pan znał tę rudą modelkę z „Tip-Top“?

— Zulejkę?... — uśmiechnął się porozumiewawczo. — Oczywiście. Pamiętam, jak do „Kamery” z takimi facetami z „Baru Owocowego” przychodziła. Zna pan może „Aksamitnego Rysia“?

— Nie, nie znam.

— Jakżeby nie! Tego, co go „Karioka“ nazywają.

— Takiego ładnego brunecika, którego ze starszymi paniami w lokalach można widywać?

— O właśnie, z tym do „Kamery“ przychodziła i jeszcze z jednym, z „Robakiem“.

— Tego to nie znam.

— Głupstwo. Oni często razem. To spółka.

— Czy ostatnio pan ją widywał?

— Zulejkę?

— Tak.

— Oczywiście, panie redaktorze. Była u nas kilka razy z jakimś zagranicznym facetem. Takim suchym, na pół jeża zrobionym.

— Co to był za facet?

— Tego to ja nie wiem. Z kelnerami po niemiecku gadał i z forszą się nie liczył. Raz za otwarcie drzwi stówkę mi wepchnął. Lepszy zagraniczny gość.

— Czy przyjeżdżał seledynową limuzyną?

— Zgadza się, panie redaktorze.

„Moja Pytia mówiła prawdę“ — pomyślał Napieralski. Potem zapytał: — Kiedy był tu ostatni raz?

Portier zamyślił się. Z roztargnieniem tarł czoło.

— Zaraz, zaraz, niech ja sobie przypomnę. Dokładnie to ja panu nie powiem, ale w ostatnim tygodniu to ich nie było.

— A może on sam przychodził.

— Nie. Zawsze razem.

— Samochód jakiej był marki, nie zauważył pan?

— Fantastyczna limuzyna, ale jakiej marki?...

— A tego „Aksamitnego“...

— Rysia?

— ...Rysia gdzie można spotkać?

— On najczęściej przesiaduje w „Owocowym“ albo w „Bristolu“, na dole w kawiarni.

— Kto to taki?

Portier przymrużył oko, nachylił się do ucha redaktora.

— Alfons, panie redaktorze, „wdechowiec“, a spryciarz nie z tej ziemi. — Naraz spowaźniał i baczniej przyjrzał się dziennikarzowi. — Czy pan redaktor ma do niego jakąś melodię?

— Nie...

— Radziłbym z nim nie zaczynać. Niebezpieczny. Może dokuczyć. I w ogóle, niech mi pan powie, dlaczego pana interesuje ta ruda Zulejka?

— Głupstwo, sprawy zawodowe — zbył lekceważąco pytanie. — Mam do pana prośbę. Gdyby pan przypadkowo zobaczył tego zagranicznego faceta, który z nią przychodził, niech pan zatelefonuje do redakcji. Odwdzięczę

się.

— Dla pana wszystko, panie redaktorze — skłonił się, mrugnął porozumiewawczo. — Reportażyk o nocnym życiu Warszawy, co? Pan to umie o tych pikantnych kawałkach pisać. O tych metalowcach było pierwsza klasa. Tylko jeżeli rozrobi pan wszystkich „spółdzielców”, to kto będzie do nas przychodził?

— Nie ma obawy, znajdą się „rzemieślnicy“. Pan ma szczęście, do pana jak po cytryny.

Stary portier skłonił się jeszcze niżej.

— Robi się, co się da, panie redaktorze. A jeśli chodzi o tę Zulejkę, to dziewczyna pierwsza klasa. Robi karierę, szkoda gadać.

\*

Miał już płacić, gdy w wejściu zobaczył znajomą sylwetkę Miry Paczewskiej, kierowniczką Domu Mody „Tip-Top“.

„Jak to się dzisiaj dobrze składa — pomyślał przyglądając się jej towarzystwu, które w tej chwili zajmowało stolik. — Warto będzie zahaczyć ją w sprawie Zulejki.“

Paczewską poznał kiedyś na imieninach u redaktora naczelnego „Wieczoru“, Ochniewskiego. Siedzieli wtedy obok siebie. Była to kobieta z tak zwanych przedwojennych dobrych sfer. Po wojnie, z braku innego zajęcia, założyła zakład krawiecki dla pań z lepszego towarzystwa, a kiedy przemysł konfekcyjny zaczął poszukiwać kogoś do projektowania modeli na pokazy zagraniczne, została zaangażowana jako kierowniczka Domu Mody „Tip-Top“. Z przyjęcia u Ochniewskich Mira Paczewska pozostawiła wrażenie nieszkodliwej snobki. Początkowo była nieco wyniosła, lecz pod wpływem dobrze dobranych napojów pozbyła się tej pozy. Pod koniec wieczoru, gdy znaleźli się w klubie „Spatifu“, potrafiła być uroczą partnerką zabawy i mimo swych czterdziestu iluś tam lat na tyle zalotną, że zadzierzgnęła z młodym dziennikarzem chwilowy flirt, lekki i nic nie znaczący, jak cały ten wieczór.

Gdy towarzystwo usadowiło się przy stoliku, a panie zniknęły na chwilę, by doprowadzić do perfekcji stan swych najmodniejszych fryzur i kunsztownych makijaży, Napieralski wstał od stolika i przeszedł do hallu. Czekał na powracającą na salę Paczewską. Kiedy ukazała się w hallu, udał wielkie zaskoczenie.

- Jakże miło ujrzeć najelegantszą kobietę Warszawy! - witał ją z młodzieńczym zapałem. — Jest pani najlepszą reklamą „Tip-Top“. — Wprawdzie do tej pory nie zwrócił nawet uwagi na jej cocktailową suknię z francuskiego jedwabiu, ale na tyle znał kobiety, by w ten nieskomplikowany sposób zjednać sobie chociaż chwilowo elegancką kierowniczkę.

— Panie Staszku — przywitała się rzucając mu uśmiech pełen powściągliwej wdzięczności — czy pan zawsze taki szarmancki?

— Staram się, pani Miro, ale udaje mi się tylko wobec kobiet, które robią na mnie takie wrażenie, jak w tej chwili pani.

Ukośne spojrzenie posłała w stronę lustra, w którym zarysowało się odbicie jej smukłej, zgrabnej sylwetki. Połechtana męskim pochlebstwem, przybrała pozę damy na dyplomatycznym przyjęciu.

— Pan jeszcze w Warszawie? Kiedy pan wyjeżdża na urlop?

— W sierpniu, gdy mi nic nie przeszkodzi. A pani, jeśli można wiedzieć?

— Właśnie wybieram się do Sopotu. Mamy tam pokaz. Zostaję potem na kilka dni.

Napieralski spostrzegł, że nadszedł odpowiedni moment.

— A propos pokaz — podjął — przypomniałem sobie właśnie, że dzisiaj pytała mnie pewna kobieta o modelkę, która pracuje u pani...

Paczewska zmarszczyła lekko brwi.

— Ciekawe o kogo?

— O Michalczykównę.

— Ach tak... — zająknęła się. Potem dodała pośpiesznie,



jakby chciała się w tej chwili uwolnić od jakiejś myśli. — Ona już u nas nie pracuje.

— Od kiedy? — zapytał natrętnie.

Uśmiechnęła się kącikami starannie uszminekowanych warg.

— Czy to pana tak bardzo interesuje?

— Wie pani, że szczególnie — powiedział z wrodzoną przekorą.

— Ach, to dłuższa historia.

— I zapewne ciekawa — dodał z tym swoim nieco łobuzerskim uśmiechem.

Paczewska przesunęła lekko dłonią po krótko przystrzyżonych włosach. Muskała je delikatnie palcami.

— Czy ja wiem — powiedziała przeciągle.

Zdawało mu się, że nie ma ona ochoty na rozmowę o swej modelce.

— Może pani liczyć na moją dyskrecję — podjął szybko.

Uśmiechnęła się jakoś dziwnie.

— Czy widział pan kiedyś dyskretnego dziennikarza?

— Owszem, w lustrze, gdy się golę — zażartował.

— Pan zawsze taki dowcipny — rzuciła z przekąsem. Potem dodała szybko: — Ta ruda Zula po prostu nie przysłała do pracy. Musieliśmy zaangażować inną...

— O, właśnie — powiedział nieco za gorliwie — chciałem zapytać, czy pani wie coś o tym zniknięciu.

— No cóż — odparła z namysłem — mamy kilkanaście modelek. Nie mam czasu zajmować się każdą. Jeżeli chodzi o tę rudą Zulę, to jednak muszę przyznać, że była interesująca. Zwracała uwagę mężczyzn, a to ważne w jej zawodzie.

— Od dawna pracowała u pani?

— Jeżeli się nie mylę, od pół roku.

— I jak wywiązywała się ze swych obowiązków?

— Zupełnie dobrze. To nieprzeciętnie zdolna dziewczyna. Warunki miała doskonałe. Zgrabna, szczupła, wysoka, o oryginalnej urodzie. Nie miałam z nią kłopotu. W mig pojęła, na czym polega jej praca. Poruszała się z taką

swobodą i z takim wdziękiem jak najlepsze paryskie modelki. I jeżeli dodać, że podobała się publiczności, a zwłaszcza panom, to... sam pan rozumie, nie mieliśmy z nią kłopotu. Tylko... — urwała nagle, spojrzała na dziennikarza i uczyniła jakiś nieokreślony ruch dłonią. — To pana chyba nie będzie interesować.

— Jeżeli chodzi o nią, to interesuje mnie wszystko — powiedział z emfazą.

— Była trochę dziwna...

— Co pani przez to rozumie?

— Jakby to określić... Bardzo nierówna, stroniła od ludzi. Mało mówiła, a jednak odnosiłam takie wrażenie, że stała jest w napięciu. Pomimo tego była doskonałą modelką. Może widział pan jej zdjęcia w ostatnim „Przekroju”?

— Ze skruczą przyznaję się, że nie. Do tej pory mało zwracałem uwagi na modę, ale w tym wypadku nie omieszkam zajrzeć do „Przekroju”. Mnie raczej interesuje jej styl życia niż modele, jakie lansowała.

— Styl życia?... — Paczewska uniosła lekko łuki brwi. — Na ten temat niewiele mogę panu powiedzieć.

— Przepraszam panią, że zanudzam tymi pytaniami. Niech mi pani wierzy, wołałbym porozmawiać o czymś innym. I tak zbyt długo zatrzymuję panią.

— Nie szkodzi. Pan jest trochę sensat. Lubię sensatów. Zresztą bardzo przyjemnie wspominam wieczór u Ochniewskich.

— Ja również — skłonił się szarmancko. — I jeszcze tylko jedno pytanie: kto pani polecił tę rudą Zulę?

— Mecenas Szajewski — odparła bez namysłu. — Zna go pan zapewne. Często przychodzi do Filharmonii. Znakomity brydżysta.

— Tak. Słyszałem o nim — skłamał notując w pamięci nazwisko mecenasa.

— A propos, pan zapewne grywa w brydża?

— Marzę, żeby z panią zagrać.

— Poproszę pana kiedyś do siebie.

— Będę pani niezwykle wdzięczny.

— Tylko, mam nadzieję, nie będzie mnie pan wypytywał jak na przesłuchaniu.

— Do tej pory sprawa tajemniczego zniknięcia modelki będzie już prawdopodobnie wyjaśniona — odrzekł wesoło.

— Prawdopodobnie... A więc niech pan czeka na mój telefon. Po powrocie z Sopotu zadzwonię do redakcji.

Patrzył za odchodzącą. Szła lekkim krokiem kołysząc się w biodrach, gładko opiętych lśniącem jedwabiem. Każdy jej ruch był obliczony na efekt. Lekkie przechylenie głowy, przegięcie ręki w łokciu, sprężysty, a jednocześnie niedbale powolny krok zwracały na siebie uwagę. Nic więc dziwnego, że oczy siedzących przy stolikach mężczyzn odprowadzały ją z błyskiem podziwu. Gdy zbliżyła się do swego stolika, obejrzała się i posłała Napieralskiemu pożegnalny uśmiech. Redaktor skłonił się z daleka, a gdy usiadła, pomyślał, że z nią warto by nie tylko zagrać w brydża.

#### IV

Przed wejściem do „Kaskady” tłoczył się pijany tłumek żądny zabawy. Jakiś facet z rozwianym włosom, w rozchełstanej koszuli, uniósłszy ręce do góry jak prorok, wołał zachrypłym głosem:

— Wpuść pan, do jasnej cholery, tam moje towarzystwo! Wpuść pan, bo szklarza będziecie musieli zawołać! — Uczepił się klamki i szarpał ją z desperackim uporem.

Spoza welwetowej zasłony wychylił głowę cerber tego przybytku. Wymownym gestem pokazał na czoło.

— Stuknij się pan w głowę! — zawołał przez drzwi. — Nie widzisz, że miejsc nie ma.

Ondulowana dziewczyna z dekoltem do pasa odciągnęła natręta.

— Daj spokój, Wacuś, nie robią ci łaski.

— Odwal się — ofuknęła ją. — Franek miał na nas czekać. Franek dziś stawia. Frajerem bym był, żebym przepuścił okazję.

Ktoś z tłumu zawołał:

— Uspokój się, gzymsie, bo nikogo nie wpuszczą.

— Franek dziś stawia!... — powtórzył tamten z pijackim uporem.

Jakaś korpulentna niewiasta z bukietem lewkonii w dłoni zauważyła nerwowo:

— Do chrzanu z takim interesem. Wszędzie trudności lokalowe.

— To idź pani do Parku Kultury — zaśmiał się młodzieniec w „teksasach“ i kraciastej koszuli. — Tam ławki za darmo.

— Arogant! — zapiszczała i zwróciła się do swego towarzysza, który, chwiejąc się na nogach, szukał na jej ramieniu solidniejszego punktu oparcia. — Heniu, ty na to pozwolisz?

— Że co proszę? — ocknął się towarzysz korpulentnej niewiasty i jeszcze mocniej oparł się o podtrzymujące go ramię.

— Do izby wytrzeźwień nieboszczyka — zaśmiał się młodzieniec w „teksasach“.

Redaktor Napieralski przepchnął się przez oblegający wejście tłumek i zastukał mocno w okratowaną szybę.

— Nie puszczać tego flima! — zaryczał jakiś głos.

Napieralski uśmiechnął się przyjaźnie do otaczających go ludzi.

— Ja tu urzędowo — powiedział tonem informującym.

— A my to co? — odezwał się młodzieniec w „teksasach“.

Redaktor jeszcze raz zastukał. Za szybą ukazała się obojętna na wszystko, zrezygnowana maska portiera. Na widok redaktora cerber bezradnym gestem rozłożył ręce.

— Panie Wiktorze — zawołał Napieralski — ja do kierownika.

Ten zropaczonym wzrokiem wskazał na ciżbę pijanych.

— Nie da rady, panie redaktorze.

Napieralski chwycił energicznie za klamkę.

— Ważna sprawa.

Po chwili Wiktor przekręcił klucz i uchylił drzwi.

Redaktor wśliznął się w szczelinę. Za nim, jak żywy taran, wepchnął się pijany facet w rozchełstanej koszuli. Portier przepuścił redaktora i wprawnym ruchem odepchnął pijaka. Napieralski schował się za kotarę. Za sobą słyszał wiązanek warszawskich przekleństw i ryk zawiedzionego.

— Jak pragnę zdrowia, Franek na nas czeka.

— Ciężka praca — westchnął portier. Wyciągnął z kieszeni chustkę i szybko otarł spocone czoło.

— Macie ruch — rzucił Napieralski.

— Niech szlag trafi — zaklął portier. — Odkąd zamknęli „Polonię“, można zwariować. — Spojrzał ze zdziwieniem na dziennikarza i dorzucił z westchnieniem: — A pan redaktor znowu nas opisze.

— Nie ma obawy — zaprzeczył dziennikarz. — Dzisiaj jestem tutaj prywatnie.

— Pan tak zawsze mówi, a potem w „Wieczorku” czyta się rozmaite kawałki.

Dziennikarz położył mu dłoń na ramieniu.

— Mam do pana pewną sprawę.

— Słucham, panie redaktorze — wyprostował się. Widać było, że czuje respekt przed dziennikarzem.

— Czy zna pan pewną „polonistkę“, która nazywa się Stefania Karolakówna?

— Po nazwisku to ja ich nie znam, panie redaktorze. One mają rozmaite pseudonimy: „Szprotka“, „Żyletka“, „Rumba“ i temu podobne. A jak ona wygląda?

Napieralski stanął strapiiony.

— Gdybym wiedział, nie pytałbym pana.

— Niech pan zasięgnie informacji u kelnerów, oni lepiej się orientują.

— Szkoda — powiedział jakby do siebie. Skinieniem głowy pożegnał portiera. Zszedł po schodach do dansingowej sali. Miał takie wrażenie, jak gdyby schodził na dno zasnutej dymem, marmurowej jaskini. Sala tonęła w półmroku. Pod błękitnym stożkiem bijących z reflektorów światła tłoczyła się w konwulsyjnych drgawkach masa tańczących. Z daleka wyglądała jak apokaliptyczne kłębowisko.

Orkiestra grała rock and rolla. Dziki, monotony rytm muzyki magiczną siłą poruszał ciżbę, wprawiał w ruch spletaną masę ciał jak prąd elektryczny zwoje plazmy.

Napieralski okrążył zatłoczony parkiet, skierował się do baru. Na tle połyskujących rzędów butelek zobaczył jasną, utlenioną fryzurę tęgiej barmanki, którą dobrze znał jeszcze z „Paradisu“. Jej nalana, szeroka twarz lśniła z daleka jak tarcza księżycy w pełni.

Usiadł przy barze.

— Pan redaktor u nas? — zdziwiła się barmanka. — Czym mogę służyć?

— Poproszę dużą kawę i kieliszek brandy.

— Poznać od razu lepszego gościa — zażartowała nalewając do kieliszka. — Nasza klientela chleje tylko czyściochę. — Spojrzała z zawodową dociekliwością. — Pan sam, redaktorze?

— Sam.

— To dziwne. Do „Paradisu“ przychodził pan zawsze z ładnymi dziewczętami.

Skrzywił się.

— No tak — wtrąciła — z ładnymi dziewczętami chodzi się teraz do „Krokodyla“ albo do „Bristolu“ — i nachyliwszy się szepnęła: — Tutaj sama hołota i chuliganeria.

— Ciekawe, co? — zagadnął.

— Jak dla kogo. Dla pana tak. Znowu pan coś napisze w „Wieczorze“. Ale dla mnie? Znudziło mi się to ciągle użeranie z pijakami.

— A mnie ten lokal zaczyna interesować — powiedział. Chwilę w milczeniu mieszał cukier w podanej kawie. — Czy pani zna te dziewczęta, które przeniosły się do was z „Polonii“? — zapytał.

— Pełno ich tutaj, trudno rozeznąć.

— Chodzi mi zwłaszcza o jedną. Nazywa się Stefania Karolakówna.

— Może pan chce przeprowadzić z nią wywiad — zażartowała.

— Zgadła pani, coś takiego.

— I znowu pan nas obsmaruje. Siedlisko rozpusty, spelunka stręczycieli itp...

Wzruszył ramionami.

— Trudno, to mój zawód i obowiązek. A więc nie zna pani tej dziewczyny.

— Nie jestem mamą „polonistek“ — roześmiała się głośno i odeszła od Napieralskiego do nowych klientów, którzy wzywali ją z przeciwnej strony baru.

Napieralski wypił brandy. Spojrzał na zegarek. Dochodziła pierwsza. Pomyślał, że na próżno traci czas na poszukiwanie jakiejś tam prostytutki. O tej porze mógł spać spokojnie w domu, a tymczasem tkwi w tym piekielnym tyglu warszawskiego półświatka.

Spojrzał na salę. Pusty parkiet połyskiwał jak lustro wśród otaczających go stolików. Orkiestra nie grała. W tłumie kręciły się białe kitle kelnerów. Pobrzękiwało szkło. Huczały wentylatory. Napieralski spostrzegł przechodzącego obok baru tęgiego kelnera. Znał go z kilku nocnych lokali jako wesołego i dowcipnego pana Mięcia, z którym zawsze można było przyjemnie pogawędzić. Pan Miecio szedł drobnym kroczeniem, balansując pełną pustego szkła tacą. Redaktor skinął nań ręką.

— Czołem, panie Mięciu! — zawołał przyjaźnie.

Zafrasowana twarz kelnera rozjaśniła się na jego widok.

— Moje szanowanie, panie redaktorze.

— Od dawna pan tu pracuje? — zapytał podchodząc do kelnera.

— Już chyba z pół roku, panie redaktorze — odrzekł kładąc tacę na służbowym stoliku. — Upał, cholera! — zaklął wycierając twarz.

— Panie Mięciu, czy pan nie zna przypadkiem dziewczyny, która się nazywa Stefcia Karolakówna?

— Może Stenia, panie redaktorze?

— A może Stenia, to przecież „wsio rawno”.

— Jest tu jedna Stenia z „Polonii“, taka ze złotym zębem.

— Z „Polonii“? Dobrze się składa. Gdzie ją pan ma?

Kelner rozejrzał się.

— O tam — pokazał ruchem głowy — pod lustrem. Ta w tej seledynowej sukience. — Przymrużył lekko oko i rzucił z porozumiewawczym uśmiechem: — Poluje pan na nią, panie redaktorze?

— Ja?... Ano tak — roześmiał się Napieralski kwitując żart żartem.

— Na temacik?

— Zobaczymy, co z tego wyniknie.

— Niezły temacik do sensacyjnego reportażu. — Naraz ściszył głos i dodał intymnym szeptem: — Tylko niech pan uważa. Ona obstawiona. Widzi pan tego bladego faceta z krótko ostrzyżoną czaszką? To „Blady Wiktor“. Niedawno wypuścili go z ula. On nie lubi reklamy w prasie. — Porwał ze stolika tacę i posyłając dziennikarzowi przyjemny uśmiech oddalił się tym swoim szybkim, posuwistym kroczkiem, charakterystycznym dla doświadczonych kelnerów.

Napieralski obserwował wskazany przez kelnera stół. Dziewczyna w seledynowej sukni była chuda, zniszczona. Jaskrawo uszmkowane wargi i uczernione łuki brwi podkreślały jeszcze bardziej suchotniczą bladość kościstej, pospolitej twarzy. Obok niej siedział mężczyzna w nieokreślonym wieku. Na pierwszy rzut oka robił odrażające wrażenie. Twarz miał bladą, poźółkłą jak wosk, rysy ostre, wargi mocno zaciśnięte i wąskie jak dwa pasemka siwej skóry, głowę kanciastą, z krótko ostrzyżonymi włosami. Ubrany elegancko, według najnowszej mody warszawskiego półświatka: przesadnie wysoki kołnierzyk, przesadnie wąski krawat w poprzeczne paski, przesadnie ścięte ramiona marynarki z granatowego tenisu w białe paski. Bystre oko dziennikarza jednym spojrzeniem uchwyciło te wszystkie szczegóły. „Takie typy spotyka się najczęściej w «Oazie» na Targowej, w «Cedecie» albo właśnie tu w «Kaskadzie»“ — pomyślał i z wrodzoną uwagą ciekawego i spostrzegawczego człowieka jął taksować resztę towarzystwa. Było nieciekawe. Dwóch



typowych „wdechowców“ ubranych podobnie jak „Blady Wiktor“, tylko pospolitych i niczym się nie wyróżniających, jakaś młoda dziewczyna w taniej kretonowej sukience, wydekoltowana po sutki swych sprężystych, sterczących piersi i obwieszona sztuczną biżuterią jak obraz w prowincjonalnym kościele dewocjonaliami, i jakiś starszy gość zalany „na wariata“, wymachujący swymi łapskami jak chorągiewkami sygnalizacyjnymi. Wszyscy byli już dobrze podlani. Widać, że typowy warszawski „ubaw“ toczył się właściwym torem.

Za chwilę orkiestra zaczęła grać. Tafla parkietu zapełniła się w jednej chwili. Tańczący zasłonili stolik. Gdy redaktor zobaczył przemykającego obok pana Mięcia, zatrzymał go.

— Czy mógłby mi pan przystawić mały stolik do tamtych — pokazał ruchem głowy.

— Chwileczkę, panie redaktorze — odparł uprzejmie. — Zaraz się zrobi. Niech pan chwilę poczeka, bo tłok.

Gdy po kilku minutach pan Miecio zaprowadził Napieralskiego na miejsce, od sąsiedniego stolika dwie pary już tańczyły, a tylko „Blady Wiktor“ ze starszym facetem siedzieli w milczeniu, tępo wpatrzeni w przesuwającą się przed nimi cizbę tańczących. „Blady Wiktor“ na widok tak niecodziennie honorowanego gościa wlepił weń swe małe, ostre jak u tchórza oczy. Redaktor doznał dziwnego uczucia, jak gdyby patrzyła nań martwa, nieruchoma maska, ożywiona jedynie niespokojnymi ognikami źrenic. Udał, że nie zwraca uwagi, zapalił papierosa i wśród rozkołysanej cizby szukał seledynowej sukienki.

„Czy to ona? — zapytywał siebie. — Jeżeli tak, to mam wyjątkowe szczęście. Odnaleźć ją w pierwszy wieczór to nie byle jaki sukces“. Zastanawiał się, jak ją zaczepić. Po kilkunastu latach pracy reporterskiej potrafił być niezwykle opanowany i cierpliwy. Wiedział, że wnet nadarzy się okazja.

Z otaczających go stolików zaczęły strzelać ku niemu ciekawe spojrzenia, zwłaszcza dziewcząt, które widziały w samotnym mężczyźnie ponętny obiekt. Bawiła go ta

groteskowa sytuacja.

Orkiestra umilkła. Seledynowa sukienka, wydekoltowany kociak i dwóch wdechowców wrócili do stolika. „Błady Wiktor” trącił łokciem jednego z wdechowców i dyskretnym ruchem głowy wskazał na dziennikarza. Widocznie już się nim zainteresowali i szeptem pytali, co to za jeden?

Postanowił zabawić się ich kosztem. Zaczął w naiwny sposób kokietować dziewczynę w seledynowej sukni. Kilka wyzywających spojrzeń, lekkie zmrużenie oka, jakiś nic nie znaczący, a prowokujący gest ręką i wnet blada, zmęczona twarz dziewczyny ożywiła się jak pod wpływem podniecającego zastrzyku. Mężczyźni niemal obojętnie śledzili tę banalną grę. „Błady Wiktor” czasem tylko kąciakiem oczu drasnął Napieralskiego, jak gdyby chciał sprawdzić, czy nie wymknął mu się z pola widzenia. Co chwila nalewał starszemu facetowi wódki z miną tak obojętną, jak gdyby był pewien, że tamten z góry zapłacił cały rachunek.

Dziewczyna w seledynowej sukni posyłała Napieralskiemu powłóczyście, dobrze wystudiowane spojrzenia.

Nerwowymi ruchami dłoni poprawiała rzadkie, krótko przycięte włosy.

„Jest przekonana, że złapała dobrego gościa“ — pomyślał Napieralski.

Po chwili wstała, zabrała swój lichey plastikowy woreczek, skierowała się do wyjścia. Przechodząc obok Napieralskiego mrugnęła porozumiewawczo i lekkim ruchem głowy dała mu znak, by wyszedł za nią.

— Za chwilę — szepnął.

Patrzył teraz na „Błatego Wiktora“. Przypomniał sobie ostrzeżenie kelnera. Woskowa maska człowieka w granatowym garniturze była nieruchoma, zimna, odrażająca. Małe, przenikliwe oczy czujnego zwierzęcia sunęły wolno za oddalającą się dziewczyną. W tym spojrzeniu było coś niepokojącego, groźnego. Napieralskiego ogarnął na moment lęk. Doznał takiego uczucia, jak gdyby był osaczony. Mimo to wstał i poszedł za seledynową sukienką.

Dziewczyna stała w hallu przed lustrem. Wywinąwszy dolną wargę, nakładała grubą warstwę szminki. Gdy ujrzała odbicie zbliżającego się dziennikarza, szybkim ruchem schowała szminkę, poprawiła włosy i nagle odwróciła się.

— Pójdziemy stąd? — powiedziała stłumionym głosem.

Propozycja była tak nagła i bezpośrednia, że zaskoczyła nawet doświadczonego reportera.

— Dokąd? — zapytał zaskoczony.

— A może pan chce najpierw zatańczyć? Mogę przysiąc się do pana stolika.

— A tamci? — pokazał ruchem głowy w kierunku sali.

— Niech pan będzie spokojny, to koledzy — zaśmiała się i w uśmiechu błysnęła złotym, źle wstawionym zębem.

— Ach tak... — udął zdziwienie.

— Pan nietutejszy, co? — zapytała przeglądając się w lustrze.

Zbył jej pytanie niecierpliwym gestem ręki. Ujął ją delikatnie za ramię.

— Słuchaj — powiedział niemal ostro — ty się nazywasz Stefcia Karolakówna.

Zbladła, szeroko otworzyła oczy i chwilę trwała w tym nieopanowanym zdziwieniu. Potem uśmiechnęła się ni to gorzko, ni kpiąco.

— A cóż to pana obchodzi?

— Znałaś rudą Zulejkę, prawda? — mocniej ścisnął jej ramię i spojrzał jej w oczy przynaglająco.

Odsunęła się gwałtownie.

— Cóż mnie pan tak wypytuje, czy pan kapuś, czy co?

— Nie bój się — powiedział łagodniej. — Szukam jej. Nic więcej.

— To pan źle trafił — wydeła niechętnie wargi. Jej blada twarz wyrażała nagle rozczarowanie.

— Gdzie ją można spotkać? — zapytał podstępnie.

— A bo ja wiem — wzruszyła ramionami. — Ona teraz wielka pani.

— Więc ty jesteś jej koleżanką? — podniósł znowu głos i jeszcze mocniej ścisnął jej ramię.

Zatrzepotała rzadkimi rzęsami.

— Byłam... — powiedziała przeciągle.

Puścił ją i uśmiechnął się pojednawczo.

— O to mi chodziło. Czego się bałaś?

Zaśmiała się suchym, gardłowym śmiechem.

— Myślałam, że pan z obyczajówki. Tak mnie pan nastraszył. — Przegięła się lekko w biodrach, zwróciła do lustra, sprawdziła swój wygląd i od nowa zaczęła swą zwykłą rolę.

— No co... pójdziemy?

— Pójdziemy — mruknął łobuzersko. Nie wyczuła ani kpiny, ani przedziwnej przekory ukrytej w tym jednym szybkim przymrużeniu oka. Była znowu lekko oszołomiona nagłą zmianą sytuacji, która budziła nowe, krótkotrwałe, obliczone na jedną noc nadzieje.

— To po co ta cała heca? — przyczesła przed lustrem włosy. — Dziwak z pana. A Zula — powiedziała jakby do swego odbicia — to wielka pani. Widziałam ją w „Przekroju“. Ta ma szczęście... — w głosie jej zabrzmiała nuta zawiści.

— Chodźmy — szepnął Napieralski. Nie chciał, by go ktoś zobaczył z dziewczyną.

— Ale się spieszy — zaśmiała się tym swoim gardłowym, zdartym już głosem.

W tym momencie Napieralski w przejściu do sali zobaczył „Błatego Wiktora“. Stał z rękami w kieszeniach. Oczy wlepił w Stenię. Jej twarz stężała na moment Skinęła tylko głową, jakby chciała powiedzieć: „w porządku“. „Błady Wiktor” nie zmrużył nawet oka. Odwrócił się i odszedł wolnym, że aż drażniącym, krokiem.

— To chodźmy — szepnęła.

Gdy wyszli, pusta ulica szarzała już w pierwszym brzasku.

\*

— Napijemy się kawy — powiedział Napieralski, gdy byli już w jego mieszkaniu. — A ty pewno jesteś głodna? —

zwrócił się do dziewczyny. — Zrobię ci kanapkę z salami. Niestety nie mam nic innego.

Dziewczyna stała na środku pokoju i zmęczonymi oczami wodziła po ścianach i przedmiotach. Była onieśmielona.

— Z pana dziwny facet. Inni z miejsca zabierają się do rzeczy, a pan...

— Ja jestem gościnny — starał się żartować, chociaż sam czuł się niezręcznie w tej dziwnej sytuacji.

— Ma pan coś do picia?

— Kawę... „Nescę“.

— Nie to. Coś mocnego.

— Jest jeszcze pół butelki „Soplicy”.

— To dobrze.

Wyciągnął butelkę z barku, postawił dwa kryształowe kieliszki. Pierwsze promienie słońca zapaliły iskry w załamaniach szlachetnego szkła.

— Dużo pijesz? — zapytał nalewając wódkę.

— Co robić, pije się.

Wychylili w milczeniu ciepłą, przestałą wódkę. Napieralski wstrząsnął się z obrzydzeniem.

— Pan nie lubi pić — zachichotała.

— Szkoda, że nie mam lodówki — powiedział wymijająco.

Potem nagle spojrzął dziewczynie w oczy.

— Słuchaj — powiedział głośno — kto to jest ten facet, co z tobą siedział?

Zrozumiała, ale odwlekła odpowiedź.

— Który?

— Ten „Blady Wiktor”.

— Morowy gość — powiedziała z odcieniem podziwu.

— Za co siedział w pace?

— Pan znowu swoje. Czy ja po to tu przyszłam?

— Nie, ale chciałbym wiedzieć.

— Powiedział pan, że „Blady Wiktor“, to pan go zna.

— Nie. Nie znam. Napij się jeszcze? — podsunął jej kieliszek. — To ci dobrze zrobi.

— A potem się kładziemy. Mnie się też coś od życia należy.

— Pij — powiedział oschle.

— Ale z panem. Dwa głębsze przed tym dobrze robią.

— Dobrze.

Wypili nie patrząc na siebie. Zapalili papierosy.

— Więc mówisz, że Zulejka jest teraz modelką? — zaczął po chwili.

— Modelką w „Tip-Top“. Karierę zrobiła. Taka to ma szczęście. A zaczynała razem ze mną.

— Co zaczynała?

— Puszczając się, jak pan taki ciekawy. — Jej głos pod wpływem alkoholu nabierał zwolna pustego, gardłowego tonu. Redaktor patrzył na nią spod przymrużonych powiek. W bladym świetle wschodzącego dnia była sina i przezroczysta. Oczy jej mętniały. Zmięta suknia zsuwała się z chudych ramion, odsłaniając przywiedłą, krostowaną skórę. Nie mógł dłużej znieść tego widoku. Mdlilo go.

— Jeszcze jednego? — zaproponował.

— Zaleje mnie pan w pechę.

— Więc zaczynałyście razem...

— Razem, a jak pan myśli. Mnie zawdzięcza karierę. Gdyby nie ja, to do tej pory zlepiałyby torebki na Szwedzkiej za stówę tygodniowo.

— Nudziło ci się, prawda?

— Nie ma frajerek. Kto by mi kazał torebki do końca życia sklejać. Nie tylko torebki. Mdlilo od tego kleju. Daj pan jeszcze jednego. To mnie rozgrzewa.

— Nie takie tempo — zażartował. — Mówiłaś, że dwa głębsze wystarczą.

— Kiedy ja mam taką dorożkarską naturę, jak zacznę pić, to do końca. To mnie gubi. Ona wiedziała, kiedy zastopować. Ona nie była taka frajerka.

Teraz już wiedział, że dowie się od niej o wszystkim. Przezornie odsunął flaszkę, wygodniej umieścił się na tapczanie, podał jej poduszkę.

— Kiedyście zaczęły? — zapytał zapalając nowego papierosa.

— Będzie już trzy lata. O Boże, jak ten czas leci —

westchnęła.

— Ciekawy jestem, jak to się zaczyna — powiedział jakby do siebie.

Roześmiała się. Trzepnęła go palcami po ramieniu.

— Naiwniak, udaje, że nie wie.

— Nie wiem — powiedział z zaskakującą szczerością.

— Najpierw z miłości, a potem za pieniądze. Najpierw z głupoty, a potem z musu. Tak już jest.

— To ona, ta Zulejka, też tak zaczęła.

— Ona nie. Ona, psiakrew, zawsze miała szczęście. Trafiała na gościa, który by dla niej w ogień skoczył. A potem tak mu się odwdzięczyła...

Chciał zapytać, na kogo trafiła, lecz w porę zrozumiał, że pytając wprost może przerwać opowiadanie dziewczyny. Pokręcił tylko głową.

— No, no... ciekawe.

— Ona zawsze taka była, ta ruda. Nie spojrziała nawet na faceta, a facet za nią w dym. Kleili się. Coś w niej jest. Ale co? Zimne to i takie dziwne, zamknięte, a jednak coś w niej jest, boby za nią tak nie wariowali...

— Musi być ładna dziewczyna.

— Czy ja wiem... Czy to ruda może być ładna? Ona miała coś w sobie... rozumie pan? Dziewczęta mówiły, że czary, ale ja w czary nie wierzę. Chociaż kto wie... kiedy nawet „Bładego“ zabajerowała.

Uniósł się lekko na łokciach.

— „Bładego“?

— No tak, „Bładego Wiktora”, tego, co dzisiaj ze mną siedział. Jak ją raz zobaczył w „Oazie“, to się już od niej nie odczepił.

Napieralski gwizdnął przeciągle.

— A cóż się pan tak dziwi. Nie takie przez jego ręce przechodziły. Mówię panu, ona miała wdechowe szczęście. Inne to bił, a na nią nawet ręki nie podniósł, nawet nie krzyknął. Wtedy w „Oazie“ była regularna draka. Siedzialiśmy z chłopcami z Żerania, a on podchodzi do Zuli i prosi ją do tańca. To Maniś mówi — wolnego. Na to

„Blady” Manusia w japę, aż się pod bufet przejechał. Chłopcy na niego, a tu cała brygada „Bładego” z żyłkami. Dwóch z Żerania na pogotowie odwieźli. Bo pan nie wie, że z „Bładym” nie warto... — machnęła ręką i machinalnie sięgnęła po pusty kieliszek. — Niech pan nie żałuje. Chłapiemy jeszcze jednego.

Napieralski przez chwilę trzymał butelkę w dłoni. Nigdy nie spodziewał się, by ta skromna butelka alkoholu przyszła mu z pomocą w tak nieoczekiwanej sytuacji. Nalał po pół kieliszka. „Jeżeli jej dam cały, to się szybko zaleje i wtedy będzie plotła głupstwa”. Nalewał wolno jak lekarstwo w aptece. Lekarstwo na rozplątanie języka, czarodziejski płyn odsłaniający tajemnice ludzkiego życia.

— No to cyk! — powiedziała i trąciła w kieliszek redaktora. — Z pana to dziwny facet — śmiała się głośno. — Zamiast pod kołdrę, to gadu, gadu... Mowa — trawa!

— Dobrze się z tobą gada. Ciekawe rzeczy opowiadasz. — Czuł, jak alkohol zwolna rozgrzewa go i przepędza ołowianą ociężałość.

— Ciekawe?... Hm, jakbym panu opowiedziała kilka kawałków, toby pan z tego tapczanu zleciał.

— Mogę zlecieć, tylko opowiadaj — zażartował.

Pogroziła mu palcem.

— Pan coś wie o tej Zuli. Niech no się pan przyzna.

Wzruszył ramionami.

— Ona jedno wielkie głupstwo strzeliła, że nie zaczekała na „Bładego”. Teraz może pożałować. On ją wyciągnął z ciężkiej kabały. Gdyby nie on, to też by w pace siedziała.

Redaktor wziął ze stolika srebrny nóż i obracając go w dłoni, natężył całą uwagę. Dziewczyna nie przesadzała. Jej opowiadanie było coraz bardziej interesujące.

— To ona miała spółkę z „Bładym“?

— Gdzie tam spółkę. Wtedy w „Oazie” Wiktor podszedł do niej, wziął ją za rękę i powiedział: „Pójdiesz ze mną”. Mówię panu, tak na nią popatrzał, że nie pisnęła ani słówka, tylko wstała i jak przedszkolaczek... Zupełnie jak w filmie, co? — zachłysnęła się śmiechem. — Potem od niego



uciekła, ale za kilka dni znowu wróciła. A potem to się zupełnie do niego wprowadziła. Miała szczęście dziewczyna, co? — trąciła redaktora łokciem.

— Szczęście? — zdziwił się.

— A jak pan myśli? Ubrał ją, futro jej kupił, złoty zegarek, bransoletkę. W jednych milanezowych majtkach z domu wyszła, a potem w perlonach chodziła. To się nazywa szczęście. I jeszcze śmiała się, że on jej nie dotknął, że czuje do niego wstręt.

— A czym się „Blady“ zajmuje? — zapytał nalewając kieliszki do połowy.

— To pan nie wie? On ma dobry globus i to mu wystarczy.

— Globus?

— No, łeb na karku. On przez jakiś czas zajmował się „delegatami“, ale na tym wsiąknął.

— Delegatami? — roześmiał się ubawiony soczystą gwarą dziewczyny. — Ty naprawdę morowo opowiadasz.

— To pan nie wie, co to „delegaci“?... To tacy słodcy frajerzy, co na delegację do Warszawy przyjeżdżają. „Blady“ zrobił cały plan... Mówiłam panu, że on ma pierwszorzędną globus. On ma wdechową inicjatywę. Jemu wszystko się udaje. On palcem nie kiwnie, a zarabia grube moniaki. On mógłby dziesięć takich rudych klepsydr, jak Zula, utrzymywać...

— Ho, ho... — zakpił dziennikarz — to jakiś genialny facet.

— Genialny, daję słowo. Rok z nim pracowałam... — urwała, jakby nagle zrozumiała, że rozmawia z kimś spoza swego kręgu. Uśmiechnęła się niemrawo. — Zresztą, co to pana obchodzi.

Udał, że nie słyszy tej uwagi.

— Rok z nim pracowałaś? To było wyróżnienie.

Skrzywiła się.

— Nie takie z nim kombinowały. — W głosie jej wyczuł niepokój i zawiść.

— Odstawił cię?

— Mówił, że klienci wolą takie grubsze, przy kości. A zresztą — zamyśliła się. Chwilę obracała w palcach pusty

kieliszek.

— Bałaś się go?

Milczała.

— I teraz się go boisz.

Wzruszyła ramionami.

— Teraz to już przebrzmiała historia.

— Więc jak było z tymi „delegatami“? — zapytał przynaglająco.

W jej oczach przemknął żywszy błysk.

— Z tymi „delegatami“? To szlagierowy numer, a wszystko legalnie. Przyjeżdża facet z delegacją do Warszawy do jakiegoś ministerstwa, idzie do hotelu, a tam klops, nie ma miejsca. Facet idzie do „Polonii“ na kolację, zaleje pałę i wtedy szuka kociaków...

— Ale co z tym wspólnego ma „Blady“?

— „Blady“ wszystko organizuje. On ma całą brygadę. Jeden kapuje w hotelu, jeden w restauracji, jeden przed „Polonią“. „Delegat“ stale na oku. A potem podsuwa mu się przynętę i facet haczyk połyka.

— To ty byłaś u niego przynętą?

— Ja też. Ale on wolał ładniejsze, szykowniejsze, takie, co brały bez pudła. Takie jak ruda Zula...

— Ruda?... — dziennikarz aż uniósł się z tapczanu. — Ruda Zula też? — wyszeptał z niedowierzaniem.

Spojrzała tak, jakby nie zrozumiała pytania.

— A cóż pan myśli, ona była najlepsza. Na nią podrywali najbardziej ładowanych facetów.

— To znaczy, że ona pracowała z „Bladym“?

— Nie zawsze, ale jak mieli jakiegoś lepszego gościa, to posyłał taksówkę po Zulę. Na nią brał każdy.

Redaktor roześmiał się sarkastycznie.

— Wyższa szkoła rybacka... Ale mówisz, że wsiąkli — zwrócił się do dziewczyny.

— No tak... nie zawsze musi się udać. Udawało się przez kilka miesięcy, a potem wsypa i to w głupi sposób.

— Ty też wpadałaś?

— Nie. To było przy Zuli.

— Nie chwyciła.

— Chwyciła, tylko robota spartaczona. Bo, rozumie pan, oni wszystko technicznie. Jak już „delegat“ przyfastrygował się do cizi, to ona mu mówiła, że mieszka na Chmielnej u ciotki, a ciotka ma wolny pokój, który wynajmuje. Między Żelazną a Towarową była wyburzona kamienica. Z przodu wyglądała jak cała, a w środku była pusta. Brama prowadziła pasażem na drugą stronę. „Blady“ kazał zabić bramę deskami i wstawić z boku drzwi. Wszystko technicznie. Jak facet się zgodził, to cała obstawa jechała naprzód, a potem cizia z facetem. Przed bramą mówiła mu: „Bardzo przepraszam, muszę zobaczyć, czy ciocia jest w domu...“ Dawała nogę na drugą stronę, a tymczasem z gruzów wychodzili „kaflarze“ i rozpracowywali „delegata“. Dobra robota, co? — zapytała z nutą uznania.

— Techniczna — zakpił dziennikarz. — A jak było z tą wpadką?

— Zdarza się. Źle obliczyli. Facet był za mało podlany, zaczął się szarpać, „Blady“ za słabo trzepnął go rurką w czaszkę, tak że facet narobił rabanu. Nawinął się glina. Postrzelił Wieśka z obstawy, a ten sypnął wszystkich.

— Zulę też.

— Też, ale „Blady“ postawił się i wziął wszystko na siebie. Zwolnili ją po tygodniu śledczego. A potem, widzi pan, tak mu się odwdzięczyła.

— Co zrobiła?

— Umówili się, że będzie czekać na niego, a ona przysła z pierwszym lepszym. Ale nie chciałabym być teraz na jej miejscu. On powiedział, że z niej zrobi szmatę... I robi, będzie pan widział.

— Co znaczy, że robi z niej szmatę?

— Puści ją w kurs. On już tak z jedną zrobił. Damę chciała odgrywać, a teraz siedzi w Tworkach, bo jej się na mózg rzuciło. On już ma swoje sposoby.

Umilkli. Napieralski wychylił kieliszek. Wstał. Zaczął krążyć po pokoju. Naraz zatrzymał się przed oknem. Gdy rozchylił szerzej okiennice, powietrze zapachniało poranną

rosą. Dach sąsiedniej kamienicy połyskiwał jak tafla wody. W dole zieleniły się drzewa i krzewy. Zieleni ich tchnęła najświeższą soczystością letniego poranka. Na skraju nieba pęczniały obłoki. Był tak oszołomiony tym widokiem, że bał się spojrzeć za siebie. Wtedy usłyszał jej natarczywy głos:

— No co, kładziemy się?

— Słuchaj — powiedział nie odwracając się — nalej jeszcze po kieliszku. — Potem zapytał: — Kiedy „Blady” wyszedł z więzienia?

— Cztery dni temu. Wczoraj chleliśmy na to konto.

— Czy już widział się z Zulą?

— Nie wiem. Przy nim nie można nawet pisać o niej.

— Powiedział, że robi z niej szmatę?

— I robi, jestem pewna.

— Przecież ona do niego nie wróci.

— On ma na nią sposób.

— Jaki?

— Jak się będzie stawiać, to da znać milicji.

Naraz wszystko wydało mu się jasne. Zrozumiał, że Zula uciekła przed „Bładym Wiktorem”. Widocznie przeczuwała niebezpieczeństwo. Przypomniał sobie treść listu, który wieczorem znaleźli w szparze drzwi. Każde słowo potwierdzało jego przypuszczenia. Uciekła przed swą przeszłością.

Podszedł do stolika i nie patrząc na dziewczynę wypił wódkę.

— Co się panu stało? — zapytała przyciszonym głosem.

— Nic — mruknął. Potem dodał: — Ciekawe rzeczy opowiadasz. Powiedz mi, kiedy ją widziałas ostatni raz?

— O, bardzo dawno. Ona teraz nie przyznaje się do mnie. Kiedyś spotkałam ją na Nowym Świecie. Odwróciła się i przeszła na drugą stronę. Elegancka, mówię panu. Dawniej, jak mnie spotkała, to pogadała. Raz dała mi nawet stówę. Ale teraz... Teraz to ona królowa... Ale nie chciałabym być w jej skórze.

— Mówiłaś, że prysnęła z pierwszym lepszym. Kto to był?

— Taki jeden miętki facet, nazywają go „Aksamitny

Rysio”. W jego skórze też nie chciałabym teraz być. „Błady“ zrobi z niego marmoladę.

— Mówił coś na ten temat?

— Nie mówił, ale ja go dobrze znam. Nie daruje.

— Znasz tego „Aksamitnego“?

— Wszyscy go znają, żigolak dla starych bab z- forszą. Jak go pan chce zobaczyć, to niech pan idzie do „Baru Owocowego“ na pięterko, tam urzęduje. Ładny chłopiec, taki aksamitny, tylko cholerna świnią. Podobno Zulek też wykołował.

— Wiesz coś o tym?

— Nie, ale tak dziewczęta mówiły. On przyzwyczajony, żeby mu za to płacić... — ziewnęła głośno i leniwym ruchem wyciągnęła się na tapczanie.

— Spać mi się chce, a pan wciąż gadu, gadu.

Wyciągnęła ku niemu rękę.

Odsunął się. W ruchu tym było tyle gwałtownej odrazy, że dziewczyna zerwała się, usiadła i dłońmi przetarła zmęczoną twarz.

— To po co pan tutaj mnie przyprowadził?

Spojrzał na zegarek.

— Późno już. Muszę wcześniej wstać — powiedział ziewając. Powolnym ruchem wyjął portfel.

Patrzała zawiedzionymi oczami.

— Takiego to jeszcze nie widziałam. Bez kursu płaci.

— Miałaś ulgową noc. Wyśpisz się przynajmniej.

— Eee... — wydeła wargi — myślałam, że choć raz... choć raz będę miała przyzwoitego gościa. Tak to same pijane, zarzygane facety.

Położył na tapczanie dwa stułotowe banknoty. Potem dodał jeszcze dwudziestkę.

— To na taksówkę.

Wstała, przeciągnęła się, podeszła do lustra.

— To pan po to mnie tu sprowadził, żeby się dowiedzieć o Zuli?

Nic nie odpowiedział. W milczeniu ssał dogasającego papierosa. Potem nalał jeszcze po kieliszku.

— Strzemiennego! — skinął na nią głową.

— Honorowy pasażer. — Rozczesywała przed lustrem włosy. — Za postój też płaci. — Gdy brała ze stolika kieliszek, ręka jej zadrżała. — Tylko niech pan uważa i do tej sprawy Zuli się nie miesza. Z „Bładym“ nie warto zadzierać.

— Nie obawiaj się — mruknął. Chciał, żeby jak najprędzej opuściła mieszkanie. Drażnił go zapach tanich perfum, drażniła zmięta sukienka, a najbardziej wzmagające się z każdą chwilą uczucie litości dla tej chuderławej dziewczyny.

— Brama jeszcze zamknięta? — zapytała biorąc lichą torebkę z białego plastiku.

— Zadzwoń. Dzwonek pod tablicą.

— A dozorca nie będzie się pytał, gdzie byłam?

— Jeżeli się zapyta, to powiesz, że u mnie.

— To widać sprowadza sobie pan dziewczynki.

Wzruszył tylko ramionami.

— Baj! Baj! — skinęła mu ręką, a potem, gdy otwierała drzwi, roześmiała się: — Dziwak, jak pragnę zdrowia.

Zaryglował drzwi. Poszedł do łazienki. Mył się długo i starannie pod ciepłym tuszem, jak gdyby chciał zmyć z siebie dokuczliwy niewidzialny brud.

## V

Ochniewski, redaktor naczelny „Wieczoru Warszawy”, należał do ludzi dowcipnych. Gdy Napieralski o jedenastej zjawił się w redakcji, Ochniewski przywitał go z uśmiechem na pełnej, dobrodusznej twarzy.

— Widzę, że masz głowę pełną znakomitych pomysłów. Na jutro zarezerwowałem trzyszpaltową czołówkę na nową bombę.

— Nie kpij — oburzył się Napieralski — łeb mi trzeszczy jak zardzewiała maszyna i w ogóle jestem niewyspany...

— „Kameralna“?

— Nie.

— „Krokodyl“?

— Nie.

— „Spatif“?

— Nie. Wyobraź sobie — „Kaskada“ i to wcale nie dla własnej przyjemności, tylko dla twoich pięknych oczu. Wydałem kupę forsy i mam moralnego kaca.

— Poznawalesz nocne życie Warszawy — zakpił Ochniewski mrużąc ciemne oczy. — Będzie nowy szlagier.

— Może, ale to cię będzie grubo kosztować. Wliczam wszystkie koszty razem z piramidonem, który rano zażyłem, a który nic mi nie pomógł. Och, przeklęty mój łeb. Po co ja tyle piłem z tą dziwką.

Ochniewicz skrzywił się.

— Fe, od pewnego czasu jesteś okropnie trywialny.

— Myślisz, że w „Kaskadzie“ można obcować z „bezetkami“ albo aktorkami „Teatru Polskiego“.

— Więc będziesz miał na jutro jakiś szlagierowy kawałek?

— zapytał już poważniej Ochniewski.

Napieralski parsknął śmiechem.

— No wiesz, jesteś zabawny. W ubiegłym tygodniu dałem ci trzy szlagiery, a ty już chcesz nowe. Poczekaj. Znasz mój system pracy. Jeżeli dobrze pójdzie, to pod koniec tygodnia, ale musisz dać jakąś zaliczkę, bo koszty reprezentacyjne przekraczają moje możliwości.

— Człowieku — Ochniewski wyciągnął przed siebie ręce — ja liczę na ciebie, a ty do mnie po zaliczkę. Wiesz dobrze, że teraz sezon ogórkowy i nie ma czym zatkać białych plam w gazecie. Ruszże szarymi zwojami swojego genialnego mózgu, bo inaczej będzie katastrofa.

— Powiedziałem, pod koniec tygodnia, i to pod warunkiem, że dostanę zaliczkę.

Ochniewski przyjrzał się uważnie swemu najlepszemu reporterowi.

— Coś ciekawego?

— Sensacja.

— Z jakiej beczki?

– Nie z beczki, tylko chwilowo z „Kaskady“.

– Pewno o prostytutkach.

– Między innymi i o nich.

– Ty zawsze wybierasz takie lekkie tematy — uśmiechnął się ironicznie.

– Co zrobić, temat lekki, ale praca ciężka.

– Więc na sobotę. A tymczasem może masz jakieś pomysły? W te upały człowiek traci wyobraźnię. Więc?... — popatrzył wyczekująco.

Napieralski liczył na palcach:

– Brak napojów chłodzących... Plaga komarów na Pojezierzu Mazurskim... Brak rąk do pracy w PGR-ach... Deszcz w Zakopanem...

– Stop! — Ochniewski uniósł rękę. — Za takie pomysły dziękuję. To czkawka ogórkowego sezonu.

– A Festiwal Jazzowy w Sopocie?

– O właśnie. Miałem zamiar zaproponować ci, żebyś tam pojechał. Zaczyna się w sobotę.

– Jeżeli do soboty skończę obecną robotę, to z wielką chęcią, przyślę, ci stamtąd kilka pikantnych korespondencji. A propos Sopotu, spotkałem wczoraj twoją dobrą znajomą... panią Paczewską.

– Klasa kobita, co? — Ochniewski aż cmoknął z zachwytu.

– Ale co ma wspólnego Sopot z Paczewską? — zapytał.

– Właśnie wyjeżdża do Sopotu na pokaz mody.

– Dobrze, żeś mi to powiedział, trzeba będzie wysłać do niej Halinkę, żeby coś o tym napisała. Pani Mira będzie zadowolona, że robimy jej reklamę.

– Słuchaj — wtrącił Napieralski — czy ty znasz mecenasa Szajewskiego?

– Znam... Grałem z nim nawet raz w brydża, w Zakopanem.

– Co to za gość?

– Modny adwokat, światowiec.... Trochę snob, trochę hochsztapler, spotykam go często na koncertach w Filharmonii... Meloman, psiakrew! A przy tym, jeśli się nie mylę, podskakiwał jakiś czas do Paczewskiej. Babiarcz nie z



tej ziemi. — Wyciągnął paczkę papierosów. — Palisz? — Potem, podając ogień, zapytał: — Czy ci te informacje potrzebne do twojej roboty?

— Może... — powiedział reporter z zadumą w głosie. — Gdzie on ma kancelarię?

— Znajdziesz w książce telefonicznej.

— A przez kogo można by się z nim spiknąć?

Ochniewski rozłożył ręce.

— Wybacz, ale nad tym sam się zastanów. — Potem dodał:

— On często bywa u „Architektów“ na Foksal. Tam go możesz złapać.

Napieralski przyłożył dłoń do czoła.

— Dziękuję.

Gdy wychodził, Ochniewski zawołał za nim:

— Tylko uważaj z tymi prostytutkami, żeby cię nie sprowadziły na złą drogę.

Zamienili ze sobą żartobliwe uśmiechy i rozstali się ubawieni beztróską rozmową.

W sekretariacie zatrzymała go sekretarka:

— Jak to dobrze, że pana widzę, redaktorze. Już trzy razy ktoś do pana telefonował z „Kuriera“.

— Pewno woźna. — Przypomniał sobie, że przyrzekł Michalczykowej porozumieć się z nią w sprawie komunikatu do radia. Podszedł do telefonu i szybko nakręcił znajomy numer. Poprosił o połączenie z woźną.

— To pan redaktor Napieralski? — usłyszał po chwili pełen nerwowego napięcia głos.

— Tak. Czy córka wróciła?

— Nie, panie redaktorze, całą noc czekałam, nie mogłam spać — żaliła się płaczącym głosem. — A pan nie zapomniał załatwić w Radio?

— Doszedłem do wniosku, że to nie ma sensu. Pani miała rację. Nie trzeba nikogo zawiadamiać. Lepiej cierpliwie czekać. Mam nadzieję, że córce nie stało się nic złego.

— Skąd pan wie, panie redaktorze?

— Nie wiem, ale tak przypuszczam. Niechże się pani uspokoi. Mam pewne wiadomości, że córka wyjechała z

Warszawy. Niech pani będzie dobrej myśli.

— Jakie wiadomości, panie redaktorze? — w głosie kobiety zabrzmiała nuta radości.

— Nic konkretnego, ale... — zająknął się. Nie wiedział, co ma jej powiedzieć. Był niemal pewny, że ruda modelka uciekła z Warszawy przed byłym przyjacielem i opiekunem. Na tej hipotezie opierał swe przypuszczenie. Ale w jaki sposób wytłumaczyć to jej matce?

— Panie redaktorze — usłyszał znów nabrzmiały lękiem głos kobiety.

— Tak, słucham.

— Ja się tak okropnie boję. Miałam takie straszne sny.

— Niech pani w sny nie wierzy — powiedział nieco oschle.

— Proszę czekać. Jeżeli będę miał jakąś wiadomość, to zawiadomię panią.

— Mam niedobre przeczucie... I jeszcze... zapomniałam panu redaktorowi coś powiedzieć... Przyszła do mnie jedna sąsiadka z Pragi... Mówiła, że go wypuścili...

— Kogo? — przerwał jej gwałtownie. — Pewno „Bładego“?

— Tak — usłyszał zdumiony głos. — Skąd pan redaktor wie?

— Wiem — uciął krótko. Potem rzucił zniecierpliwiony: — Widzi pani, chciałbym pani pomóc. Tylko, na litość boską, niech pani się uspokoi. — Odłożył z ulgą słuchawkę.

— Do pana redaktora wszyscy jak do książki zażaleń — usłyszał charakterystyczny, nieco skrzeczący głos sekretarki.

— No tak... — powiedział w zamyśleniu. Poślawszy sekretarce zdawkowy uśmiech, wyszedł z redakcji.

\*

Mżył drobny deszcz. Chmury wisiały nisko nad dachami domów. Pod arkadami Placu Konstytucji, gdzie wieczorem zbierał się tłum spacerujących warszawiaków, było niemal pusto. Nieliczne neony posyłały na lśniący wilgocią bruk strugi krwistego, zielonego i modrego światła. Tramwaje sunęły wolno, ociążałe przez plac zasnuty białą mgłą.

Samochody z świstem opon szlifowały lśniące, jak czarne lustra, asfalty.

Napieralski przeciął Plac Konstytucji, minął podcienia prowadzące na ulicę Śniadeckich i grzęznąc w gęstych ciemnościach, skierował się ku Polnej. Czuł, jak strugi deszczu spływają mu z czoła na brwi. Myślał o sprawie rudej modelki.

Po południu był w kancelarii mecenasa Szajewskiego. Mieściła się w samym centrum miasta, na Nowym Świecie. Niestety, adwokata nie zastał. Aplikant poinformował go, że Szajewski wyjechał na krótki urlop. Na pytanie, dokąd udał się szef, aplikant odpowiedział ogólnikowo, że do jednej z miejscowości nadmorskich. Napieralskiego zaskoczyła zbieżność wyjazdu mecenasa ze zniknięciem Zuli. Czyżby to z nim wyjechała? Czy łączyły ich jakieś bliższe stosunki? Jeżeli mecenas polecał ją pani Paczewskiej, to widocznie zależało mu na tym. Może miał wobec niej jakieś zobowiązania. Przypuszczenia te skojarzył ze słowami Ochniewskiego. „Babiarz nie z tej ziemi... Trochę snob, trochę hochsztapler...” A więc wszystko możliwe: wytworny adwokat musiał się wplątać w trwalszy romans z piękną modelką, a teraz własną osobą bronił ją przed groźącym niebezpieczeństwem.

Kiedy zbliżał się do kamienicy na Polnej, w załomie muru, osłoniętym przed deszczem resztką balkonu, spostrzegł skuloną postać. Jakiś młody człowiek, wtuliwszy głowę w kołnierz starej kanadyjki, stał ukryty w cieniu i ćmił papierosa. Napieralski zdążył uchwycić wzrokiem tylko jego sylwetkę. „Może to on“ — pomyślał. Miał ochotę zbliżyć się i pod pretekstem odpalenia papierosa zacząć z nim rozmowę, ale wstrzymał się. „Najpierw porozmawiam z tą dziwaczką“ — postanowił i szybkim krokiem wszedł do ciemnej bramy. Na trzecim piętrze przyświecił sobie latarką. „Walentyna Schnaps — odczytał z poźółkłej wizytówki — dzwonić dwa razy.“ Z uczuciem wzrastającego podniecenia nacisnął dzwonek.

— A, to pan redaktor! — przywitała go domorośla Pytia,

zaglądając przez szparę uchylonych drzwi. — Dobrze, że pan przyszedł. Mam dla pana ciekawe wiadomości. — Świdrując dziennikarza swymi zapuchniętymi oczkami, wpuściła go do środka.

Zatrzymał się w progu.

— Ja tylko na chwilę. Nie mam zamiaru zajmować pani czasu. Chciałem tylko zapytać, czy był dzisiaj ten młodzieniec?

Uśmiechnęła się jakoś przekornie.

— Ho, ho, widzę, że jednak pan redaktor zainteresował się tą sprawą.

— Pragnę tylko pomóc tej biednej kobiecie — powiedział chłodno.

— To bardzo ładnie, to bardzo szlachetnie... — poprawiła szybko rozchylający się jedwabny szlafrok, spod którego wyglądała brudna milanezowa koszula. — Niech pan wejdzie na chwilę. Muszę panu powiedzieć, że ten student był już tutaj dwa razy i jeżeli się nie mylę, zostawił znowu jakieś bazgroły. A teraz, czy nie spotkał go pan na ulicy?

Napieralski bez pytania zapalił papierosa.

— Taki wysoki, w kanadyjce? — zapytał.

— To pewno on. Niech pan sobie wyobraz, jak ten chłopiec musi cierpieć. I to przez kogo? Przez tę rudą lafiryndę...

— Czy ten list jest jeszcze w drzwiach? — przerwał jej, nie chcąc słuchać komentarzy.

— Chyba nie. Matki dzisiaj nie było, ale ten drugi, co był po południu, to z pewnością zabrał ten list. Widziałam, jak schodząc coś czytał.

— Jaki drugi? — zdumiał się redaktor.

— To panu jeszcze nie mówiłam? — zniżyła głos, który po chwili przeszedł w syczący szept. — Był tu jakiś taki... Mówię panu, jak go zobaczyłam, to sobie pomyślałam: „Niech mnie Pan Bóg od takich chroni”.

— Jak wyglądał?

— Jakby to panu powiedzieć? — w chwilowym roz-targnieniu masowała wiotki, zwisający podbródek. — On tak

wyglądał — tak wyglądał, jak gdyby wyszedł z domu wariatów albo z więzienia.

— Blady?...

— O, właśnie — zachichotała. — Taki jak poźółkły papier i do tego jakiś dziwny. Mówię panu, ciarki mnie przeszły, gdy go zobaczyłam.

— Krótko ostrzyżony?

— Tego to nie wiem, bo był w berecie.

— I w granatowym ubraniu?

— Tak. — Spojrzała na redaktora zdziwionymi oczami. — A skąd pan wie?

— Ja trochę też jak pani... jasnowidzący — zażartował. Potem zapytał: — Kiedy był ten człowiek?

— Po południu. Najpierw rano przyszedł ten studencina, a później po obiedzie ten dziwny... Było może pół do piątej. Wszedł na górę. Tam czekał chwilę. Potem schodził wolno. Widocznie czytał ten list, a potem wypytywał się u dozorczy o tę z góry.

— O co pytał, nie wie pani?

— Jeżeli panu na tym zależy, to mogę się jutro dowiedzieć. Dozorca przynosi mi węgiel z piwnicy, to go zapytam. — Białą kocur bezszelestnie wskoczył jej na ramię. Głaskała go pieszczotliwie pulchną dłonią.

Redaktor szybko palił papierosa. Przyglądał się kobiecie z uczuciem zdumienia i nieopanowanej odrazy. Zastanawiał się, dlaczego tak chętnie udzielała informacji o zaginionej modelce i jej otoczeniu. Wydało mu się to podejrzane. Chciał nawet wprost zapytać, jaki ma w tym cel, ale zrezygnował. „Może mi się jeszcze przydać jako źródło wiadomości“.

— Pani, widzę, ma sporo wolnego czasu — powiedział zupełnie obojętnym tonem.

— Och — westchnęła i popatrzyła jakoś inaczej niż dotychczas — złośliwie. Takie przynajmniej odniósł wrażenie. — Czasu mi nie brak. To przywilej samotnej kobiety.

— I nie nudzi się pani?

— Każdy ma jakieś swoje życie i trzeba je czymś wypełnić.  
— Potem dodała szybko: — Ja tam nie zastanawiam się nad tym. Po co? Czy mi co z tego przyjdzie? — Naraz zrzuciła z ramienia białego kocura, podeszła do okna.

— Niech pan spojrzy — przywołała go gwałtownym ruchem ręki. Odchyliwszy szerzej storę, pokazała na ulicę.  
— Widzi pan? To ten student. I niech pan pomyśli, w taki deszcz?...

Na dole, w świetle latarni, ukazała się postać tajemniczego młodzieńca. Wolnym krokiem przeszedł na drugą stronę jezdni, przystanął, zadarł głowę i długą chwilę trwał w tej pozycji napiętego wypatrywania.

— On patrzy, czy tam pali się światło — szepnęła kobieta.

— Przecież wie, że nikogo nie ma na górze.

Wzruszyła ramionami.

— Kto to wie. Nocą czasem się świeci.

— To jej matka.

— Nie tylko.

Chwycił ją gwałtownie za ramię.

— Czy ktoś tam przychodzi?

Uwolniła się z jego uścisku ruchem wolnym, lecz stanowczym.

— Nie wiem, ale wszystko możliwe. To dziwna, bardzo dziwna sprawa. Zresztą niech sobie robią, co im się podoba.

— Kto?

— A oni wszyscy.

— To znaczy?

— No oni... Ta ruda i ta cała zgraja, co się wokół niej kręci.

Napieralski wyczuł w tym potoku cierpkich słów zawiść przekwitłej, starej baby. Czyżby tylko ta zawiść była powodem jej niecodziennego zainteresowania sprawą rudej modelki?

— Zejdę na dół — powiedział głośno. — Spróbuję z nim porozmawiać.

— Myśli pan, że on zechce z panem gadać?

— Spróbuję — powtórzył kierując się do drzwi.

— To pan nawet nie napije się u mnie herbatki?

— Dziękuję; może kiedy indziej. Boję się, że mi zwieje...

— Nie ma obawy, on będzie tam sterczał do północy. I niech pan pomyśli, w taki deszcz — pokręciła z niedowierzaniem głową. — A o tych schodach to pewno pan redaktor zapomniał?

— Przyznaję, że zapomniałem. Postaram się, żeby o tym napisali, bo to rzeczywiście karygodne niedbalstwo.

— A o tej rudej? — Jej biała, pudrem osypana twarz stężała znowu jak maska.

— Już pani mówiłem, że o niej nie mam zamiaru pisać.

— Szkoda. Taki ciekawy temat i pan go nie wykorzystuje. Gdyby się jednak pan zdecydował, to ja zawsze służę pomocą...

— Dziękuję bardzo — skłonił się z uprzejmością, na jaką stać go było w tej chwili. — Pani pomoc jest rzeczywiście nieoceniona. I doprawdy przepraszam, że nie mogę zostać na herbacie.

\*

Pozegnał się pospiesznie. Gdy schodził, miał wrażenie, że kilka miękkich, łaszących się cieni płące mu się pod nogami. Stawiał ostrożnie kroki, jakby bał się, że nadeptnie na to kłębowisko. Myślał o „Bładym Wiktorze“. A więc to on był po południu na górze i wyjął z drzwi list tajemniczego młodzieńca. Widocznie rozpoczął już poszukiwanie swej byłej przyjaciółki. Zaczęła się więc wielka, niebezpieczna gra.

Był już na dole. Rozejrzał się. Ulica pusta. W smugach światła srebrzyły się delikatne nitki deszczu. Tajemniczego młodzieńca nie było. Przeszedł więc na drugą stronę jezdni i spojrział w górę. Okno mansardy było ciemne.

Wtem usłyszał obok siebie czyjeś kroki. Odwrócił się gwałtownie, jak ktoś przydybany na gorącym uczynku. Wzrok jego padł na wysoką, szczupłą postać odzianą w starą, przemoczoną kanadyjkę. Przed nim stał młodzieniec, którego spostrzegł, gdy szedł do pani Schnaps.

— Pan może szuka Zuli? — usłyszał stłumiony głos.

Naraz, gdy młodzieniec lekko przechylił głowę, w słabym świetle tkwiącej wśród gałęzi drzew latarni zobaczył jego twarz. Była to twarz młoda, niemal chłopięca. Bił z niej przedziwny smutek. Smutek zrozpaczonego chłopca.

Napieralski stał chwilę w milczeniu, zaskoczony nagłym zjawieniem się młodzieńca. Skrzyżowali płochliwe spojrzenia, badali się z nieukrywanym zakłopotaniem.

— Ja?... — wybąknął redaktor. — Ja niby nie... ale... — I nagle, opanowawszy się, powiedział zupełnie spokojnie: — Nie szukam jej, bo wiem, że jej nie ma w domu. Jednak bardzo mnie interesuje...

Młodzieniec przymrużył zaczepnie oczy. Jego szczupłą, ogorzałą twarz wyrażała napięcie.

— Ciekawy jestem, co pana interesuje?

Redaktor uśmiechnął się nikle.

— Sprawa Zuli... jej nagłe zniknięcie.

— A kto pan właściwie jest? — wyszeptał młodzieniec i odsunął się, jak gdyby oczekiwał natarcia. Widząc jednak, że stojący przed nim człowiek nie zdradza wobec niego wrogich zamiarów, opuścił ręce.

— Ja? — roześmiał się dziennikarz. — Właśnie o to samo chciałem zapytać pana.

Słowa te wprowadziły studenta w zakłopotanie. Przejechał dłonią po mokrych kędziorach.

— Ciekawe — wyszeptał przez zaciśnięte mocno zęby.

— Prawda, że bardzo ciekawe — podjął pogodnie dziennikarz. — Nie będziemy się w takich okolicznościach przedstawiali. Mogę pana jedynie uspokoić, że właściwie nie znam Zuli, a interesuję się jej sprawą jedynie ze względu na jej matkę.

Ze smagłej twarzy młodego człowieka ustępowało z wolna napięcie. Był rozczarowany.

— Ach tak... — uniósł lekko swą kształtną głowę. — Więc pan nie znał Zuli?

— Nie znałem. To znaczy, znałem ją tylko z widzenia. Byłem na kilku pokazach, na których występowała...



Umilkli w nagłym zakłopotaniu, jak gdyby krępowało ich to dziwne spotkanie. Po przeciwnej stronie ulicy na chodniku coś zastukało. Spojrzeli w tamtą stronę. Szedł ślepiec postukując białą laską. W wolnej ręce trzymał parasol, którym osłaniał się od tnącego z ukosa deszczu. Gdy doszedł do bramy, zatrzymał się nagle, zamknął parasol i ruchem przeczącym jego kalectwu uniósł głowę, jak gdyby spojrzeniem lustrował górne piętra kamienicy. Potem otrząsnąwszy długi nieprzemakalny płaszcz z wody, wszedł pewnymi krokami do bramy.

Stojący po przeciwnej stronie ulicy mężczyźni spojrzeli na siebie pytająco, lecz nic nie powiedzieli. Napieralski nie chciał jednak stracić okazji do porozmawiania ze studentem. Widząc, że ten ma chęć oddalić się bez słowa, zapytał:

— Pan jest studentem, prawda?

Młodzieniec obrzucił go zdumionym spojrzeniem.

— Skąd pan wie?

— To nietrudno odgadnąć — uśmiechnął się dziennikarz.

— Jest pan w tym wieku, w którym zwykle studiuje się, a poza tym można poznać z wyglądu. A więc zgadłem? — zapytał biorąc młodzieńca pod rękę. — Niewiele wiem o panu. Wczoraj jednak czytałem pana list... Niech to pana nie dziwi — dodał szybko widząc, że student chce mu przerwać. — Nie zrobiłem tego z niedyskrecji, tylko po prostu na prośbę matki Zuli. Byłem z nią na górze. Znaleźliśmy pański list wetknięty w szparę drzwi i matka w tej sytuacji osądziła, że należy go przeczytać.

— Skąd pan wie, że to ja pisałem? — zachnął się student uwalniając swe ramię spod ręki dziennikarza.

— Można się domyślić — skłamał, gdyż nie chciał przedłużać rozmowy opowiadaniem o niezwyklej lokatorce z trzeciego piętra. — I niech pan nie zaprzecza, gdyż nie ma to znaczenia. Powinniśmy być wobec siebie szczerzy...

— Widzę, że pan poważnie interesuje się tą sprawą — powiedział z przekazem młody człowiek.

— Tak — przytaknął dziennikarz. — Chciałbym pomóc tej

biednej kobiecie, która jest wprost zrozpaczona. Czy pan zna matkę Zuli?

— Nie. Nie wspominała mi o niej.

— To też nie ma znaczenia. Mogę tylko panu powiedzieć, że znam ją od dawna, zrobiłem jej kilka drobnych uprzejmości i dlatego z takim zaufaniem zwróciła się do mnie o pomoc...

Młodzieniec drgnął i nie zważając na swego rozmówcę zadarł głowę. Na piątym piętrze w oknie mansardy paliło się światło.

— O, psiakość!... — wyszeptał zdumiony dziennikarz. — Czyżby matka przyszła? Przecież nie przechodziła tędy.

Student rzucił się przed siebie, przeciął ulicę, wpadł do bramy i znikł w zalegających ciemnościach. Napieralski stał chwilę, jak gdyby wrośnięty w ziemię, potem szybkim krokiem poszedł za studentem. W klatce schodowej dudniły w ciszy szybkie kroki. Student biegł na piąte piętro. Za chwilę rozległo się głośnie stukanie, potem gwałtowne walenie w drzwi.

Mijając trzecie piętro, Napieralski w uchylonych drzwiach zobaczył głowę swej Pytii. Udał jednak, że jej nie widzi. Poszedł wyżej. Za chwilę z góry rozległ się kobiecy głos.

— Cóż pan tak hałasuje... Przecież to noc...

— Przepraszam... — odpowiedział zdyszczanym głosem student. — Czy tu ktoś wchodził przed chwilą?

— Przecież tej pani, co tu mieszka, nie ma od kilku dni — odpowiedział zdumiony i przestraszony głos kobiecy.

Napieralski zatrzymał się na podeście czwartego piętra. Nie chciał mieszać się do rozmowy.

— Przepraszam — powtórzył student — ale zdawało mi się, że pali się tam światło.

— To chyba tylko zdawało się panu.

— To dziwne — mruknął student i zaczął schodzić wolnym, ociągającym się krokiem. Gdy natknął się na dziennikarza, rozłożył ręce gestem bezsilności.

— Widział pan coś podobnego! To chyba jakieś czary. Niech pan powie, przecież widział pan światło.

— Widziałem.

— Więc albo ja jestem wariatem, albo dzieją się jakieś cuda...

— Chyba nie wierzy pan w cuda — uśmiechnął się Napieralski.

Student uderzył pięścią w poręcz.

— Przecież widzieliśmy razem.

— Niech pan się uspokoi — mitygował go redaktor widząc, że otwierają się drzwi i wyglądają z nich ludzie zaalarmowani hałasem i głośną rozmową.

Z dołu odezwał się zagniewany głos.

— Kto tam, do jasnej cholery?

Dziennikarz wziął studenta pod ramię.

— Dozorca. Będziemy musieli się tłumaczyć.

Wzruszył tylko ramionami, jakby chciał dać do zrozumienia, że jest mu to zupełnie obojętne.

— Panie Kaplicki — wołał z drugiego piętra kobiecy głos wezbrany nagłym oburzeniem — mógłby pan lepiej pilnować i patrzeć, kto po klatce się włóczy.

Na podeście pierwszego piętra spotkali starego mężczyznę w rozchełstanej koszuli.

— Panowie do kogo? — zapytał nadając swej zapijaczonej fizjonomii wyraz urzędowej powagi.

Dziennikarz starał się tuszować niezbyt miłą sytuację.

— To pomyłka — rzucił pojednawczo. — Zdawało nam się, że ktoś wszedł na piąte piętro. Czy nie widział pan przed chwilą ślepcę z białą laską?

Pijany dozorca wybałuszył mętne oczy.

— Ślepcę, panie... — czknął zdumiony. — Panowie tu żartują sobie ze mnie. Czego tu szukacie?

Dziennikarz zachował zupełny spokój.

— A czy mieszka tutaj jakiś ociemniały człowiek? — zapytał pewnie.

Nie ogolona twarz dozorca, osypana siwym zarostem, wydłużyła się jeszcze bardziej.

— Pan kpiny ze mnie robisz albo wariata strugasz — huknął. — Jakiegoś ślepcę sobie wyszukał. Widzieli go.

Zaraz poślę po milicję.

Młodzieniec, który do tej pory w milczeniu przysłuchiwał się temu dialogowi, wysunął się z za pleców redaktora.

— Lepiej niech pan sprawdzi, kto tam jest na piątym piętrze, a nie straszy milicją — powiedział opanowując drżenie głosu.

Dozorca szeroko rozwarł niezbyt przytomne oczy. Patrzył nieco bystrzej, jakby otrzeźwiał.

— Na piątym piętrze... A co?...

W tym momencie ktoś wszedł do bramy. Po chwili na schodach ukazała się starannie ubrana kobieta. Dziennikarz poznał woźną Michalczykową.

— To pani! — zawołał radośnie wiedząc, że zjawienie się woźnej wybawi ich z kłopotliwej sytuacji.

— Pan redaktor do mnie? — stanęła, wpatrując się ze zdziwieniem w trzech stojących mężczyzn; otrzepywała z wody parasol. — Co się tutaj stało?

— A nic — podjął skwapliwie Napieralski. — Małe nieporozumienie.

Dozorca ogarnął go taksującym spojrzeniem.

— Pani zna tego pana? — zwrócił się do woźnej.

— Oczywiście. To pan redaktor z „Wieczoru“.

Jeszcze raz spojrzął na Napieralskiego. Tym razem karcąco.

— To dlaczego pan od razu tak nie mówił, tylko mi oczy szklili jakimś ślepcem.

Redaktor uważał, że dozorca nie należą się nawet ogólne wyjaśnienia. Trzeba było jak najszybciej zakończyć tę kłopotliwą scenę na schodach, zwłaszcza że przysłuchiwało się jej coraz więcej ciekawych lokatorów. Wziął więc kobietę pod ramię i powiedział głośno:

— Dobrze, że panią spotkałem. Chciałbym z panią zamienić kilka słów. Chodźmy na górę. — Dał studentowi znak głową, żeby szedł z nimi, i ruszył, prowadząc zdezorientowaną i roztargnioną kobietę.

— Co tu się stało? — zapytała jeszcze raz wystraszona Michalczykowa.

— Nic groźnego — uspokajał ją dziennikarz. — Zaraz pani wytłumaczę.

— A ten pan? — wskazała spojrzeniem na kroczącego za nimi studenta.

— Spotkaliśmy się przypadkowo na dole — powiedział wymijająco.

Gdy otwierała drzwi, Napieralskiemu mocniej zabiło serce. Był bowiem pewny, że ktoś ukrył się w mieszkaniu modelki.

Drzwi skrzypnęły cicho. Weszli do ciemnego korytarza. Napieralski wstrzymał oddech. Zdawało mu się, że ktoś poruszył się w pokoju. Kobieta pchnęła drzwi... Pokój był jednak pusty i ciemny.

— Niech pani zajrzy do łazienki — powiedział starając się nadać swemu głosowi normalny ton.

— Do łazienki?... — wzruszyła ramionami. — A po co?

Uprzedził ją. Jednym szarpnięciem drzwi otworzył łazienkę. We wlewającej się smudze światła błysnęły tylko białe kafelki i niklowane kurki.

— Nie ma nikogo — powiedział jakby zawiedzionym głosem.

— Co u licha! — zawtórował mu student. — Przecież dałbym głowę, że przed chwilą świeciło się światło.

Przez bladą, zmęczoną twarz kobiety przebiegł skurcz przerażenia.

— Panie redaktorze, cóż to znowu?

Położył jej dłoń na ramieniu.

— Niech się pani nie dziwi. Przed chwilą w tym pokoju paliło się światło. Jesteśmy nieco zaskoczeni. Ale to... nic strasznego. Może kontakt zepsuty albo przewody... — spojrzał wyczekująco na studenta. Nie wierzy! w jakieś nadzwyczajne okoliczności, które mogłyby w logiczny sposób wyjaśnić dziwne zdarzenie. Był raczej przekonany, że ktoś zupełnie realny zaświecił światło w pokoju. Dlatego po chwili kłopotliwego milczenia zwrócił się do kobiety.

— Czy jest stąd drugie wyjście?

Patrzała nierozumiejącymi oczami.

— Drugie wyjście? Co też pan redaktor mówi?  
— A może druga klatka schodowa?  
— Jest jedna klatka. Drugiej nie widziałam.  
— A może ktoś ma klucze od tego mieszkania?  
— Już panu redaktorowi mówiłam, że klucze mam tylko ja.

— Czy pani nie zostawiała ich u dozorca?  
— Córka nieraz zostawiała.  
— A czy pani widziała tutaj w kamienicy albo w okolicy ślepca z białą laską?  
— Tutaj?... — zamyśliła się. — Tutaj nikogo takiego nie widziałam.

Napieralski przetarł dłonią czoło, jak gdyby chciał odpędzić jakąś natarczywą, nękającą go myśl. Potem z wolna opuścił ręce gestem zupełnego zwątpienia.

— I co pan na to powie? — zwrócił się do studenta.

Ten uczynił szeroki gest ręką.

— Nic nie rozumiem.

Nastała chwila głębokiej ciszy. Naraz Napieralski doznał przykrego uczucia, jakby był zewsząd osaczony. Zdarzyło mu się to już po raz drugi od chwili, gdy zajął się sprawą rudej modelki. Ciarki przebiegły mu po grzbiecie i na czoło wystąpił pot. Zdawało mu się, że z kątów mansardy wpatrują się w niego czyjeś przenikliwe oczy. Że za chwilę ktoś wejdzie do tego pokoju i stanie wśród nich. Był to jednak tylko moment. Nie dający się wymierzyć moment, w którym cała istota ludzka zapada nagle w jakiś inny, obcy i niezbadany świat.

— To wszystko takie dziwne, panie redaktorze... — głos stojącej przed nim Michalczykowej wyrwał go nagle z chwilowego odrętwienia.

— Tak... — powiedział przeciągle i sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów. — Pali pan? — podsunął je studentowi. Ten bez słowa wyciągnął papierosa. Zapalili w milczeniu.

— Tak... — powtórzył Napieralski — to zaczyna być dziwne.

Michalczykowa osunęła się na krzesło, jak gdyby nagle

opadła z sił.

— I ja mam wciąż takie niedobre sny, panie redaktorze. Śniło mi się, że Zosia idzie przez pole... Takie wielkie, puste pole... A na tym polu ani jednej trawki... Idzie przed siebie. Wołam za nią: „Zośka, gdzie ty idziesz?“ A ona ani się obejrzy, tylko wciąż idzie, idzie, aż nagle przyszła wielka chmura... A ona prosto w tę chmurę i znikła, jakby się zapadła pod ziemię...

Napieralski spojrział na studenta. Ten poblądł. Jego ciemne, szklące się oczy, wpatrzone w siedzącą przed nim kobietę, były pełne strachu.

— Sny nam niczego nie wyjaśnią — powiedział Napieralski, chcąc spłoszyć nastrój wzmagającego się przygnębienia. — Musi się pani zdecydować.

— Na co?

— Trzeba zawiadomić milicję.

Student drgnął nagle, jakby go raził prąd elektryczny.

— Tego nie wolno robić!

— Pan znowu z tą milicją — podchwyciła kobieta. — Ja się tak boję...

— Jak pani uważa. Mnie się wydaje, że to konieczne. Wyjaśnią całą sprawę i będzie pani miała spokój.

Po co się męczyć? Przecież pani jest już zupełnie wyczerpana.

— Och, tak — skinęła głową.

Student tak mocno schwycił go za ramię, że przez płaszcz i ubranie czuł jego chude palce.

— Tego pan nie robi. Domyśliłem się z rozmowy, że jest pan dziennikarzem... Nie napisze pan również o tym w prasie — powiedział rozkazująco.

— Nie mam chwilowo takiego zamiaru.

— Więc dlaczego pan interesuje się tym wszystkim?

Wskazał ruchem głowy na siedzącą przed nimi woźną.

— Już panu mówiłem.

Kobieta pochyliła głowę.

— Pan redaktor przeze mnie tyle ma kłopotu... Ale do kogóż miałam się zwrócić?

— To głupstwo — machnął ręką. — Tu nie chodzi o mnie.  
— Podeszedł do okna. Chwilę stał wpatrzony w ciemną tafłę szyby, po której spływały strugi wody. Naraz odwrócił się.

— Czy to mieszkanie wygląda tak, jak go pani zostawiła wychodząc dziś rano?

Kobieta rozejrzała się.

— No tak...

— Niech pani dobrze sprawdzi, czy nie brakuje czegoś?

Wstała. Zaczęła krążyć po pokoju dotykając palcami przedmiotów. Naraz jej wzrok spoczął na półce z książkami. Sięgnęła ręką i dłoń jej zawisła na chwilę w powietrzu.

— Tu była taka paczka... — powiedziała jakby do siebie.

— Jaka?

— Taka żółta, przewiązana sznurkiem.

— I nie ma jej?

— Nie.

— Jest pani pewna?

— Tak.

— A co było w tej paczce?

— Nie wiem. Nie zaglądałam.

— Dawno była na półce?

— Dokładnie to nie wiem, ale zdaje mi się, że niedawno.

— Nie domyślała się pani, co w niej było?

— Nie.

— I dzisiaj paczka była na tym miejscu?

— Była. Na pewno była, bo ścierałam rano kurz i miałam ją w ręku.

— Ciężka?

— O właśnie, panie redaktorze — ożywiła się nagle. — Biorę, a to jak ołów.

— I nie zajrzała pani do środka?

— Nawet miałam ochotę, ale była zaplombowana.

Napieralski chlasnął się dłonią w udo.

— Więc jednak nie myliliśmy się — zwrócił się do studenta. — Był tu ktoś i zabrał tę paczkę.

Student ssał w milczeniu zgasłego papierosa. Miał tak niezmiernie zdumioną i głupią minę, że Napieralski z



trudem powstrzymał śmiech.

— Dziwna historia, co? — Napieralski zagadnął już zwykłym tonem. — Duch, psiakrew, albo niewidzialny człowiek. Jak on się stąd wymknął? I którądy? Chyba nie miał spadochronu?

\*

— Napijemy się jeszcze po jednym — Napieralski, nie czekając na zgodę studenta, dał znak barmanowi. Ten z zawodową skwapliwością napełnił kieliszki.

Redaktor siedząc teraz przy barze cieszył się, że jednak potrafi zjednywać sobie ludzi, a ci są wobec niego skłonni do zwierzeń. Student początkowo tłumaczył się brakiem czasu, mówił, że nie pije wódki, a potem wręcz oświadczył, że nie ma ochoty przebywać z kimkolwiek. A jednak poszedł. Napieralski cieszył się z tego swego małego sukcesu. Lubił poznawać nowych ludzi, odgadywać ich tajemnice. Chwilami zdawało mu się, że wplątał się w historię, dla której nie znajdzie rozwiązania. Był zaszokowany nagłym zwrotem wydarzeń. Sprawa tajemniczej wizyty w mansardzie modelki i zniknięcia paczki burzyła wszystkie jego domysły. Zadawał sobie pytanie: jaką rolę w tej sztuce odgrywa ten młodzieniec? Od razu wydał mu się sympatyczny. Powierzchnowość miał bardzo ciekawą. Był tak kształtny, że nawet pod ubraniem wyczuwało się piękne, harmonijnie umięśnione ciało zdrowego sportowca. Twarz smągła, z rzadkim zarostem była nieomal chłopięca, ale tej łagodnej chłopięcości przeczyły żywe, głęboko osadzone, bardzo ciemne i inteligentne oczy. Ruchy miał opanowane.

— Ja lubię inne życie — powiedział student odsuwając pusty kieliszek. — Ale ona mnie wciągnęła... Nie wiem, czy pan kiedyś tonął? Ja już tonąłem. Skakałem z jazu do wody i wciągnął mnie wir. To jest to samo uczucie. Nie można się wydostać na powierzchnię. Jakaś straszliwa siła ssie do dna. — Długimi, kształtnymi palcami przesunął stopkę kieliszka,

rozmazując kroplę wody lśniąca na szkle kontuaru. — Ja lubię inne życie. Mnie ciągnie sport... żaglówka, narty, szybowiec... Wtedy czuję się dobrze, gdy mam wokół przestrzeń, gdy mam czym oddychać. Jeździ pan na nartach?... Tak. Więc pan zna to uczucie, gdy człowiek pruje szusem. Ma się wtedy pełno radości w całym ciele. To ja lubię. Ale ona mnie zupełnie nie rozumiała. Zabrałem ją kiedyś na Wisłę. Popłynęliśmy żaglówką w górę rzeki. Myślałem, że uśnie po drodze z nudów. Ale potem tańczyła do trzeciej i nie mogłem jej wyciągnąć z knajpy. Jazz działa na nią jak narkotyk. Dym w knajpie jak górskie powietrze. Zapijaczony mordy jak włoski krajobraz. To jest jej życie. A mimo to nie mogę być bez niej. Wiem, że to straszliwe głupstwo, ale nie mogę. Cóż robić? Ona mi wsiąkała w krew. Ona mi krąży w żyłach. Słyszałem, że udało się lekarzom przepompować choremu całą krew, wlać mu w żyły krew innych ludzi. Może by mi to pomogło. Przecież — tak mi się zdaje — człowiek, któremu zmieniono całą krew, będzie już kimś innym...

— Kiedyś kpiłem z zakochanych, z miłości... Pan wie, dzisiejsza młodzież cyniczna, pozbawiona ideałów, nieufna... Tak przynajmniej o nas piszecie. Ja też chciałem być takim i nagle zrozumiałem, że jedna dziewczyna potrafi wzbudzić w człowieku uczucie, które z cynicznego „wdechowca” robi sentymentalnego jełopa.

— Pan się uśmiecha? No tak, z tego trzeba się głośno śmiać. Pan chyba nie sterczał pół dnia pod oknami jakiejś tam cizi? Pan nie walił łbem o ścianę? Pan nie gryzł do krwi palców? Pan się nie upokarzał przed byle dziwką? Pan nie sprzedawał zegarka, imienninowego prezentu od ojca, żeby z nią iść na dansing do knajpy? Ale po co ja to panu wszystko mówię? Jak na spowiedzi, psiakrew!

— Zobaczyłem ją pierwszy raz i coś mnie schwyciło. Ech, gdyby pan widział to spojrzenie, ten gest ręki odgarniającej włosy, to lekkie zmrużenie oczu, to może wpadłby pan tak samo, jak ja. Mówię panu, nie pomoże żaden pas ratunkowy... Pojechaliśmy na tydzień do Zegrzynka. Był pan

tam kiedyś? Nie. To taki ośrodek campingowy, rozumie pan? Myślałem, że po tygodniu mi zbrzydnię, a tymczasem przyjechałem jak sentymentalny jełop. Byłem wniebowzięty... Myślałem, że świat utkany jest z bzów i jaśminów. I od razu w pysk! Całą noc przetańczyła w „Krokodylu” z jakimś zagranicznym bubkiem. Powiedziała mi o tym na drugi dzień. „Ja ciebie kocham – mówiła – ale ty lepiej zrobisz, gdy odejdziesz ode mnie“. Chciałem odejść, ale człowiek jest taki słaby, że nie potrafi pozbyć się tego cholernego balastu. Zaciska pętlę na własnej szyi.

– Niech pan zamówi jeszcze po jednej wódce... Nie piję, ale dzisiaj wszystko mi jedno... Pan myśli, że to wszystko mówię panu pod wpływem alkoholu. Nie. Po prostu rozkleiłem się, bo już mnie to strasznie dławilo. Szkoda, że wtedy nie odszedłem. Cholernie bym się męczył, ale dziś miałbym już spokój. Teraz spokój zyskuję tylko wtedy, gdy jestem z nią. Ona działa jak zastrzyk z morfiny – otepia i wciąga w jakąś bezbrzeżną otchłań. Ma takie zielone oczy, w które można patrzeć godzinami. Gdyby można było wtedy zdechnąć, to byłoby chyba najprzyjemniejsze. Żyliśmy znowu ze sobą w wiecznym napięciu. Wie pan, co było najgorsze?... Najgorsze było to, że nie mogłem jej poznać. Znałem każdy centymetr jej ciała, a nie wiedziałem, co w niej jest, co w niej siedzi.

– A potem przyszło najgorsze. Widocznie chciała mnie do siebie zrazić. Opowiedziała mi o całym swoim życiu z wszystkimi najdrastyczniejszymi szczegółami. Zrobiła to z jakąś piekielną perwersją, a potem, gdy wysłuchałem wszystkiego, powiedziała, że chce ze mną rozpocząć nowe życie... Jakie to piękne, jakie wzniosłe! I ja, dureń, uwierzyłem. Myślałem, że ta moja miłość potrafi... Ech, zresztą po co o tym gadać, kiedy za dwa dni wyjechała z Warszawy na pewno z jakimś forsiastym facetem...

– Jeszcze jednego... Przepraszam, że tak dużo piję, ale to pan mnie sprowokował. Teraz jestem jak szmata, jak łach... I coraz słabszy.

Gdy barman napełniał kieliszki, student wypił z go-

rączkowym pośpiechem.

— Ciekawa historia, prawda? — uśmiechnął się kpiąco.

— Ciekawa... — rzekł cicho Napieralski. — Ale trzeba przyznać, że pan trochę histeryzuje.

Zachnął się gwałtownie.

— Może... — a po chwili dodał opuszczając nisko głowę: — I czuję, że to się skończy tragicznie. Ja dłużej nie wytrzymam tej piekielnej szarpaniny. Z tym trzeba raz skończyć. — Zsunął się z barowego stołka i zanim redaktor zdążył rzucić jakieś pytanie, powiedział stanowczym tonem: — Niech mnie pan o nic nie pyta. I tak za dużo panu powiedziałem. Muszę już iść. Dziękuję panu...

## VI

Było tu do pana jakichś dwóch... — Sekretarka przywitała Napieralskiego przypatrując mu się z pewnym zakłopotaniem.

— Dwóch?... Jakich dwóch? — zdumiał się reporter.

— O właśnie — podjęła porządkując na biurku poranną pocztę. — Pan redaktor ma zawsze szczęście do podejrzanych typów. Mieli takie miny, jak gdyby chcieli pana poszatkować.

— Kto to mógł być?

Rozłożyła szeroko ręce.

— Pan redaktor wybaczy, ale nie przedstawili się. Pytali tylko, kiedy pan będzie, a ja wolałam odpowiedzieć, że pan teraz bardzo rzadko zachodzi do redakcji.

— Ciekawe — powiedział w zamyśleniu. — Jak oni wyglądali?

— Jakieś ciemne typy. Wolałabym nie mieć z nimi do czynienia. Patrzyli spode łba. Radzę panu, redaktorze, niech pan na siebie uważa. Pan ma jakąś przedziwną skłonność do półświatka.

— Ciekawy temat — zaśmiał się Napieralski zapalając papierosa. — Zresztą żyję z tego.

— Pasjonujący temat — sekretarka pokręciła głową. — Najpierw dostaje się listy z pogrózkami, a potem cegłą w łeb.

— Nie jest tak źle — zażartował. — Czy jest dla mnie poczta?

— Trzy listy leżą w pana przegródce.

Wszedł do swojego pokoju. Za stołem zobaczył zatroskaną twarz Kellera.

— Co nowego? — zapytał Keller mrużąc z zaciekawieniem nieco wyłupiaste oczy.

— Rzodkiewka staniała — zażartował Napieralski. Z przegródki na listy wyjął trzy niebieskie koperty.

— Nie dowcipkuj — mruknął Keller. — Jak tam twoja zguba?

— Jaka zguba?

— No ta ruda modelka.

— Ciekawy wypadek.

— Znalazła się?

— Nie. Właśnie dlatego ciekawy.

Usiadł za biurkiem. Wolno rozcinał niebieskie koperty. W jednej było zaproszenie na otwarcie „Magazynu Rzemieślnika“, w drugiej zawiadomienie prokuratury o wszczęciu dochodzeń w sprawie nadużyć, o których pisał w jednym z swych reportaży, a w trzeciej mała kartka papieru, zapisana niezdatnym pismem.

„Panie Redaktorze — czytał — bardzo przepraszam, że mam odwagę pisać, ale to bardzo ważna sprawa. Rozchodzi się o pana redaktora. Niech pan przyjdzie dzisiaj o piątej po południu do »Kopciuszka«. Wszystko panu dokładnie opowiem. Tylko niech pan nikomu nie mówi o tym ani nie pokazuje tego listu. Jestem zrozpaczona... Stenia Karolak.“

— O psia!... — zawołał głośno Napieralski.

— Co się stało? — zapytał Keller zwracając w jego stronę swe pełne, błyszczące potem oblicze.

— A, nic ważnego — powiedział i jednocześnie niemal pomyślał: „Jeżeli ta mała pisze do mnie, musi mieć jakiś ważny powód i to zapewne związany z ostatnią rozmową”. —

Podarł list na drobne strzępki, które za chwilę pofrunęły do kosza.

Wstał.

— Już idziesz? — zagadnął Keller.

— Lece, człowieku.

— Ty nigdy nie posiedzisz w redakcji.

— Jestem latającym reporterem i jak ognia boję się odcisków i hemoroidów.

— Więc co z tą rudą?

— Tajemnica — uniósł dłoń do czoła i pożegnawszy w ten sposób kolegę, wyszedł na korytarz.

— Hej, Staszek! — usłyszał za sobą głos Żabielskiego.

Zatrzymał się niechętnie.

— Czego chcesz? Nie mam czasu.

— Mam dla ciebie nowinę. Może ci się przyda.

— Nie interesują mnie wyniki ligowe ani zawody lekkoatletyczne.

— Z innej beczki.

— Wybacz, ale naprawdę jestem bardzo zajęty. — Skinął mu, lecz elegancki i wytworny sprawozdawca sportowy schwycił go za rękaw.

— A o tej rudej nie chciałbyś się czegoś dowiedzieć?

— Mów tak od razu — zatrzymał się gwałtownie. — Więc co?

— Byłem wczoraj na brydżu u znajomych. Zgadaliśmy się na jej temat.

— Pewno jakieś plotki. Ja potrzebuję faktów.

— W każdej plotce tkwi trochę prawdy. Wyobraź sobie, ta mała ruda była przyjaciółką mecenasa Szajewskiego.

Napieralski gwizdnął cicho przez zęby.

— No tak... przypuszczałem.

— Znasz mecenasa Szajewskiego?

— Nie znam, ale już zdążyłem się dowiedzieć, że jest świetnym brydżystą, że chodzi często do Filharmonii i że jest okropnym dziwkarzem.

— Zgadza się. A do tego mały szczegółik. Podobno wyjechał do Sopot z jakąś...

— Może z nią.

— Nie wiem, czy z nią, ale to by się zgadzało. Tajemnicze zniknięcie rudej modelki, wyjazd mecenasa w największym nasileniu pracy... Od razu mówiłem, że ona nie znikła, tylko pojechała podziwiać piękne widoki.

— To jeszcze nie sprawdzone.

— Ale prawdopodobne.

— Zobaczymy.

— Jesteś mi winien lody za dobrą informację. — Żabielski trzepnął palcami w ramię reportera i zniknął za drzwiami, na których widniała tabliczka z napisem: „Dział sportowy“.

Napieralski schodził zamyślony. Wiadomość od Żabielskiego wydała mu się prawdopodobna. Należało więc sprawdzić, z kim wyjechał mecenas Szajewski? Jeżeli wyjechał z Zulą, to tajemnicze zniknięcie modelki zostałyby wyjaśnione w sposób nader prosty. W takim razie co miała znaczyć tajemnicza wizyta w jej mieszkaniu i zniknięcie zalakowanej paczki? Reporter wiedział, że podjął się bardzo skomplikowanej sprawy, ale to go wcale nie zniechęcało. Przeciwnie, czuł się jeszcze bardziej podniecony, jak zawodowy detektyw, który napotkał nowe trudności. „Będziemy musieli wyteńczyć swe szare zwoje mózgowie“ — myślał żartobliwie.

Zawrócił ze schodów, wspiął się znowu na drugie piętro i ku zdziwieniu Kellera wszedł do swego pokoju. Tutaj zamówił rozmowę telefoniczną z Gdańskiem. Postanowił bowiem poprosić jednego z redaktorów „Głosu Wybrzeża“, by ten sprawdził, z kim przebywa mecenas Szajewski w Sopocie. Nie czekał długo na połączenie. Wnet odezwała się centrala międzymiastowa. Poprosił do aparatu redaktora Blickiego.

— Serwus, stary, mam do ciebie pewną prośbę — zaczął rozmowę żartobliwym tonem i wyłuszczył mu w dziennikarskim skrócie całą sprawę.

— Stasiu kochany — usłyszał zdziwiony głos kolegi — jeżeli uważasz, że będę dla ciebie latał po Sopocie i śledził jakiegoś tam mecenasa, to się bardzo mylisz. Jestem po

uszy w robocie i nie mam czasu.

— Pewno liczysz, ile śledzi przywiozły nasze trawlerzy z łowisk Morza Północnego. Na to szkoda twoich wybitnych zdolności dziennikarskich i polotu, którego, mam nadzieję, nie wywiał ci wiatr od morza.

— Człowieku, przecież wiesz, że teraz okres urlopowy.

— Wiem, wiem i dlatego daję ci takie ciekawe zlecenie. Przekonasz się, że po drodze złapiesz kilka dobrych tematów. Ruszże się z redakcji, bo zapleśniejesz jak foka w cebrzyku.

Po krótkiej rozmowie zdołał przekonać Blickiego, że zadanie, jakie mu powierza, jest najważniejsze dla całej prasy polskiej.

— Więc zrobione — zakończył rozmowę. — Radzę ci, zgłoś się najpierw do „Grandu“. Panowie pokroju mecenasa Szajewskiego lubią wygodę, więc przypuszczam, że tam znajdziesz go bez trudu.

Keller przestał stukać na maszynie. Wybałuszył oczy na Napieralskiego.

— Ty, bracie, poruszysz całą Polskę, żeby odnaleźć jedną rudą modelkę.

Napieralski uśmiechnął się przyjaźnie.

— To dla ciebie, kochany Zygmusiu. Jeżeli ją odnajdę, przyniosę ci ją na półmisku. — Posłał Kellerowi łobuzerski uśmiech i skwitowawszy go przymrużeniem oka, ulotnił się.

Gdy wychodził z portierni, zobaczył dwóch młodych ludzi stojących na chodniku i czujnie baczących na bramę. Jeden z nich, ostrzyżony na Gerarda Philipe'a, wypluł tkwiący między wargami niedopałek, trącił swego towarzysza, krępego faceta z czarnymi baczkami, i zastąpił Napieralskiemu drogę.

— Szanowanie — rzekł czystym wiechowskim akcentem — mam zaszczyt z panem redaktorem Napieralskim?

Dziennikarz zatrzymał się pół kroku przed nim i przyjrzał mu się bacznie. Tamten patrzył mu wyzywająco prosto w oczy. Uśmiechnął się bezczelnie.

— A co? — zapytał dziennikarz.



— My już na szanownego pana redaktora od rana czekamy — powiedział ten drugi z czarnymi bacz- kami.

— Spokój, Maniś — syknął młodzieniec uczesany na Gérarda Philipe'a. — Ja już sam załatwię. My — zwrócił się do dziennikarza — w pewnej delikatnej sprawie... My chcieliśmy kilka słów z szanowną prasą.

— O co chodzi? — głos redaktora zabrzmiał ostro, przynaglająco.

— Wejdziem na kielicha, to porozmawiamy — uśmiechnął się tamten.

— Nie mam teraz czasu.

— Małeńka interpelacja, panie redaktorze.

— Więc proszę, o co wam chodzi?

— O to właśnie — wykrzywił się tamten — żeby się napić z panem redaktorem kielicha i wytłumaczyć mu pewne rzeczy.

— Więc proszę — zachnął się Napieralski. — Na wódkę o tej porze nie mam ochoty.

— Honorowy — wtrącił młodzieniec z baczkami i splunął wprost pod swe nowe zamszowe buty na podwójnej podeszwie z białym obszyciem. Ślina potoczyła się z kurzem pod stopy redaktora. Ten odsunął się z odrazą. Od obu młodzieńców wionęło wódką.

— Będziemy gadać tak na ulicy? — zapytał ten pierwszy i nie czekając na odpowiedź, przybliżył się do Napieralskiego. Był wysoki, barczysty, muskularny. Oczy błyszczały mu niezdrowo. Cuchnął zapachem wódki i taniego tytoniu.

Napieralski cofnął się jeszcze o pół kroku. Nie mógł znieść tego odoru. Naraz zatrzymał się, czując za plecami ścianę kamienicy.

— Więc co? — zapytał starając się opanować drżenie głosu. Warszawski Fanfan przymrużył swe kocie oczy.

— Pan redaktor był w poniedziałek w „Kaskadzie“, prawda? — zapytał cicho.

— I co z tego?

— My od jednego faceta. My nie chcemy zadzierać z prasą... Ten jeden facet ma taką prośbę do szanownego

redaktora. On nie będzie pana redaktora ruszał, ale i pan redaktor nie napisze o nim...

— O kim pan mówi? — zapytał głośno i pomyślał o „Bładym Wiktorze“.

— To ściśle tajne — uśmiechnął się Fanfan.

— Nic z tego nie rozumiem — skłamał redaktor.

— Naiwny flim — wtrącił młodzieniec z baczkami i głębiej wbił dłonie w kieszenie wąskich drelichowych spodni, które opinały jego mięsiste uda.

— Zamknij japę, Maniuś — ofuknął go Fanfan. — My z panem redaktorem dyplomatycznie, bez pudła.

O Zulejkę się, rozchodzi, kapujesz pan?

— Nie znam Zulejki — wyszeptał redaktor, patrząc prosto w oczy dryblasowi.

— A o kogoś pan tak interpelował tę chudą Stenię, może o księżnę Monaco albo królowę Elżbietę angielską? — zaśmiał się Fanfan i naraz jego ciemne oczy zmatowiały, nabrały groźnego wyrazu.

Napieralski chciał coś powiedzieć, ale przerwał mu młodzieniec z baczkami.

— My teraz grzecznie, dyplomatycznie, że tak powiem, ale niech pan nie struga z nas frajerów.

— Spokój, Maniuś, bo w japę — syknął Fanfan i uśmiechnął się drwiąco. — Pan redaktor wybaczy, to małorolny spod Ostrołeki. On nie czyta w „Przekroju” savoir-vivre’u. Ten, co nas przysłał, powiedział, żeś pan równy gość. On tylko prosi, żebyś pan zapomniał o tej rudej Zulejce i o tym, co gadała ta chuda Stenia. Ona była niemnoszko podgazowana i uderzyła w tak zwaną fantazję. Jeżeli pan chcesz spokojnie skutecznie artykuły w „Wieczorniaku“, to lepiej zapomnij pan o tym wszystkim. Ten nasz facet nie tknie pana. On ma dla szanownej prasy szacunek, tylko prosi... rozumiesz pan? Bo jeżeli pan nie zrozumiesz, to może pana spotkać maleńka przykrość. Ale pan przecież gość z wyższym wykształceniem, inteligentny... No nie? Chodź pan, napijem się kielicha, żeby wszystko było blat. — Wyciągnął z kieszeni paczkę „Sportów”, podsunął

redaktorowi.

— Dziękuję.

— Honorowy — mruknął młodzieniec z baczkami i, żeby zaakcentować swe oburzenie, strzyknął ślinę pod nogi Napieralskiego.

— Jak nie, to nie. Nie będziem pana redaktora nagabywać. Tu nie ma przymusu. My tylko w celach towarzyskich. — Zapalił papierosa, podał paczkę młodzieńcowi z baczkami i powiedział jakby do siebie: — Konferencja skończona. Idziem, Maniuś, na kielicha, bo mi od tej gadki w gardle zaschło. — Mrugnął w stronę dziennikarza i uniósł dłoń do czoła. — Szanowanie, panie redaktorze. I niech pan pamięta. — W ostatnich jego słowach zabrzmiała nuta groźby.

Dziennikarz wyminął bokiem kraciatą koszulę.

— Chwileczkę — zatrzymał odchodzącego. — Niech pan powie „Błademu“, że chętnie porozmawiałbym z nim osobiście.

Fanfan w nagłym osłupieniu wytrzeszczył swe ciemne, kocie oczy. Nie spodziewał się, że redaktor zna przezwisko jego szefa. Chwilę patrzył na dziennikarza z roztargnieniem, potem uśmiechnął się kwaśno i rzucił:

— Niech pan redaktor zapamięta, że nie warto za dużo wiedzieć.

— Powiedzcie mu, że chciałbym z nim pogadać. Jeżeli ma ochotę, to niech zadzwoni do redakcji.

Fanfan otwierał już usta, by coś powiedzieć, ale młodzieniec z baczkami pociągnął go za rękaw.

— Daj spokój, Geniek. Zrobiłeś swoje, to chodź.

Oddalili się wolnym krokiem. Napieralski stał wciąż w tym samym miejscu. Patrzył za odchodzącymi.

— Zaczyna się — szepnął do siebie. — Teraz trzeba będzie uważać.

\*

Spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta.

„Do piątej jeszcze daleko — pomyślał. — Trzeba ten czas wykorzystać“.

Szedł wolno Alejami Jerozolimskimi w stronę Marszałkowskiej. Po wczorajszym deszczu wypogodziło się. Chodniki obeschły, młode drzewka zasadzone wzdłuż Alej szeleściły sypko świeżym seledynem listowia. Dwa odrzutowce z szumem przemknęły przez jasny płat błękitu, pozostawiając mleczne smugi dymu. Jak srebrzyste pociski przeszywały wełnę obłoków. Mijał spieszących się ludzi, uśmiechał się do dziewcząt obnażających w słońcu swe osmolone na brąz ramiona, kroczących z powabem i lekkością wrodzoną warszawskim podlotkom. Starał się zapomnieć o przykrym spotkaniu, jednak w głębi czuł lęk i napięcie osaczonego człowieka. Nie mógł się uwolnić od tego przykrego uczucia.

„Trzeba zejść do «Baru Owocowego»” —pomyślał, gdy doszedł do rogu Marszałkowskiej. Przypomniawszy sobie bowiem portiera z „Rarytasa“, który mówił mu, że „Aksamitny Rysio“ lubi tam przesiadywać.

„Bar Owocowy” na MDM-ie miał już sławę w Warszawie. Był on miejscem spotkań złotej młodzieży stolicy. Jeżeli ktoś chciał zobaczyć najszybkowniejsze kociaki, najbardziej oryginalnych „wdechowców”, ekstrawaganckich bikiniarzy, debiutujące „tumidajki”, wytwornych lowelasów, powinien iść do „Baru Owocowego”.

Redaktor minął niemal pustą salę parterową, wszedł na pięterko. Tutaj kilka stolików obsiadły już młode dziewczęta. W barwnych kretonach, jedwabiach, w pełnej urodzie swych osiemnastu — dziewiętnastu lat wyglądały jak kępy świeżych kwiatów. Tylko swym smagłym buziom nadawały sztuczną pozę wielkowiejskiego zmanierowania. Ciekawymi spojrzeniami taksowały wchodzących, zamieniały szeptem ploteczki, owijały się smugami papierosowego dymu, a wszystko po to tylko, by stworzyć wokół siebie tajemniczą, pełną erotycznego dreszczyku atmosferę nowoczesności. To był narkotyk. Z tępą lekkomyślnością imitowały styl życia z wystrzępionych

numerów zagranicznych magazynów i ilustracji.

Napieralski zatrzymał się na skraju sali, zajął pierwszy z brzegu stolik. Gdy zamawiał u kelnerki porcję lodów, spostrzegł, że ktoś przypatruje mu się uważnie. Odwrócił się. Przy sąsiednim stoliku siedziała smutna dziewczyna. Była młoda, nawet bardzo młoda, a jednak przybraną pozą znudzenia starała się nadać swej osobie wyraz zblazowany i niedbały. Palila papierosa, a raczej leniwie sączyła z niego dym. Jej czarna, głęboko wycięta bluzka ześlizgiwała się z krągłych ramion. Poprawiała ją ruchem płynnym, pełnym mimowolnej zalotności. Oczy miała lekko przymknięte, przysłonięte mgiełką zadumy.

Napieralski kącikiem warg uśmiechnął się lekko, prawie niedostrzegalnie. Dziewczyna na chwilę odwróciła od niego swe spojrzenie, lecz wnet popatrzyła śmiało, niemal wyzywająco, i odwzajemniła się zaczepnym uśmiechem. Ta nagła gra półspojrzeń, półuśmiechów ośmieliła redaktora. Z kiści czeremchy tkwiącej w gliniastym flakoniku ułamał małą gałązkę i położył ją na stoliku dziewczyny.

Skinęła lekko głową.

— Dziękuję — powiedziała szeptem.

— Pani czeka na kogoś? — zapytał i pomyślał, że ten sposób zawierania znajomości jest mu obcy.

— To nieważne. Może ktoś przyjdzie, może nie... — odchyliła lekko głowę.

„Pewnie na kogoś poluje“ — pomyślał. A potem powiedział głośno:

— To chyba można się dosiąść. — Nie czekając na odpowiedź, usiadł obok dziewczyny.

— Gorąco — rzekła odgarniając z czoła kosmyk ciemnych, bujnych włosów.

— Może zje pani ze mną lody?

— Już zjadłam jedną porcję.

— To może zamówić coś zimnego do picia.

— Nie. Dziękuję.

Nastała chwila ciszy. Napieralski patrzył na jej gładkie, błyszczące delikatnie od potu, śniade ramię. Dziewczyna

wyjęła z torebki pudełko papierosów.

— Zapali pan?

— Chętnie.

Gdy podawał jej ogień, ręka mu drgnęła. Dziewczyna roześmiała się głośno.

— Zdenerwowany?

— Nie... nie — zaprzeczył gwałtownie. Był wściekły. Złościła go własna nieporadność. Wyczuwał, że w tej krótkiej scenie zdobyła nad nim przewagę. Starał się opanować i nadać rozmowie ton, który przywróciłby mu pewność siebie.

Dziewczyna spoważniała, lecz na jej wargach wciąż jaszczcze igrał ślad tamtego ironicznego uśmiechu.

— To po wczorajszym ochlaju — skłamał tonem koleżeńskiej zażyłości. — Zdawało mu się, że utrafił, bo przyjrzała mu się uważniej. Lecz po chwili machnęła ręką.

— Eee... nie wygląda pan na takiego, co pije.

To ubodło go trochę. Skrzywił się i rzucił niedbale:

— Myli się pani, a jeżeli pani nie wierzy, to możemy spróbować.

— Ja też nie piję.

— Szkoda.

— Czego pan żałuje?

— Napiłbym się z panią.

— W taki upał?

— To nic, ale z panią.

— Dlaczego właśnie ze mną?

— Wprowadziła mnie pani w taki nastrój.

— Powiedziałam, że nie wygląda pan na takiego, co dużo pije. Panu jakoś dobrze z oczu patrzy.

— Taki poczciwy facet.

— Nie. Pan wie, czego pan chce. Pan tu rzadko przychodzi, prawda?

— W ogóle tu nie przychodzę.

— A dzisiaj?

— Dzisiaj w sprawie służbowej.

— Aha... — przechyliła lekko głowę i uśmiechnęła się

przekornie, jak gdyby chciała powiedzieć: „Niech pan nie buja“.

– Nie wierzy pani? Szkoda. Mogłaby mi pani pomóc.

– Ciekawe.

– Tak. Szukam pewnego faceta, który podobno często tu przychodzi.

Kogo?

– „Aksamitnego Rysia“.

Uniosła się lekko, zmarszczyła brwi, a twarz jej jak gdyby stężała. Potem przybrała swą zwykłą pozę niedbalej obojętności i powiedziała jakby do swoich myśli:

– Żigolak.

– Zna go pani?

– Kto go tu nie zna.

– A dzisiaj przyjdzie?

– Chyba tak.

– Skąd pani wie?

– Bo przychodzi niemal codziennie, chyba że ma jakąś robotę.

– Pracuje?

Uśmiechnęła się kpiąco.

– Jeszcze jak... jeśli to można nazwać pracą.

– Ciekawe, co on robi?

– Szantażuje... po prostu szantażuje.

– To pani dobrze poinformowana.

– O tym tu wszyscy wiedzą.

– Podobno bardzo przystojny.

Wskazała ruchem głowy na sąsiednie stoliki.

– Te wszystkie kochają się w nim. Chciałyby się z nim przespać. Ale to żigolo.

– Pani taka młoda, a już cyniczna.

– Mówię, co myślę. Po prostu jestem szczerą.

– Czuje pani zawiść?

– Nie, po prostu bawi mnie.

– Zna go pani?

– Nawet dobrze.

– Tak dobrze, że mogła pani wyrobić sobie o nim taką

właśnie opinię?

— Niech mi pan wierzy, że z nim nie spałam.

— Zbyteczne zapewnienie.

Wzruszyła ramionami, wydeła wargi, przymknęła lekko oczy i w tym nagłym zamyśleniu wyglądała jak rozkapryszone dziecko. Jej długie, starannie wymanikiowane palce błędziły po szkle stolika. Gdy napotkały gałązkę czeremchy, ujęły ją delikatnie.

— Bez sensu ta cała rozmowa — powiedziała po chwili patrząc na czeremchę. — Właściwie czego pan chcą od Ryśka?

— Chciałbym z nim porozmawiać w sprawie jednej modelki z „Tip-Top“. Czy pani знаła tę rudą Zulę?

— Nie wiem nawet, o kogo chodzi. W Warszawie jestem od niedawna. Przyjechałam z Katowic.

— I już pani zdążyła poznać tajemnice tutejszego życia.

— Wcale się o to nie starałam. Podobno należę do bystrych i inteligentnych, więc samo przyszło...

— I z „Aksamitnym Rysiem” też?

— Czuje do mnie słabość, ale wie, że nic z tego nie wyjdzie.

— Przepraszam, ale właściwie co pani tutaj...

— Teraz bawię się panem — przerwała mu — a na ogół nudzę się. Czy to nie ciekawe zajęcie?

— Nie sądzę.

— Nudzimy się przecież wszyscy. To taka modna choroba.

— Nie znam jej. Stale cierpię na brak czasu. Na przykład obecnie jestem zajęty pewną niezwykle ciekawą sprawą...

— Związaną z „Aksamitnym Rysiem“ i z tą rudą modelką.

— Zgadła pani, ale „Aksamitny“ chłopiec jest raczej postacią drugoplanową. Nie znam go. Chciałbym z nim porozmawiać. Czy mogłaby mi pani to ułatwić?

— Oczywiście. Jeśli dzisiaj tu przyjdzie, bardzo chętnie skontaktuję z nim pana. Tylko musi pan wyjawić, w jakim celu chce pan z nim rozmawiać?

— Zapewniam panią, że nie jestem ze służby śledczej ani prywatnym detektywem — roześmiał się żartobliwie.

— Ani mi to przez myśl nie przeszło. Tylko zastanawia



mnie jedno: cóż to za sprawa służbowa?

Widzi pani, jestem dziennikarzem...

— O! — wykrzyknęła zdziwiona. — Szuka pan tematu. Zdaje mi się, że się pan pomylił. Tutaj łatwiej znaleźć temat do powieści kryminalnej niż do, gazety.

— Mówiła pani, że to szantażysta.

— Wysokiej klasy.

— I nie miał do tej pory konfliktu z milicją?

— Jest bardzo sprytny i przezorny. Powiedziałabym, że artysta w tej dziedzinie. On szantażuje każdym swoim spojrzeniem, każdym gestem.

— Taka pani doświadczona.

— Cóż robić, żyjemy w takich czasach, w których ludzie szybciej dojrzewają... — wzrok jej, utkwiony w gałązce czeremchy, powędrował teraz ku wejściu. Rozwarła szerzej powieki, jak gdyby kogoś tam spostrzegła. Powiedziała cicho: — O, właśnie, ma pan sławnego Rysia.

Redaktor odwrócił się z wolna. W miejscu gdzie schody wychodziły na pięterko, zobaczył młodego człowieka. „Jaki on ładny“ — pomyślał zaskoczony jego widokiem. Wyobrażał sobie, że „Aksamitny Rysio“ będzie pospolitym typem z warszawskiego półświatka. Tymczasem zobaczył ubranego z wielkim smakiem, o subtelnej urodzie dalmatyńskiego chłopca. Rysio był średniego wzrostu, szczupły, delikatny. Twarz miał drobną, wejrzenie łagodne, niemal kobiece. Jego przydomek — Aksamitny — bardzo trafnie określał całą jego powierzchowność.

„Aksamitny Rysio“ powiódł swym aksamitnym spojrzeniem i wzrok jego zatrzymał się nagle na przygodnej towarzyszce Napieralskiego. W oczach młodzieńca zapaliły się cieplejsze błyski. Skinął głową i uczynił porozumiewawczy gest ręką.

Dziewczyna przywołała go ruchem głowy. Wahał się, ale wnet wolnym, niedbałym krokiem podszedł do stolika.

— Serwus, Rysiek — wyciągnęła ku niemu dłoń ruchem koleżeńskiejszy żażyłości.

— Serwus, Dora — przytrzymał dłużej jej dłoń, jakby ją

chciał pieścić.

— Siadaj, Rysio, czekamy właśnie na ciebie.

Aksamitny chłopiec spojrział pytająco na Napieralskiego. Dziewczyna roześmiała się.

— To równy gość. Przygadał mnie tutaj.

— Aaa... — mruknął „Aksamitny“ i opanowawszy odruch zdziwienia, ukłonił się szarmancko.

— Maniewicz — wymienił wyraźnie swe nazwisko.

— Napieralski — mruknął dziennikarz.

Uścisnęli sobie dłonie. Dłoń aksamitnego chłopca była miękka, delikatna jak dłoń młodej panny.

— Ten pan ma do ciebie pewną sprawę — powiedziała dziewczyna.

— Tak?... — w głosie chłopca zadrgało znowu zdziwienie. Posłał Napieralskiemu pytające spojrzenie. Dziennikarz wyjaśnił szybko:

— Chciałbym z panem porozmawiać na osobności.

— Nie krępujcie się — dziewczyna wstała, dyskretnym przymrużeniem oka dała znak dziennikarzowi. — Ja posiedzę sobie sama. Lubię samotność.

Rysio ujął ją za rękę.

— Ależ, Dora, to zupełnie zbyteczne. Chyba pan nie ma żadnych tajemnic.

Dziewczyna odsunęła się.

— Lepiej tak będzie.

Zostali sami. „Aksamitny Rysio“ przymrużył ciemne, aksamitne oczy i przyjrzał się dociekliwie Napieralskiemu.

— Bardzo pana przepraszam — zaczął dziennikarz — że przeszkodziłem w miłym spotkaniu. Rzeczywiście chciałem z panem porozmawiać, a ta miła dziewczyna ułatwiła mi...

Rysio jeszcze mocniej przymrużył oczy.

— Przepraszam... w jakiej sprawie?

Redaktor postanowił mówić bez osłonek.

— Właśnie... — zaczął wolno, a głos jego zabrzmiał rzeczowo i stanowczo — chciałem z panem pomówić o Zuli...

W ciemnych oczach młodzieńca jak gdyby coś drgnęło.

Śniada twarz pobladła, kształtne wargi zwarły się mocniej.

— O Zuli — wyszeptał cicho — ale w jakiej sprawie?

Redaktor położył dłoń na stoliku. Podniósł pudełko zapalek, zagrzechotał.

— Czy panu wiadomo, że Zula znikła w tajemniczy sposób?

Rysio odchylił się, jak gdyby chciał uniknąć ciosu.

— Nie... — powiedział z namysłem — dawno jej nie widziałem.

— Otóż mówię panu, że Zula znikła. Wyszła z domu we wtorek ubiegłego tygodnia i do tej pory nie wróciła.

Rysio opanował chwilowe zmieszanie. Uśmiechnął się porozumiewawczo.

— To się zdarza, zwłaszcza takim pięknym dziewczynom.

— Tak, to się zdarza — powtórzył redaktor z naciskiem. — Tym razem jednak nie zawiadomiła nawet matki.

— To też się zdarza — powiedział wolno — zwłaszcza gdy się nie ma czasu... Rozumie pan, nagły wyjazd, ktoś zaprasza, komuś się spieszy...

— Więc uważa pan, że Zula wyjechała z kimś...

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem... Mogę tylko przypuszczać.

— Więc to się już zdarzało, że ona tak wyjeżdżała?

Napieralski patrzył młodzieńcowi prosto w oczy. Ten rozłożył ręce gestem wytrawnego aktora.

— No cóż, taka piękna dziewczyna.

— Podoba się panu?

Młodzieniec zbył jego pytanie ledwo dostrzegalnym gestem dłoni.

— Więc tak... — zabębnił palcami na krawędzi stolika. — Ciekawy jestem, dlaczego pana interesuje sprawa zniknięcia rudej Zuli? — Jego palce na chwilę znieruchomiały, a przymrużone oczy stały się wąskie jak szparki.

— Powiem panu zupełnie szczerze — rzekł dziennikarz głosem chłodnym i opanowanym. — Znam jej matkę. Zgłosiła się do mnie z prośbą, bym jej pomógł. To pocziwa, biedna kobieta... Mogłaby wprowadzić zgłosić się na milicję,

ale zwleka z tym ostatecznym krokiem. Mam nadzieję, że pan jako przyjaciel Żuli ułatwi mi zadanie...

Smukłe palce poszły znowu w ruch.

— Mówi pan, że jej matka nie chce zgłosić na milicję?

— Na jej miejscu dawno bym to zrobił.

Rysio uśmiechnął się kpiąco.

— Ona ma rację. Po co od razu rozróbka. Ja panu nie mogę pomóc, bo nie mam zielonego pojęcia, gdzie ona jest, ale po co od razu na milicję? Przecież to jasne, że Zula z kimś wyjechała...

— Z kim? — zapytał reporter przynaglająco.

— Och! — zachnął się młodzieniec. — Czy to takie ważne. Znudziła jej się Warszawa. Zmiana powietrza dobrze robi.

— Może z mecenasem Szajewskim?

Rysio strzelił ponurym, złym spojrzeniem, a jego uśmiechnięta, zadowolona twarz nabrała nagle ostrości. Wnet jednak nowy, dobrze dobrany uśmiech pojawił się na wargach.

— Może nawet z Kłajewskim albo z innym Szlajewskim — zakpił unosząc ramiona nonszalanckim gestem.

— Nie zna pan mecenasa Szajewskiego?

— Zdziwi to pana zapewne, ale niestety nie — powiedział z przesadną gorliwością.

„O, bratku — pomyślał reporter — zadałem ci drażliwe pytanie. Jestem pewny, że znasz Szajewskiego, i to nawet dobrze.“ — Poczęstował Rysia papierosem. Zapalili w milczeniu, nie patrząc na siebie.

— Chciałbym zadać panu jeszcze jedno pytanie — zaczął po chwili dziennikarz. — Czy może pan wie, kto kupił Żuli mieszkanie na Polnej?

Rysio roześmiał się głośno.

— Jakiś ładowany facet. Widocznie warta była tego. Powiem panu, że to klasa dziewczyna. Trochę trącona, ale pierwszego gatunku. Gdyby jej nie kupił ten, co jej kupił, to kupiłby jej inny — błysnął przedziwnie białymi zębami. — Z pana zabawny facet. Zajmuje się pan takimi błahymi sprawami. A może pan też coś z tą Zulą? — przymrugzył

porozumiewawczo oko. — Nie dziwiłbym się panu. Taka dziewczyna — uniósł zgięty łokieć w znanym cwaniackim geście.

Napieralski poczuł się w tej chwili jak tenisista wytracony z uderzenia.

— Niech pan nie udaje cwaniaka — powiedział ostro. — Ja wiem, że pan był jej przyjacielem bezpośrednio po „Bładym Wiktorze“...

Błyszczące oczy Rysia znowu zwięzły się w szparki, w których drgały tylko światełka czarnych źrenic.

— Wjeżdża pan na rodzinne sprawy — wyszeptał. — Kim pan właściwie jest? Czego pan chce ode mnie?

— Jestem dziennikarzem z „Wieczoru“ i chciałbym, żeby mi pan pomógł odszukać Zulę. To wszystko — złapał pudełko zapalek i upuścił na szkło stolika.

Rysio zmusił swą ładną twarz do uśmiechu.

— A ja nie jestem pańskim informatorem i radzę panu, żeby pan dał mi spokój. To wszystko. — Tym razem pudełko zapalek znalazło się w jego palcach i jeszcze raz upadło na stolik.

Napieralski wstał. W pośpiechu zbierał ze stołu papierosy, zapalki, okulary. Uśmiechał się, lecz wiedział, że jest to uśmiech tuszujący porażkę.

— Dziękuję panu — rzekł z przekąsem. — Postaram się poszukać lepszego informatora. Dzisiaj prawdopodobnie spotkam się z niejakim „Bładym Wiktorem“ i zapytam go o opinię o panu...

Z dziewczęcych warg „Aksamitnego Rysia” spłynął drwiący uśmiech.

— „Błady” siedzi w pace...

— Więc jeżeli pan nie wie, to mogę pana poinformować, że wyszedł na wolność!

Ze świeżej, starannie wygolonej twarzy młodzieńca spłynęła krew. Napięte mięśnie policzków drgnęły. Dziennikarz roześmiał się.

— To pan się nie cieszy?

— Jest mi to zupełnie obojętne — powiedział starając się

odzyskać pewność siebie.

Dziennikarz skłonił się.

— Przepraszam pana za zamącenie spokoju. Przypuszczam jednak, że zna pan „Błego Wiktora“ i los jego nie powinien być panu obojętny. Do widzenia. — Odwrócił się i odszedł szybko.

— Pan już odchodzi — usłyszał przechodząc obok ukrytego za kolumnką stolika. Dziewczyna w czarnej bluzce patrzyła na niego z powściągliwą kokieteryą.

— Ach, to pani. Myślałem, że pani znikła.

— Przeciwnie, obserwowałam was. To takie śmieszne, jak dwóch dorosłych mężczyzn udaje zagniewanych chłopców. Świetna zabawa.

— Przynajmniej nie nudziła się pani — rzucił oschle.

— O właśnie, dobrze pan trafił. Teraz ma już pan wytłumaczenie, dlaczego tu przychodzę.

— Przyznam się, że przestało mnie to interesować.

— Ach, jaki pan zabawny. Nie udało się, prawda?

— Jeżeli zdołałem panią ubawić, to jednak w jakimś stopniu się udało — rzucił pojednawczo. Potem dodał szybko: — Z pani to ciekawa dziewczyna. Chciałbym jeszcze z panią porozmawiać.

— Jeżeli pan ma czas, to niech pan jutro przyjdzie o tej samej porze. Zobaczymy, może będę miała ochotę porozmawiać z panem.

Napieralski chciał zakończyć rozmowę jakimś efektownym żartem, ale spostrzegł, że „Aksamitny Rysio“ stoi za nim i czeka na jego odejście. Ukłonił się dziewczynie i rzucił na pożegnanie:

— Życzę przyjemnych nudów!

Był zły na siebie. Gdy schodził ze schodów, myślał, że niepotrzebnie tracił czas. Miał wrażenie, że wykpieno go i sprowokowano do jakiegoś fałszywego kroku. Czyżby „Aksamitny Rysio“ nie wiedział o wyjściu „Błego“ z więzienia? Skąd wzięła się ta ekstrawagancka dziewczyna pozująca na egzystencjalistycznego kociaka? Z jakiego powodu oskarżała człowieka, z którym była w dobrej

komitywie? Czy to była przygotowana pułapka, czy tylko szczególny w swym nieprawdopodobieństwie zbieg okoliczności?

Wyszedł na ulicę tonącą w jasnym blasku pełnego dnia. Zdawało mu się, że ocknął się z dziwnego snu, w który pogrążył się mimo woli. Przeciął Plac Konstytucji urągając po drodze pękatym kandelabrom i skierował się do kawiarni „Pod Arkadami“. Tutaj wszedł do kabiny telefonicznej. Zatelefonował do redakcji pytając sekretarkę, czy nie było wiadomości z Gdańska od Blickiego.

— Ma pan szczęście — usłyszał wesoły głos — właśnie przed chwilą przyszedł kablogram z dalekopisów. Mam go panu przeczytać?

— Proszę, jeśli łaska — zawołał uradowany.

— Stary byku — czytała sekretarka krztusząc się śmiechem — niepotrzebnie zawracałeś mi głowę. Twój mecenas to eunuch. Mieszkał sam. Dziś rano wyjechał. Całuj psa w nos, a mnie daj spokój. — Blicki.

Sekretarka jeszcze raz zaniósła się śmiechem. — Podobało się panu, co?

— Niech pani powie temu idiocie Żabielskiemu, że jest głupi jak but z lewej nogi najgłupszego piłkarza, a zamiast porcji lodów dostanie lewy prosty i prawy hak. — Odwiesił słuchawkę i zaklął z fantazją.

## VII

Kawiarnię „Kopciuszek” znał z lat jej świetności, kiedy była jeszcze miejscem spotkań literatów, artystów i towarzyskiej otoczki schlebiających im snobów. Teraz podupadła jak starzejąca się kobieta. Zamiast dawnych wesołych śmiechów, dowcipów, powiedzeń naszpikowanych pikanterią, rozbrzmiewał tutaj przyciszony szept małych geszefciarzy, spekulantów i kończących swą karierę prostytutek.

Gdy punktualnie o piątej wchodził do kawiarni, ogarnęło

go uczucie przygnębienia i odrazy. Przy ukrytym w rogu małym stoliku zobaczył Stenię. Dała mu znak ręką. Z daleka zauważył, że jest bardzo mizerna, zaniedbana, a pod okiem przylepiony ma wielki plaster. Doznał uczucia nagłego zakłopotania. Pierwszą myślą było — wycofać się pod byle pozorem i uciec. Ale świadomość, że może się od niej dowiedzieć interesujących szczegółów, zatrzymała go w kawiarni.

— Jak to dobrze, że dostał pan mój list i że przyszedł pan tutaj — przywitała go dziewczyna. Miała na sobie zmięty, zniszczony kostium z lichego materiału. Nerwowymi ruchami chudych palców poprawiała rozsypujące się, nie uczesane włosy.

— Co się stało?

— Nie widzi pan, jak mnie urządził? — pokazała na duży plaster przyklejony pod okiem.

— Kto?

— Jak to kto? „Błady Wiktor“. I to wszystko przez pana.

„Zaczyna mnie szantażować“ — pomyślał żałując, że stawił się na to przykre spotkanie. — Przeze mnie? — zapytał z wzrastającym zakłopotaniem.

— A jakże. Jak tylko wtedy wróciłam, podzelał mi oko.

— Dlaczego przeze mnie?

— Jak się dowiedział, że byłam u pana, to zaraz zaczął regularną interpelację, a co? a gdzie? a jak? Zupełnie jak na Sądzie Ostatecznym. On pana zna, on ma na pana oko. Musi pan uważać, żeby panu nie przemodelował fasady.

— Skądże może mnie znać?

— Powiedział, że pan w jakiejś gazecie pisze. A potem, jak się dowiedział o tym, że rozmawialiśmy o Zuli, to wyszedł z nerw...

— To po co mu pani o tym mówiła?

Stenia parsknęła.

— Naiwny... Przed nim niczego nie da się ukryć, jak na spowiedzi. Panie, on ma w sobie coś takiego, że nie chcesz, a śpiewasz. Nie zna pan „Błego Wiktora“.

— Szkoda.



— Nie radzę, żeby go pan poznał. On nie z takiego pistoleta jak pan zrobi żalostnego pajaca.

Zjawiła się kelnerka. Badawczym spojrzeniem otaksowała dziennikarza. Była wyraźnie zdziwiona, że taki przystojny, dobrze ubrany mężczyzna siedzi w towarzystwie wychodzącej już z obiegu dziewczyny.

— Co dla państwa?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Niech pani coś zje — zwrócił się do niej Napieralski. — Nie czekając na odpowiedź powiedział do kelnerki: — Dużo ciastek, białą kawę, a dla mnie pół czarnej. — Gdy kelnerka odeszła, zapalił szybko papierosa. — Wygląda na to, że pani nie jadła obiadu.

Stenia skrzywiła się jakoś żłośnie.

— Kto by myślał o takich luksusach. Od dwóch dni prawie nic w gębie nie miałam. Tę forszę, co mi pan dał, musiałam oddać „Blademu”. — Roześmiała się sarkastycznie. — Z pana to śmieszny gość. Jeszcze teraz te ciastka.

— Więc on zabrał pani te pieniądze?

— Powiedział, że mu jestem winna. Został mi tylko ten dwudziestak, co mi go pan na taksówkę dał. Byłam cwana i schowałam za stanik. Z pana to dziwny facet, na taksówkę jeszcze daje i ciastka funduje. A nawet nie prześpi się z dziewczyną. Takiego to nawet w encyklopedii nie znajdzie...

— Głupstwo — przerwał jej dziennikarz. — Co wtedy powiedział „Blady Wiktor“?

— Wściekł się. Myślałam, że go szlag trafi.

— Czy on wie, gdzie jest Zula?

— Nie wie i dlatego tak się rzuca.

— A czy wspominał o niej?

Rozejrzała się z lękiem, nachyliła się nad stolikiem i rzekła przyciszonym głosem:

— Wie pan, co on powiedział? „Ja z niej zrobię ostatnią zdziwę. Ja jej chryzantemy na brzuchu posadzę...” Tak mówił, dając słowo. „Ja ją spod ziemi wy- najdę, żeby ją ziemią przykryć!” Z nim nie ma cacy-cacy. Jak powie coś, to żelbeton. I o panu też trzymał przemówienie. Powiedział, że

takiemu publicyście to każe własną klepsydrę i nekrolog do gazety napisać.

Napieralski gwizdnął rozbawiony.

— Ja panu mówię, że z nim nie ma cacy-cacy ani śmichu. Zawołał Geńka Cynamona i kazał mu z panem konferować. Pewno już byli u pana...

— Byli — potwierdził.

— Niech pan z nimi na udry nie idzie. Szkoda pana. Mało takich tolerancyjnych frajerów w Polsce Ludowej. Oni pana zniszczą.

— To w tym celu chciałaś się ze mną spotkać?

— W tym i jeszcze w innym. Oni mnie na mordę wyrzucili. W lipcu zostałam na lodzie.

— To znaczy — wtrącił z wyrozumiałością — odmówili współpracy...

— To znaczy, że teraz została mi tylko ulica. Jak się w „Kaskadzie”<sup>1</sup> albo w „Oazie” pokażę, to mnie przefastrygują — głos jej nagle załamał się, oczy zaszkliły się łzami.

Napieralski ujął ją delikatnie za rękę.

— To przecież draństwo.

— Myśli pan, że oni z kimś się liczą. Ja dlatego chciałam się z panem spotkać. Ja nie chcę iść na Chmielną albo Marszałkowską, żeby mnie po wypłacie na „fajerantówkę” brali. Pracować w lokalu to co innego. Zresztą dość już mam tego. Wciąż się obyczajówka czepia i czepia, jakbym miała podatek obrotowy płacić. — Obiema dłońmi chwyciła go za rękaw, spojrzała błagalnie: — Pan taki jakiś inny, niech pan mi znajdzie jakąś pracę.

— Chciałabyś wrócić do normalnego życia? Przecież to chyba bardzo trudno.

— Niech się dzieje, co chce. Wolę już torebki sklejać niż patrzeć, jak pijane facety rzygają... A zresztą — dodała z powracającym błyskiem w oczach — jak się ma bazę, to można fuchami dorobić. Wtedy to zupełnie inaczej na taką patrzeć. Mało to w ten sposób budżet reperuje?

Dziennikarz pokręcił głową.

— Masz inwencję...

— Jaką tam inwencję — zaśmiała się. — Mam dwadzieścia dwa lata, a ludzie mówią mi „stara dziewiątka“. Niech pan wierzy — westchnęła — ciężko jest...

Kelnerka przyniosła talerzyk pełen ciastek i dwie kawy. Spojrzała porozumiewawczo na Napieralskiego.

— Jeżeli mało, to jeszcze doniosę.

— Rany Julek! — dziewczyna uniosła ręce gestem zdumienia. — Kto to tyle wrąbie?

— Słodczye krzepią — rzuciła z uśmiechem kelnerka i oddaliła się od stolika.

— Przyniosła tego jak siana — powiedziała dziewczyna nakładając sobie na spodek. Jadła z apetytem, niemal chciwie. Na blaszanej łyżeczce i krawędzi szklanki zostawiała ślady lichej szminki.

— Słuchaj — zagadnął reporter — czy znasz faceta, który Zuli kupił mieszkanie na Polnej?

— Włodzia? — zachichotała. — Osobiście to go nie znam, ale wiem który. Nazywają go „Wesoły Włodzio“. Waluciarz. Forsy ma jak lodu, a baškę do interesu ho! ho! Podobno z zagraniczną dyplomacją handluje. Lepszy gość. Teraz ma nową dziewczynę. Szałowego kociaka. Co to dla niego sto albo dwieście kafli. To kwitownik od grubszego obrotu...

Dziennikarz zamyślił się.

— Mówisz, że on handluje walutą...

— Jak pragnę skonać... Przecież ludzie wiedzą. Raz nawet „Błady Wiktor“ robił z nim jakiś interes. Miał jakiegoś klienta, który chciał spylić dolary, to mu do „Wesołego Włodzia“ uderzyć kazał. To fajny gość.

— Gdzie go można spotkać? Jak wygląda?

— Taki mały, przylizany, trochę dziobaty. Zawsze szalowo ubrany. Anglik, mówię panu. A gdzie go można spotkać? Niech pan zajdzie w południe do „Stylowej“ i zapyta szatniarza o „Wesołego Włodzia“, to z pewnością panu powie. Oni tam czasem interesy ubijają.

— Słuchaj — ciągnął Napieralski — czy ty widziałas kiedyś w towarzystwie Zuli ślepego gościa z białą laską?

— Romantyka? — zawołała wesoło. — No to ci heca.

Byłam tam nawet u niego. Dziwny facet. Jeszcze dziwniejszy od pana. Mówię panu, ubaw był na sto dwa. Zupełnie jak w teatrze. Zaraz panu opowiem, jak to było. Wtedy, kiedy przyskrzynili „Błego Wiktora“, Zula wcale nie odgrywała żalobnej wdowy. Jak się wypuściła, to codziennie było szaleństwo do rana. Zabawa, mówię panu, wdechowa. Inwestorzy po słowie za jeden kawałek na bis płacili. Zula tańczyła z jednym mecenasem sambę na bufecie między sardynkami, frytkami i szkłem. Dobre były czasy — westchnęła, ale wnet znowu zanosła się śmiechem. — Raz Zula do mnie mówi: „Słuchaj, Stenia, ja dziś nie mam czasu, chcesz zarobić?“ Byłam na dobrych obrotach, więc dawaj. A ona do mnie: „Tylko słuchaj, to wielka tajemnica, nikomu o tym nie mów. To jest dziwak. Nie będzie nic z tobą robił, tylko odgrywał takie teatralne kawałki.“ No to ja mówię, dawaj. A ona: „To nie takie proste. Pamiętaj, to jest ślepy facet. Bądź dla niego dobra, żebyś go czymś nie uraziła ani nie dotknęła...“ Widzi pan, jaka ona była subtelna i delikatna? Potem dała mi adres. Idę ja tam, dzwonię, a tu otwiera mi facet w szlafroku, w ciemnych okularach. Mówię panu, zupełnie jak w kinie, głaszcze mnie po twarzy i zaiwania romantyczny monolog: „Królowo moja, jeszcze nie świta... Zaraz zagram ci Chopina...“ Ale w mig poznał, że to nie Zula. Strasznie się zmartwił. „Gdzie ona? Czy jej się coś złego nie stało? Czy zdrowa?“ Tak się wypytywał jak o własną córkę. Mówię panu, on do Zuli czuł miętę. „Zula niestety źle się czuje — mówię — i mnie posłała w zastępstwie“. Myślałam, że odeśle mnie, ale on tylko westchnął, potem siada do fortepianu i zaiwania różne sentymentalne kawałki w rodzaju symfonii i nokturnów. Od czasu do czasu wstaje i pyta się: „Czujesz, jaka miłość bije z tej muzyki?...“ czy coś w tym rodzaju. A ja nic nie czułam, bo mi się cholernie chciało spać... A on a piat’ gra i gra. Potem podszedł do okna, rozsunał story i pyta: „Czy już świt?“ Świtało, jak pragnę zdrowia. On mnie objął i znowu głąskał po twarzy, ale nic więcej, daję słowo, zupełnie jak pan. Raz tylko tam byłam. Dał mi słowę i tabliczkę czekolady. Ale

gdyby mi nie dał, to i tak nie miałabym pretensji, bo, mówię panu, ubaw był na sto dwa.

Dziennikarz, gładząc dłonią chłodne szkło stolika, przymknął oczy. Zdawało mu się, że nagle postać dziewczyny oddala się od niego jak na ekranie, gdy obraz ze zbliżenia przechodzi w pełny plan... I wtedy nawinął mu się obraz inny, wywołany z niedawnych Wspomnień. Zobaczył fragment ulicy w strugach deszczu, ciemną bramę kamienicy i ślepcę stukającego białą laską w płyty chodnika. To ponure staccato akompaniowało pełnej napięcia scenie. A potem ujrzał zapalające się światło w oknie mansardy i pomyślał: „Romantyk... ale jak on potrafi zejść niepostrzeżony przez nikogo. — I dodał: — To chyba czarodziej”.

— Ale pan się zamyślił — usłyszał głos Steni. Gwałtownym ruchem przetarł czoło. I naraz oddalający się obraz dziewczyny znowu pojawił się na pierwszym planie.

— Ach tak... — westchnął — jestem piekielnie zmęczony. — I wnet dorzucił swym rzeczowym tonem: — To bardzo ciekawe. Czy pamiętasz adres?

Dziewczyna zastanawiała się chwilę, grzebiąc łyżeczką w kremie.

— To było na Nowogrodzkiej... Ale który numer? Zaraz sobie przypomnę... No wie pan... zapomniałam, ale zaraz... To było w tej kamienicy, w której na dole jest restauracja... Jak ona się nazywa...

— Już wiem — przerwał jej dziennikarz. — A czy później widywałeś Zulę z tym ślepym gościem?

— Ona się z nim nie pokazywała, bo i po co. Ale wiem, że tam chodziła.

— Aha... A kto to właściwie jest?

— Ten ślepy? Czy ja tam wiem. Zula mówiła, że jakiś pianista czy kompozytor, a mnie się zdaje, że po prostu wariat.

Wszedł do ciemnej, zaśmieczonej bramy. Z kąta uniósł się chudy kundel. Gapił się chwilę zaspanymi ślepiami, a gdy dziennikarz nie zwrócił nań uwagi, podwinął ogon i wymknął się na ulicę.

Napieralski odszukał tablicę ze spisem lokatorów. Studiował ją dokładnie, odczytując z wyblakłych kartek imiona, nazwiska i zawód mieszkańców. Na jednej dłużej zatrzymał wzrok. Odczytał ją powtórnie: „Waldemar Braun — kompozytor — m. nr 17”. „To pewno ten“ — pomyślał i bez pośpiechu wszedł na klatkę schodową. Na trzecim piętrze w ciemnym zakamarku korytarza odnalazł drzwi z tabliczką „17”. Zatrzymał się na chwilę. „Jak ja go zahaczę?” Nacisnął guzik dzwonka. Po chwili za drzwiami usłyszał ciche kroki, jakby się ktoś skradał. Poczul lekki ucisk w gardle i bezwład w nogach, lecz wnet opanował się.

— Kto tam? — odezwał się cichy, ledwo dosłyszalny głos.

— Ja do pana Brauna — powiedział nienaturalnie głośno.

Drzwi uchyliły się bezszelestnie. Napieralski zobaczył wysokiego, barczystego człowieka w tużurku z wielbłądziej wełny. Twarz miał długą, chudą i bladą, oczy ukryte za ciemnymi okularami.

— Przepraszam — zapytał człowiek w ciemnych okularach głosem miękkim i bardzo przytłumionym — pan do mnie w jakiej sprawie?

— Chciałem z panem porozmawiać — zająknął się, ale wnet opanował drżenie głosu i dokończył: — Jestem dziennikarzem z „Wieczoru“.

— Proszę bardzo, panie redaktorze — wskazał wejście łagodnym ruchem ręki. — Myślałem, że przyjdzie ktoś z „Kuriera“. Właśnie wczoraj telefonowała jakaś miła dziennikarka, że chce ze mną przeprowadzić wywiad na temat konkursu na muzykę baletową. Pan zapewne wie, że jestem w jury tego konkursu. Proszę uprzejmie, niech pan wejdzie. Niestety nie mogę pana zaprowadzić, gdyż, jak pan widzi, jestem...

— Dziękuję — przerwał mu dziennikarz uwalniając gospodarza od krępującego obowiązku tłumaczenia się ze

swego kalectwa. Wszedł do dużego ciemnego pokoju. Pod stopami czuł miękki dywan, tłumiący jego niepewne kroki. Okna były przysłonięte storami, przez które sączyło się delikatne światło zachodzącego słońca. Stanął bezradnie na środku pokoju.

— Przepraszam — usłyszał głos gospodarza — która teraz godzina?

— Dochodzi ósma.

— To zapewne jeszcze jasno. Może pan łaskawie rozsunie story. Nie rozsuwałem ich od rana. Pan rozumie, że to dla mnie nie ma żadnego znaczenia.

„Dlaczego on stałe stara się usprawiedliwiać swą ślepotą?”

— pomyślał Napieralski, gdy rozsuwał ciężkie brokatowe story. — Czy można trochę uchylić okna? — zapytał.

— Ależ oczywiście. Zupełnie o tym zapomniałem. Pewno tu duszno, a na dworze przecież tak świeżo po wczorajszym deszczu.

Napieralski otworzył szeroko okno. Potem rozejrzał się po pokoju. Był on obszerny, nieco mroczny, ale utrzymany starannie i umeblowany z wielkim smakiem. W kącie obok okna stała lśniąca skrzynia fortepianu, obok mały stolik zarzucony nutami. Na ścianach kilka starych sztychów. W drugim kącie wygodny fotel i drugi stolik z piękną wazą japońską, z której wychylały pąsowe głowy dwa świeże jeszcze i nierozwinięte tulipany. Pod ścianą oszklone półki z książkami. W przeciwnym kącie stara francuska żardiniera kipiąca jasną zielenią paproci, a pod żardinierą odbiornik radiowy z adapterem i magnetofon. Potoczył szybko wzrokiem i doznał uczucia ulgi. Pokój ten świadczył o ładzie i porządku panującym w tym domu.

— Proszę usiąść — usłyszał łagodny głos kompozytora. — Polecam panu fotel. Moi goście zawsze twierdzą, że jest bardzo wygodny.

Napieralski usiadł, a raczej zapadł się w miękkie obicie fotela. Gospodarz przysunął krzesło.

— Jeżeli pan pali, to bardzo proszę, papierosy są na stoliku. Ja wolę fajkę. — Wyjął z kieszeni tużurka krótką

fajeczkę i zaczął ją wolno nabijać tytoniem.

— Więc pan redaktor w sprawie konkursu?

Napieralski zapalał papierosa. Zdawało mu się, że ślepiec patrzy mu prosto w oczy zza ciemnych szkieł okularów.

— Ja — powiedział przeciągle — ja właściwie w innej sprawie.

— Ach tak — rzekł Braun bez zdziwienia.

— Tak. — Napieralski chrząknął tuszując w ten sposób zakłopotanie. — Ja do pana w sprawie Zuli...

Zauważył, że biała, delikatna dłoń kompozytora drgnęła, gdy podnosiła fajkę do ust. Po chwili konsternacji zapytał głosem doprowadzonym do idealnej obojętności:

— To pan może jest jej przyjacielem?

— Nie — zaprotestował żywo Napieralski. — Ja jedynie z polecenia jej matki.

— Ach tak...

— Czy pan wie — powiedział po chwili — że Zula zniknęła z Warszawy?

Kompozytor znieruchomiał. Pozostał długą chwilę z głową lekko uniesioną, ręką zakrzepłą w geście wyrażającym nagłe wzruszenie.

— Cóż się stało? — wyszeptał.

Napieralski krótko wyjaśnił całe zdarzenie.

— Zainteresowałem się tą sprawą na prośbę jej matki — oznajmił na zakończenie.

Braun zerwał się, jak gdyby chciał czegoś szukać obok siebie.

— Trzeba natychmiast zawiadomić milicję — powiedział napiętym głosem.

— Tak pan uważa?

— To przecież zupełnie zrozumiałe. Przecież mogło się stać coś złego. Dzisiaj nie trudno o wypadki.

— To dziwne. Wszyscy jej znajomi, a nawet matka, odradzali mi, chociaż moja reakcja na wiadomość o zniknięciu Zuli była identyczna.

— Ależ to zupełnie naturalne.



— Może dla nas — zauważył dziennikarz z przekąsem — ale oni uważają, że to całkiem zbyteczne, nawet niebezpieczne.

— A ja sądzę, że należy natychmiast zatelefonować. — Nieco chwiejnym krokiem ruszył do stolika, na którym stał aparat telefoniczny. Zanim dojrzał, potknął się o odwinięty róg dywanu. Z trudem utrzymał równowagę. Dłonią szukał aparatu. Napieralski przyglądał się tej scenie z zawodową wnikliwością. Zdawało mu się, że wykonawca odegrał ją z rutyniarskim wyczuciem sytuacji. Gdy kompozytor podjął słuchawkę, zatrzymał go spokojnym głosem:

— Czy to konieczne?

— Trzeba natychmiast zawiadomić milicję.

— Jeżeli jej matka ma pewne skrupuły, to uważam, że nie jest to aż tak konieczne — redaktor sączył wolno słowa. — Zresztą, czy pan uważa, że istnieją pewne okoliczności, które by nakazywały aż tak daleko posuniętą przezorność?

Braun odłożył słuchawkę.

— Nie rozumiem pana. Przecież jej może grozić niebezpieczeństwo. W dzisiejszych czasach trzeba się z tym liczyć.

— Słusznie. Ale w jaki sposób wytłumaczy pan milicji, że właśnie w tym wypadku grozi niebezpieczeństwo?

Kompozytor wykonał ręką gest zniecierpliwienia.

— Przecież milicja jest od tego...

— Zapytają zapewne, co pana upoważnia do tej troskliwości?

— Co mnie upoważnia? — zapytał i po raz pierwszy w jego miękkim głosie zabrzmiał ton szorstki, niemal nieprzyjemny. — Zwyczajna, ludzka przyzwoitość! Znam dobrze tę dziewczynę i uważam, że w takim wypadku powinienem starać się jej pomóc.

— A jeżeli jej pan zaszkodzi? W rozmowie z matką wyczułem, że są pewne okoliczności, które wymagają dyskrecji. Pan doskonale rozumie, że od milicji trudno wymagać dyskrecji. Sprawa może się dostać do prasy, do radia. Powiedział pan, że zna pan dobrze tę dziewczynę. Czy zechciałby mi pan udzielić kilku drobnych wyjaśnień. Niech się pan nie obawia, może pan liczyć na pełną dyskrecję z mej

strony.

Braun wyprostował się.

— Niedyskrecje to przecież zaleta pańskiego zawodu — powiedział trochę kpiąco.

— W tym wypadku działałam zupełnie prywatnie i zapewniam pana, że nie mam zamiaru napisać o niej ani jednego wiersza. Dziwi się pan zapewne, co mnie do pana sprowadziło. Otóż dowiedziałem się od byłej koleżanki Zuli, że Zula odwiedzała pana.

— Przychodziła dość często.

— Kiedy pan ją widział ostatni raz?

— Chyba przed dwoma tygodniami. Niepokoiłem się bardzo, dlaczego nie zjawia się tak długo.

— A czy pan też bywał u niej?

— Nie — rzucił pospiesznie. — Pan wie, że poruszanie się po mieście sprawia mi wiele kłopotu, a tym bardziej towarzyszącym mi osobom. Zula lubiła tu przychodzić. Mówiła, że dobrze się tutaj czuje. Ona tak pięknie słuchała muzyki... — głos mu się załamał i przeszedł w cichy półszepot.

— To znaczy, że pan nigdy nie był na Polnej? — Napieralski powtórzył pytanie tonem prowokującym. Tamten wzruszył ramionami.

— Nawet nie wiedziałem, gdzie mieszkała.

— Nie mówiła panu, chociaż byliście w przyjaźni?

Braun z niesmakiem zmarszczył brwi.

— Ona miała bardzo subtelną naturę... — powiedział z naciskiem.

Zaległa chwila ciszy. Napieralski był zupełnie wytrącony z konceptu. Postać niewidomego kompozytora wydała mu się w tej chwili tak enigmatyczna, że nie potrafił znaleźć dla niego nawet ogólnego określenia. Patrzył, jak Braun czyści w milczeniu fajkę, i myślał, że natrafił na jeszcze jedną zagadkę. Zapytywał siebie w myśli: czy to ten sam człowiek, który we środę wieczorem wszedł do bramy na ulicy Polnej? I naraz wydało mu się, że uległ jakiejś przedziwnej mistyfikacji, że ta postać wśród deszczu i akompaniament stukotu białej laski to były zjawiska spoza granicy

zmysłowych doznań. Powiedział więc w zamyśleniu:

— Zapewne dziwi się pan, że pana tak indaguję. Bardzo pana przepraszam. Niech pan postara się mnie zrozumieć. Jestem dziennikarzem i zarazem człowiekiem bardzo wrażliwym na społeczne przejawy naszego życia. Zetknąłem się zupełnie przypadkowo z niezwykle ciekawym zdarzeniem, więc nic dziwnego, że staram się rozwiązać pewne zagadki z nim związane. Nie znam osobiście Zuli, jednak z tego, co o niej słyszałem, mogę wnioskować, że jest to postać niezwykle interesująca. Przypuszczam więc, że bardziej mnie pociąga jako studium psychologiczne i społeczne niż temat dziennikarski. Przyznaję, że ta cała sprawa bardzo mnie wciągnęła, więc jeszcze raz pana przepraszam...

Skinął tylko ręką.

— Nie szkodzi. Jeżeli chodzi o Zulę, to jestem do niej tak bardzo przywiązany, że nawet rozmowa o niej sprawia mi przyjemność. Ma pan rację, to naprawdę niezwykła dziewczyna. Szkoda tylko, że ma tak bardzo trudny i skomplikowany charakter.

— Właśnie — podjął skwapliwie dziennikarz — słyszałem o niej dużo i bardzo mnie zaskoczyła sprzeczność opinii.

— Oni jej nie znają — powiedział kompozytor. — Czy pan wie coś o jej życiu?

— Wiem nieco z opowiadań.

— Mówili panu zapewne, że wyszła z półświatka.

— Tak.

— A ja pana zapewniam, że ona nadal pozostała czysta... w sensie moralnym oczywiście. Zapewne pan zna to środowisko. To przecież rewiry naszego życia, gdzie jeszcze rządzi prawo dżungli. Czy pan sobie zdaje sprawę, ile ona musiała przeżyć?

— Przypuszczam, że nie miała łatwego życia.

— To tragedia — wyszeptał i westchnął głęboko. — Ja znam ją dobrze, chyba najlepiej ze wszystkich. Ona cały czas miota się w matni. Ma na tyle siły, żeby się nie zatracić, a za mało na to, żeby się z tego wydostać.

— Podziwiam ją — dziennikarz zapalił nowego papierosa.  
— Inne jej koleżanki stoczyły się już niemal na dno, a ona — jeżeli tak można powiedzieć — wypłynęła, utrzymuje się na powierzchni.

Braun westchnął.

— Żeby pan wiedział, ile to wymaga wysiłku. Nieraz przychodziła do mnie z płaczem: „To już chyba koniec“ — mówiła. „Ja tego dłużej nie wytrzymam. To ponad moje siły.“ Ostatnio była bardzo niespokojna. Znowu przeżywała depresję.

— Czy nie mówiła panu o przyczynie?

— Nie. Wie pan, ona była bardzo skryta. Dlatego tak głęboko i boleśnie wszystko przeżywała. Ja zaś nie śmiałem się pytać. Zresztą na nic by się to nie zdało. Była jak ślimak, który chowa się w swą skorupę... — Wstał, jak gdyby sobie nagle o czymś przypomniał. — Może pan napije się kieliszek koniaku. Pewien przyjaciel przywiózł mi z Paryża oryginalnego „Maikoffa”.

Napieralski wstał również.

— Bardzo chętnie. Tylko proszę się nie fatygować. Sam się obsłużę.

— Butelka i kieliszki są w bibliotece na dolnej półce, niech pan będzie tak uprzejmy — i należy również dla mnie. Lubię się napić w przyjemnym towarzystwie.

Dziennikarz podszedł do biblioteki. Był to biedermeierowski mebel z pięknego orzechowego drzewa. Otworzył kunsztownie złożone drzwiczki i naraz znieruchomiał. W głębi półki obok kilku butelek leżała niewielka paczka owinięta w żółty papier i starannie zaplombowana.

„To ta sama“ — pomyślał i zamiast flaszki podniósł paczkę. Zważył ją w dłoni. Była niezwykle ciężka jak na swe rozmiary.

— Czy znalazł pan „Maikoffa”? — usłyszał za sobą głos gospodarza.

— Tak jest... oczywiście... — wykrztusił nieswoim głosem.

Zostawił paczkę na poprzednim miejscu, zabrał butelkę, dwa kieliszki, zbliżył się do stołu.

— Niestety nie mam lodówki — powiedział Braun siadając.  
— Koniak będzie ciepły.

— Nie szkodzi, ciepły koniak ma wspaniały aromat — Napieralski starał się opanować modulację głosu. Był jednak tak zaskoczony niespodziewanym odkryciem, że gdy stawiał butelkę na stoliku, czuł, że mu dłoń drży. — Przypuszczam — dorzucił — że pan domyśla się, dlaczego Zula uciekła z Warszawy?

Braun wyjął fajkę z zębów. Uniósł lekko ramiona.

— Czy to była ucieczka? Może po prostu wyjechała z tym miłym studentem. On przecież lubi przestrzeń. Zapraszał ją często na żaglówkę...

— Nie — przerwał mu sucho dziennikarz. — Student jest w Warszawie. Rozmawiałem z nim wczoraj.

— Ach tak...

— I zdaje mi się jednak, że to była ucieczka. Zapewne słyszał pan o pierwszym przyjacielu Zuli, niejakim „Bładym Wiktorze“?

— Tak. To jakiś straszny typ — powiedział kompozytor z odrazą w głosie.

— Właśnie ten straszny typ wyszedł obecnie z więzienia. Czy nie przypuszcza pan, że Zula przed nim uciekła?

— Możliwe — powiedział Braun w zamyśleniu. — Ale to dziwne, że nic mi o tym nie mówiła.

— Czy nie wspominała panu o pewnym cudzoziemcu, z którym ostatnio dość często przebywała?

Braun przetarł dłonią zmarszczone czoło.

— Owszem, mówiła, że poznała w Poznaniu pewnego Austriaka z Wiednia, przedstawiciela jakiejś firmy... Podobno bardzo miły człowiek...

Napieralski nalewał właśnie koniak. Ręka mu drgnęła i cienka strużka płynu zamiast do kieliszka połała się na stolik. „Ho, ho — pomyślał — pierwsza szczegółowa informacja“. — I zapytał głośno:

— Przedstawiciel jakiej firmy?

— Nie mam pojęcia. Zapewne jakiejś firmy handlowej, która wystawiała na Targach Poznańskich.

— Austriak z Wiednia.

— Tak przynajmniej mówiła Zula.

— I była przy tym zdenerwowana?

— Wyczuwałem, że była bardzo roztargniona. Przy-  
puszczam, że ten człowiek zaproponował jej wyjazd...

— O! — Napieralski nie mógł opanować okrzyku. — To  
niezwykle ciekawy szczegół. Może ona... może ona po prostu  
zwiąła...

— Nie sądzę — przerwał mu ostro Braun. — Gdyby miała  
zamiar wyjechać, powiedziałyby mi o tym. Byliśmy w zbyt  
dobrych stosunkach, żeby mogła wyjechać bez pożegnania.

— Tak... — powiedział przeciągle dziennikarz. Podsunął  
Braunowi kieliszek. — Teraz rozumiem jej roztargnienie.  
Walka wewnętrzna. Z jednej strony młody, zakochany  
student, z drugiej perspektywa wyjazdu na Zachód i  
uwolnienia się od przykrości. Nie zdziwiłbym się wcale,  
gdyby pan otrzymał pocztówkę z Praterem albo katedrą  
świętego Stefana.

Dłoń ślepeca błędziła po gładkim stoliku. Gdy nagle  
napotkała kieliszek, znieruchomiła na chwilę.

— To wykluczone. W to nigdy nie uwierzę. Przecież nie  
wyjechałaby bez pożegnania z matką.

— Może chciała zachować wszelką ostrożność! Pan  
rozumie, taka okazja nie zawsze się zdarza.

— Wykluczone — powtórzył kompozytor i uniósł kieliszek.  
— Zdrowie pana redaktora.

— Znakomity koniak — redaktor postawił kieliszek na  
stoliku. — Aha... — powiedział, jak gdyby sobie coś  
przypomniał. — Byłem wczoraj na Polnej w mieszkaniu Zuli.  
Oczywiście z jej matką. Kobięcina jest bardzo zmartwiona.  
Powiedziała mi, że podczas jej nieobecności ktoś wyniósł z  
mieszkania małą paczkę, która leżała na półce między  
książkami. Jakie to dziwne zdarzenie, prawda?

— Może pan jeszcze należy — rzekł Braun spokojnie, jak  
gdyby nie słyszał poprzednich słów. Potem dorzucił tym  
samym obojętnym głosem: — A cóż to była za paczka?

— Jakaś mała paczka zawinięta w żółty papier i za-

plombowana.

— I co w niej było?

— To jest właśnie tajemnicą. Matka niestety nie знаła jej zawartości. Wspomniała jedynie, że paczka była wyjątkowo ciężka.

— Ciekawe.

— Bardzo ciekawe, a najciekawsze, kto mógł wejść do mieszkania. Zapewne ktoś, kto posiadał klucze.

— Ciekawe — powtórzył Braun i zabębnił długimi palcami na krawędzi stolika.

— Paczka znikła prawdopodobnie wieczorem — ciągnął Napieralski tonem beznamiętnego sprawozdawcy. — I co ciekawsze, student, którego spotkaliśmy przed bramą, twierdzi, że widział, jak w oknie mansardy zapaliło się światło. Zanim weszliśmy na górę i otworzyliśmy drzwi, światło było już zgaszone, a mieszkanie zamknięte i puste.

Braun aż cmoknął z wrażenia.

— Niesłychane! — I po chwili dodał: — To już zakrawa na jakąś sztuczkę magiczną.

Redaktor z natężeniem wpatrywał się w bladą twarz swego rozmówcy. Była spokojna, nieruchoma. Ciemne szkła odbijały obraz fragmentu pokoju. A za ciemnymi szklami tkwiły niewidoczne oczy. Napieralski miał nieodpartą chęć zerwać z twarzy te szkła i spojrzeć Braunowi w oczy. Czy były one naprawdę niewidome?

— Wiele bym dał za to, żeby się dowiedzieć, kto zabrał tę paczkę i u kogo ona teraz jest — rzekł bardzo spokojnie. Napełnił oba kieliszki. Tym razem uczynił to tak wprawnie jak kelner. Ręka mu nawet nie drgnęła. Spojrzał ukradkiem w stronę biblioteki. W tężejącym mroku zobaczył zarys żółtej paczki. W tej chwili zrodziło się w nim postanowienie. Wykradnie paczkę.

Jeżeli jego gospodarz jest naprawdę niewidomy, wtedy wyniesienie paczki nie będzie nastroczało najmniejszej trudności. Jeżeli natomiast udaje ślepeca, wszystko wyjawi się w jednym momencie.

Ręka niewidomego znowu sięgnęła po kieliszek. Ruch był

zbyt gwałtowny. Szkło zachwiało się, lecz nie upadło, tylko płyn przelał się przez krawędź i cienką strużką spłynął po palcach.

— Życzę panu — powiedział Braun unosząc kieliszek — żeby pan jak najrychlej wyjaśnił tę tajemnicę.

„Bezczelny albo się zgrywa“ — pomyślał Napieralski wychylając koniak jednym łykiem. A potem zwrócił się do kompozytora: — Dziękuję. Jestem pewny, że mi się to uda.

— Powodzenia, panie redaktorze. Opowiadanie pańskie wygląda trochę fantastycznie, ale jeżeli pan ma choć trochę słuszności, to życzę powodzenia.

Napieralski zrozumiał, że nie ma sensu przedłużać tej wizyty. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Pokój napelniał się fiołkowym mrokiem. Czarne pudło pianina połyskiwało matowo, a dwie pąsowe główki tulipanów sposepniały, jak gdyby otulone szarą mgiełką. Tylko (wydawało mu się) żółty grzbiet zalakowanej paczki nabrał jeszcze intensywniejszej barwy i tkwił wyzywająco wśród butelek.

— Nie będę panu dłużej zajmował czasu. Pewno pana oderwałem od pracy — rzekł podnosząc się z fotela.

— Ależ nic podobnego, panie redaktorze. Sprawił mi pan swą wizytą wielką przyjemność.

— Poza tym muszę wpaść do redakcji. Czekają na mnie — skłamał.

Kompozytor wstał również. Oparł się o krawędź stołu.

— Może jeszcze jeden koniak?

— Był znakomity, ale serdecznie dziękuję. W pracy muszę być trzeźwy — zażartował. Wziął ze stołu butelkę. — Pozwoli pan, że zrobię porządek.

— To zupełnie zbyteczne — zaprotestował łagodnie Braun. — Rano przychodzi moja gosposia...

— Będzie miała mniej roboty — zaśmiał się i zaniósł butelkę do biblioteki. Postawił ją głośno na półce. Szkło brzękło cicho, melodyjnie. Schwycił szybko paczkę i ruchem opanowanym wetknął ją pod pachę lewej ręki. Zdawało mu się, że czuje na sobie wzrok kompozytora. Gdy odwrócił



spojrzenie, w pierwszej chwili ujrzał jedynie ciemne szkła okularów niby rozszerzone źrenice... Braun stał w tym samym miejscu i w tej samej pozie, wsparty lekko o krawędź stolika. Twarz miał martwą, nieruchomą. Dziennikarz drgnął, lecz wnet opanował się i podszedł śmiało do gospodarza.

— Więc dziękuję panu za znakomity koniak i miłe przyjęcie. I przepraszam za indagację.

— Było mi niezwykle miło — skłonił się Braun. — Jeżeli będzie pan miał jakąkolwiek wiadomość o Zuli, niech pan nie zapomni mnie zawiadomić. Przyznam się, że jestem bardzo zaniepokojony.

— Ja również. Gdyby pan chciał skontaktować się ze mną, to znajdzie mnie pan zawsze rano w redakcji „Wieczoru“. Telefon 8 53 05. Mam panu napisać?

— Nie, dziękuję. Posiadam znakomitą pamięć, a jeśli będzie pan miał ochotę posłuchać dobrej muzyki, to bardzo proszę, jestem zawsze do pana dyspozycji. Mam dość dużą kolekcję płyt i taśm magnetofonowych. Zapraszam pana na dobrą muzykę.

Napieralski przemknął obok ślepcy jak złodziej obok uśpionego dozorca.

— Dziękuję uprzejmie, a z zaproszenia skorzystam przy najbliższej okazji.

Braun wyciągnął dłoń.

— Do zobaczenia, panie redaktorze.

— Do widzenia panu. Niech pan się nie fatyguje, sam trafię do drzwi. Jeszcze raz serdecznie pana przepraszam. — Ramieniem mocniej przycisnął paczkę do boku. Wszedł do przedpokoju. Gdy był już przy drzwiach, usłyszał za sobą głos Brauna.

— Czy pan czegoś nie zapomniał?

— Ach nie — rzucił nie oglądając się. Miał takie wrażenie, jakby ktoś chciał go złapać za poły marynarki. Chwilę szamotał się z zapasową zasuwą, gdy ustąpiła — pchnął drzwi i wypadł na korytarz. Nikt go nie zatrzymał. Zbiegł szybko ze schodów. Nikt go nie ścigał. W bramie minął

kobietę objuczoną dwiema siatkami pełnymi sprawunków. Objęła go przelotnym spojrzeniem, lecz przeszła obojętnie. Z wielką ulgą znalazł się na ulicy. Panował półmrok. W głębi przy Marszałkowskiej płonęły już pierwsze latarnie. Ich blask klócił się z sinym tłem nieba. Nagle doznał uczucia rozczarowania. Spodziewał się jakiegoś nagłego spięcia, które mogłoby mu wyjaśnić całą niecodzienność sytuacji, tymczasem szedł spokojnie ulicą, niósł tajemniczą paczkę i nikt mu w tym nie przeszkadzał. — Dlaczego on pozwolił mi odejść? — zadał sobie pytanie. — Co jest w tej paczce? — Miał ochotę skrócić do najbliższej bramy i sprawdzić jej zawartość, ale pomyślał, że byłoby to nierozsądne. Obejrzał jedynie paczkę i z trudem odczytał umieszczony w rogu napis:

„Jartz und Sohn — Chirurgische Instrumenten — Wien“.

„Ciekawe! — pomyślał zdumiony nowym odkryciem. — Czyżby to były naprawdę narzędzia chirurgiczne?“ — zważył paczkę na dłoni. Była ciężka i solidna. Jeszcze raz odczytał nadruk firmowy. A więc paczka pochodzi z Wiednia i nieprzypadkowo znalazła się w mieszkaniu rudej modelki — wnioskował. — Jeżeli sprawdzi się, że cudzoziemcem, który ostatnio przebywał w towarzystwie Zuli, jest ów Austriak, o którym wspominał kompozytor, zagadka będzie częściowo rozwiązana. Tylko dlaczego paczkę z niewinnymi narzędziami chirurgicznymi wykradano w nocy z zamkniętego i chwilowo opuszczonego mieszkania? Odpowiedź odłożył do chwili, gdy zbada zawartość tajemniczej paczki.

Postanowił więc wracać do domu. Na rogu Kruczej zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

— Na Żoliborz — rzucił kierowcy — ale gazem, bo mi się bardzo śpieszy.

— Zrobi się, szanowny panie, tylko dorzuci pan piątaka — zażartował kierowca i roześmiał się wesoło.

Wbiegł do bramy, zapalił światło. Klatka schodowa była pusta, a jego kroki dudniły podwajane echem. Wspinał się w górę, przesadzając po dwa stopnie. Pod pachą ścisnął kurczowo paczkę. Gdy wbiegł na podest drugiego piętra, wyczuł, że ktoś stoi pod jego drzwiami. Najpierw zobaczył wielki, zniekształcony cień, a potem, gdy podniósł wzrok, ujrzał mężczyznę opartego plecami o jego drzwi. Poznał go natychmiast. Był to „Blady Wiktor“. Palił papierosa, a korytarz drugiego piętra tonął w kłębach siwego dymu.

Miał jeszcze trzy stopnie do pokonania, lecz zatrzymał się gwałtownie. Patrzył bez słowa na owianą dymem postać.

„Blady Wiktor“ wolnym ruchem uniósł dłoń do czoła.

— Podobno chciał się pan ze mną spotkać — powiedział cichym głosem. — Czego się pan tak zląkł? Niech się pan nie boi.

— Nie spodziewałem się pana tutaj.

— Powiedzieli mi, że chciał się pan ze mną spotkać — powtórzył „Blady Wiktor“. Wyrzucił niedopalonego papierosa i przygniótł go butem. Na korytarzu pełno było niedopałków. Redaktor pomyślał, że Wiktor długo na niego czekał. Rzucił szybko:

— Tak, prosiłem ich, żeby mnie z panem umówili. Dziwię się jednak, że przysłał pan do mnie takich... — chciał powiedzieć „takich łobuzów“, ale powstrzymał się.

— To wdechowe chłopaki — uśmiechnął się „Blady“ i przerzucił gabardinowy płaszcz na drugie ramię. Był ubrany w jasny flanelowy garnitur. Biała koszula z włoskim kołnierzykiem i krawat w poprzeczne paski podkreślały jeszcze bardziej staranność jego ubioru.

— Nie przeczę — podjął już spokojnie dziennikarz — tylko wyglądało na to, że mają ze mną jakieś porachunki.

— Przesadzasz pan, panie redaktorze. Oni mieli powiedziane, żeby się z panem obchodzili jak z hrabią. Grzecznie, dyplomatycznie.

— Tak... — Napieralski stanął na podeście. — Bardzo pana przepraszam, ale niestety nie mogę pana poprosić do siebie. Mam gościa w domu...

— Dziewczynkę, co? — przymrużył porozumiewawczo oko.  
— Niech się pan nie krępuje, to ludzka rzecz.

— Zejdziemy na dół i jeżeli panu to odpowiada, pójdziemy „Pod Gruszę“.

— Tylko pospiesz się pan, bo ja tu już półtorej godziny na pana kapuję.

— Zaraz wracam.

Gdy otwierał drzwi, „Blady Wiktor“ zahaczył:

— Prezent pan niesiesz dla księżniczki, co? — ruchem głowy wskazał na paczkę.

— Zgadł pan. Kobiety są jak choinki na Boże Narodzenie, muszą być obwieszane — zażartował.

Wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi. Bał się, by „Blady“ nie wtargnął za nim siłą. Schował paczkę do szuflady w biurku, umył w łazience ręce, opryskał, spoconą twarz wodą, wytarł się i pospiesznie wyszedł z mieszkania. Wiktor wciąż tkwił w korytarzu. Zapalał, następnego papierosa.

— Ta pańska cizia to chyba niema — zauważył z przekąsem.

— Śpi — zaśmiał się redaktor.

— Toś ją pan przepisowo zatrudnił — powiedział tamten ni to żartem, ni to drwiąco. — Babki po tym konkursowo chrapią.

— Zna się pan...

Schodzili ze schodów.

— Czy mogę wiedzieć, czemu mam przypisać tak nagłą wizytę? — zapytał Napieralski.

— Cholernie tęskno mi do pana — mruknął tamten. — Chciałem pana poznać. Sam chyba nie muszę się przedstawiać.

— O nie...

— A z pana ciekawy gość i dobry dziennikarz. Tylko... Tylko za dużo chcesz pan wiedzieć.

— To już wada wszystkich dziennikarzy.

— No tak, płacą wam za to ciężką forszę.

— Mniej niż się panu zdaje.

— U mnie mógłby pan lepiej zarobić — zatrzymał się i przymrużonymi oczyma badał, jakie wrażenie wywarły jego słowa na dziennikarzu. Ten roześmiał się bardzo swobodnie.

— A więc to ma być propozycja?

Błade policzki Wiktora drgnęły, kąciki ust skurczyły się w złośliwym uśmiechu.

— Obojętne, jak pan to nazwie, pogadamy o tym później.

Byli w restauracji „Pod Gruszą“. Usiedli w kącie sali. Orkiestra rzępoliła „A rivederci Roma“. Unosił się zapach przestalego piwa. Przy stolikach siedzieli ludzie o zmęczonych twarzach. Było mdło, duszno i nudno.

— Ta chata bez towarzyskiego biglu — zauważył „Błady Wiktor“. — Dla urzędników po tysiąc złotych miesięcznie. Dałbyś pan tym szmaciarzom — pokazał ruchem głowy na orkiestrę — po stówie, toby inaczej zagrali.

— Czy panu koniecznie potrzebny akompaniament?

— Jak grać, to grać. Na pogrzebach weselej grają. — Spostrzegł snującego się między stolikami kelnera. Pstryknął palcami. — Panie szefie, zamówienie monopolowe.

Kelner jakby się ocknął z koszmarne go snu, rozwarł szeroko oczy, poruszył wargami i czując instynktownie napiwek, uśmiechnął się z trudem.

— Czego się napijemy, panie redaktorze? — zwrócił się Wiktor do Napieralskiego.

— Jeżeli panu powiem, że po szklance mleka, to i tak pan nie uwierzy.

— Za pół litra „Soplicy“ pan się nie obrazi, ja stawiam. Tylko z lodu... No i zakąski.

— Pół literka „Soplicy“?

Kelner zatarł pulchne dłonie i wyraźnie się ożywił.

— Może być szyneczka, polędwiczka, szczupak faszzerowany...

— Dawaj pan wszystkiego po trochu, nie będziemy się bawić w detale.

Kelner skłonił się według normy obowiązującej przy takim zamówieniu i poszybował w stronę bufetu. „Błady Wiktor“ odprowadzał go kpiącym spojrzeniem. Naraz zwrócił się w

stronę dziennikarza.

— Widać, że z pana morowy chłop.

Napieralski zapalił papierosa.

— Po czym pan sądzi?

— Tak panu z oczu patrzy.

— Tak?... to dobrze — uśmiechnął się redaktor.

„Blady Wiktor“ położył na stole paczką amerykańskich papierosów. Widać było, że stara się każdym szczegółem zaimponować dziennikarzowi. Początkowo rozmowa nie kleiła się. Siedzieli naprzeciw siebie jak dwaj gracze. Mierzyli się dociekliwymi spojrzeniami, puszczała zdawkowe zdania jak próbne balony. Dopiero gdy w butelce ubyło do połowy, dialog ożywił się.

— Zdrowie naszej kochanej prasy — Wiktor uniósł kieliszek. — Żeby pan wiedział, jak ja chętnie czytam waszego „Wieczorniaka”. Ta ostatnia powieść — wdechowa! A Wiech to już szkoda gadać. Gdybym był ministrem, tobym mu dał nagrodę Nobla. Niech Warszawa ma swojego laureata, czy jak mu tam... śmierć frajerom. Niech się pan ze mnie nie śmieje. Ja się znam na kulturze. O mnie też kiedyś w kronice sądowej pisali. Reklamę mi, kochany redaktorze, zrobili. Że ja fachowiec z czteroletnim stażem w pierdlu. Ale to nic. Stać mnie na to.

— Ja nie zajmuję się kroniką sądową.

— Wiem, wiem, kochany redaktorze. Pan publicysta. Pan te większe kawałki na tematy społeczne skutecznie. Czyta się w „Wieczorniaku“, wie się, kto to redaktor Stanisław Napieralski. Bombowe rzeczy. Na przykład z tą spółdzielnią metalowców. Toś im pan atomowo zasunął. Pan to taki hurtownik, byle głupstwem się nie zajmuje. Od razu wielkie problemy. No to cyk, panie redaktorze! Zdrowie kochanej prasy!

Wypili. Napieralski odsunął kieliszek chcąc dać do zrozumienia swemu towarzyszowi, że nie ma ochoty dokończyć z nim butelki.

— Pan jest niezwykle uprzejmy — powiedział przeciągając słowa. — Chciałbym jednak dowiedzieć się, w jakim celu

przyszedł pan dzisiaj do mnie?

„Blady Wiktor“ wzruszył ramionami.

— Przecież to pan chciał się ze mną spotkać, redaktorze.

— Dlatego pan czekał na mnie półtorej godziny?

— Ech, czego ja bym dla pana redaktora nie zrobił.

Napieralski spojrzał mu ostro w oczy.

— To niech pan powie, gdzie jest Zula?

Twarz „Bladego” sposepniała, stała się szara i smutna. W oczach zapaliły się iskierki. Przeciągnął dłonią po czole.

— To mi pan zadał cholerne pytanie. Chciałem właśnie o to samo zapytać.

— Trudno by mi było odpowiedzieć. Mamy nierówne szanse. Pan zna ją kilka lat, a ja?... Ja jej w ogóle nie znam.

— Ale bardzo się nią pan interesujesz.

— Ciekawa dziewczyna.

— Czy tylko dlatego? — Oczy „Bladego” stały się małe, kłujące jak u łasicy. Szybkim ruchem poprawił krawat, obciągnął klapy marynarki, jak gdyby dopiero teraz zabierał się do poważnej rozmowy.

Dziennikarz ominął jego pytanie, oparł się wygodnie o poręcz krzesła.

— Więc nie wie pan, gdzie jest ruda Zula?

— Gdyby mi pan to powiedział, postawiłbym jeszcze litra — uśmiechnął się złośliwie.

— Tak panu na tym zależy?

— Cholernie.

— To może ma pan jakieś przypuszczenia?

„Blady” plasnął dłonią w stół.

— Zgadł pan. Mam nawet pewne podejrzenia. Wydaje mi się, że to wszystko, co pan robi, to dla zamydlenia mi oczu.

— Nie rozumiem — zachnął się Napieralski.

— Zaraz to panu wytłumaczę. Ta Michalczykowa to wyrafinowana starucha. Ona pana podpuściła?

Dziennikarz wzruszył ramionami.

— Zwróciła się do mnie, żebyśmy jej pomogli.

— Zrobiła z pana balona. Ona wie, gdzie jest jej córuchna. Ona dobrze wie, panie redaktorze. Ja ją już przycisnąłem.

Ona bluffuje. Podpuściła pana, żeby pan szukał Zulejki, żebyś pan zrobił zasłonę dymną. Przez ten czas Zulejka da nogę, a nam nic innego nie zostanie, jak wypić pół litra na zmartwienie. Z pana mogą zrobić parafiana, ale ze mnie nie.

Napieralski spoważniał, wyciągnął papierową serwetkę i darł ją na drobne strzępki.

„To ty bluffujesz — myślał patrząc na papierową maskę Wiktora. — Chcesz mnie podejść z innej strony. Ale pomyliłeś się. Zobaczymy, kto z nas okaże się bardziej cwany.“

— Widzę — rzekł spokojnie — że panu bardzo zależy na odszukaniu rudej Zuli.

— Mam z nią pewne rozliczenia. Nie lubię być nikomu dłużny.

— To bardzo pięknie z pana strony — kpił dziennikarz. — Ale zdaje mi się, że po tylu latach pewne długi ulegają przedawnieniu.

— Ale nie u mnie, panie redaktorze. Ja jestem honorowy dłużnik, ja spłacam co do grosza, z procentami.

Redaktor zmiął serwetkę, rzucił ją do popielniczki.

— Skończmy z aluzjami. Mówmy tak, jak jest — powiedział tonem stanowczym. — Pan chce się po prostu zemścić, a ona uciekła przed panem.

„Blady Wiktor“ cofnął się jak człowiek unikający gwałtownego ciosu. Zaciśnięte dłonie położył na krawędzi stolika.

— To pewno ta chuda Stenia tak panu powiedziała.

— Wystarczy spojrzeć na pana, żeby się domyślić.

„Blady Wiktor“ uśmiechnął się cierpko. Sięgnął po butelkę. Podniósł ją, przyjrzał się pod światło.

— Widzi pan, wypiliśmy do połowy i powiedzieliśmy do połowy. Trzeba wypić i powiedzieć do dna. To, co jest między mną a Zulką, zostanie między nami... — głos jego przeszedł w szept ostry, świszczący. — Nie wolno się nikomu do tego mieszać.

Dziennikarz rozłożył ręce.

— Jest dziewczyna, młoda, ładna, miła. Potem wychodzi,



znika, znajduje kogo innego... Mówi do widzenia...

Wiktor tak mocno zacisnął sine usta, aż krew odpłynęła z nich zupełnie, a twarz stała się równomiernie blada, jak gdyby pozbawiona warg.

— To pan twierdzi, że ona ma kogoś? — spytał Napieralski.

— Nie twierdzę, daję panu przykład. Ja wiem, że ona kogoś ma, i pan o tym wie. Po co mamy się bujać. Ona ma kogoś, ale go nie będzie miała.

— Chyba usunie go pan siłą?

— Nie będę się babrał ze szczeniakiem. Ona sama do mnie wróci.

— A jeśli nie wróci?

— Wróci, zaręczam panu. I dlatego właśnie chciałem z panem porozmawiać. I dlatego, śmierć frajerom, półtorej godziny stałem pod pana drzwiami. Ona do mnie wróci, tylko niech pan mi nie przeszkadza. Pan napisze kilka kawałków, odpalą panu za to kilka stów, a przez to spłoszy mi pan dziewczynę.

— Zapewniam pana, że nie napiszę o Zuli ani słowa. Ale chciałem panu zwrócić uwagę, że ludzie się zmieniają. Zula też się zmieniła przez te lata. To już nie ta sama ruda Zulejka co przedtem.

„Blady Wiktor“ przymrużył oczy, skrzywił się jak po wypiciu pierwszego kieliszka. Widać było, że to go ubodło.

— Pan myśli, że z niej zrobiła się dama. Ma własne mieszkanie, ubiera się, chodzi do „Krokodyla”... A co, mnie na to nie stać, żeby damę utrzymać! Ja powiem jej tylko jedno słowo, a ona wróci. — Chwycił kieliszek i wypił go chciwie. — Pan mnie nie zna. Pan myśli, że ja taki zwykły chuligan. Nie radzę panu, żeby mnie pan lepiej poznał.

— Grozi mi pan?

— Nie, tylko ostrzegam. Niech pan się nie miesza w nasze sprawy. A jeżeli pan spróbuje...

— To znaczy, pan mi grozi.

— A jeżeli pan spróbuje, to bądź pan pewny, że nie weźmie pan za te kawałki honorarium. — Naraz twarz jego znowu się zmieniła, naprężone łuki brwi zwiotezały, policzki obwisły,

wargi nabiegły sinością. Napełnił szybko własny kieliszek.

— No, kochany redaktorze, co pan tak na mnie patrzy? Napijmy się za naszą prasę. Ciach! Pan nie pije? Taki pan honorowy. Po co mamy się na siebie gniewać. Z pana morowy chłop. Chciałem właśnie zaproponować panu współpracę... Ile pan zarabia w tej swojej gazecie? Trzy tysiące? Może cztery? Odpalę panu podwójnie, tylko niech pan wykorzysta swoją czaszkę na moje potrzeby.

— Ciekawy z pana facet — powiedział dziennikarz z emfazą — najpierw pan mi grozi, a potem proponuje współpracę. Bardzo panu dziękuję za zaufanie. To musi być jakaś interesująca propozycja. — Wyciągnął jeszcze jedną serwetkę, złożył ją starannie, zaczął wydzierać paznokciami wzory.

Wiktor patrzył na niego spod opuszczonych powiek, jak gdyby chciał wysondować, czy warto dalej prowadzić rozmowę. Naraz gwałtownym ruchem położył rękę na stoliku.

— To jest bardzo poważna propozycja — powiedział. — Po co mamy się kłócić i tracić na tym, kiedy możemy współpracować i zarabiać. Pan, widzę, ma dobrze umeblowane w głowie. Pan jest znanym dziennikarzem. Pana się boją...

— O!... — udał zdumienie.

— Boją się pana — powtórzył tamten z naciskiem. — I mnie się boją. My możemy zrobić dobry interes. Pan rozumiesz?... — Nachylił się głębiej, rozejrzał się uważnie, czy ktoś nie podsłuchuje, i ciągnął przyciszonym głosem: — Takich spółdzielni jak spółdzielnia metalowców, którą pan żeś tak wdechowo rozrobił, jest więcej. Oni robią kanty. My, to znaczy ja z moją obstawą, będziemy kapować. Będzie jakiś dowód, to do pana redaktora telefon: „Tu i tu, taka a taka sprawa. Trzeba ruszyć”. Ruszy się delikatnie w prasie, a potem wysyła się delegację. Krótka konferencja: „Szanowni państwo, chcecie mieć spokój, to odpalić lekką prowizję od milionowych zysków. Tak już jest w tym życiu.“

Napieralski roześmiał się głośno:

— Genialny pomysł! Genialny!...

— To takie proste — dorzucił Blady z odcieniem dumy w głosie. — Takich pomysłów mam na pęczki. Nie na darmo czaszka pracuje, jak ten mózg elektronowy. Grunt to dobry pomysł. Przy zdrowym zmyśle organizacyjnym wszystko się da zrobić.

— Trzeba przyznać, że pan ma znakomity zmysł organizacyjny. Mnie wyznaczył pan funkcję referenta prasowego...

— Rady prasowego, panie redaktorze!

— Z gażą?...

— Ja nie jestem małostkowy. Podzielimy się pół na pół, żeby nie było nieporozumień. Nie pożałuje pan redaktor. Te trzy patyki, co pan zarabia w gazecie, będziesz pan miał na papierosy. Napijmy się, kochany redaktorze. Śmierć frajerom. Zawsze mówiłem, że pieniądze leżą na ulicy.

Napieralski rozwinął podziurawioną serwetkę, przyglądał ją dłonią.

— Nad tym trzeba się zastanowić — powiedział z rozmysłem. Jednocześnie układał plan: „To niezły pomysł. Będzie jeszcze jeden temat do sensacyjnego reportażu. Niech »Blady Wiktor« wywacha jakąś aferę.

Jemu nie sprawi to zapewne trudności. Zdobęde materiał, a potem... Potem trzeba będzie pomyśleć, jak pozbyć się natręta. Prawdopodobnie będzie to połączone z pewnym ryzykiem. Ale czy dobry reporter może pracować bez ryzyka? I jeszcze jedno. Zdobęde chwilowo zaufanie jednego z dyktatorów warszawskiego podziemia. Będzie mi łatwiej wyjaśnić sprawę Zuli”.

— To się rozumie — usłyszał głos Wiktora. — Nam się nigdy nie spieszy. My nie strażacy. Spokojna czaszka, mamy czas. Pan redaktor to wszystko sobie przeanalizuje, a potem da mi odpowiedź. Ja już mam taką jedną sprawę na oku... Można zarobić ładny grosz... Napijmy się, kochany redaktorze, za pomyślność. Ciach!

Dziennikarz uniósł wolno kieliszek.

— Za pomyślność naszych planów! — powiedział z

przekornym uśmiezkim na ustach.

\*

Na Placu Komuny Paryskiej wszedł do budki telefonicznej. Połączył się z Komendą Milicji. Kapitana Przywarę znał od dawna. Był to człowiek wyjątkowo życzliwie usposobiony do dziennikarzy, bardzo chętnie udzielał im potrzebnych informacji. Kręcąc tarczę telefonu, uśmiechał się — kapitan chyba zbaranieje, gdy usłyszy, że porządny, solidny i znany dziennikarz został przestępcą.

— Proszę z kapitanem Przywarą — powiedział, gdy odezwała się centrala. Po chwili usłyszał dobrze znany głos. — Czołem, kapitanie — przywitał go wesoło. — Chciałem pana zawiadomić, że popełniłem przestępstwo.

Chwilę w słuchawce słychać było tylko szum i trzaskanie membrany. Potem stłumiony okrzyk:

— Pan chyba zwariował, redaktorze!

— Wprost przeciwnie, jestem najnormalniejszym człowiekiem pod słońcem, bogatszym o jeszcze jedno doświadczenie.

— Niechże pan nie kpi ze mnie.

— Jakże mógłbym kpić z przedstawiciela władzy ludowej?

— To pan za dużo wypił.

— Przyznaję, że piłem, ale nie przekroczyłem normy.

— W takim razie pan po prostu żartuje.

Napieralski roześmiał się głośno.

— Nie zgadł pan, kapitanie. Melduję panu, że niejaki redaktor Stanisław Napieralski ukradł z mieszkania niejakiego kompozytora Brauna paczkę niewiadomej zawartości i oczekuje z niecierpliwością organów śledczych MO, by mu pomogły w jej rozpakowaniu. Prawda, że przepisowy meldunek?

— Redaktorze kochany — usłyszał zniecierpliwiony głos Przywary — ja pana bardzo lubię i szanuję, ale niech pan lepiej zgłosi się do psychiatry. W tym wypadku ja panu nic nie pomogę.

— Wprost przeciwnie, przyśle pan do mnie jakiegoś wywiadowcę, który otworzy paczkę. Jest zaplombowana i nie chciałbym, by mnie później posądzono o jeszcze jedno przestępstwo. Mówię zupełnie poważnie i w poczuciu pełnej odpowiedzialności. Szczegóły wyjaśnię wywiadowcy, a panu z góry dziękuję za przychylne załatwienie prośby.

— Niech pan wyjaśni, o co chodzi?

— To zbyt długa historia, nadająca się raczej do powieści kryminalnej niż do rozmowy telefonicznej.

Przywara chrząknął kilka razy. Oznaczało to, że jest zupełnie wybity z konceptu.

— Że też wy, dziennikarze, macie zawsze takie zwariowane pomysły.

— W naszym zawodzie trzeba mieć trochę fantazji.

— No, dobrze... Niech pan powie, czy pan to wszystko mówił poważnie?

— Najpoważniej w świecie. I, jeżeli okaże się, że wprowadziłem pana w błąd, może mnie pan zamknąć bez nakazu prokuratora i trzymać trzy dni i trzy noce o chlebie i wodzie.

— Więc mam do pana przysłać wywiadowcę?

— Natychmiast.

— Przyślę panu bardzo miłego chłopca. Niedawno przyszedł do nas ze szkoły. Tylko błagam pana, niech pan z niego nie robi balona, bo on okropnie poważnie traktuje swoją funkcję.

— Jestem panu niezmiernie wdzięczny. Jutro zgłoszę się osobiście. Kiedy pan ma służbę?

— Rano do drugiej po południu.

— Dziękuję, kapitanie.

— Do zobaczenia, miły redaktorze.

Noc była ciepła. Nad miastem wisiało głębokie, przepastne niebo roziskrzone gwiazdami. Od parku szedł chłodniejszy powiew, pachnący świeżo skoszoną trawą, maciejką i rumiankiem. Puste ulice leżały wśród szpalerów domów jak taśmy schnącego płótna.

Napieralski przyśpieszył kroku. Obawiał się, że samochód

z obiecany przez Przywarę wywiadowcą wyprzedzi go w drodze. W głowie miał lekki, przemijający szum po alkoholu. Był naładowany myślami, których w tej chwili nie potrafił uporządkować. Zdawał sobie jednak sprawę, że odszukanie rudej modelki nie będzie należało do łatwych zadań. W którą stronę się zwrócił, wszędzie napotykał na zagadki i nieoczekiwane trudności.

Gdy stanął przed drzwiami swego mieszkania, doznał takiego uczucia, jakby ktoś był w środku. W gorączkowym pośpiechu otwierał drzwi. Klucz nie chciał się przekręcić w wertheimowskim zamku, lecz gdy nacisnął klamkę, drzwi ustąpiły bez trudu, — Cholera — zaklął głośno — czyżbym zostawił nie zamknięte? — Wbiegł do pokoju. Najpierw spostrzegł, że róg dywanu był zagięty, a potem ujrzał przewrócone krzesło przy biurku. Wtedy rzucił się gorączkowo w kierunku biurka. Szuflada była zamknięta, lecz kluczyk, który zostawił w zamku, leżał na podłodze.

— Co u licha — wyszeptał. — Czyżby tu ktoś myszkował? — Przekręcił kluczyk, szarpnął szufladę i zastygł w zdumieniu. Paczki nie było w szufladzie... Zaczął gorączkowo grzebać wśród rozrzuconych w nieładzie drobiazgów, kopert, pudełek, luźnych kartek. Czynił to tak gorliwie, jak gdyby chciał z dna szuflady wyskrobać palcami rzecz, którą nagle postradał.

Wtedy właśnie zabrzączał dzwonek.

Otworzył drzwi. W progu stał młody człowiek w sportowej wiatrówce, z gołą głową, i uśmiechał się przyjaźnie.

— Jestem porucznik Żończyk. Przychodzę z polecenia kapitana Przywary.

Napieralski był tak zaszokowany zniknięciem paczki, że zapomniał przywitać się z wywiadowcą. Rozłożył tylko ręce i powiedział z rozpaczą w głosie.

— Niech pan sobie wyobrazi, ktoś wykradł mi tę paczkę podczas mojej nieobecności.

Porucznik obejrzał go podejrzliwie, jak człowieka niespełna rozumu.

— Przepraszam — rzekł spokojnie — przecież przed

dziesięcioma minutami telefonował pan do kapitana.

— Tak, ale nie stąd, tylko z budki telefonicznej na Placu Komuny Paryskiej.

— Niech pan jeszcze raz sprawdzi, może pan się pomylił.

— Ależ skąd. Przecież pamiętam doskonale, że włożyłem tę paczkę do prawej szuflady. Cudów nie ma. Nie ulotniła się sama. To dziwne... Niech pan wejdzie, poruczniku. Przepraszam... ale jestem taki otumaniony, jakbym dostał pałką w łeb.

Porucznik zatrzymał się w progu pokoju. Objął jego wnętrze bystrym spojrzeniem.

— Zaraz, zaraz — powiedział jakby do siebie — najpierw musimy uszeregować fakty.

— Kiedy pan przyniósł tę paczkę?

— Była dziewiąta pięć, gdy wsiadałem do taksówki na rogu Nowogrodzkiej i Kruczej. Przypuśćmy, że jechałem do domu dziesięć minut, a więc o dziewiątej piętnaście schowałem paczkę do tej szuflady.

— A później?

— Później wyszedłem, bo czekał na mnie pewien znajomy.

— Nie chciał chwilowo ujawniać wywiadowcy, kto był tym znajomym.

— Gdzie on czekał?

— W korytarzu pod drzwiami.

— Czy zamknął pan drzwi?

— Chyba tak...

— Czy nie uważa pan, że mógł pan nie zamknąć mieszkania? To się często zdarza ludziom roztargnionym. Może pan był zdenerwowany?

— Tak, przyznaję, byłem trochę zdenerwowany. Zwłaszcza że czekał na mnie ten mój znajomy...

— Kto to był, jeśli można wiedzieć?

— Ach, to przecież nie ma zupełnie znaczenia.

— A dlaczego pan był zdenerwowany?

Napieralski uśmiechnął się kwaśno.

— Drogi poruczniku, przecież pan wie, że dzisiaj nie trudno o powód do zdenerwowania.

Porucznik zmarszczył brwi i przybrał bardziej stanowczą postawę.

— Wzywa mnie pan i jednocześnie utrudnia mi pan pracę. Czy ten znajomy nie mógł później wrócić do pańskiego mieszkania?

— Nie, poruczniku, bo był ze mną w restauracji „Pod Gruszą“ i pił wódkę. Chyba że potrafi się rozdwoić...

Porucznik posłał dziennikarzowi karcące spojrzenie.

— Kapitan Przywara miał rację. Zalał pan pałę i chciał pan spłatać nam figla. Ostrzegam pana, że za wprowadzenie w błąd władzy grożą panu sankcje...

Dziennikarz opadł ciężko na fotel. Teatralnym gestem rozłożył ręce.

— Poruczniku najdroższy, zapewniam pana, że nie robię milicji głupich kawałów. Wyniosłem z mieszkania niejakiego Brauna paczkę, przywiozłem ją do domu, zamknąłem w szufladzie, poszedłem ze znajomym na ćwiartkę wódki, a gdy wróciłem, paczki już nie było. Nie wierzę w cudy i dlatego proszę pana, by mi pan pomógł rozwiązać tę zagadkę.

Porucznik uśmiechał się z politowaniem.

— Jakie pan ma na to dowody, że pan tę paczkę przyniósł?

Dziennikarz wytrzeszczył oczy.

— Dowody? Po prostu przyniosłem.

— Dziecinny z pana człowiek. Skąd ja mogę wiedzieć, że ta paczka była w pańskiej szufladzie?

— Po prostu była.

— Muszę mieć na to dowody, w przeciwnym razie nie mogę wszcząć śledztwa.

— Ależ panie poruczniku — zawołał Napieralski wstając z fotela — przecież mówię panu...

— To nie wystarcza — osadził go chłodno porucznik — musi pan przedstawić dowody. Mamy masę wypadków fingowania kradzieży. To, że ktoś pójdzie na wódkę i potem zdaje mu się, że...

— Cholera — przerwał mu Napieralski — przecież ja dobrze znam kapitana Przywarę. Jestem dziennikarzem i wypraszam sobie...



— Spokojnie, obywatelu — ostrzegł go wywiadowca — ja w tej chwili jestem na służbie i ja zwracam panu uwagę... Jeżeli ma pan jakieś zastrzeżenia, proszę zgłosić się jutro do kapitana Przywary. Teraz oświadczam panu, że nie mam zamiaru być przedmiotem pana kpin i wybryków fantazji i złożą odpowiedni meldunek.

Dziennikarz uniósł dłonie do skroni, jak gdyby chciał sprawdzić, czy ma głowę na właściwym miejscu, i z ciężkim westchnieniem znowu opadł na fotel.

— Gdzie ja jestem? Na jakim my żyjemy świecie?...

Porucznik poklepał go po ramieniu i rzekł głosem nie pozbawionym współczucia:

— Jest pan u siebie, radzę panu zażyć jakiś środek uspokajający i położyć się spać. To panu dobrze zrobi. A jutro, gdy pan wytrzeźwieje, niech pan wpadnie do kapitana Przywary. Może nie wyciągnie konsekwencji... Wyczułem, że on ma do pana słabość... — Skłonił się sztywno, po wojskowemu, i elastycznym krokiem wyszedł z pokoju. W sieni zatrzymał się. — Niech pan zamknie za mną drzwi — rzucił kpiąco — bo jeszcze ktoś może wniesić z powrotem tę paczkę.

Napieralski tkwił chwilę oszołomiony w fotelu. Potem zerwał się szybko. Wyjął z szafki butelkę koniaku, nalał sobie pół literatki i opróżnił ją duszkiem.

## IX

Mój drogi — powiedział rano do Ochniewskiego — jeżeli mnie przymkną, to bądź taki dobry i wykorzystaj wszelkie swoje chody, żeby mnie zwolnili. Mówię ci, dla ciebie i twojej gazety narażam nie tylko życie, ale i dobre imię. Wkrótce stanę się współnikiem jednego z największych gangów stolicy. Możesz mi pogratulować...

Ochniewski siedział za biurkiem i spoglądał na swego najlepszego reportera jak na człowieka, który przed chwilą opuścił zakład dla umysłowo chorych.

— Kochany Stasiu, ostatnio jakoś bardzo się zmieniłeś. Czy ci nie zaszkodziły lipcowe upały?

— Bądź spokojny, jestem tak zaaferowany swoją pracą, że nie wiem, czy słońce świeci. W związku z tym cierpię oczywiście na chroniczny brak gotówki i mam nadzieję, że nie odmówisz mi małej zaliczki na koszty reprezentacyjne.

— Przecież dostałeś przedwczoraj.

— Przeminięło z wiatrem.

— Gdybym wiedział, że inwestuję w dobry dla gazety interes, chętnie wypłaciłbym ci jeszcze z pięćset złotych, ale — wybaczyć, kochany — zdaje mi się, że ty na punkcie tej swojej rudej modelki dostałeś lekkiego bzika, i radziłbym ci raczej krótki wyjazd nad morze. Napisałbyś dla nas coś o śledziach, coś o kociakach, coś o stoczni i pozbyłbyś się tej gorączki...

— Nigdy — zaprotestował Napieralski. — Wiesz dobrze, że jeżeli coś zacznę, to muszę skończyć...

— Sam mówisz, że skończysz w kryminale.

— Ale najpierw rozwikłałam wszystkie zagadki.

— A my tymczasem będziemy bez reportaży.

— To się mylisz. Powiedziałem, że będzie pierwszy odcinek na sobotę, to będzie. Przygotuj dla mnie pięcioszpaltówkę na trójce. Mucha nie siada.

Ochniewski zaczął przemawiać tonem dobrego wujaszka:

— Kochany Stasiu, wiesz, jak bardzo cenię twój zapał i oddanie dla gazety, ale nie chciałbym się pozbyć dobrego reportera i kolegi. Od kilku dni chodzisz nieprzytomny. Schudłeś, szerniałeś i mimo to, że wyszlachetniałeś, wolałbym widzieć cię na sopockiej plaży niż w redakcji. Ja wiem, że każdy z nas przeżywa chwile słabości i załamania. Ja ci jednak radzę...

Napieralski zerwał się z krzesła.

— O, proszę — zawołał zniecierpliwiony — w ten sposób marnuje się u nas zapał prawdziwych dziennikarzy. Sam przecież zamawiałeś szlagierowy reportaż.

— Zamawiałem, ale nie przypuszczałem, że aż tak fatalnie wpłynie to na ciebie.

Napieralski stanął naprzeciw Ochniewskiego i wskazał nań gwałtownym ruchem, przypominającym flesz wspaniałego szablisty.

— Więc tak!... Widzisz, że ty zawsze przeszkadzasz w pracy.

Naczelny redaktor rozłożył ręce.

— Stasiu, błagam cię, uspokój się. Spójrz w lustro. Wyglądasz jak Rejtan rozdzierający szaty.

— Kpisz ze mnie.

— Boję się o ciebie. Może chcesz proszki uspokajające. Mam „Bellacorn“. Służę ci uprzejmie.

— Pocałuj mnie w sam czubek nosa. W sobotę będziesz miał pierwszy reportaż z cyklu „Tajemnice warszawskiego podziemia“, a do Sopot wyślij sobie jakiegoś Żabielskiego albo innego specjalistę od kociakologii. Serwus, stary. I jeszcze jedno, nie martw się o mnie, a lepiej zajmij się gazetą, bo ostatnio okropnie modna. — To powiedziawszy wybiegł błady, z rozwianym włosom i zatrzymał się dopiero w swoim pokoju.

— Co ci się stało? — usłyszał głos pełen przyjacielskiej troski; Był tak wzburzony, że dopiero po chwili zobaczył okrągłą, dobroduszną postać Kellera.

— Mówię ci, Zygmus, nie warto pracować. Zabrzącał telefon. Keller podniósł słuchawkę. Po chwili podał ją Napieralskiemu.

— Do ciebie. Znowu ta baba...

— Słucham? — wrzasnął Napieralski — kto mówi? Odezwał się cichy, zalekniiony głos starej Michalczykowej.

— Ach, to pani. Niestety nie mam żadnych wiadomości... Uważam jednak, że powinna pani być spokojna. Wszystko wskazuje na to, że córka jest zdrowa i cała... Skąd wiem? Proszę pani, ja nie wiem. Gdybym wiedział, to na pewno bym panią zawiadomił... Niech pani się uspokoi, ja też czasem miewam sny. To się zdarza. Zaręczam pani, że sny niczego nie wytłumaczą... Na milicję? Proszę bardzo, przecież radziłem to pani od pierwszego dnia... Boi się pani?... Kto był u pani?

Głos w słuchawce stał się płaczący, roztrzęsiony.

— „Błady“... — mówiła Michalczykowa. — Ja go na oczy nigdy nie widziałam... On mi groził. Mówił, że gram komedię, że na pewno wiem, gdzie jest moja Zosia... Ale ja, panie redaktorze, skądże bym wiedziała... To jakiś niedobry człowiek... Chciał, żebym mu klucze do mieszkania dała...

— O, la-la... — zawołał reporter — ciekawa historia. A pani co na to?

— Jakże ja bym takiemu klucze dała.

— A prócz niego nikogo nie było u pani?

— Nie.

— Może ten student?

— Nie, panie redaktorze.

Odłożył słuchawkę i opadł na krzesło jak człowiek bardzo znużony.

— Pewno matka tej rudej modelki? — zapytał Keller. — Ona tu bez przerwy telefonuje: „Gdzie jest redaktor Napieralski? Czy przyjdzie? Kiedy będzie?“ — Wyciągnął z szuflady torbę z czereśniami. Podsunął ją Napieralskiemu. — Spróbuj, znakomite.

— Dziękuję, nie mam apetytu.

Keller zerknął na kolegę ze współczuciem.

— Oj, Stasiu — szepnął — źle z tobą, człowieku. Dałbyś temu spokój.

Napieralski podskoczył, jakby go coś ukłuło.

— Ty znowu to samo. Odczepcie się ode mnie. Nie jestem niemowlęciem, żebyście się mną opiekowali jak w żłobku.

— Oszalał — powiedział Keller. — Już mu nawet uwagi nie można zwrócić.

— Wypchaj się swoimi czereśniami — zawołał Napieralski i wybiegł z pokoju.

\*

Idąc Alejami Jerozolimskimi w kierunku Marszałkowskiej, prowadził ze sobą dialog:

— Właściwie co mnie obchodzi ta ruda wydra? Mam już

dość tego. Dałem się wciągnąć w jakąś zawiłą, zagadkową historię bez rozwiązania. Przecież nie jestem funkcjonariuszem służby śledczej ani prywatnym detektywem, tylko porządnym, znanym i cenionym reporterem. Powinienem już dawno pójść na milicję i w imieniu matki złożyć meldunek o zaginięciu modelki. Niech sobie oni rozwiązują tajemnicze zagadki, od tego przecież są i za to im płacą. Mnie wystarczą krzyżówki ze „Świata” i „Przekroju”. Tymczasem wpakowałem się po uszy. Nie chodzę ani do kina, ani do teatru. Piątę dni nie widziałem Barbary. Będzie znowu narzekała: „Oczywiście, twoja gazeciarska praca ważniejsza ode mnie. Najlepiej byłoby, gdybym się stała tematem. Wtedy może miałabym większe powodzenie u pana redaktora”. Ach, te kobiety. Trudno bez nich żyć, ale i jedna to już nieco za dużo.

— Ruda Zula? Oczywiście ciekawa postać, ale raczej dla psychologa lub psychopaty. Podziemny świat stolicy? Wspaniały temat, ale gdzie go ruszyć, to śmierdzi. Czy nie uważasz, mój kochany Stasiu, że narażasz swą cenną łepetynkę na zetknięcie z cegłą, kastetem lub innym twardym przedmiotem? Myślisz, że to przyjemnie? Nie udawaj bohatera. I tak nie przeczytasz nekrologu, w którym Keller albo sam Ochniewski napisze: „Wspaniały kolega zginął na posterunku. Rzucił się w wir życia, by szukać prawdy. Nie dane mu było doczekać momentu, gdy jego ofiarna walka ze złem da już rezultaty...” Och, jakie to śmieszne. A potem przemówienie nad otwartym grobem: „Żegnaj, kolego, byłeś dla nas wzorem... itd... itd...”

— Ale przyznaj się, masz naturę awanturnika i pociąga cię to podziemne życie. Wolisz rozmawiać z „Bładym Wiktorem” lub „Aksamitnym Rysiem” niż siedzieć z Barbarą w „Nowym Świecie” i słuchać o wpływie egzystencjalizmu na styl życia dzisiejszej młodzieży. Każdy nowy szczegół w sprawie rudej modelki przyprawia cię o dreszczyk. Nie bądź obłudny, robisz to wszystko dla siebie.

— Ładna mi przyjemność siedzieć z „Bładym Wiktorem” i czekać, kiedy otworzy sprężynowy nóż albo skinie na

niewidzialną obstawę i wyda cię w ręce jakichś podejrzanych drabów.

— W takim razie dlaczego od czterech dni brniesz coraz głębiej i głębiej?

— Bo mi się tak podoba. To sprawia mi przyjemność. Poznaję podszewkę życia, źródła przestępstw, motywy zbrodni. Jestem jak gdyby obserwatorem operacji, podczas której niewidzialny chirurg obnaża bebechy społecznego życia i wskazuje powody schorzenia.

W momencie gdy mijał Hotel „Polonia”, usłyszał za sobą znajomy głos.

— Panie redaktorze, panie redaktorze...

Obejrzał się. Za nim biegł „Blady Wiktor“. Napieralski doznał takiego wrażenia, jak gdyby w biały dzień zobaczył ducha. Postać Wiktora kojarzył zawsze ze scenerią nocy. Tymczasem jego „wspólnik“ pojawił się w świetle jasnego dnia, dodając mu blasku jaskrawoczerwonym krawatem w niebieskie poprzeczne paski.

— Skapowałem pana przez okno — mówił uradowany. — Szczęście nie z tej planety. Myślałem, że będę pana redaktora szukał cały dzień. Już nawet telefonowałem do redakcji. Powiedzieli, że pan wyszedł.

— Co się stało? — zapytał Napieralski przystając na krawędzi chodnika.

— Będziemy mieli zajęcie — mrugnął tamten porozumiewawczo. — Już zahaczyłem. U mnie to szybko idzie, panie redaktorze kochany. Ma się ten mózg elektronowy.

— Pośpieszył się pan, widzę.

— Śmierć frajerom, na co czekać. Ale niech pan pozwoli do środka. Nie będziemy konferować przy widowni — wziął go pod ramię i poprowadził do drzwi kawiarni.

— Panie redaktorze — powiedział sadzając Napieralskiego przy wolnym stoliku — spadł mi pan z nieba. Trzeba będzie mały komunikacik skomponować, a jutro załatwimy wszystko legalnie i będzie można wychylić kielicha pod pierwszy numer.

Napieralski rozejrzał się uważnie. „Ładnie bym wyglądał —

pomyślał — gdyby mnie ktoś ze znajomych zobaczył w towarzystwie tego draba.” Potem rzucił pospiesznie: — Więc o co chodzi?

Błada twarz Wiktora zmarszczyła się w cwaniackim uśmiechu.

— Ale z pana to czarodziej, kochany redaktorze. Pan to numery odstawia... No, przyznaj się, kochany redaktorze, skąd pan wczoraj przykaraulił tę paczkę?

Napieralski poczuł, że krew odpływa mu z głowy i robi mu się zimno. Machinalnie otarł dłonią czoło i sięgnął po papierosa.

— Jaką paczkę? — wykrzyknął z trudem.

— No tę, coś pan niby tej swojej cizi taszczył na górę. Jestem pewny, że ta cizia to fatamorgana. Aleś pan numer odstawił! Ale to nic. Lubię takich.

— Nie rozumiem — powtórzył redaktor opanowanym już głosem. Zapalił papierosa starając się powstrzymać drżenie ręki.

— Zaraz panu redaktorowi wytłumaczę — schylił się, wyciągnął spod stolika teczkę, położył ją na kolanach i dłonią piasnął o wierzch. — W tej teczce jest taka sama paczka... żółta, zaplombowana.

Redaktor usiłował uśmiechnąć się, lecz czuł, że jego uśmiech zmienił się w żalony grymas wystraszonego człowieka.

— To znaczy — wyszeptał z trudem — że pańscy ludzie wynieśli ją z mojego mieszkania.

Teraz na odmianę „Błady Wiktor“ zrobił zdumione oczy. Świsnął cicho przez zęby.

— Za pozwoleniem, zaczyna pan ze mnie robić wariata.

Redaktor zrozumiał, że palnął głupstwo. Chrząknął, by zyskać na czasie. Jednak proces myślenia sprawiał mu w tej sytuacji wiele kłopotu. Czuł, że w głowie ma zamęt.

— To znaczy — powiedział — myślałem, że... — Naraz zmiarkował, że najśluszniej będzie powiedzieć prawdę. — Niech pan słucha — rzekł już swym zwykłym stanowczym tonem. — Ta cała historia z tą dziewczyną była zmyślona, a

ta paczka... dziwna historia, ale rzeczywiście ktoś mi ją wyniósł z domu, podczas gdy byliśmy „Pod Gruszą“. I powiem panu jeszcze więcej, nie wiem do tej pory, co w niej było.

Blady parsknął śmiechem.

— Redaktorze, kogo pan będzie czarował.

— Widzę, że nie ma pan do mnie zaufania — udał obrażonego.

— Po takiej przedmowie, redaktorze?

— Mówię panu prawdę.

— A kto panu dał tę paczkę?

— Sam ją zabrałem.

— Czary.

— Nie czary, lecz prawda.

— To nie mamy co gadać.

— Ha, trudno — Napieralski uniósł się lekko, lecz „Blady“ schwycił go za rękaw.

— Redaktorze — jęknął — pan ze mnie robi najlichszego parafiana.

Po raz pierwszy w rozmowie zmiarkował, że ma nad „Bladym“ przewagę. Uśmiechnął się wyrozumiale.

— Traktuję pana jako współnika. A więc co jest w tej paczce?

„Blady Wiktor“ zamyślił się. Jego wodniste oczy krążyły między teczką a uśmiechniętą twarzą Napieralskiego.

— Dobrze — rzekł po chwili z naciskiem — powiem panu, ale jeśli przekonam się, że pan mnie podszedł, to...

— Znowu pan grozi?

— Pan wie, redaktorze, że ze mną nie warto zadzierać.

— Wiem.

— I że dotrzymuję swoich obietnic.

— To bardzo pięknie.

— Więc niech pan słucha. Jedni faceci rzucili na Warszawę cały transport zegarków...

— O!... — zawołał Napieralski szczerze zdumiony. — To dla mnie niespodzianka.

— Redaktorze — przerwał mu Wiktor. — Ja już ich



zahaczyłem. Trzeba dać do „Wieczoru“ lekki anons, że to niby spekulacja. Nie wyszczególniać, jak i co, a jutro, gdy przeczytają, to ich przyciśniemy.

— Jakie to zegarki?

— Rozmaite. Przeważnie „Action“ i „Doxy“. Trzeba to zrobić delikatnie. Ja redaktora nie będę uczył. Lekko trącić i bez krzyku, a potem... Potem to już moja robota. Gwarantuję, że to się nam opłaci. Będzie trzynasta pensja — zaśmiał się.

Napieralski z niedowierzaniem patrzył na teczkę spoczywającą na kolanach „Bładego“.

— To znaczy — powiedział — że takich paczek jest więcej w Warszawie. Czy one są w jednakowych opakowaniach?

— Jak bliźnięta.

— Rozumiem — powiedział i zastanawiał się chwilę, czy paczka, która zniknęła z mieszkania rudej Zuli, była tą samą paczką, którą później wyniósł od Brauna.

— Więc będzie ten komunikacik? — usłyszał ściszony głos „Bładego Wiktora“.

— Oczywiście, oczywiście.

— Tylko niech pan pamięta o tym, co panu powiedziałem, i niech się pan nie próbuje wychylać. Wie pan, co z takim się robi.

— Umiejscawia się — zaśmiał się cierpko.

— Trafił pan w dziesiątkę.

— Mam dobre oko.

— No to powodzenia, kochany redaktorze. Pozdrów pan ode mnie prasę, bo prasa zaczyna dla nas pracować.

\*

„Trzeba jednak działać rozważnie — myślał idąc Marszałkowską w kierunku Placu Konstytucji. — Najpierw zadzwonię do kapitana Przywary. Uprzedzę go, żeby milicja była w pogotowiu. Potem porozumiem się z Ochniewskim. Czy mu na wierzch wyleżą, gdy dowie się o nowym szlagierze. Żeby tylko nie zrobił zastrzeżeń. On zawsze taki

ostrożny. A potem puszcze małą notatkę...” — Już w myśli układał jej treść: „Należy wreszcie położyć kres szalejącej spekulacji. Władze powinny zwrócić większą uwagę na osoby wyjeżdżające za granicę w celach »turyistycznych«. Niejednokrotnie »turyści« zamiast wrażeń przywożą ze sobą rzeczy bardziej konkretne. Ostatnio np. w Warszawie pojawiły się na czarnym rynku zegarki »Action« i »Doxa«, których na próżno by szukać w sklepach jubilerskich. Skąd znalazły się w Warszawie? Oto pytanie...” — Tak trzeba będzie zacząć.

Na Placu Konstytucji wszedł do urzędu pocztowego mieszczącego się przy wylocie ulicy Śniadeckich. Połączył się z Komendą MO. Niestety nie zastał kapitana. Dyżurny oficer oznajmił mu, że Przywara wyjechał w pilnej sprawie pod Warszawę i nie wiadomo, kiedy wróci. Redaktor zostawił numer telefonu i prosił oficera, by Przywara zadzwonił do niego, gdy tylko zjawi się w Komendzie.

Z ciemnej poczty wyszedł na plac zalany jaskrawym słońcem. Powietrze falowało od upału. Na rozgrzanych płytach kłębiło się stadko gołębi. Jakiś starzec w drelichowej marynarce i słomkowej czapce rzucał im okruchy. Zmęczeni przechodnie kryli się w cieniu pod arkadami.

Napieralski przeszedł wzdłuż arkad. Odprowadził wzrokiem kilka młodych dziewcząt, uśmiechnął się do chłopca, który w zapędzie wpadł na niego wraz z toczącym się kołem, a potem przeciąwszy Piękną, wszedł do kawiarni „Stylowa”. Z wnętrza olbrzymiej sali wiało marmurowym chłodem. Było jeszcze pusto. Tylko nieliczne stoliki obsiedli stali bywalcy. Redaktor zbliżył się do szatniarza. Ten skłonił się na jego widok.

— Moje uszanowanie, panie redaktorze. Tak dawno pana tu u nas nie było.

— Co nowego, panie Stasiu?

— Ogórki.

— Mam do pana dyskretną sprawę.

— Słucham, panie redaktorze.

— Czy zna pan pewnego faceta, którego nazywają

„Wesołym Włodziem“.

— Pana Hroniewicza... oczywiście.

— Czy jest teraz u was?

— Przed chwilą właśnie wyszedł, ale powiedział, że zaraz wróci.

— Jeżeli wróci pan Hroniewicz, to proszę mnie za-  
wiadomić. — Skinął szatniarzowi dłonią. Wszedł na salę.  
Wybrał stolik w samym kącie. Wyciągnął z kieszeni „Zycie  
Warszawy“. Przerzucił płachtę gazety. Wśród drobnych  
wiadomości czytał tytuły: „Gdzie się podziały miliony sztuk  
cegiel?”. „Afera łąpówkowa w Urzędzie Kwaterunkowym“.  
„Na cebuli spółdzielczej zarobił 200 tysięcy złotych“.  
„Wielka obława na Placu Szembeka“. „Gdzie przeciekają  
atrakcyjne towary z Galluxu?“. „Jak na jeden numer gazety  
wystarczy“ — pomyślał uśmiechając się cierpko. Rozejrzał  
się po sali. Było już pełniej. Gros klienteli stanowili ludzie  
starsi. Rozmawiali szeptem. „I wśród nich znajduje się kilku  
potencjonalnych bohaterów kroniki sądowej“ — myślał.  
Wiedział bowiem, że w „Stylowej“ jest centrala czarno-  
rynkowych i giełdziarskich machinacji.

Gdy tak rozmyślał, ujrzał w wejściu niskiego, szczupłego  
mężczyznę o niezwykle nerwowych ruchach i wielkich, nieco  
wyłupiastych, ale bystrych oczach.

„To pewno on“ — pomyślał przypominając sobie opis  
Hroniewicza, podany przez Stenię.

Natychmiast pojawiła się w drzwiach jasna głowa  
szatniarza. Jeden wymowny ruch ręką potwierdził  
przypuszczenie. Wstał szybko i przeciął Hroniewiczowi  
drogę.

— Bardzo pana przepraszam — zagadnął siląc się na  
uprzejmość. — Jestem redaktor Napieralski z „Wieczoru“,  
chciałbym z panem zamienić kilka słów.

Chuda, koścista twarz Hroniewicza przybrała wyraz  
nieoczekiwanego zakłopotania.

— A w jakiej sprawie, jeśli można wiedzieć?

— Ściśle osobistej.

— Hm... — chrząknął — bardzo mi przykro, ale w tej chwili

jestem cholernie zajęty. Jeżeli pan ma trochę czasu i cierpliwości, to proszę poczekać. Załatwię pewną sprawę i przyjdę do pana.

Po chwili podszedł do stolika, przy którym siedzieli dwaj starsi panowie wyglądem swym nie budzący podejrzeń. Można było przypuszczać, że są to wyżsi urzędnicy, którzy w godzinach biurowych wymknęli się na kawę.

Napieralski bacznie obserwował Hroniewicza; jego ostry profil, gwałtowne gesty, sposób prowadzenia rozmowy. Nie mógł zrozumieć, skąd wziął się ten przydomek. W rozmowie Włodzio nie był ani wesoły, ani beztroski. Wyglądał raczej na człowieka oschłego, bezwzględnie narzucającego swą wolę. Ale gdy tylko pożegnał swych rozmówców i zbliżył się do stolika redaktora, na jego twarzy pojawił się pełen pogody uśmiech.

— Przepraszam najmocniej — tłumaczył się — niestety musiałem pokonferować z tymi dwoma mamutami — stał się jowialny i w miarę intymny. — Rozumie pan, taka już moja dola, że ludzie wciąż mają do mnie sprawy. Czym mogę panu służyć?... — usiadł wygodnie, położył przed sobą srebrną papierošnicę, otworzył ją, podsunął dziennikarzowi.

Napieralski przybrał ten sam jowialno-intymny ton rozmowy. Umiał się dostrajać do swych interlokutorów.

— Sprawa osobista, więc niech pan wybaczy dozę niedyskrecji.

— Ha, panie redaktorze, jesteśmy przecież mężczyznanami — ośmielił go Hroniewicz. — Wał pan prosto z mostu.

— Chodzi... — redaktor przeciągnął to słowo — o Zulę.

W wypukłych oczach „Wesołego Włodziana“ jak gdyby poruszyła się jakaś przesłona. Przygasły na chwilę, by wnet nabrać jeszcze żywszego blasku.

— O rudą Zulę — powiedział nie zmieniając tonu. — Proszę bardzo. Pyszna dziewczyna. Skąd pan ją zna?

— To nieco dziwne, ale ja jej nie znam. Sprowadziło mnie do pana pewne zdarzenie. Otóż zgłosiła się do mnie matka... Prosiła, bym pomógł jej odnaleźć córkę.

— A co, zginęła?

— Od dziesięciu dni nie ma jej w domu...

— I co z tego?

— Matka jest zrozpaczona.

Hroniewicz wzruszył ramionami.

— Niech ją pan uspokoi. Przecież to nic strasznego.

— Obawia się, że jej coś się stało.

— Komu? Zuli? Śmiejmy się, panie redaktorze. Pewno wyjechała na jakiś mały wypadzik... Ze mną też wyjeżdżała... Klasa kobieta — klasnął językiem o podniebienie.

— Tak pan sądzi?

— Jestem pewny. Ona lubiła takie nieoczekiwane wypadki. Kiedyś przysłała do mnie do kawiarni i mówi: „Włodziu, zbieraj się, jedziemy do Zakopanego.“ No i rzeczywiście. Wyjechaliśmy bez rzeczy na dwa tygodnie. Fantazja nie dziewczyna...

— To pan ją dobrze zna?

— Doskonale, panie redaktorze.

— Aż tak dobrze.

— Jeszcze lepiej. Mówię panu, złota dziewczyna. Trochę dziwna, ale właśnie dlatego interesująca. Jak miała chandrę, to można się było powiesić, ale jak była wesoła, to wszystko się wokół niej pieściło. Szampańska dziewczyna.

— To pan jej kupił mieszkanie na Polnej?

Hroniewiczowi tylko lekko drgnęła powieka.

— Pan ze mną wywiad przeprowadza? — przymrużył oko.

— Kupiłem. Gdybym mógł, to kupiłbym jej willę na Saskiej Kępie. Ona tego warta, panie redaktorze. Gdyby pan widział, jakie ona ma nogi — cmoknął i zgiął ramię w cwaniackim geście. — Taaakie nogi... Za same nogi należą się dwa pokoje z kuchnią. Fantastyczna dziewczyna.

Napieralski pokręcił z uznaniem głową.

— Wdzięczny z pana inwestor — zaśmiał się.

— Brawo, redaktorze. Trafniej pan nie mógł określić. Ale zapewniam pana, że inwestycje zamortyzowały się. Genialna dziewczyna. Żeby pan widział, jak ona tańczy!

— I co, znudziła się panu? — rzucił dziennikarz zaczepnie.

Twarz „Wesołego Włódzia” zakrzepła w chwilowym

grymasie. Uniósł dłoń do skroni. Musnął palcami przetykane pierwszą siwizną włosy.

— Neeee — wyszeptał przeciągle — ona nie może się znudzić. Ja mówię, że ona nie może się znudzić...

— W takim razie?...

Hioniewicz uczynił niedbały gest dłonią.

— No cóż... różnie w życiu bywa — rzekł wymijająco. — Nie wie pan, jak to z dzisiejszymi, nowoczesnymi dziewczętami? Nie wiedzą, czego chcą — w głosie jego zabrzmiał drwiący ton. — Niech pan się strzeże kobiet, panie redaktorze. Kobiety, jak warszawskie tramwaje, chodzą stadami; kiedy nie trzeba, jest kilka, kiedy trzeba, ani jednej...

— Świetna myśl, gratuluję.

— Nie ma czego, przeczytałem w „Przekroju“. — Spojrzał ukradkiem na zegarek. — Więc mówi pan, że zginęła — powiedział pośpiesznie, jak gdyby chciał zakończyć rozmowę. — Takie dziewczęta nie giną. Ona zawsze na wierzch wypłynie. Niech pan uspokoi mamusię. Córeczka wróci niebawem bogatsza o jeszcze jedną przygodę.

Redaktor zabębnił palcami.

— I jeszcze jedno... Podczas jej nieobecności matka miała pewną przykrość. Ona opiekuje się teraz mieszkaniem... I niech pan sobie wyobrazi, ktoś zabrał z mieszkania jakąś paczkę...

— O!... — Hroniewicz wydał okrzyk zdziwienia i znowu ruchliwe mięśnie jego twarzy na moment zeszytniały. — To przykra historia.

Redaktor przymrużył oczy.

— Nie wie pan przypadkiem, kto miał oprócz Zuli klucze do jej mieszkania?

— Jakiś szczęściarz — zakpił Hroniewicz, lecz w głosie jego nie było już tej beztroskiej nutki.

— A pan uprzednio posiadał klucze?

— Jako inwestor, oczywiście. Ale jestem wspaniałomyślny, zostawiłem jej klucze razem z mieszkaniem.

— Aha... To naprawdę szlachetnie z pana strony.

— Mówię panu, że warta była tego.

— I jeszcze jedno pytanie. Czy pan nie zna jakiegoś drugiego zejścia z piątego piętra, bo widzi pan, zdarzyło się coś niezwykle dziwnego. — W krótkich słowach opowiedział wypadek ze ślepcem.

Hroniewicz słuchał uważnie.

— To chyba halucynacja wzrokowa — powiedział. Potem dorzucił kpiąco: — Ja zawsze schodziłem pijany... szczęściem. I oczywiście głównymi schodami.

— To pan przypuszcza, że mogą być jakieś inne?

— Przecież był pan tam.

— Tak, byłem i nie zauważyłem.

— Może to był spadochroniarz — zaśmiał się „Wesoły Włodzio”. — Wszystko dzisiaj możliwe. Niczemu nie trzeba się dziwić. Dziwi mnie tylko, że pan tak bardzo interesuje się Zulą? — zapytał i spojrzął dociekliwie w oczy dziennikarza.

— Interesujący wypadek!

— Te wszystkie informacje zbiera pan dla zrozpaczonej mamusi? — kpił już bez kamuflażu.

— Z wyjątkiem tych, które mnie osobiście interesują — rzekł Napieralski z emfazą. — Czy nie uważa pan, że to bardzo zagadkowa sprawa?

— Ach, to niezwykle interesująca dziewczyna — ominął Hroniewicz pytanie. — Życzę panu, żeby pan ją poznał. Będzie pan mógł osobiście sprawdzić. Bardzo się cieszę, że pana poznałem. A o Zulę niech pan się nie martwi. Ona wypływa jak łódź podwodna, nie wiadomo, gdzie i kiedy. — Wstał i pożegnał reportera.

Napieralski chciał go zatrzymać nieopanowanym gestem ręki, lecz ten odwrócił się szybko i sprężystym krokiem skierował się do szatni.

„«Wesoły Włodzio» — pomyślał dziennikarz. — Taki wspaniałomyślny, że z kluczem zostawił jej mieszkanie...”

\*

Wszedł do gabinetu Ochniewskiego. Naczelnny redaktor tonął w chmurze papierosowego dymu. Twarz miał

zatrokaną. Wachlował się plikiem gazet.

— Cholerny upał, co? — przywitał go Napieralski. Ochniewski z pasją rzucił plik gazet na biurko.

— Jak ciebie widzę, to mi się robi zimno: Człowieku, czyś ty do reszty zwariował?

— Że niby... co?

— Komuś ukradł tę paczkę?...

Reporter poczuł, że nogi się pod nim uginają. Opadł na krzesło jak człowiek, któremu zabrakło sił.

— Zaraz, zaraz... Najpierw mi powiedz, kto się zgłosił po tę paczkę?

— Telefonowała pewna kobieta w imieniu jakiegoś Brauna. Dała dyskretnie do zrozumienia, że podczas wizyty u Brauna przez pomyłkę zabrałaś jakąś paczkę, i prosiła bardzo grzecznie, żeby ta paczka jak najszybciej znalazła się na swoim miejscu. W przeciwnym razie ten Braun będzie zmuszony zawiadomić milicję.

Napieralski wstał, otarł chustką czoło, zapalił papierosa.

— A ja właśnie marzę o tym, żeby milicja się dowiedziała.

Ochniewski złapał się za głowę.

— Zwariował!

— Wszystko znakomicie się składa.

— Oszalał!

— Mówię ci, że znakomicie się składa. Słuchaj — ujął naczelnego pod ramię i siłą posadził go na stojącym obok fotelu. — Dobrze słuchaj i wyważaj uwagę, bo jeśli cię dobrze znam, to nie masz zbyt lotnego umysłu. — To powiedziawszy, zaczął referować mu historię tajemniczej paczki i planu „Błatego Wiktora“. — Znakomicie się składa — zakończył klepiąc oszołomionego Ochniewskiego po szerokich barach. — Będziemy mieli szlagier pierwszej klasy. Po pierwsze może wreszcie dowiem się, kto mi wyniósł paczkę z mieszkania, a po drugie...

— Ty dla szlagieru dałbyś się powiesić — przerwał mu Ochniewski. — Opamiętaj się, mój stary.

— Więc nie zamieścisz tej notatki?

— Wpierw musisz wyjaśnić z Braunem sprawę paczki.



— Jestem przekonany, że to zwykły bluff. A bluff trzeba odeprzeć jeszcze większym bluffem.

Ochniewski westchnął żałośnie. Jego twarz wyrażała kapitulację.

— Rób co chcesz, ale ja cię ostrzegam...

— Dziękuję ci za troskliwość. Notatka pójdzie jeszcze w dzisiejszym numerze.

— Numer już zamknięty.

— To wyrzucisz jakiś kawałek o pomidorach albo rzodkiewce.

— Porozum się z sekretariatem.

— Załatwione.

Napieralski uważał rozmowę za skończoną. Posłał naczelnemu pełen wdzięczności uśmiech i wyszedł szybko z gabinetu. W sekretariacie złapał redaktora technicznego.

— Słuchaj, Broniek, zarezerwuj trzydzieści wierszy na czwórcie.

— Numer już dawno zamknięty.

— To go otwórz. Polecenie naczelnego.

— Znowu gazeta się opóźni. Czy ty zawsze musisz robić bałagan?

— Nie zawsze, tylko wtedy, kiedy trzeba. Zaraz przyniosę ci notatkę.

— Pewno nowy szlagier — zauważył techniczny z przekąsem.

— Nie, to dopiero preludium.

\*

W domu jeszcze raz próbował połączyć się z Komendą Milicji. Przywara jeszcze nie wrócił. Zamówił więc rozmowę z Gdańskiem i zasiadł do pracy. Najpierw uzupełnił notatki „Sprawy rudej modelki“. Skrupulatnie wpisał zdarzenia ubiegłego dnia. Gdy skończył, podszedł do okna. Otworzył je szeroko. Nad miastem zapadał mrok. Ogród był pełen fiołkowej poświaty- Pachniało przywiedłą trawą i maciejką. W dali zapalały się pierwsze światła. Od Wisły szedł

chłodniejszy powiew.

Odezwał się Gdańsk. Napieralski poprosił do aparatu Hermana, dziennikarza, z którym kiedyś pracował w redakcji „Słowa“.

— Mój drogi — zaczął z nim rozmowę — masz najgłupszego i najbardziej leniwego kolegę pod słońcem. Nazywa się Bolesław Blicki. Powiedz mu, że u nas goniec załatwiłby lepiej sprawę, o którą go prosiłem. A teraz słuchaj uważnie. Mam do ciebie prośbę... — i wyłuszczył mu sprawę mecenasa Szajewskiego. — Sprawdź koniecznie — zakończył — czy nie ma go w „Grandzie“ i czy przebywa w towarzystwie modelki z Warszawy, którą nazywają rudą Zulą.

Potem w małym expressie zaparzył kawę, wypił pół kieliszka koniaku, nalał kawy do termosu i zabrał się do pisania. „Tajemnice warszawskiego podziemia...“ — wystukał w nagłówek i podkreślił podwójnie.

Lubił stukot maszyny do pisania. Melodia uderzających czcionek podniecała go jak dobry, rytmiczny jazz. Dzisiaj jednak praca szła mu opornie. Nie potrafił się skupić. Myśli ulatniały się z głowy, zanim zdążył ułożyć je w jakiś logiczny wątek. Zniszczył kilka kartek papieru. Nalał jeszcze pół szklaneczki koniaku. W tym momencie odezwał się dzwonek.

— Psiakrew — zaklął — pewno Stenia. Odprawię ją, zanim przekroczy próg...

Ze złością otworzył drzwi i wydał okrzyk zdumienia:

— To pani...

Przed nim stała Dora z „Owocowego Baru“. Przechyliła lekko głowę, przyglądała mu się przez szparki przymrużonych powiek.

— Cóż pan tak na mnie patrzy?

— Myślałem, że duch...

— W duchy można wierzyć albo nie, ale trzeba się ich bać.

— Przestraszyłem się.

— To dobrze. Dlaczego nie poprosi mnie pan do środka?

— Właśnie... — uśmiechnął się niemrawo. — Właśnie jestem, bardzo zajęty. Mam masę roboty.

— To nie szkodzi — odsunęła lekko jego rękę i weszła do przedpokoju, wypełniając go zapachem dobrych perfum. — Jeżeli panu przeszkadzam w pracy, to proszę przestać pracować.

Napieralski zaniemówił. Z coraz większym zdumieniem patrzył na Dorę.

— Miał pan dzisiaj przyjść do „Owocowego“ — powiedziała zdejmując lekki płaszcz z czarnego rypsu. — Czekałam na pana. — Zrzuciła mu płaszcz na ramię. — Gdybym z panem nie rozmawiała uprzednio, mogłabym teraz sądzić, że pan jest niemową! — roześmiała się czystym śmiechem.

— Ale tupecik to pani ma — wydobył z siebie z trudem.

— Myślałam, że się pan ucieszy. — Rzuciła przelotne spojrzenie w zawieszzone na ścianie lustro, szybkim ruchem poprawiła opadające na czoło włosy, wygładziła na biodrach suknię. Była szczupła i miała ładne, śniade ciało.

— No cóż, nawet pan nie zapyta, po co tu przyszłam?

Wzruszył ramionami.

— Należę do dyskretnych ludzi.

— Chce pan być oryginalny, prawda?

— Wobec pani nie mam szans.

— Mógłby mnie pan na przykład wyrzucić za drzwi.

— Mam wielką ochotę.

— To na co pan czeka? — spojrzała mu prosta w oczy, a w spojrzeniu jej było tyle zuchwałości, że Napieralski znowu zaniemówił.

— Brak odwagi?

— Pani jest zabawna.

— Wcale nie mam zamiaru bawić pana swoją Osobą. Przyszłam w zupełnie innym celu.

— O!... Ciekawe.

— Czy pan wie, że ta pańska ruda Zula jest podobno w Warszawie?

Napieralski otworzył usta, ale nie mógł wykrztusić ani słowa.

— Piorunujące wrażenie, co? Wiedziałam, że pan zbaranieje.

— Skąd... Skąd pani wie, że ona jest w Warszawie?

— Rysiek mi powiedział. W ogóle mam dla pana dużo ciekawych wiadomości. No, niechże mnie pan nie trzyma w przedpokoju jak inkasentkę z gazowni.

I niech pan na mnie nie patrzy cielecymi oczami. Zaskoczyłam pana, co?

Napieralski zaprosił ruchem ręki, by weszła.

Przechodząc, otarła się miękko o jego ramię.

— Niebrzydko pan mieszka. — Podeszła do biurka. Pstryknęła w założoną na maszynę kartkę. — Tworzy się, co?

— Przeczytała głośno: — „Tajemnice warszawskiego podziemia...” Tytuł dla trzeciorzędnej powieści kryminalnej. Nie mógł pan wyszukać czegoś oryginalniejszego?

Dobiegł do maszyny, wyrwał kartkę i zmiął ją.

— Niech się pan tak nie denerwuje — uspokoiła go ruchem ręki. — Przecież to wszystko jedno, jaki będzie tytuł, byle treść była ciekawa.

Cisnął papier do kosza.

— Widzę, że pani chce ze mnie zakpić.

— To się pan myli. Pozwoli pan, że usiądę — z rozmachem osunęła się w głęboki fotel.

— Może się pani czegoś napije — wskazał na butelkę.

— Nie. Dziękuję. Mówiłam panu, że nie piję.

— Może kawę?

— Z rozkoszą, i to dużą.

Nalewał kawę z termosu.

— Więc mówi pani, że ruda Zula...

— No tak, przyjechała do Warszawy. W ogóle udała się panu ta Zula. Może pan nie słodzić, wołę gorzką. To ciekawa dziewczyna. Gdy usłyszałam o niej od pana, zaraz przeprowadziłam wywiad. Morowa dziewczyna. Podoba mi się. Jestem nawet trochę zazdrosna...

— O kogo?

— Tak bezosobowo. Chciałabym być taka jak ona.

— Przecież pani jej nie zna.

— Poznałam ją z opowiadań.

Napieralski usiadł naprzeciw niej. Z przyjemnością patrzył

na jej zgrabne nogi, na delikatny łuk kolana wymykający się spod fałd jedwabiu.

— Niech mi pani powie, skąd zebrała pani te wiadomości?

— To przecież nietrudno. O ładnej dziewczynie ludzie mówią zawsze wiele złego... Trzeba tylko umieć odszukać dobre wśród złego i wtedy ma się własny obraz. Zresztą Rysiek dużo mi o niej opowiedział.

— Czy on taki skory do zwierzeń?

— Mówiłam panu, że ma do mnie słabość. Czy to pana dziwi? Nawet alfons może mieć swoją mużę.

— Ciekawe, co o niej mówił?

— Dobra u pana kawa — piła drobnymi łykami, mrużąc zabawnie oczy i wysuwając wargi. — Musiała mu dać dobrą szkołę, bo wspomina ją z respektem. Ale ją też szantażował i szantażuje nadal... On jest stworzony do szantażu. Artysta, mówię panu. Czekam, kiedy zacznie ze mną. To musi być bardzo zabawne. Po rozmowie z panem był wściekły. Niech się pan go wystrzeżga. On potrafi być niebezpieczny...

— Zaraz, zaraz... Pani mówi nieco chaotycznie.

— Uważa pan, że mam zeznawać jak w śledztwie — odłożyła filizankę. Smukłą, delikatną dłonią gładziła wysuwające się spod jedwabiu ramię i nasadę szyi. W tym ruchu smągłej dłoni było coś elektryzującego.

— Co mówił Rysio?

— Był okropnie zdenerwowany. Boi się jakiegoś typu, który niedawno wyszedł z kryminału. Mają z sobą jakieś porachunki. Czuję, że to się przykro skończy dla jednego albo dla drugiego. Już dawno chciał pryskać z Warszawy, ale zatrzymała go jakaś ważna sprawa. Wywnioskowałam, że znowu chodzi o szantaż, na którym można sporo zarobić. Dla niego to żywioł, to sztuka.

— Czy nie wystarczy mu szantażowanie kobiet, z którymi żył przez jakiś czas?

— O nie. To za łatwe.

— Wspominała pani, że on szantażował Zulę.

— Coś w tym rodzaju. Może nie bezpośrednio. Mówiła mi jedna dziewczyna z „Owocowego“, że Zula miała przyjaciela,

jakiegoś mecenasa.

— Szajewskiego?

— O, właśnie. A Rysiek szantażował tego mecenasa. Mecenasa jest obecnie w Sopocie. Załatwia jakieś ważne interesy. Rysiek dowiedział się o tym przypadkowo i wyjechał dzisiaj...

— A Zula?

— Zula podobno też wyjechała.

— Kiedy?

— Dzisiaj.

— To niemożliwe, przecież jej nie było w Warszawie.

— Powtarzam panu, co słyszałam, a pan, zamiast być mi wdzięczny, sztorcuje mnie.

— Bo to wszystko wydaje mi się nieprawdopodobne. Zwłaszcza ten wyjazd Zuli.

— Ba, w każdej ploteczce jest ziarno prawdy.

— To absurd. Cały czas jej szukamy, a pani mówi, że była w Warszawie i wyjechała dzisiaj do Sopot.

— Oryginalne, prawda? Lubię takie sytuacje.

Napieralski podniósł szklaneczkę z koniakiem. Obracał ją wolno w palcach.

— Pani w ogóle pozuje na oryginalność. Niech mi pani powie, skąd zna pani mój adres?

— Czy to takie trudne? Po prostu z książki telefonicznej.

— Przecież pani nie wiedziała, jak się nazywam.

Roześmiała się.

— Jest pan bardziej znany w Warszawie, niż pan przypuszcza. A zresztą... dość wyraźnie przedstawiał się pan Rysiowi. I jeszcze... czy pan sądzi, że kobieta, która interesuje się jakimś mężczyzną, nie potrafi dowiedzieć się jego nazwiska?

— I odwiedza go o tej porze?

— Jest pan oczywiście zgorszony. Czy to dla nas, ludzi nowoczesnych, pozbawionych przesądów, gwizdzących na konwenanse, ma jakieś znaczenie?

— Może symboliczne — uśmiechnął się drwiąco i jeszcze raz ogarnął jej postać szybkim spojrzeniem. Siedziała w

pozie niedbalej, jak ktoś, kto dobrze się czuje, jest niemal zadomowiony. Powolnym ruchem gładziła gładkie ramię i nasadę szyi. Ten ruch podniecał go coraz bardziej, a jednocześnie paraliżował i onieśmiał.

Dziewczyna głębiej wsunęła się w fotel. Z torebki wyjęła paczkę papierosów.

— Zapali pan?

Zerwał się szukając własnych papierosów.

— Niech pan da spokój. Czy to nie wszystko jedno, jakie palimy?

— Nie lubię amerykańskich. Duszą mnie. — Podał jej ogień. Zapalając przytrzymała jego dłoń. Miała suchą, delikatną skórę. Zaciągnęła się głęboko, a potem puściła wąską smugę dymu.

— Ciekawa jestem, kto napisał w „Wieczorze” o tych zegarkach?

Napieralski doznał takiego uczucia, jakby go ktoś dźgnął.

— O jakich zegarkach? — zapytał naiwnie.

— To pewno pan? Znać pana robotę.

Starł się pokryć chwilowe zmieszanie zdawkowym, nic nie znaczącym uśmiechem.

— Więc dlatego pani tu przyszła?

Skrzywiła się.

— Ciekawa jestem, bo dużo o tym mówią.

— Numer niedawno pokazał się na ulicy, a już o tym mówią? — powiedział z naciskiem.

— To pachnie wielką aferą.

— Tak pani sądzi?

— Ja nie sądzę, ja wiem.

Wstał. Chwyił ją mocno za przegub dłoni.

— Więc po to pani tu przyszła?

Odsunęła go lekko.

— Nie po to. Chciałam po prostu pana zobaczyć.

— Co pani o tym wie?

— Że to śmierdząca sprawa.

— Ostrzega mnie pani?

— Aha — skinęła głową.

— To się pani zawiedzie. Należę do ludzi, którzy zaczęte sprawy doprowadzają do końca.

— Piękny rys charakteru, tylko...

— Niech pani powie, co pani wie o tym — przerwał jej ostro.

— Niewiele — powiedziała uśmiechając się.

— Skąd pani wie?

— Należę do ludzi ciekawych i bystrych.

— Pani musi coś wiedzieć.

Wstała, zdusiła papierosa w popielniczce, wygładziła suknię na biodrach.

— Należy pan do ludzi sympatycznych, wolałabym, żeby nie miał pan przykrości...

Redaktor rozłożył szeroko ręce.

— Wybaczysz pani, ale ja z tego nic nie rozumiem. Mówi pani półsłówkami. Odgrywa pani zagadkową osobę...

— To wszystko, co chciałam panu powiedzieć — przerwała mu głosem nieco kpiącym. — A teraz należałoby wyjść, by nie przeszkadzać panu w pracy, panie redaktorze.

Zatrzymał ją gwałtownym gestem.

— Niech pani poczeka.

— Chętnie bym nawet została, ale... czy to nie byłoby zbyt zwykłe? — Wolnym krokiem przeszła do przedpokoju. Zdjęła z wieszaka płaszcz. — Pan znowu zaniemówił, redaktorze? Dziękuję za znakomitą kawę. Kiedy pan mnie znowu zaprosi?

— Wariatka!... — wykrztusił z wściekłością.

— A pan taki miły — roześmiała się głośno. — Lubię pana. Może pan podać mi płaszcz?

Gdy podawał jej płaszcz, znowu otarła się o niego ramieniem.

— Dobranoc, redaktorze. Życzę pomyślnej pracy. Niech pan zmieni tytuł. „Tajemnice warszawskiego podziemia” to takie banalne. A jeśli będzie pan chciał zobaczyć się ze mną, to niech pan wpadnie do „Owocowego”. Jestem tam zwykle między dwunastą a drugą.

— Sprowadzę panią...



— Dziękuję. Pan przecież taki zapracowany — skinęła głową, posłała mu kokieteryjny uśmiech i wyszła, pozostawiając Napieralskiego w osłupieniu. Słyszał jej lekkie kroki na schodach, a potem głos dzwonka.

„Szatańska dziewczyna — myślał. — Taka młoda, a taka wyrafinowana. Ciekawe, kto ją tu przysłał? A przy tym taka ładna, inteligentna i pociągająca“. Przed oczami wciąż miał jej smukłą, dziewczęcą postać w miękkim i połyskliwym jedwabiu. I wciąż widział ruch smagłej dłoni pieszczący ramię i nasadę szyi.

Wrócił do pokoju, usiadł do maszyny, nałożył nową kartkę papieru. Zaczął pisać. „Ona miała rację — myślał wystukując pierwsze słowa. — Tamten tytuł był banalny. Trzeba będzie wymyślić coś lepszego“. Potem przeczytał pierwsze zdania: „Warszawa budzi się ze snu. Przez tunele pustych ulic przetaczają się pierwsze tramwaje. Wozy badylarzy turkoczą na bruku preludium nowego dnia. Z mrocznych bram wymykają się ludzie. Są zaspani, przeważnie źle ubrani. Spieszą do pracy. Warszawa zaczyna żmudny dzień. W zatłoczonych mieszkaniach rodzą się pierwsze kłótnie: «Czy starczy pieniędzy do pierwszego? Za co kupi się buty dla dzieci? Znowu coś podróżowało.» A w Palladium idzie nowy film z Brigitte Bardot i nie ma już forsy na bilety... Ktoś zalega za komorne, komuś podarły się zelówki, komuś znowu nie wypłacono premii, na którą tak liczył... O świcie rozgrywają się małe i duże tragedie milionowego miasta...

A tymczasem z «Kaskady», z «Stolicy», «Oazy», «Kameralnej», «Bristolu» jak szczury z piwnic wylażą cuchnący wodą «wdechowcy». Wpychają w taksówki pijane dziewczyny. Z szyderczym śmiechem przechodzą obok umykających jak cienie, szarych, zmęczonych «mrówek». Ich hasłem jest: «Śmierć frajerom!», ich dewizą: «kantuj i kradnij, gdzie się da!». Skąd te podejrzane typy, bez stałego zajęcia, biorą pieniądze na «ochlaj», «ubaw», «rozróbkę»? Jakim prawem śmieją się prosto w twarz cichym, spokojnym, skromnym obywatelom? Skąd wziął się ten

czarny margines naszego życia?”

„Czarny margines — pomyślał — to będzie odpowiedni tytuł“. Ale gdy jeszcze raz przeczytał wstęp do swego reportażu, wydarł z wściekłością kartkę. — To nie tak! Nie tak. Trzeba mocniej — wyszeptał głośno. Zmiał kartkę i wrzucił ją do kosza.

„Czarny margines...“ — wystukał u góry nowej kartki i gdy miał podkreślić tytuł, odezwał się telefon.

— Słucham — zawołał zirytowanym głosem. Chwilę nikt się nie odzywał, a potem zabrzmiał jakiś znajomy kobiecy głos.

— Niech pan natychmiast przyjeżdża na Polną. Zula jest w domu. Czeka na pana... — głos brzmiał ostro, rozkazująco i urwał się nagle, jak gdyby ktoś przeszkodził mówiącej kobiecie.

— Halo! Halo! — zawołał dziennikarz. — Kto mówi? Kto mówi?

Odpowiedziała mu cisza. W słuchawce szumiało przeciągle.

— Kto mówi, do jasnej cholery! — wrzasnął, a gdy nikt się nie odezwał, cisnął słuchawkę na widełki. Bezmyślnie sięgnął po paczkę papierosów. Zapalił. Potem nalał koniaku do szklaneczki, lecz nie pił, tylko obracał szkło w palcach, jakby to była zabawka. Wreszcie wstał. Pomyślał, że jednak trzeba pojechać na Polną. Jeżeli usiadł do brydża, to trzeba przynajmniej skończyć jednego robra. Wypił koniak. Alkohol był ciepły i piekł w gardle. Jeszcze raz skierował spojrzenie na białą kartkę papieru tkwiącą w maszynie. — „Czarny margines“ — odczytał półgłosem. Spojrzał na zegarek. Było piętnaście po północy.

Wyszedł.

O pierwszej znaleziono go w bramie kamienicy, w której mieszkała ruda modelka. Był nieprzytomny. Miał głęboką ranę w czaszce.

## CZEŚĆ DRUGA

### I

Kapitan Przywara, porucznik Żończyk i dwóch wywiadowców wcisnęli się do samochodu.

— Na Polną — rozkazał Przywara kierowcy.

Milicyjna „Warszawa“ ze świstem pruća przez puste ulice miasta, zmiatając ledwo okrzeplą ciszę, zgnarniając w lustra szyb rozmigotane światła.

— Cholera — zaklął Przywara — przecież on dzisiaj dwa razy do mnie dzwonił. Widocznie miał jakąś ważną sprawę.

— Podobno prosił, żebyście do niego zatelefonowali, kapitanie — odezwał się Żończyk.

— Jak mogłem telefonować, kiedy cały dzień siedziałem w Aninie. Trzeba mnie było zawiadomić.

— Myśleliśmy, że to prywatna sprawa.

— Ech... — westchnął — i tak to wszystko paskudnie wypadło. Taki morowy chłop. I patrzcie, jak go urządzili.

— To pewno zemsta.

— Oczywiście. On im za bardzo załazł za skórę. Miał dobry węch i cięte pióro. Niejednego wysłał za kratki.

— Wspaniały dziennikarz — odezwał się z głębi tylnego siedzenia jeden z wywiadowców, człowiek młody, z cienkim wąsikiem. — Ja z nim raz na obławie byłem. Wesoly chłop. A potem taki reportaż machnął, że całe miasto huczało. Ten umiał pisać — pokręcił z uznaniem głową.

— Niech się tylko z tego wykaraska — powiedział kierowca.

— Dzwonili ze szpitala, że nieprzytomny — poinformował

wywiadowca.

— Musieli mu dobrze przyłać — dodał drugi, łysawy, w welwetowej marynarce.

— Ech — westchnął Przywara masując zarośnięty policzek — zawsze musi trafić na porządnego człowieka.

Samochód skręcił gwałtownie. Siedzący w nim ludzie zachybotali się, starając się utrzymać równowagę.

— Już Polna — rzucił kierowca — który numer, kapitanie?

— O tu! — zawołał uderzając kierowcę w ramię. Samochód zahamował gwałtownie, aż opony zapiszczały na suchym asfalcie. Przed bramą czernił się wianuszek zbiegowiska. Ludzie gapili się na samochód.

Przywara wyskoczył pierwszy.

— Rozejść się, obywatele — powiedział spokojnym głosem i przeszedł obok ustępujących mu z drogi. Jakaś kobieta w welwetowym szlafroku, z chustką na głowie, powiedziała głośno:

— Tu ludzi mordują, a milicji nie ma. Porządki, psiakrew!

Łysawy wywiadowca odkrzyknął urażonym głosem:

— Proszę o spokój! Rozejść się! Tu nic ciekawego!

Przywara wszedł do ciemnej bramy. Była to brama, jak w wielu zniszczonych kamienicach warszawskich, pozbawiona drzwi, zabita do połowy deskami, w których wycięto jedynie prowizoryczne wejście. W głębi spod osmalonego sklepienia ćmiła nędzna, odratowana i pajęczyną osnuta żarówka.

Przed kapitanem wyrósł nagle milicjant. Zameldował się jako rejonowy i zdał krótki raport z przebiegu wydarzeń. O wypadku zawiadomiono go niedawno. Gdy przybył na miejsce, delikwenta zabrało już pogotowie. Przy poszkodowanym znaleziono jedwabny szalik, który miał zarzucony na twarz.

— Kto pierwszy zobaczył rannego? — zapytał Przywara, kierując się raczej do tłoczących się ludzi aniżeli do milicjanta.

— Ja... — odezwał się nieśmiały głos. Spośród ludzi zgromadzonych na klatce schodowej wysunął się młody mężczyzna w sandałach, drelichowych spodniach i białej

płóciennej koszuli z krótkimi rękawami. Był blady, przejęty wypadkiem.

Kapitan ogarnął go przenikliwym spojrzeniem.

— Pan tutaj mieszka?

— Tak.

— Jak to było?

— Ja wracałem do domu... — młodzieniec zaciął się. Nieruchome oczy utkwił w ciemnym kącie bramy. — Tutaj leżał ten człowiek — wskazał ręką.

— Jęczał?

— Nie. Leżał jak nieżywy i szalik miał narzucony na twarz.

— Gdzie ten szalik?

Milicjant podał kapitanowi jedwabny szalik. Przywara uniósł go do światła.

— Ten szalik? — zapytał młodego człowieka.

— Ten sam.

— Miał nim okręconą twarz, czy szalik leżał luźno?

Młody człowiek wzruszył ramionami.

— Mnie się zdaje, że leżał luźno.

— Dobrze. Co pan zrobił?

— Okropnie się przestraszyłem. Nie wiedziałem, co robić.

— Ale ostatecznie musiał pan coś zrobić — powiedział Przywara nieco drwiąco.

— Krzyknąłem. Potem podszedłem do niego. Było ciemno. Nie wiedziałem, czy żyje. Poruszyłem go, ale nawet nie drgnął. Zacząłem walić w drzwi dozorca.

Przywara rozejrzał się, jakby kogoś szukał.

— Gdzie dozorca?

— To ja — powiedział siwy, niechlujnie ubrany, tęgi człowiek. Gdy zbliżył się, kapitan poczuł od niego odór wódki.

— To wy? — przyjrzał mu się uważnie. Był to stary, zniszczony człowiek. Twarz miał płaską, pomarszczoną, zarośniętą. Spod obwisłych brwi patrzyły małe, mętne oczy.

— A wy niczego żeście nie słyszeli? — zagadnął ostro.

— Ja spał — powiedział tamten i czknął jakby ze strachu.

— Nie widzieliście przedtem nikogo podejrzanego?

Dozorca uniósł ramiona ruchem wyrażającym zdziwienie.

— Panie władzo, przecież ta brama jak na odpuście. Ludzie kręcą się w te i we wte, jak za przeproszeniem w bajzlu. Już Komitet wiele razy dobijał się, żeby bramę porządną wstawić. Na tynkowanie pieniądze są, a na bramę nie ma...

— Z kim żeście wódkę pili? — przerwał mu Przywara.

— Ja?... — uśmiechnął się porozumiewawczo. — Za własne pieniądze, sam ćwiartkę do poduszki wypróżniłem. Nie wolno mi?...

Jakiś mężczyzna w zarzuconej na pidzamę marynarce zachichotał głupkowato. Przywara skarcił go spojrzeniem.

— Cisza! — mruknął łysawy wywiadowca.

— Przecież mu wolno — pisnęła kobieta w welwetowym szlafroku.

Przywara pokręcił głową, chcąc podkreślić swą dezaprobatę. Naraz zwrócił się do młodego człowieka w drellichowych spodniach.

— A pan nikogo w okolicy nie widział?

Ten przetarł dłonią wysokie czoło.

— Zdawało mi się, że ktoś szedł do góry po schodach.

— Widział pan, słyszał pan czy zdawało się panu?

— Tak jakbym słyszał, że ktoś wchodzi na schody. Ale dokładnie nie mogę powiedzieć, bo byłem bardzo zdenerwowany.

— Na które piętro?

— Nie mam pojęcia.

— Nie słyszał pan, że drzwi się otwierają?

— Nie.

— A potem kto pierwszy się zjawił?

— Potem zobaczyłem panią Schnaps, tę z trzeciego...

— Kocią mamę — dodała kobieta w welwetowym szlafroku.

— Kiedy ją pan zobaczył?

— Wtedy, jak się dobijałem do dozorca.

— Gdzie stała?

— O, tu na schodach — wskazał ręką.

Przywara zwrócił się do ludzi.

— Czy jest tu pani Schnaps?

Rozejrzeli się.

— Nie ma pani Schnaps? — .powtórzył.

— Ona mieszka na trzecim piętrze, pod jedenastką — poinformował mężczyzna w marynarce zarzuconej na pidżamę.

Przywara skinął na Żończyka, który do tej pory notował przebieg śledztwa.

— Zajdźcie tam i sprowadźcie ją na dół.

Żończyk zabrał ze sobą wywiadowcę z cienkim wąsikiem.

— Rozejrzyjcie się — zawołał kapitan za odchodzącymi.

Ich kroki w nocnej ciszy dudniły jak na alarm. Przywara chwycił jedwabny szalik w dwa palce, uniósł go wysoko do światła.

— Może ktoś z obecnych wie, czyj to szalik?

Ludzie zbliżyli się. Zadzierali głowy jak na wiejskim jarmarku podczas pokazów magika. Zdawało się, że za chwilę z chustki wyfrunie gołąb albo ukaże się inne akcesorium kuglarskiej sztuki.

— To szalik pani Schnaps — powiedziała stara kobieta zbliżając się do Przywary. Była mała, chuda, miała żółtą skórę i wątrobiane plamy na skroniach.

Przywara podsunął szalik bliżej.

— Jest pani tego pewna?

Patrzała długo na kawałek jedwabiu jak na rzecz odrażającą.

— Widziałam ją w tym szaliku... dzisiaj rano, gdy schodziła do piwnicy.

— O której?

— To było wcześniej. Jeszcze mój syn nie wyszedł do biura. Przed ósmą.

— Pamięta pani dokładnie, że to był ten szalik?

— Pamiętam... Jeszcze pytałam panią Schnaps, gdzie go kupiła? Podobał mi się. Chciałam zrobić prezent mojej córce.

W tej chwili na górze zatrzasnął ktoś drzwi i dały się

słyszeć kroki schodzących. Spojrzenia zgromadzonych w bramie ludzi przesunęły się z szalika na wylot klatki schodowej. Nastąpiła cisza, a w tę ciszę wdarł się nagle kobiecy głos.

— Czego panowie ode mnie chcą? Jak można o tej porze niepokoić ludzi? To skandal. Dam znać na Komendę albo do gazety.

A potem zabrzmiał głos męski.

— Niech się pani uspokoi. Musimy wyjaśnić pewne sprawy...

Po chwili na schodach ukazała się tęga kobieta, ubrana w szlafrok z chińskiego jedwabiu, a za nią Żończyk i wywiadowca z cienkim wąsikiem.

— Proszę się zatrzymać! — Przywara schował szalik do kieszeni. Kobieta znieruchomiała jak człowiek, który przypadkowo znalazł się na scenie przy podniesionej kurtynie. Potem gwałtownym gestem poprawiła wymykające się spod fularowej chustki włosy, a drugą ręką przytrzymała rozsuwający się na okazałym biuście szlafrok.

Przywara skinął na młodzieńca w drelichowych spodniach.

— Niech pan stanie w tym miejscu, gdzie pan był wtedy.

Młodzieniec spełnił jego życzenie, podszedł do drzwi stróżówki.

— W którym miejscu stała ta pani, gdy pan ją zobaczył?

— Właśnie tam, gdzie teraz stoi.

Przywara jednym susem znalazł się na schodach. Gwałtownym ruchem ręki wskazał na kobietę.

— Co pani wtedy tu robiła?

— Kiedy? — wyszeptała drżącymi wargami.

— Wtedy, kiedy ten pan dobijał się do dozorczy?

— Schodziłam.

— W jakim celu?

— Usłyszałam jakiś krzyk.

Kapitan zwrócił się do stojących w bramie ludzi.

— Czy ktoś z mieszkańców słyszał krzyk?

Jedni wzruszyli ramionami, inni patrzyli tępo na panią



Schnaps. Kobieta w welwetowym szlafroku powiedziała:

— Ja tam coś słyszałam, ale nie wychodziłam. Ile to razy słyhać krzyki pod oknami?

— Na którym piętrze pani mieszka?

— Na drugim.

— A pani na trzecim — spojrzał na panią Schnaps — i pani lepiej słyszała.

— Zdawało mi się, że coś się dzieje.

— Może pani na coś czekała?

— Nie. Ale widziałam, jak przed dom zajechała taksówka.

Wysiadł z niej ten redaktor, który tu już nieraz przychodził...

— Znała go pani?

— Oczywiście. Przecież on był u mnie...

Ludzie zaszemrali.

— Kiedy?

— Dwa dni temu.

— Czego chciał od pani?

— Dopytywał się o tę rudą z piątego piętra.

Szmer wzmógł się. Ktoś zakaszłał. Kobiety zaczęły szeptać. Przywara syknął na ludzi. Uspokoilo się.

— Widziała pani — zwrócił się znowu do pani Schnaps — jak wysiadał z taksówki?

— Tak.

— Był sam?

— Tak.

— Potem wszedł do bramy?

— Tego nie widziałam, bo drzewa przysłaniają.

— Ale skierował się do bramy?

— Tak.

— Z której strony zajechał?

— Od Politechniki.

— Wysiadł po drugiej stronie ulicy?

— Tak.

— I przeszedł ulicę?

— Tak.

— A kogo pani jeszcze widziała w tym czasie?

— Wtedy było pusto, ale przedtem kręcił się na dole jakiś człowiek.

— Jaki człowiek? Może go pani określić?

— Ślepiec. Był w długim prochowcu, w ciemnym kapeluszu, w ciemnych okularach i miał białą laskę.

Ludzie znowu zaszemrali.

— Czy ktoś z obecnych widział tego ślepeca? — zapytał Przywara.

— Ja go widziałem — rzekł mężczyzna w marynarce zarzuconej na pidżamę. — Widziałem go, ale nie teraz. Kilka dni temu. Szedł do góry po schodach.

— Jak był ubrany?

— Tak samo, jak mówiła pani Schnaps.

— O tym ślepym to już trzeci raz słyszę — odezwał się dozorca. — Same jakieś dziwne rzeczy...

— Chwileczkę — przerwał mu Przywara i znowu zwrócił się do pani Schnaps — kiedy go pani zobaczyła?

— Jakies pięć minut przed przyjazdem taksówki.

— Był sam?

— Tak.

— Gdzie się kręcił?

— Najpierw przeszedł po drugiej stronie. Potem zawrócił, przeciął ulicę i zniknął za drzwiami.

— Potem już go pani nie widziała?

— Nie.

— A kiedy usłyszała pani krzyk?

— Potem jak odjechała taksówka.

— I zeszła pani na dół?

— Tak.

— To znaczy pani przez cały czas śledziła, co się dzieje na dole. W jakim celu?

Pani Schnaps wyduła wargi.

— Jestem samotną kobietą... Cóż mi innego zostaje.

Przywara wskazał na młodego człowieka.

— A pan widział odjeżdżającą taksówkę?

— Zdaje mi się, że tak.

— Panu cały czas tylko się zdaje. Tak czy nie? — zapytał

twardo.

— Chyba tak.

— Jaka to była taksówka?

Pani Schnaps uprzedziła młodzieńca.

— Taka stara, mała.

Przywara uśmiechnął się cierpko.

— Ech... — westchnął — pani to ma bystre oko. To dziwne, że panią wszystko tak bardzo interesuje. I ciekawe... — wyostrzył wzrok i rzucił zaskakująco — dlaczego pani będąc na schodach nie zainteresowała się rannym?

Pani Schnaps jak gdyby skuliła się w sobie.

— Mój Boże, czy to przyjemnie włóczyć się po sądach?

— Zamiast zejść na dół, wróciła pani do mieszkania, tak?

Rozłożyła ręce.

— Cóż miałam robić?

Przywara gwałtownym ruchem wyciągnął z kieszeni jedwabny szalik. Zamigał nim przed oczami kobiety.

— To pani szalik?

Cofnęła się i ręką chwyciła poręcz schodów. Jej nalana twarz pobladła jeszcze bardziej pod grubą warstwą pudru.

— Nie, to nie mój! — krzyknęła nieomal.

Przywara wyszukał wzrokiem staruszkę.

— Czyj to szalik? — zapytał.

Kobieta otworzyła szeroko usta. Przez długą chwilę nie mogła wydobyć głosu. Wreszcie powiedziała:

— Rano panią widziałam w tym szaliku.

Przywara zagryzł wargę.

— Czy to prawda? — skinął głową na panią Schnaps.

Ta uniosła rękę do ust. Palcami błędziła po wargach.

— Boże, skąd on się tu wziął!...

— Jednak poznaje go pani?

— Ja nic o tym nie wiem — wyszeptala i nagle cała jej postać zwiotczała, osunęła się na poręcz schodów. Przywara podtrzymał ją.

— Bez hysterii, bez hysterii — powiedział ostro.

— To takie dziwne.

— Bardzo dziwne — podjął kpiąco. — Jest pani za-

trzymana aż do wyjaśnienia.

Otworzyła szeroko oczy.

— Ja?...

— Tak, pani.

— A co będzie z moimi kotkami? — zapytała płaczliwym głosem.

Ktoś na dole zaśmiał się krótko i cicho. Kobieta w welwetowym szlafroku jęknęła:

— Tu się rozchodzi o człowieka, a ona o kotach, psiakrew!

— Cicho, obywatele — syknął wywiadowca z cienkim wąsikiem.

Przywara wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Zapalał nerwowo, marnując kilka zapalek.

— Poruczniku — powiedział do Żończyka — jedziemy do szpitala. Wy, Kukalski — wskazał na wywiadowcę w welwetowej marynarce — odwieziecie ją na Komendę. A wy, Słota — skinął na drugiego — zostaniecie tu na miejscu. Trzeba zabezpieczyć oba mieszkania. Tej pani i to na piątym piętrze. Nikogo nie wpuszczać. Rano przyślę nakaz rewizji. — Rzucił pani Schnaps przelotne spojrzenie, w którym obrzydzenie mieszało się ze wściekłością. Nasunął na oczy kapelusz. — I jeszcze jedno — powiedział do Słoty — zbierzcie dane o tych świadkach — pokazał kolejno na dozorcę, młodzieńca w drelichowych spodniach, kobietę w welwetowym szlafroku i mężczyznę w pidżamie. — Czekać na dalsze dyspozycje. A państwo — zrobił uspokajający gest ręką — możecie się rozejść. Już późno...

\*

Korytarz kliniki chirurgicznej był długi, jasno oświetlony, przepojony zapachem chloroformu. W głębi, naprzeciw białych drzwi, siedziało kilka osób. Gdy Przywara z Żończykiem zjawili się u wejścia, jeden z siedzących poderwał się i szybkim krokiem zbliżył się do nich.

— Jestem redaktor Keller z „Wieczoru“, przyjaciel Napieralskiego. Ja pana znam, panie kapitanie.

Przywara uściskał mu dłoń.

— Jak się czuje redaktor?

Keller uniósł ramiona gestem rezygnacji.

— Wciąż jeszcze nieprzytomny. Stan bardzo groźny. Lekarze milczą, nie chcą nic powiedzieć.

Przywara z roztargnieniem masował zarośnięty policzek.

— Psiakrew, to niedobrze.

— Panie kapitanie — powiedział Keller ściskając go za ramię. — Musicie jechać do jego mieszkania. On robił zawsze notatki. W tych notatkach będzie rozwiązanie.

— Ma pan klucze?

— Nie, ale znajdziemy je na pewno w ubrania.

Przywara położył dłoń na ramieniu Żończyka.

— Poruczniku, załatwcie z tymi kluczami. My tu poczekaemy na was.

W tej chwili podszedł do nich Ochniewski. Był bardzo zmęczony i zdenerwowany.

— Pan z milicji? — zapytał Przywarę.

— Tak jest, ze służby śledczej.

— Jestem Ochniewski, naczelny redaktor „Wieczoru“. Chciałem złożyć pewne wyjaśnienia.

— Słucham pana, redaktorze.

— Ja myślę, że to przykre zdarzenie ma związek z notatką, która dzisiaj, to znaczy wczoraj po południu, ukazała się w naszej gazecie. Czytał pan o tych zegarkach?

— Nie. Wczoraj byłem bardzo zajęty.

— To proszę, niech pan przeczyta — wyciągnął z kieszeni marynarki najnowszy numer „Wieczoru“, rozłożył go i wskazał na krótką notatkę obrysowaną czerwonym ołówkiem.

Kapitan zbliżył gazetę do światła. Gdy skończył czytać, trzepnął w papier palcami.

— No dobrze, ale co to ma wspólnego z redaktorem Napieralskim?

— To on napisał tę notatkę. — Ochniewski w krótkich słowach wyjaśnił treść rozmowy, jaką miał ze swym reporterem w południe ubiegłego dnia. — A ze mnie taki

idiota, że pozwoliłem mu na to — zakończył.

— Trzeba było porozumieć się z nami.

— On miał do pana telefonować.

Kapitan pstryknął palcami.

— No tak, teraz już wszystko rozumiem. On dzwonił do mnie kilka razy, ale niestety nie zastał mnie w Komendzie. Tylko dlaczego na mnie nie poczekał? Ej, wy redaktorzy, jesteście zawsze w gorącej wodzie kąpani.

Nadszedł Żończyk.

— Są klucze, kapitanie — zameldował.

— W takim razie jedziemy. Może który z panów pojedzie z nami?

— Ja bardzo chętnie — powiedział Keller. — Często bywałem u niego i wiem, gdzie chowa swe szpargały.

— To dobrze się składa — wtrącił Ochniewski — bo muszę czekać na profesora. Chciałbym się dowiedzieć, jak wypadło konsylium.

— Jest nadzieja, redaktorze? — w głosie Przywary au brzmiała nuta szczerego współczucia.

— To silny chłop, może wytrzyma.

— Ech, taki miły i dzielny człowiek — Przywara skinął po wojskowemu i dał znak, że już mogą odejść. Keller ruszył pierwszy.

— Prędzej, panowie, szkoda każdej chwili.

\*

Żończyk odłożył gruby notatnik, oprawny w czarną imitacją skóry. Przywara spojrział pytająco.

— No i co o tym sądzicie, poruczniku?

Żończyk położył dłoń na notatniku.

— Zdaje mi się, że to będzie nasz przewodnik w tej całej sprawie. Mamy w nim indeks osób i zagadnień...

— Mówiłem panom, że on dokładnie wszystko notuje — wtrącił Keller. — On jest skrupulatny w swej pracy jak buchalter w księgach.

Przywara spojrział na maszynę do pisania.

— Zdaje mi się, że pisał jakiś reportaż — powiedział biorąc w palce wkręconą w maszynę kartkę papieru.

— Tak, miał napisać cykl reportaży o podziemiu warszawskim.

— Widocznie ktoś mu w tym przeszkodził — Przywara powiódł spojrzeniem po podłodze zasłanej zmiętymi kartkami papieru. — I jakoś nie szła mu ta robota.

Keller uczynił gest zdumienia.

— To dziwne, on potrafił pracować jak maszyna. Przez kilka dni nic nie pisał, ale gdy zebrał materiał, to trząsał reportaż za reportażem.

Przywara schylił się, wolnym ruchem uniósł z podłogi zmiętą kartkę. Rozwinął ją.

— Więc co pan o tym sądzi, poruczniku? — zapytał nie patrząc na Żończyka — kto z tego indeksu jest najbardziej podejrzany?

Żończyk stał chwilę jak uczeń zaskoczony nagłym pytaniem belfra.

— Myślę... — wyszeptał niepewnie — że kilka osób...

— Ale kto najbardziej, od kogo należy rozpocząć śledztwo?

— Od tego kompozytora Brauna?

Przywara jak gdyby nie słyszał tych słów, trzepnął o dłoń czarnym notatnikiem i wsunął go do kieszeni.

— Dobra rzecz takie zapiski. Bardzo nam się przydadzą. Wstał, zgasił papierosa. — A teraz, poruczniku, do roboty. Ja wracam do Komendy, a wy weźmiecie jednego człowieka i pojedziecie na Nowogrodzką. I jeszcze jedno. Musimy odnaleźć tę rudą modelkę. Mam wrażenie, że to nam wiele wyjaśni. A więc do roboty, poruczniku.

Gdy wychodzili, odezwał się telefon. Przywara bez pośpiechu podszedł do aparatu. Zdejmując słuchawkę uniósł porozumiewawczo głowę.

— Zamiejskowa — rzekł do stojących w drzwiach Żończyka i Kellera. — Z Gdańska — dodał po chwili.

Czekali w napięciu. Telefonował redaktor Herman z Gdańska. Gdy się dowiedział, że nie zastał Napieralskiego,

chciał zakończyć rozmowę.

— Niech pan zaczeka chwilę — powstrzymał go Przywara spokojnym głosem — redaktor Napieralski uległ wypadkowi. Tu mówi oficer służby śledczej. Każda wiadomość dotycząca redaktora jest dla nas bardzo ważna...

— Napieralski prosił mnie o informacje o mecenasie Szajewskim — tłumaczył Herman. — Otóż dowiedziałem się, że Szajewski przeprowadził się przed dwoma dniami z „Grandu“ do prywatnego mieszkania w Oliwie. Przebywa sam. Załatwia ważne sprawy dotyczące transportu jakichś narzędzi chirurgicznych... To wszystko, czego mogłem dowiedzieć się w tej sprawie.

— Dziękuję. Chodzi o mecenasa Szajewskiego z Warszawy?

— Tak. Napieralski chciał wiedzieć, czy był on w Sopocie z jakąś rudą modelką. Otóż mieszkał sam i przebywał przeważnie w towarzystwie męskim, głównie urzędników celnych i z Urzędu Morskiego.

— Tak... Dziękuję panu, redaktorze.

Przywara położył wolno słuchawkę. Jeszcze chwilą trzymał palce na gładkim ebonicie telefonu.

— Tak... — powtórzył w zamyśleniu — dopiero się zaczęło, a już napływają informacje. — Potem w skrócie powtórzył rozmowę.

— Może zawiadomić Gdańsk, żeby przytrzymali tego mecenasa? — powiedział Żończyk, gdy Przywara dokończył opowiadanie.

— Nie, nie. Jeszcze za wcześnie. Nie możemy płoszyć ludzi. — Zgasił światło. — A więc, poruczniku, czekam na wiadomość o Braunie.

\*

Przywara nacisnął guzik dzwonka. Za chwilę zjawił się dyżurny milicjant.

— Poproście do mnie porucznika Robańskiego, a potem przynieście mi herbaty, tylko mocnej.



Milicjant zniknął bez słowa. W gmachu dzwoniła cisza jak w nawie pustego kościoła. Czasem tylko na korytarzu zadudniły kroki, czasem w rurach zaszumiała woda. Przez otwarte okno napływało świeże powietrze. Widać było misterne liście kasztana, wciskające się w pręty okratowania. Jasny krąg biurowej lampy padał na porozrzucane na stole kartki notatnika, długopis, popielniczką pełną niedopalków i okulary w rogowej oprawie.

Przywara czuł, że wali się nań zmęczenie. Z wysiłkiem rozcierał skronie. Myślał o Napieralskim... Połączył się ze szpitalem. Poprosił dyżurnego lekarza oddziału chirurgicznego. Zamiast niego zgłosiła się pielęgniarka.

— Chciałem się dowiedzieć o stan zdrowia redaktora Napieralskiego.

— Jest jeszcze nieprzytomny. Stan ciężki... Robimy, co możemy, żeby utrzymać go przy życiu...

Położył słuchawkę. Powiew wiatru zaszeleścił w liściach kasztana. W korytarzu odezwały się kroki. Za chwilę wszedł porucznik Robański, niski, przysadkowaty mężczyzna o rudawych, krótko ostrzyżonych włosach.

— Znałeś tego redaktora z „Wieczoru“, co tu do mnie przychodził?

— Napieralskiego? Oczywiście.

— Dostaliśmy jego sprawę. Bardzo mi zależy, żeby ją poprowadzić na sto dwa, dlatego chciałbym, żebyś nam pomógł. Zajmiesz się „Bładym Wiktorem”. — Rzeczowo przedstawił mu tok wydarzeń. Kończąc, zapalił papierosa. — Trzeba go odnaleźć. Przypuszczam, że będziesz miał trudności. Przed kilkoma dniami wyszedł z więzienia i chyba nie jest zameldowany. Wiesz jednak, w jakim towarzystwie się obraca. Znając twoje zdolności, mam nadzieję, że rano będziemy go mieli.

— Zobaczymy.

— Postaraj się. Bardzo mi na tym zależy.

— A ty się prześpij — rzucił Robański. — Wyglądasz jak po przepracowanej nocy — i skinąwszy głową wyszedł. W progu

omal nie wpadł na milicjanta niosącego termos z herbatą.

Przywara zdusił papieros. Z przyjemnością łyknął herbaty prosto z termosu. Gorący płyn zwilżył spieczone wargi i złagodził gorzki smak nikotyny. Kapitan wziął czystą kartkę papieru. Ozdobił ją kilkoma zygzakami. Potem zaczął szybko notować. Najpierw narysował małe kółeczko, a przy nim napisał nazwisko pani Schnaps.

„Walentyna Schnaps. Podejrzana. Skąd wziął się jej szalik przy Napieralskim? Dlaczego poprosiła Napieralskiego do siebie? Skąd takie znakomite informacje? Dlaczego napuszczała go na rudą? Skąd nienawiść do rudej? Czy znała ślepcę? Czy miała coś wspólnego z aferą przemycanych zegarków?”

Przy drugim kółeczku postawił nazwisko „Błego Wiktora”.

„Żabieliak. Podejrzany. Dlaczego najpierw groził Napieralskiemu, później zaproponował mu spółkę? Skąd dostał żółtą paczkę? Czy zna Brauna? Czy zdążył zaszantażować aferzystów? Jakie miał powiązania z nimi? Czy rozmawiał z rudą Zulą przed jej wyjazdem?”

Trzecie kółeczko przeznaczył dla Brauna.

„Braun. Sprawdzić, czy brał udział w jury konkursu? Skąd wzięła się u niego żółta paczka? Czy to ta sama, która była na Polnej? Czy Braun i ślepiec, którego Napieralski widział na Polnej, to ta sama osoba? Sprawdzić, w jakiej jest sytuacji materialnej. Co robił, gdy z mieszkania Napieralskiego znikła paczka? Czy znał Wiktora?”

W tym miejscu podkreślił dwa razy i pod krzyżykiem napisał: „Pierwsza sprawa: Kto wyniósł paczkę z mieszkania Zuli? Druga sprawa: Kto wykradł paczkę z mieszkania Napieralskiego? Trzecia sprawa: Kto to jest Dora? Czwarta sprawa: Kogo ostatnio szantażował »Aksamitny« i czy kontaktował się z Wiktorem?”

W tym momencie zabrzączał telefon. Przywara podniósł słuchawkę. Dzwonił Żończyk.

— Brauna nie ma w domu — mówił zdenerwowanym głosem. — Wyszedł przed dziesiątą. Widział go dozorca. Do

tej pory jeszcze nie wrócił. Sprawdziłem, jak był ubrany. Zgadza się z opisem tego ślepcą z Polnej. Miał długi deszczowiec, miękki kapelusz, ciemne okulary. Tylko zamiast białej laski, zwykłą laseczkę ze srebrną gałką. Towarzyszyła mu jakaś młoda kobieta. Z opisu wywnioskowałem, że to jakaś podejrzana dziwka. Wy-  
pytywałem też o stan jego ślepoty. Jest zupełnie ociemniały, to nie ulega wątpliwości. Co mam teraz zrobić, kapitanie?

— Skąd dzwonicie?

— Z Komisariatu na Pięknej.

— Wracajcie na Nowogrodzką. Ja zaraz przyślę wy-  
wiadowcę, który was zluzuje. Później znajdziecie adres tego Łabanowicza, studenta, o którym Napieralski wspomina w swoich notatkach. Odszukacie go. On może wyjaśnić wiele spraw. A więc powodzenia! — odłożył słuchawkę.

Znowu zadzwonił telefon.

— Tu mówi major Knap — usłyszał Przywara znajomy głos. — Słuchajcie, kolego, podobno interesuje was sprawa zegarków.

— Tak...

— Złapaliśmy dwóch facetów z paczką zegarków. Są u mnie. Jeżeli was to interesuje, przyjdźcie do mnie.

— Dziękuję, zaraz będę.

Przywara zapukał. W drzwiach ukazała się czarna, rozczochrana głowa majora Knapa.

— Chwileczką, kapitanie, muszę z wami pogadać. — Wyszedł na korytarz, ziewnął głośno, pokazując białą, lśniącą zęby, tkwiące w mocnych dziąsłach.

— Złapał ich przypadkowo wywiadowca w barze „Pod Wiaduktem“ na Pradze. Była jakaś rozróbka o dziewczynę. Zatrzymał ich i znalazł przy nich futerał do akordeonu, a w futerałach paczkę z zegarkami.

— Ciekawe — mruknął Przywara. — Jaka była ta paczka?

— Żółta, zaplombowana, z nadrukiem wiedeńskiej firmy produkującej narzędzia chirurgiczne.

Przywara świsnął przez zęby.

— Fantazja, szukam właśnie takiej paczki. Co oni

śpiewają?

— Chcą się wymigać. Mówią, że na Dworcu Wschodnim ukradli futerał, myśląc, że to akordeon. Cwaniacy, co? — Knap masował tłustą, obrośniętą pierś pod rozchełstaną koszulą. — Chcecie z nimi pogadać?

— Oczywiście. Zobaczycie, jak ich zaskoczę.

Major nacisnął klamkę. Przepuścił Przywarę przed sobą. W pokoju płonęły wszystkie światła. Było gęsto od gryzącego dymu. Obok biurka majora siedział wywiadowca, chudy mężczyzna ze zmęczoną twarzą i blizną pod okiem. Naprzeciw niego na ławce siedziało dwóch warszawskich młodzieńców. Jeden z nich rosły, muskularny, ostrzyżony na Gerarda Philipe'a, drugi niski, krępy, z czarnymi baczkami. Byli na pozór spokojni. Na widok wchodzącego Przywary zamienili błyskawicznie spojrzenia.

Przywara zatrzymał się przed nimi i długo badał ich natarczywym wzrokiem. Naraz wyciągnął rękę.

— Ja was znam — krzyknął niemal — jesteście od „Błego Wiktora“.

Blondyn ostrzyżony na Fanfana uśmiechnął się jadowniczo.

— Pomyłka, panie komendancie, złudzenie optyczne. Pan komendant chce nas wziąć pod bajer.

Ten drugi z czarnymi baczkami opuścił głowę. Brudnymi łapami masował tęgie uda, przeżące się pod drelichem spodni.

Przywara schwycił Fanfana pod brodę.

— Ty mnie też dobrze znasz.

Fanfan zamrugał kocimi oczami, ale wytrzymał natarczywe spojrzenie.

— Jak pragnę zdrowia, pierwszy raz widzę pana komendanta.

— Przypomnij sobie. No!

— Jak pragnę pokoju, panie komendancie, nie przypomnam sobie.

— A sprawa „delegatów“?

Fanfan odchylił głowę, skrzywił się, potem ruchem zniecierpliwienia wzruszył ramionami.

— Mnie pan komendant nie zatrajluje, jak pragnę pogody...

Przywara pokiwał głową.

— Żleś trafił. Znowu na mnie wpadłeś. Kiedy dostałeś tę paczkę od „Bładego“?

Czarny z baczkami poderwał kędzierzawą głowę, jakby się teraz dopiero obudził.

— Jaką paczkę, panie komendancie? My chcieli harmonię zorganizować.

Przywara przyjrzał mu się uważnie

— Ciebie jeszcze nie znam. Musieli cię niedawno zwerbować. — Schwycił go szybko za ramię i jednym poderwaniem postawił na nogi. — Kiedy dostaliście te zegarki od „Bładego“?

Tamten pobladł, krew mu spłynęła z niskiego, ogorzałego czoła. Pozostały drobniutkie kropelki potu perlące się pod linią czarnych włosów.

— Żebym to ja wiedział, kto to jest „Błady“... — powiedział przyciszonym, załamującym się głosem.

— Mam ci go może przedstawić?

— Nie znam go, panie komendancie.

— Kłamiesz, aż ci w oczach pociemniało.

— Jak pragnę...

Przywara przyciągnął go do siebie. Stali teraz oko w oko.

— A za czyjeś pił pieniądze?

— Za własne.

— Ile ci „Błady“ odpalił?

Młodzieniec nie wytrzymał wzroku Przywary. Uciekł spojrzeniem w bok. Wykrzywił wargi płaczącym grymasem.

— No mów! — krzyknął oficer.

Zamiast odpowiedzi usłyszał głos Fanfana:

— Trzymaj się, Maniuś!

Przywara pościł czarnego z baczkami. Otarł dłoń o połe marynarki. Nie patrząc na zatrzymanych powiedział jakby do siebie:

— To się dla nich źle skończy. Sami wyrównają rachunki. „Błady”, gdy się dowie, że dali się nakryć, rozprawi się z

nimi. — Naraz zwrócił się w stronę czarnego. Poklepał go po ramieniu: — Jak myślisz, co dostaniesz od szefa za te zegarki? Pochwali cię? Poglaska? Ja na twoim miejscu wolałbym w mamrze przesiedzieć niż wracać. Widziałeś go kiedy złego?

Młodzieniec utkwiał oczy w czubach swych zamszowych butów. Brudnymi łapami miał zwisające nad paskiem fałdy koszuli.

— Panie komendancie — odezwał się z boku Fanfan. — Pan nas straszy „Bładym Wiktorem“, a Wiktor w pierdlu siedzi.

Przywara przymrużył oko.

— Ech, ty cwaniaku — wyszeptał z odcieniem uznania. — Chciałbym mieć tę forszę, coście z nim razem od wtorku przepili. Ale teraz już się skończyło. On ze spalonymi nie pije. No, jak się teraz czujesz? Przyjdiesz do niego i przeprosisz, że ci się nie udało, co? Albo będziesz się krył? Ale tego nie radzę ci robić. Wygrzebie cię spod ziemi. Wesoło będzie, co? Pewno cię ostrzegł, że z towarem nie można chlać i rozrabiać. A tyś go nie usłuchał, co? Miałeś pecha. Teraz już cię nic nie uratuje. Lepiej się przyznaj, powiedz, gdzie „Błady”. Będziesz miał przynajmniej kilka miesięcy albo i więcej spokoju. No, jak ci się podoba taka propozycja?

Patrzył mu prosto w oczy i widział, jak te oczy mętnieją do dna źrenic, jak cała zuchowata twarz posępnieje, a muskularna postać wiotczeje pod wpływem tych słów. Zaśmiał się.

— Wiem, że teraz nie puścisz farby. Ale nie martw się. Przejdzie jeden dzień, przejdzie drugi, może trzeci i sam zrozumiesz, że to, co ci proponuję, to jedyne wyjście dla ciebie i dla tego nowicjusza — wskazał ruchem głowy na czarnego z baczkami. — Mówię jak ojciec. Szkoda się, chłopcy, męczyć. I tak zmiękniecie. — Znowu zbliżył się do Fanfana i ruchem niemal pieszczotliwym pogładził go po policzku. — Dobry był pomysł „Bładego“, prawda? Najpierw notatka w „Wieczorniaku”, potem lekki szantaż i forsa leci...

Ale się nie udał, i to przez was, chłopcy. „Blady“ nie zapomni wam tego do końca życia, a on, jeżeli się nie mylę, ma dobrą pamięć. — Klepnął go palcami w mocno sklepioną pierś. — No, trzymajcie się, chłopcy, a jak się namyślicie, to dajcie mi znać. Radzę wam jak rodzony ojciec. — Odwrócił się i przemierzył cały pokój sprężystym krokiem; przechodząc obok majora, dał mu znak oczami, by wyszedł za nim.

Gdy zamknęli za sobą drzwi, major chwycił Przywarę za rękaw.

— Jesteście pewni, że to od „Bladego“?

— Oczywiście.

— Skąd macie tę pewność?

— To przecież jasne jak słońce. Tego wysokiego znam od kilku lat, a zresztą wszystko się zgadza z wiadomościami, które zebrałem w sprawie Napieralskiego. Chodźcie do mnie, to was zapoznam. To bardzo ciekawa sprawa.

\*

Za oknem dniało. Niebo nasiąkało z wolna perłowym światłem. Ponad linią drzew pęczniała czerwona krecha świtu. Pod okapem odezwały się przebudzone gołębie. Stado wróbli obsiadło mały karłowaty kasztan, a potem jak chmurka sfrunęło na jezdnię, przez którą z szumem przeciągnęła polewaczka. Pierwsze tramwaje przetoczyły się z jazgotem i pierwsze sylwetki ludzi przemknęły za oknami jak cienie.

W pokoju Przywary wciąż jeszcze płonęła lampa. Jej żółte światło klóciło się z falą jasności atakującą zakurzone szyby. Kapitan porządkował papiery rozrzucone na stole. Notatnik Napieralskiego wsunął do kieszeni marynarki, kilka luźnych kartek złączył spinaczem i wrzucił do szuflady. Zostawił tylko jedną, na której przepisał treść pieczętki firmowej, figurującej na paczce z zegarkami. — „Jaretz und Sohn“ — odczytał, przyglądał kartkę i połączył się z Wydziałem Zagranicznym Komendy.

Poprosił dyżurnego oficera, by jak najszybciej sprawdził, kto reprezentował wiedeńską firmę „Jaretz und Sohn” na Targach Poznańskich i czy przedstawiciel tej firmy przebywa jeszcze w Polsce, a jeżeli tak, to gdzie.

Gdy tylko odłożył słuchawkę, znowu zabrzączał telefon.

— To wy, Żończyk — powiedział z ulgą. — No, nareszcie. Myślałem, że utonęliście w Wiśle. Znaleźliście tego studenta?

Głos Żończyka brzmiał głucho, nieśmiało.

— Kapitanie, jak Boga kocham, mamy pecha. Tego Labanowicza też nie ma w domu.

— Gdzie on mieszka?

— W Akademiku na Madalińskiego. Ale wiecie, to przecież wakacje. Trudno wymagać, żeby młody chłopiec siedział jak w klasztorze.

— Dokąd wyszedł?

— Nikt nie wie. Zabrał klucz od pokoju i nie zostawił go u portiera.

— Kiedy wyszedł?

— Na pewno przed jedenastą, bo o jedenastej portier sprawdzał, czy ma wszystkie klucze.

— Psiakrew! — Przywara mierzwił palcami zlepione potem włosy.

— Kapitanie, co mam robić?

— Pluć sobie w brodę — rzucił ze złością. — A jak już sobie dobrze naplujecie, to idźcie się przespać. Ale o ósmej musicie być w Komendzie.

Na telefon od Robańskiego nie czekał. Wiedział, że Robański to nie nowicjusz. Stary wyga nie zgłosi się, zanim nie będzie miał jakiejś konkretnej wiadomości.

Wstał, podszedł do okna, zapalił papierosa, ale gdy się zaciągnął, wyrzucił go ze wstrętem. Patrzał na karłowaty kasztan i na stado wróbli trzepocące się wśród liści. Potem zaczął wolno zdejmować marynarkę. Myślał o domu, o wygodnym tapczanie. Westchnął ciężko i nakrywszy się marynarką, rzucił się na ceratową kozetkę stojącą w kącie pokoju. Wnet zasnął.



## II

Była trzecia, kiedy Robański znalazł się w „Kaskadzie”. Jak zwykle z soboty na niedzielę lokal był nabity aż po marmurowe schody, na których siedziało dwóch urzędników do nieprzytomności facetów. Portier nakłaniał ich, by opuścili spokojnie lokal. Odpowiadali mu bełkotliwym wykrzykiwaniem. Na znak portiera zjawili się dwaj rośli kelnerzy. Z fachową zręcznością pomogli wstać opornym i wylądować na pustej ulicy.

Robański jak gdyby nie zauważył tej sceny, przecisnął się przez stłoczonych w przejściu ludzi i stanął na skraju parkietu. Orkiestra nie grała. Muzykanci przybrali grobowe miny, jak gdyby znajdowali się na stypie, a nie w lokalu rozrywkowym. Był to od dawna wypróbowany sposób na rozbawionych klientów, którzy domagali się bezpłatnych bisów. Z tego letargu orkiestrę mógł wyrwać jedynie szelest czerwonego banknotu, wsuwanego dyskretnie w dłoń kapelmistrza.

Robański spostrzegł przechodzącego obok znajomego kelnera. Zatrzymał go.

— Panie Mięciu, nie było tu dzisiaj „Bładego“?

Kelner wzruszył niechętnie ramionami.

— Nie widziałem go.

— A kogoś od niego?

— Też nie.

— Co pan w takim grobowym nastroju?

— Dwóch gości mi zwiąło. Jeden za sto pięćdziesiąt, drugi za trzy dychy. Pan by się z tego cieszył, co? — pokręcił głową i drobnym kroczkiem poszybował w stronę bufetu.

— Odbije sobie pan na innych — zawołał za nim Robański. Widział, jak plecy kelnera drgnęły gestem zniecierpliwienia. Usiadł przy wolnym stoliku. Patrzał na kołyszący się tłum. Naraz zobaczył obok siebie młodą

dziewczynę. Była wysoka, smukła, starannie ubrana. Udawała, że patrzy na parkiet, lecz kącikami ciemnych oczu śledziła samotnego mężczyznę.

„Szuka frajera — pomyślał. — Dobrze się składa. Nowa. Pewno mnie nie zna” — i w tej samej chwili postanowił zaczepić ją. Może właśnie ona zna „Bladego”? Nie byłoby to nic szczególnego. „Blady” po powrocie z więzienia jest częstym gościem tego lokalu. Zdecydowanym ruchem wskazał na puste krzesło.

— Może pani napije się ze mną — powiedział cwaniackim tonem i mrugnął porozumiewawczo.

Dziewczyna zatrzepotała rzęsami.

— Dziękuję, czekam na kogoś.

Robański podsunął jej krzesło.

— Zanim ten ktoś przyjdzie, możemy golnąć po jednym.

Usiadła z taką miną, jak gdyby uczyniła to wbrew swej woli. Wciąż jeszcze patrzyła na wirujący tłum tańczących.

— Dobra zabawa, prawda?

— Taka sobie. Za dużo pijanych. — Teraz dopiero zwróciła ku niemu swą pełną twarz o ładnych oczach i delikatnie zadartym nosku. — Pan tu sam?

— Ja też kogoś szukam.

— Tacy jak pan przychodzą nad ranem. Fachowcy — parsknęła śmiechem i chociaż była starannie uszmkowana, wyjęła z woreczka kredkę, poprawiła usta, jakby to miał być znak do rozpoczęcia pertraktacji.

Robański uśmiechnął się.

„Myśli, że złapała ładowanego gościa. Gdybyś wiedziała, po co tu przyszedłem?...“ Potem powiedział: — Szukam tu jednego znajomego.

— O tej porze?

— Słyszałem, że tu bywa. Przyjechałem wieczorem z Katowic. Nie dostałem hotelu i jestem w kropce.

Przymrużyła oko.

— O chatę to niech się pan nie martwi.

— Chata to głupstwo, mnie chodzi o tego znajomego. Grubszy interes, rozumiesz?

Nawet nie zauważyła, kiedy zaczął jej mówić na ty.

— Ja tam do interesów się nie nadaję. Raz jedna koleżanka dała mi francuskie perfumy. Powiedziała, że zarobię. Ale gdzie tam, dołożyłam. Nie mam smykałki do handlu.

— Tu chodzi o grubsze hopy. Jeżeli go nie znajdę do rana, to plajta... — powiedział tak grobowym tonem, że dziewczyna spojrzała ze współczuciem. Robański wyczuł, że dobrze zagrał tę rolę, ciągnął więc dalej. — Piramidalny interes, za jednym skokiem można zarobić kupę forsy. Mówię ci, mocna rzecz. Robimy interes i pryskamy do Zakopanego albo do Sopot.

— My?

— No my. Co się dziwisz? Widzę, że jesteś dziewczyna na medal. Przydałby ci się lepszy gość na dłuższy okres czasu. To musi być cholernie męczące tak tyrać na dniówkę.

Roześmiała się głośno.

— Ale pan umie czarować.

— Nie czaruję, daję słowo. Tylko muszę złapać tego gościa.

— A kto to?

Nachylił się i szepnął:

— „Błady Wiktor“. Znasz „Bładego“?

— Aaa... — dziewczyna westchnęła z uznaniem i baczniej przyjrzała się Robańskiemu. — To musi być poważny interes.

— Znasz go?

— Kto by go tu nie znał. Wczoraj piłam z nim przy barze. Stawiał wszystkim.

— Atomowy gość, co?

— Teraz trochę skapcianiał. Martwi się. Podobno mu dziewczynę sprzątnęli.

— Był tu dzisiaj?

— Nie.

— A może wiesz, gdzie mieszka?

— Nie byłam jeszcze u niego.

— Szkoda.

— Co szkoda, że nie byłam?

— Nie. Szkoda, że nie wiesz — tarł z wściekłością policzek.  
— Taki interes ucieknij mi sprzed nosa. Słuchaj, jakby go złapać?

Dziewczyna zastukała palcami w krawędź stolika.

— Zaraz... zaraz... Niech pan chwilę poczeka, zapytam jedną koleżankę. Może będzie wiedzieć. Niech pan zamówi dla mnie kawę, bo panu za chwilę usnę.

Rozejrzała się po sali. Wkrótce z tłumu tańczących wyłuskała smagłą jak cyganka dziewczynę i mimo protestu partnera, odciągnęła ją za obręb stolików. Stały chwilę szepcząc i gestykułując. Wróciła zadowolona.

— Zrobione — powiedziała siadając naprzeciw Robańskiego. — Tego, gdzie Wiktor mieszka, to nikt nie wie, ale Fela mówi, że często gra w pokera u grubej Loli.

— Gdzie to?

— Na Grochówie.

— Byłaś tam?

— Byłam.

— Pójdiesz ze mną?

Przechyliła lekko głowę, przymrużyła migdałowe oczy.

— A potem?

— Potem... — zaciął się Robański. — Potem muszę załatwić z „Bładym“ ten interes.

— A ja?

— Przecież ci powiedziałem, że jedziemy do Sopot.

\*

Taksówką zatrzymała się przed starą, zaniedbaną kamienicą. Robański obudził dziewczynę, która w drodze zasnęła na jego ramieniu.

— Słuchaj, pójdiesz tam sama. Jeżeli Wiktor jest, poprosisz go, żeby zeszedł na chwilę.

— A jeżeli go nie ma? — zapytała ziewając.

— To zejdziesz sama.

— Wolalabym, żeby pan ze mną poszedł. Sama dziewczyna o tej porze...

— Ja tam nigdy nie byłem. Ze mną mogą cię nie wpuścić. Zapytasz o Wiktora i tyle. Co ci szkodzi.

— No dobrze — ziewnęła i powoli wysunęła się z taksówki. Za chwilę zniknęła w bramie.

Robański został w taksówce. Opuścił szybę. Obserwował kamienicę. Na pierwszym piętrze nad bramą sterczał balkon okolony zardzewiałą balustradką. W starych, przegniłych skrzynkach czerwieniły się pelargonie. Drzwi były uchylone i słychać było, jak w mieszkaniu odzywają się urywane męskie głosy. Jakaś kobieta zaśmiała się długo, ochryple. Potem nagle wszystko ucichło.

„Pewno ta mała jest już na górze“ — pomyślał Robański i cofnął się w głąb taksówki, żeby go nikt nie mógł zobaczyć.

Widział, jak po chwili w uchylonych drzwiach ukazała się czyjaś głowa. Ktoś długo wpatrywał się w stojący na dole samochód. Potem w bramie odezwały się kroki. Wracała dziewczyna. Z daleka już machnęła ręką.

— Nie ma go.

Robański otworzył drzwi, wpuścił dziewczynę do środka.

— Pytałaś, czy był?

— Nie było go, ale powiedział, że przyjdzie.

— Kiedy?

— Tego to mi nie powiedzieli, ale pewno dołączy do tej partii. Oni potrafią dwa dni nie wstawać od stolika.

— Byłaś w środku?

— Byłam, ale tylko w przedpokoju.

— Z kim rozmawiałaś?

— Z grubą Lolą. W sztok pijana. Chciała mnie zatrzymać. Mówiła, że po kartach może któremu się zachce. Ale to nie dla mnie. Chociaż tacy, co wygrywają, dobrze płacą. Można premię dostać — zachichotała.

— Niech pan jedzie — trącił palcem kierowcę.

— Dokąd?

— Z powrotem.

Z balkonu z uchylonych drzwi śledziło ich kilka par oczu. Silnik zawarczał głucho w pustej ulicy. Jakiś kundel przemknął pod odrapanymi murami, podwinąwszy pod

siebie puszysty ogon uciekł przed przejeżdżającym samochodem.

Za rogiem Robański zatrzymał taksówkę.

— Co pan robi? — zdziwiła się dziewczyna.

— Wysiadam. Rozmyśliłem się. Muszę tam wrócić.

### III

Przed siódmą Przywarę zbudził telefon. Dzwonili z Oddziału Zagranicznego. Donosili, że firmę Jaretz und Sohn reprezentował w Poznaniu Hans Gaspar. Gaspar przebywał jakiś czas w Warszawie, gdzie załatwiał handlowe sprawy rozmaitych firm zagranicznych, potem wyjechał na Mazury i był zameldowany w miejscowości Wilkasy koło Giżycka. Jeździł seledynowym fordem ze znakami Z—06545, należącym do poselstwa austriackiego. Do tej pory nie wymeldował się stamtąd i prawdopodobnie tam przebywa.

Przywara był zadowolony z otrzymanych informacji. W myśli pochwalił sprawność Wydziału Zagranicznego, a potem z uznaniem przyznał, że Napieralski prawidłowo wnioskuje, sądząc, że ruda modelka wyjechała z cudzoziemcem z Warszawy. Wiadomości te uzupełniały jedynie rejestr wypadków, nie wyjaśniały jednak przyczyn napadu na Napieralskiego. Otwierały natomiast nową kwestię — sprawę przemytu zegarków. Było teraz jasne, że ktoś w paczkach firmy Jaretz und Sohn przesyłał do Polski zamiast narzędzi chirurgicznych zegarki. Zanosilo się na wykrycie wielkiej afery przemytniczej.

Połączył się z wydziałem zajmującym się walką z przestępstwami gospodarczymi. Poinformował rzeczowo o swoich spostrzeżeniach i odkryciach. Potem na zakończenie rozmowy dodał:

— Słuchajcie, ta afera bardzo mnie interesuje, jest, mnie się zdaje, ściśle powiązana ze sprawą, którą w tej chwili prowadzę. Jeżeli będziecie mieli jakieś wiadomości, proszę was, zawiadomcie mnie natychmiast.

Ledwie odłożył słuchawkę, znowu zabrzączał telefon. Zgłosił się komisariat z Grochowa. Dyżurny sierżant donosił, że porucznik Robański przebywa na służbie w rejonie ulicy Żymirskiego i prosi, by przysłano mu do pomocy jednego wywiadowcę.

„Pewno Michał jest już na tropie «Bładego» — pomyślał Przywara. — Wiedziałem, że ten nie zgłosi się z próżnymi rękami. Trzeba będzie podśrubować tego Żończyka, żeby bardziej się starał. Młody porucznik nie ma jeszcze dobrego węchu. Trzeba się nim zająć”.

Nakręcił numer kliniki. Poprosił dyżurnego lekarza. Wypytywał szczegółowo o stan Napieralskiego. Lekarz nie mógł mu powiedzieć nic nowego. Napieralski w dalszym ciągu był nieprzytomny. Konsylium z profesorem na czele określiło jego stan jako bardzo groźny. Ze względu na niezwykle silny organizm jest jednak nadzieja uratowania pacjenta.

Telefon dzwonił bez przerwy. Za chwilę bowiem zgłosił się wywiadowca Piwovar, który pilnował mieszkania Brauna. Donosił, że Braun do tej pory nie wrócił do domu.

— Czy ktoś go nie odwiedzał albo nie wypytywał się o niego? — zapytał Przywara.

— Nikt, kapitanie. Ja już dobrze pilnuję — wyjaśnił wywiadowca.

Dziesięć minut przed ósmą zjawił się Żończyk. Był świeży, starannie wygolony, ale minę miał niepewną, Jak chłopiec, który przychodzi do szkoły z nieodrobionymi lekcjami.

— Mam nadzieję, żeście się dobrze wyspali — przywitał go z przekąsem kapitan.

— Nie bardzo, kapitanie — Żończyk przejechał dłonią po gęstych złocistych włosach. — Cały czas myślałem o tej sprawie.

— Więc co żeście przez tę noc wymyślili?

Żończyk wolno uniósł głowę. Był naburmuszony jak obrażony chłopak.

— Mamy lukę w całym naszym śledztwie.

— No proszę, mówcie.

— Wiemy, że Napieralski wieczorem był w domu. Pisał ten reportaż. Musiał być bardzo zdenerwowany, bo zniszczył kilka kartek papieru. Ale najważniejsze, że nie był wtedy sam.

— Ciekawe. Z czego to wnioskujecie?

— Zauważyłem, że były dwie filiżanki po kawie, a w popielniczce papierosy z śladami szminki na ustnikach. Była tam zapewne jakaś kobieta.

Przywara cmoknął z zadowoleniem.

— No, no, poruczniku, widzę, że jesteście spostrzegawczy. Ale skąd przypuszczacie, że ta kobieta była właśnie w czasie pisania reportażu?

Żończyk przymrużył łobuzersko oko.

— Sprawdziłem, kapitanie.

— Kiedy?

— Wtedy, kiedy odesłaliście mnie na spoczynek. Wiedziałem, że coś nie klapuje. Pojechałem na Żoliborz i pogadałem z dozorcą. Zgadza się. Przed dwunastą wypuszczał jakąś młodą kobietę, bardzo ładną i bardzo elegancko ubraną.

Przywara uśmiechnął się pojednawczo.

— Widzę, poruczniku, że nie pokpiliście sprawy. Jak sądzicie, kto to mógł być?

— Z notatek Napieralskiego można wnioskować, że była to dziewczyna z „Baru Owocowego“.

— Brawo!

— Czy pan też tak przypuszcza, kapitanie?

— Oczywiście. Właśnie chciałem o tym z wami pogadać, tylko że ja wiedziałem to już wtedy, gdy wychodziliśmy od Napieralskiego.

— O!... — zdziwił się Żończyk. — To dlaczego nie kazaliście zająć się tą dziewczyną?

Przywara rozłożył ręce.

— Mój drogi, widzę, że w tej waszej szkole niczego was nie nauczyli. Pamiętajcie, przyjacielu, że w śledztwie nie wolno się rozdrabniać. Trzeba iść wytyczoną drogą. Ta dziewczyna może nam się przydać. Tymczasem, jak wicie,



skierowaliśmy śledztwo na inne trzy osoby. Mamy trójką Schnaps — Braun — „Blady Wiktor“, który musimy rozpracować. — Wyjął z kieszeni kartkę, na której miał zanotowany adres wiedeńskiej firmy. Krótko powiadomił porucznika o informacjach, jakie zdołał zebrać w ciągu nocy. Wreszcie powiedział z rozważą:

— Zdaje mi się, że te paczki naprowadzą nas na właściwy ślad. Przypomnijcie sobie notatnik redaktora. Żółta, zaplombowana paczka przewija się tam jako główny motyw: najpierw znika w tajemniczy sposób z mieszkania rudej Zuli, potem znajduje się nieoczekiwanie w mieszkaniu Brauna, następnie znowu znika z domu Napieralskiego, by nazajutrz pojawić się w teczce „Błego Wiktora“, wreszcie znajduje się nieoczekiwanie u dwóch pijanych drabów. Czy to nic wam nie mówi?

Żończyk uniósł dłoń do czoła.

— A wiecie, że ja też o tym myślałem.

\*

Żończyk położył na stole żółtą paczkę z pieczętą firmy: Jaretz und Sohn, obok umieścił plik listów i fotografii, zaś małą paczkę pokwitowań i przekazów pieniężnych zatrzymał w dłoni. Usiadł wygodnie w starym, pluszowym fotelu. Uderzył pliczką pokwitowań w dłoń.

— Więc tak... — powiedział do siedzącej przy stole pani Schnaps — straciliśmy niepotrzebnie półtorej godziny. Muszę przyznać, że sprytnie ukryła pani tę paczkę.

Kobieta zacierała nerwowo dłonie. Patrzyła na oblażący z paznokci lakier.

— Powtarzam panu, że tej paczki nie było w mieszkaniu.

Żończyk roześmiał się głośno.

— W takim razie to musiał być jakiś duch, który umieścił paczkę pod stołem w zakamarku między dwiema szufladami i przymocował ją drutem. Sprytny duch... Wierzy pani w duchy?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Kobieta łypnęła jedynie

paciorkowa tymi oczami, a jej dłonie poszły w jeszcze szybszy ruch.

— Czy te przekazy pieniężne też otrzymywała pani od ducha?

— To moja osobista sprawa — rzekła nie patrząc na oficera.

— Rozumiem. Otrzymywała pani dwa tysiące miesięcznie od mecenasa Szajewskiego. Czy ta paczka była rodzajem dodatku do tych dwu tysięcy?

Zacisnęła mocno wargi. Jej twarz stała się popielata, niemal przezroczysta.

Żończyk położył dłoń na stosie listów i fotografii.

— Nie czytałem wszystkich, ale zorientowałem się, że z mecenasem łączyły panią bliższe stosunki w okresie, kiedy pani wyglądała tak jak na tym zdjęciu — pokazał fotografię przedstawiającą kobietę w pełni rozkwitu, opierającą się o ramię wytwornego mężczyzny w sportowym ubraniu. Tłem zdjęcia był jakiś zagajnik i samochód stojący na skraju szosy. — Od kiedy pani była przyjaciółką mecenasa Szajewskiego?

Pani Schnaps jak gdyby się ocknęła, uniosła rękę i uczyniła gest, w którym chciała wyrazić żal.

— Och, to takie dawne i piękne czasy. W tych okolicznościach szkoda o tym wspominać.

— To zdjęcie pochodzi chyba jeszcze sprzed wojny?

Skinęła tylko głową.

— A kiedy to się skończyło? — zapytał cichym głosem, jak gdyby chciał dodać tej rozmowie intymności.

Kobieta drgnęła. Uniosła dłoń do czoła. W jej oczach błysnęły łzy.

— Po co o tym mówić?

Żończyk wzruszył ramionami.

— Przepraszam panią, ale pani rozumie, to przecież mój obowiązek. Więc kiedy?

Wyrzuciła rękę do przodu gestem kabotyńskim, a mimo to wzruszającym.

— Przecież nie mogłam całe życie być młodą.

— To sprawy uboczne. Chcę wiedzieć, kiedy?

Schyliła głowę.

— To trudno powiedzieć. Pan jest młody, pan tego jeszcze nie przeżył. Po tylu latach człowiek rozstaje się długo... — Zacisnęła dłonie i uniosła je do oczu.

— Spokojnie, spokojnie — powiedział łagodniej. — W takim razie niech mi pani powie, od kiedy otrzymuje pani te pieniądze?

— On jest szlachetny, zawsze mi dawał. Gdyby mógł, to posyłałby mi dużo więcej.

— To jest jedyne źródło pani utrzymania?

Przytaknęła ruchem głowy.

— Kiedy przyniósł do pani tę paczkę?

Potrząsnęła gwałtownie głową:

— To nie on.

— W takim razie kto?

— Ja nie wiem... Nic nie wiem...

— W takim razie będziemy musieli zatrzymać mecenasa, żeby nam to wyjaśnił.

— Tylko... błagam... nie róbcie tego.

— Więc niech pani mówi, kto dał pani na przechowanie tę paczkę

— Proszę mnie nie pytać, bo nic nie wiem.

Żończyk zapalił papierosa.

— Chciałbym w to uwierzyć — ciągnął głosem spokojnym, zabarwionym cierpką ironią. — Z nazwiskiem mecenasa spotykam się nie po raz pierwszy. Dzisiaj w nocy na przykład po tym przykrym wypadku czytałem notatki redaktora Napieralskiego. Dowiedziałem się z nich, że ta modelka z piątego piętra, o której tak skwapliwie informowała pani redaktora, swą pracę w firmie „Tip-Top“ zawdzięczała właśnie mecenasowi Szajewskiemu...

Żończyk nie przypuszczał, że trafi w najczulszy punkt. Dopiero gdy ujrzał, jak zerwała się z krzesła, jak z potulnej, przygnębionej kobiety zmieniła się nagle w furiatkę, pomyślał, że jest na dobrej drodze.

— Omamiła go ta dziwka! — wrzasnęła zaciskając pięści.

— Wykorzystała jego słabość. Ale on zawsze traktował ją jak szmatę. Nie takie miał w swoim życiu. Córka woźnej, psiakrew. Zachciało jej się mecenasa. Dlaczego nie czekała na tego alfonsa, co go przez nią do kryminału wsadzili! Jak ona śmiała mojego Bodzia ruszać... Dość miał przez nią zmartwień i teraz znowu... Gdybym mogła, tobym jej te rude kudły wydarła. Modelka, co się za pieniądze wystawia. Wstyd... Ale ona się jeszcze doczeka...

Żończyk wtulił się głębiej w oparcie fotela i czekał cierpliwie, aż przewali się ta nagła burza zawiści i żalu. Po jakimś czasie pani Schnaps opadła na krzesło i wtuliwszy twarz w dłonie załkała.

— O Boże, mój Boże, za coś mnie tak skarał!

Żończyk, jak gdyby chcąc podsycić gasnący płomień, rzucił zaczepnie:

— Więc to dlatego napuszczała pani redaktora Napieralskiego na tę rudą modelkę i dlatego tak jej pani nienawidziła?

Kobieta wyciągnęła przed siebie ręce. Twarz jej była zmięta i szara. W grubej warstwie pudru łyż żłobiły ciemne ścieżki.

— Niech pan mnie zrozumie. Ja musiałam na to wszystko patrzeć. Widziałam, jak podjeżdża pod bramę, jak wysiada z samochodu. Słyszałam jego kroki na schodach. To nie do mnie, ale na piąte piętro. Czy pan potrafi zrozumieć, co ja wtedy przeżywałam? A potem zobaczyłam, że przychodzi kto inny. Przecież to dziwka. Po takim mężczyźnie można albo iść do klasztoru, albo żyć jak ja... Czy ja mogłam jej to wybaczyć? No niech pan powie...

Porucznik zabębnił palcami na krawędzi stołu.

— Teraz rozumiem i przypuszczam, że nie chciałaby pani, by mecenas Szajewski miał obecnie jakieś nieprzyjemności.

Uniosła oczy do góry.

— To taki szlachetny człowiek. Pan widzi, jak regularnie przysyła mi te pieniądze, choć wiem, że ma nieraz kłopoty. Nic dziwnego, to światowiec, trudno mu żyć w dzisiejszych warunkach.

— Jeżeli pani chce mu zaoszczędzić przykrości i kłopotów, to radziłbym pani przyznać się, kiedy przyniósł do pani tę paczkę?

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, skąd się ta paczka tu wzięła.

— W takim razie będziemy musieli zatrzymać mecenasa.

Chwilę patrzyła na Żończyka, potem wstała, złapała go za ramię.

— To nie on — powiedziała pośpiesznie.

— A kto?

— Jakaś kobieta.

— Nie znała jej pani?

— Nie. Przyszła i powiedziała, że od mecenasa Szajewskiego...

— Jak wyglądała?

— Elegancka, bardzo dobrze ubrana.

— Jak ubrana?

— Dokładnie nie pamiętam.

— Młoda?

— Nie bardzo, ale dobrze utrzymana. Widać, że dama.

— Jakby pani ją teraz zobaczyła, poznałaby ją pani?

— Zapewne tak.

— Wysoka?

— Chyba tak.

— Przystojna?

— Powiedziałam, że elegancka i przystojna.

— Nie powiedziała, co w tej paczce?

— Nie.

— Sama ją schowała?

— Powiedziała, żeby ją dobrze ukryć. Schowałam sama.

— Kiedy to było?

— Chyba dwa tygodnie temu.

— Dokładniej. W którym dniu?

— W poniedziałek. Jutro minie dwa tygodnie.

— I nie zaciekawilo panią, co jest w tej paczce?

— Oczywiście, byłam ciekawa, ale paczka, jak pan widzi, jest zaplombowana.

— Kiedy ją miała odebrać?  
— Powiedziała, że przyjdzie po nią.  
— Czy nie domyślała się pani, co może w niej być?  
— Myślałam, że jakaś przesyłka z zagranicy. Widziałam przecież pieczętkę.

— Sądziła pani, że to są narzędzia chirurgiczne?  
— Mogły być narzędzia.  
— W jakim celu pan mecenas ukrywałby narzędzia chirurgiczne?

Lekkie skrzywienie warg.

— Nie zastanawiałam się nad tym. On ma kuzyna w Anglii, który posyła mu paczki.

— A ta paczka pochodzi przecież z Wiednia?

— Firma wiedeńska, ale mogła być wysłana z Anglii.

Żończyk zrobił krótką przerwę. Naraz zapytał ostro:

— Ten szalik miała pani od mecenasa?

— Taaak... — wyszeptała — on robił mi od czasu do czasu prezenty. W ubiegłym tygodniu miałam urodziny. Przysłał mi szalik przez posłańca.

— Czy od tego czasu, kiedy ta nieznajoma przyniosła paczkę, nikt się nie dowiadywał o nią?

— Nie.

— A pani nie starała pozbyć się jej albo ją odesłać?

— Nie.

— Nie porozumiewała się pani w tej sprawie z mecenasem?

— Nie. Prosił mnie jeszcze dawniej, żebym do niego nie pisała ani nie telefonowała.

— A szalik skąd się wziął przy napadniętym?

— Nie wiem.

— Gdzie go pani schowała, gdy otrzymała go pani od posłańca?

— Włożyłam do bieliźniarki na sam wierzch.

— W bieliźniarce go nie ma. W takim razie sam znikł z bieliźniarki?

Wzruszyła ramionami.

— Kto mógł go zabrać? Kto do pani przychodzi?

— Ostatnio tylko dozorczyńni, która przynosi mi z piwnicy węgiel.

— Czy była u pani w sobotę?

— Nie. Ona teraz leży chora. W sobotę sama schodziłam po węgiel.

Żończyk westchnął głęboko. Sięgnął po nowego papierosa. Panujący w pokoju zaduch, widok resztek jedzenia rozwłóczonych na podłodze przez koty, brudna, zmęczona twarz przedwcześnie postarzałej kobiety, wszystko to wywołało w nim nagłe przygnębienie. Zerknął w okno. Na szybie srebrzyły się drobne kropelki. Cienki deszczyk zaczął z ukosa pomiędzy mokrymi koronami drzew. Ziewnął i pomyślał, że zanim nie przesłuchają Szajewskiego, nic więcej nie wydusi z tej dziwnej kobiety. Wstał.

— Niech pani weźmie potrzebne rzeczy. Niestety będzie pani musiała wrócić na Komendę.

Chciała protestować, lecz powstrzymał ją ruchem ręki.

— Ja pani nie mogę zwolnić.

— A moje biedne kotki?

— Może pani poprosić którąś z sąsiadek, żeby się nimi zaopiekowała.

\*

Michalczykowa czekała na Żończyka w stróżówce. Kiedy wszedł, uniosła się z krzesła. Była bardzo blada i wystraszona. Wyciągnęła do niego ręce, jak gdyby szukała ratunku.

— Proszę pana, czy coś się stało mojej Zosi?

— Przecież pani córka wczoraj była w Warszawie — powiedział zdumiony tym pytaniem.

— Wczoraj?... Nic o tym nie wiem.

— Nie była u pani?

— Nie.

— Ani tutaj, u siebie?

— Nie. Czekałam całe popołudnie.

— To dziwne. — Porucznik tarł w roztargnieniu policzek.

— Do której była pani na górze?

— Może do dziesiątej, może trochę dłużej. Nie wiem dokładnie, bo nie mam zegarka. Ale jak wróciłam do domu, było już po jedenastej.

— Czy ktoś przychodził na górę?

— Nie, nikogo nie było.

Żończyk przyjrzał się jej baczniej, jakby chciał sprawdzić, czy mówi prawdę.

— Pani wie, co się stało z redaktorem?

Uniosła dłoń do warg ruchem pełnym roztargnienia i nieporadności.

— Wiem... Mój Boże, taki zacny człowiek.

Wyciągnął z kieszeni pozwolenie na przeprowadzenie rewizji. — Proszę — podał kobiecie. — Niech pani będzie spokojna, to nie w sprawie pani córki, to w związku z napadem na redaktora Napieralskiego.

Weszli na górę. Zabrał klucze z ręki kobiety, przyjrzał się dokładnie zamkowi. Był to zamek typu wertheimowskiego firmy „Zeta“. Włożył ostrożnie klucz do zamka, a gdy chciał go przekręcić, natrafił na opór. Wtedy nacisnął klamkę. Drzwi same ustąpiły.

— Były nie zamknięte — powiedział do siebie.

— To niemożliwe — zaprotestowała Michalczykowa — przecież zamykałam je wczoraj.

— Jest pani pewna?

— Najzupełniej. Przecież sprawdzałam.

Wszedł energicznym krokiem do środka. Szybko zajrzał za drzwi. Nikogo nie było, ale przykre uczucie, że ktoś tu się ukrył, nie opuściło go do chwili, gdy przejrzał wszystkie zakamarki mieszkania. Wtedy stanął w drzwiach pokoju i powiedział do Michalczykowej:

— A więc po pani wyjściu ktoś musiał tu być.

Kobieta skrzyżowała ręce na piersiach.

— To takie dziwne, proszę pana.

— Czy nie ma tu zapasowego zejścia?

— Nie ma.

— A jednak... — Żończyk zamyślił się. Młody człowiek,



który pierwszy zobaczył leżącego w bramie Napieralskiego, twierdził, że ktoś uciekał na górę po schodach. Ten ktoś musiał mieć klucz do mieszkania modelki. Otworzył drzwi. Spiesząc się, zapomniał je zamknąć na klucz, a potem... Przecież nie mógł zejść schodami, gdyż wtedy zrobiło się zbiegowisko, a przez całą noc pilnował drzwi wywiadowca... Chyba że był to mieszkaniec tej kamienicy i niepostrzeżenie wrócił do swego mieszkania albo wmieszał się w grupę gapiów. Czyżby mogła to być pani Schnaps?

— Tak — powiedział — prawdopodobnie nie wyskoczył przez okno... — i w tej samej chwili strzelił palcami. — Czy jest tu jakieś drugie okno?

— Jest w łazience — wskazała mu drzwi powleczone białym lakierem.

Wszedł do łazienki. Była mała, wyłożona do połowy ścian błękitnymi kafelkami. Z jednej strony wanna, z drugiej ubicacja, nad ubicacją wąskie okno z taflą matowej szyby. Okno było lekko uchylone.

— Czy to okno nie było zamknięte? — zwrócił się do stojącej za nim kobiety.

— Nie. Zosia mówiła, żebym zawsze lekko otwierała, żeby wilgoci nie zaprowadzić.

Wzrok jego powędrował na sedes ubicacji.

— Kiedy pani tu sprzątała?

— Wczoraj wycierałam podłogę i kafelki.

— I sedes też?

— Sedes też. Chciałam, żeby było czysto, gdy Zosia wróci do domu.

Na sedesie widniały wyraźnie ślady butów. Ktoś stawał, by dostać się do okna. Podobnie na kafelkach pod oknem znaczyła się ciemniejsza smuga, jak gdyby ktoś ześliznął się, starając wydostać się przez okno. Wzrok Żończyka powędrował na kamienną posadzkę. I tutaj widniały ledwo zaznaczone ślady stóp.

— Niech pani nie wchodzi — ostrzegł kobietę. Pochylił się, wyjął z kieszeni małe pudełko i naciskając je, rozpylił na podłodze drobniutki proszek, następnie zdmuchnął go.

Teraz pozostał wyraźny ślad męskiego buta.

— Kto to mógł być? — zapytała szeptem.

— Ha, gdybym ja wiedział — zaśmiał się. Wyjął z drugiej kieszeni złożony arkusik bibułki, przytknął go do śladu i delikatnie obrysował kontury.

— Dobrze i to — spojrzał na Michalczykową. — Niech pani nie wchodzi do łazienki. Spróbuję wyjść przez okno.

— O, Boże — westchnęła — tylko niech pan uważa!

— Złego diabli nie wezmą — zażartował. Zdjął szybko buty i w skarpetkach wspiał się na sedes. Uchylił ostrożnie okiennicę, wyjrzał na zewnątrz.

„No tak — pomyślał — teraz wiadomo, którądy zwiął. — Jakieś dwa metry poniżej okna znajdował się szeroki występ, a trochę niżej gzyms prowadzący do wyburzonej, pustej klatki schodowej. Była to zapasowa klatka schodowa, którą podczas remontu kamienicy pozostawiono bezużytecznie. Betonowy zygzak schodów z powyrąbwanymi stopniami prowadził na sam dół, na ślepe podwórko.

— Proszę nie wychodzić z mieszkania — rzucił przez ramię Michalczykowej i podźwignąwszy się wprawnie na rękach, wspiał się na okno. — Cholera — zaklął — ten facet musiał być niewielki, skoro bez trudu zmieścił się w tym okienku.

Za chwilę przewinął się przez mały otwór i na rękach opuścił się na występ. Gdy się rozejrzał, zobaczył sterczący z muru hak. Zbadał, czy mocno siedzi w ścianie, a potem chwyciwszy się haka przesunął się ostrożnie po gzymsie na podest klatki schodowej. Gdy prześlizgiwał się wzdłuż gzymsu, na karku i na czole czuł zimne krople siekącego z ukosa deszczu. Na podeście osłoniętym stropem było zupełnie sucho. Nagi beton zalegała gruba warstwa pyłu. W pyłe, jak w miękkiej glinie, widniały ślady tych samych stóp. Jedne były już zatarte, inne świeże, wskazujące, że niedawno ktoś tędy przechodził.

„Brawo, Żończyk — cieszył się w myślach — zagadka tajemniczych wizyt i zniknięcia żółtej paczki jest już rozwiązana, teraz trzeba tylko złapać tego alpinistę.“

Przykucnął i wzrokiem badał miejsce obok miejsca. Naraz spostrzegł przyprószony lekko kurzem czarny przedmiot. Uniósł go ostrożnie. Był to guzik. Czarny, gładki guzik z mocno tkwiącymi weń nićmi i ze strzępkami wydartego materiału.

Żończyk świsnął uradowany.

— Jest jeszcze jeden dowód rzeczowy.

Porucznik zatrzymał się na dole. Zarosły chwastami gruz sięgał do trzeciego stopnia schodów. Żończyk podniósł z ziemi zardzewiały pręt. Zaczął nim rozgarniać chwasty. Wkrótce zobaczył zwiniętą w rulon gazetę. Sięgnął po nią. Ku wielkiemu zdziwieniu rulon okazał się nadszpiewanie ciężki. Pod papierem Żończyk wyczuł twardy metal. Rozwinął szybko gazetę. W dłoni pozostała mu krótka stalowa rura z gwintem na jednym końcu.

Zważył solidną rurę w dłoni i pomyślał, że Napieralski musi mieć mocną czaszkę, skoro od uderzenia nie przejechał się na łono Abrahama. Rozwinął gazetę. Był to wczorajszy numer „Wieczoru“, w którym znajdowała się notatka Napieralskiego o przemyconych zegarkach. Poszperał jeszcze chwilę w chwastach, lecz nie znalazł nic godnego uwagi. Mógł wydostać się przez wyrwę w murze na ulicę, był jednak w skarpetkach, więc nie miał ochoty zamoczyć sobie nóg i stać się przedmiotem drwin gromadzących się w bramie gapiów. Wolał powrócić drogą, którą przebył przed chwilą. Gdy po krótkiej wspinaczce znalazł się znów w łazience, ujrzał przerażoną twarz Michalczykowej.

— W imię Ojca i Syna — przeżegnała się — myślałam, że ktoś się tu skrada, a to pan. Nie mógł pan wrócić drzwiami jak porządny człowiek?

\*

Żończyk zatrzymał się w drzwiach. W głębi pokoju przy biurku zobaczył Przywarę, majora Knapa i porucznika Kajetańskiego. Przywara skinął na przywitanie ręką.

— Dobrze, że już jesteście. Wyobraźcie sobie, ta ruda modelka nie żyje...

Zapanowało długie milczenie. Żończyk jak przez mgłę zobaczył pełne trwożnej niepewności oczy Michalczykowej.

— To niemożliwe!

— To fakt. Przed kwadransem otrzymaliśmy telefonogram z Gdańska, że dzisiaj rano znaleziono na plaży nieżywą kobietę. Milicja nie potrafiła jej zidentyfikować z powodu braku dokumentów, ale rysopis zgadza się. No i oczywiście okoliczności. Proszą nas o pomoc.

— To zadziwiające — powiedział Żończyk siadając naprzeciw Przywary. — Pomyślcie, w ten sam dzień, prawie o tej samej porze. Obie te sprawy muszą się z sobą łączyć. Zwłaszcza że wskazują na to notatki redaktora.

— A propos — wtrącił Przywara — mamy wiadomość z kliniki. Redaktor odzyskał przytomność.

— Chwała Bogu, będzie mógł wyjaśnić pewne sprawy — powiedział Żończyk z zawodową gorliwością.

Przywara potrząsnął głową.

— Za wcześnie. Jego stan jest jeszcze bardzo poważny. Lekarze nikogo nie dopuszczają do niego.

W każdym razie mamy nadzieję, że się jakoś wykaraska, a to już dużo.

— A wy z czym wracacie, poruczniku? — zapytał major Knap.

Żończyk chrząknął z zadowoleniem. Obecnie czuł się pewniej wobec swych przełożonych. Przypuszczał bowiem, że tym razem dobrze wywiązał się z powierzonego mu zadania. Przysunął krzesło do biurka, wyciągnął z kieszeni swoje trofea i razem z rurą owiniętą gazetą położył je na biurku. Potem tonem służbowym zaczął relacjonować swoje spostrzeżenia.

— Brawo, poruczniku — zawołał Przywara, gdy ten skończył. — Brawo! Widzę, że nauka nie poszła w las.

Żończyk udał, że nie usłyszał tej uwagi.

— Trzeba zatrzymać mecenasa Szajewskiego — powiedział.

— Już załatwione.  
— I tego cudzoziemca. Jak on się nazywa?  
— Gaspar. Z nim gorsza sprawa. W każdym razie postaramy się, żeby jak najszybciej udzielił nam wyjaśnień.  
— A czy Braun wrócił już do domu?  
— Jeszcze nie. Zawiadomiliśmy wszystkie posterunki w całym kraju.  
— A „Blady Wiktor“?  
— Robański czeka na niego, ale do tej pory bezskutecznie. Przywara zastukał palcami. — A jeżeli chodzi o tego studenta, to też nam zniknął. Cholerna sprawa, wszyscy pouciekali jak na czyjś rozkaz.  
Major Knap uniósł z krzesła swą otyłą postać.  
— Panowie, musimy energiczniej wziąć się do tej roboty. To śmieszne, żeby do tego czasu mieć do dyspozycji jedną starą babę.  
— A ci dwaj od zegarków? — wtrącił Przywara.  
— Oni siedzą przypadkowo. To nie nasza zasługa, że zaleli się w jakiejś knajpie. Zresztą oni nic nie chcą mówić.  
— Jeszcze nie dojrżeli — uśmiechnął się cierpko Przywara.  
— Nie możemy czekać, aż wszyscy dojrzeją — zauważył z przekąsem Knap.  
Przywara wskazał na niego głową.  
— Nasz major obejmuje obie sprawy — poinformował Żończyka, by wyjaśnić obecność Knapa. — Ja za chwilę wyjeżdżam z porucznikiem Kajetańskim do Sopotu. Wy z Robańskim będziecie prowadzili sprawę redaktora.

#### IV

Przywara skończył przeglądać protokoły, które Sałyga położył przed nim na stole. Od pół godziny byli w Gdańsku. Z Warszawy przyjechali samochodem milicyjnym. Cały czas ciągnęli setką. Po czterech godzinach znaleźli się przed Komendą Wojewódzką MO. Od tego czasu kapitan zdążył zapoznać się z przebiegiem śledztwa prowadzonego przez

kapitana Sałygę.

— To wszystko? — położył dłoń na plice papieru zapisanego maszynowym pismem.

— Wszystko, kapitanie — odrzekł Sałyga.

— To niewiele — pokręcił głową. Podsunął protokoły porucznikowi Kajetańskiemu. — Przejrzyjcie, to się wam przyda. — Potem zwrócił się do Sałygi: — W jakich okolicznościach przytrzymałicie mecenasa Szajewskiego?

— Jeden z naszych wywiadowców dowiedział się, że w Oliwie na ulicy Leśnej garażuje samochód z warszawskimi znakami rejestracyjnymi. Pojechałem tam. Okazało się, że to samochód Szajewskiego.

— Czy Szajewski był zameldowany?

— Nie.

— Czym to tłumaczył?

— Mówił, że był tak zajęty, iż nie miał czasu na załatwienie formalności. Uprzednio mieszkał w „Grandzie“, ale podobno odstąpił pokój jakiejś znajomej.

— Co to za znajoma?

— Nie pytałem.

— To źle — rzucił mu niechętne spojrzenie. Tamten, jakby chciał zatuszować chwilowe zażenowanie, pogładził dłonią złotawe włosy.

— Czekałem na dyspozycje z Warszawy.

— Trudno — Przywara machnął ręką. — Mam jednak nadzieję, że dowiedzieliście się, w jakiej sprawie pertraktował z urzędnikami celnymi i portowymi.

— Tak — odparł niepewnie Sałyga. — Szajewski twierdzi, że występuje z ramienia firmy wiedeńskiej. W tych dniach ma nadejść transport instrumentów chirurgicznych. Właśnie w tej sprawie rozmawiał z urzędnikami.

— To dziwne — Przywara zamyslił się, a po chwili ciągnął, jakby rozmawia! z samym sobą: — Firma jest w Wiedniu, a narzędzia przyływają drogą morską. Jakaś ciekawa kombinacja!

— Tak — podjął Sałyga — mnie też wydało się to podejrzane, jednak w Urzędzie Celnym wytłumaczono mi, że

chodzi tu o pośrednictwo, to znaczy, że Jaretz und Sohn reprezentuje jakąś firmę londyńską.

— Czego mecenas domagał się od celników?

— Starał się, by załatwili w przyspieszonym trybie formalności.

Aha — mruknął Przywara i spojrzął w okno, za którym majaczyła wysoka ściana sąsiedniej kamienicy tonąca w mgłę i deszczu.

Salęga skorzystał z chwili odprężenia. Starając się nadać swemu głosowi jak najtroskliwszy ton, zapytał:

— Może byście zjedli obiad, kapitanie?

— Dziękuję, trochę później. Byłbym wam natomiast wdzięczny za szklanekę mocnej kawy.

— Jesteście, widzę, zmęczeni. Zaraz kawę przyniosę z bufetu — odwrócił się i z wyczuwalnym odprężeniem skierował się ku drzwiom.

— Chwileczkę — zatrzymał go kapitan — czy dopytywaliście się w „Grand Hotelu” o tę rudą modelkę?

Twarz Salęgi znowu stężała w nagłym zakłopotaniu.

— Byłem w „Grandzie”. Jeden z kelnerów twierdzi, że na dansingu była jakaś ruda młoda kobieta, ale nie w kostiumie, tylko w wizytowej, jedwabnej sukni. A przecież ona przyjechała w tym samym flanelowym kostiumie, w którym ją później znaleziono na plaży.

— Dziękuję — Przywara rzekł to tak, jakby chciał powiedzieć: „Szlag by was trafił”. Potem dorzucił szybko: — Teraz możecie mi przysłać tego Szajewskiego.

Po chwili milicjant wprowadził do pokoju mecenasa Szajewskiego.

„Psiakrew — pomyślał Przywara — elegancki i przystojny facet.”

Istotnie, mecenas należał do mężczyzn, którzy od pierwszego wejrzenia robią na ludziach zaskakujące wrażenie. Był wysoki, szczupły i mimo podeszłego wieku trzymał się prosto jak wysportowany młodzieniec. Głowę miał kształtną, bystre, żywe oczy, czoło wysokie, włosy gęste i ciemne ze smugami jasnej siwizny nad skroniami. Jego

zgrabną sylwetkę podkreślało doskonale skrojone, sportowe ubranie i krawat tak pięknie zawiązany, że kunsztu tego nie powstydzilby się największy wytwornis londyński.

Szajewski zatrzymał się na chwilę w progu i bystrym spojrzeniem ogarnął siedzącego za biurkiem oficera śledczego. Potem skłonił się dyskretnie, jak gdyby wchodził do salonu, a nie do pokoju przesłuchań.

— Proszę, niech pan siada, panie mecenasie — Przywara wskazał na stojące przed biurkiem krzesło.

Szajewski usiadł w pozie niedbałej. Ruchy miał pewne, niemal aroganckie, a w jego głosie nie było cienia lęku.

— To jakieś nieporozumienie, panie... Pan mnie chyba zna. Jestem znanym adwokatem warszawskim i mam nadzieję, że szybko wyjaśnimy ten przykry wypadek.

Na wargach Przywary zaigrał ledwo dostrzegalny uśmiezek. Przybrał ton najuprzejmiejszy, na jaki go było stać.

— Znam pana... jedynie z akt sprawy, którą prowadzę, oraz notatnika pewnego znanego dziennikarza. Mam nadzieję, że pan jako prawnik pomoże mi w mojej pracy. Przecież obaj wystąpimy w obronie prawa.

— Oczywiście, oczywiście — podchwycił gorliwie mecenas. — I dlatego przypuszczam, że ta pożałowania godna pomyłka zostanie wkrótce wyjaśniona. Rozumie pan, panie kapitanie, mam niezwykle ważne sprawy w Warszawie.

Przywara ciągnął monotonnym głosem:

— Doskonale rozumiem pańskie zdenerwowanie. Dziwi mnie tylko, że od kilku dni przebywa pan na Wybrzeżu i dopiero dzisiaj zdecydował się pan wyjechać.

— To zupełnie zrozumiałe. Załatwiłem swe sprawy...

— Czy pomyślnie?

— Dzięki Bogu, pomyślnie. — Mecenas uraczył Przywarę czarującym uśmiechem, jakby w ten sposób chciał się pochwalić kolekcją zdrowych, kształtnych zębów. — Miałem wyjechać z samego rana, ale niestety wóz miał lekki defekt w podwoziu... I niech pan sobie wyobrazi, nie mogłem znaleźć dźwigni do windy. Gdzieś mi się zapodziała... Rozumie pan,



mam składaną windę, no i...

— Tak... — Przywara podsunął mecenasowi pudełko z papierosami. — Czy panu wiadomo — zapytał nagle — o tym przykrym wypadku z panną Zulą Michalczykówną?

— To straszne — powiedział tamten nadając swej twarzy wyraz nagłego przygnębienia.

— Znał ją pan?

— Tak... znałem.

— Kiedy ją pan poznał?

Mecenas uśmiechnął się swobodniej. Widać było, że za wszelką cenę chce nadać rozmowie ton żartobliwej pogawędki.

— Kochany kapitanie, tyle kobiet przewija się przez nasze życie. Czy to można pamiętać? Daję panu słowo, że nie prowadzę pamiętnika.

— Proszę uprzejmie odpowiadać na moje pytania. Kiedy pan poznał Zulę Michalczykównę?

— Chyba dwa lata temu — odpowiedział mecenas kierując wzrok na dobrze wypolerowane paznokcie swych palców.

— Została pana przyjaciółką?

Mecenas chciał się skrzywić, lecz pokrył ten odruch niezadowolenia uśmiechem, z którego powstał jakiś enigmatyczny grymas.

— To może zbyt mocno powiedziane.

— Nie znam się na tych niuansach. Po prostu żył pan z nią.

— Spotykałem się kilka razy.

— Gdzie?

Twarz mecenasa zdradzała już pierwsze objawy zniecierpliwienia, jego dłonie zaczęły krążyć niespokojnie między krawędzią stołu i pięknie zawiązanym krawatem.

— Jeżeli panu to potrzebne do pańskiej sprawy, to w Rybieniu w pensjonacie „Orbisu“, a czasem wyjeżdżałem z nią samochodem za miasto.

— Jeśli była pogoda, oczywiście.

— Oczywiście, tak.

— A jak to się skończyło?

Mecenas postanowił nagle zmienić taktyką wobec kapitana. Powiedział dość szorstko:

— O właśnie, to pana powinno zainteresować. Zaczął mnie szantażować pewien ciemny typ. Musiałem mu wypłacać miesięcznie tysiąc złotych, a jeśli miał nagle zapotrzebowanie na gotówkę, to wpadał do mnie do biura i żądał ekstra.

— Ho! — Przywara udał zdziwienie. — Szkoda, że pan z tym nie przyszedł do mnie wcześniej. Moglibyśmy pana uwolnić od tego miesięcznego haraczu.

— Po prostu bałem się, że żona...

— Ma pan rodzinę?

— Tak. I powiem szczerze, że lubię życie rodzinne. Ostatecznie można było poświęcić te tysiąc złotych dla spokoju.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, kto pana szantażował?

Mecenas uśmiechnął się kwaśno. Nerwowym ruchem poprawił krawat.

— Wolalbym nie ujawniać tego człowieka, gdyż mógłbym mieć grube nieprzyjemności.

— Nawet w tym wypadku, gdyby to mogło ułatwić ujawnienie zabójcy Zuli?

Mecenas splótł nerwowo palce.

— Czy pan przypuszcza, panie kapitanie, że ten człowiek może mieć coś wspólnego... — uciał i zwrócił ku Przywarze pełne zdumienia oczy.

Kapitan skinął twierdząco.

— W takim razie, trudno. Jest to młody człowiek, dość popularny wśród złotej młodzieży warszawskiej, i co ciekawsze, pochodzący nawet z przyzwoitego domu. Jego ojciec był przed wojną znanym przemysłowcem...

— Jednym słowem „Aksamitny Rysio“ — przerwał mu Przywara.

Oczy mecenasa stały się jeszcze bardziej okrągłe.

— Widzę, że pan kapitan dobrze się orientuje — rzekł skłaniając nisko głowę. A potem, jak gdyby chciał skierować śledztwo na te właśnie tory, podjął z zapalem: — To

ciekawe, niech pan sobie wyobrazi, że właśnie wczoraj widziałem tego młodzieńca w „Grandzie”.

— O!... — Przywara nie mógł opanować radosnego zdziwienia. — To naprawdę interesująca wiadomość. Z kim pan był wczoraj wieczór w „Grandzie“?

— Między innymi z tą nieszczęśliwą Zułą.

Przywara miał ochotę krzyknąć: „To dlaczego pan mi dopiero teraz o tym mówi!”, ale opanował się i chwilowe zakłopotanie pokrył lekkim skrzywieniem warg.

— To też ciekawa wiadomość. A oprócz niej kto był jeszcze?

Mecenas gładził klapę tweedowej marynarki.

— Była pani Paczewska. To kierowniczka domu mody „Tip-Top“ z Warszawy — wyjaśnił. — Był pewien cudzoziemiec, przedstawiciel firmy, której prowadzę pewne sprawy. Była jedna modelka, której nazwiska niestety nie zapamiętałem. Nazywali ją Krystyna. Ale ona przysiadła się nieco później...

— I kto jeszcze?

Mecenas uniósł dłoń do czoła. Zastanawiał się.

— Oczywiście... byłbym zapomniał. Był jeszcze pewien znajomy pani Paczewskiej, pan Hroniewicz.

Przywara po swoimu przymrużył oko.

— A kto to jest ten Hroniewicz?

— Znajomy pani Miry Paczewskiej.

— To chyba nie jego zawód? — zadrwił Przywara.

— Nie znam jego profesji. Chyba ktoś z prywatnej inicjatywy, bo wygląda na zamożnego człowieka.

— Więc nie wie pan, czym on się właściwie zajmuje?

Mecenas wykonał dłonią jeden ze swych okrągłych gestów. Uśmiechnął się.

— To zdolny człowiek. Widziałem kiedyś, z jaką zręcznością naprawił zepsuty magnetofon. Pomyślałem wtedy, że w przeszłości był zapewne elektrotechnikiem albo... on w ogóle ma wszechstronne zdolności techniczne. Ja natomiast pod tym względem jestem kompletnym ignorantem.

Przywara odpowiedział mu równie pogodnym uśmiechem.

— Dlatego nie potrafił pan uruchomić swego wozu... Ale wracając do Hroniewicza, czy można wiedzieć, komu wtedy naprawiał magnetofon?

— Panu Braunowi. Pan chyba słyszał o tym znakomitym kompozytorze?

Przywara skinął głową.

— Czyżby pan Hroniewicz też był melomanem?

— Nie — zaprotestował żywo mecenas. — Natomiast doskonale gra w brydża. Raz nawet graliśmy u Brauna. Oczywiście bez gospodarza. Braun miał jakąś sprawę do załatwienia i zostawił nas przy stoliku. Zresztą, muszę panu przyznać, że ten Hroniewicz jest nawet zabawny.

— Zabawny?

— No tak. Wnosi wiele humoru. Nie powiem, żeby to był humor nazbyt subtelny, ale w każdym razie jakiś tam humor, który pobudza ludzi do śmiechu.

Przywara uniósł ołówek i skierował go ostrzem do Szajewskiego, jak gdyby celował w jego nieskazitelnie wyprasowaną koszulę.

— I wczoraj też było wesoło?

— Wczoraj?... — zastanawiał się chwilę. — Wczoraj było trochę dziwnie. Pan Hroniewicz był wesoły... Zresztą on zawsze wykazuje skłonności wesołka... Ale... Zula... Zula była jakaś zdenerwowana. Mówię panu, panie kapitanie, nie ta sama dziewczyna.

Przywara zaczął ołówkiem kreślić zieloną bibułę pokrywającą biurko.

— Popsuła wam nastrój?

— Coś w tym sensie. Zresztą ten cudzoziemiec...

— Czy to był pan Hans Gaspar, przedstawiciel firmy Jaretz und Sohn? — przerwał mu Przywara.

Mecenas rozłożył ręce.

— No wie pan, panie kapitanie, zdumiewa mnie pan swymi ścisłymi informacjami.

— Więc to on był?

— Tak.

— Przepraszam, że przerwałem panu to niezwykle ciekawe opowiadanie o wczorajszym wieczorze. Więc w jakim nastroju był ten cudzoziemiec?

— O właśnie — podjął mecenas tonem przyjacielskiej rozmówki — on też był wybitny z równowagi, zwłaszcza po rozmowie z tym młodym człowiekiem...

Tym razem Przywara nie mógł opanować zdumienia.

— Czyżby ten aksamitny chłopiec z nim rozmawiał?

Mecenas, stary wyga, znawca psychiki, uśmiechnął się na widok zmienionej twarzy oficera.

— Oczywiście nie przy naszym stoliku. Trzeba przyznać, że ten ciemny typ ma maniery salonowca. Widziałem, jak zaczepił pana Gaspara w przejściu do sali restauracyjnej. Uczynił to z gracją. Ale po tej rozmowie Gaspar wrócił do stolika, jakby przed chwilą otrzymał kilka dobrych policzków...

— Zaraz, zaraz... — Przywara obie dłonie uniósł do skroni. Chwilę trwał w tej pozycji. Potem wstał. — Przepraszam pana, panie mecenasie, mam teraz telefoniczną rozmowę z Warszawą, muszę na chwilę zostawić pana samego.

— Ależ proszę, bardzo proszę — Szajewski skłonił szarmancko głowę. Odprowadzał kapitana do drzwi spojrzeniem, w którym można było wyczytać zadowolenie.

\*

— Gdzie jest porucznik Kajetański? — zapytał Przywara otwierając drzwi sąsiedniego pokoju.

Siedzący przy biurku sierżant wskazał ruchem głowy:

— W pokoju naprzeciw.

Przywara dwoma susami przemierzył szeroki korytarz i z wielkim impetem wpadł do pokoju. Na jego widok Kajetański i Sałyga zerwali się, jakby mieli sprężyny zamiast kości.

— Co się stało, kapitanie? — wyszeptał Kajetański.

— Śledztwo jest na dobrej drodze. Teraz musimy zatrzymać kilka osób, które znacie z notatnika Napie-

ralskiego. On je tak doskonale określił, że nie będziecie mieli kłopotu. Chodzi przede wszystkim o „Aksamitnego Rysia“ (nazywa się Ryszard Maniewicz), następnie o Mirę Paczewską, kierowniczkę „Tip-Top”.

— Ona mieszka w „Grandzie“ — wtrącił Sałyga. — Mają teraz codziennie pokazy mody.

— Wiem — uciął Przywara. — Następnie człowieka, który przebywa w jej towarzystwie, niejakiego Włodzimierza Hroniewicza, i pewnego obywatela austriackiego, Hansa Gaspara, który jeździ seledynowym fordem ze znakami Z—6365 oraz modelkę z „Tip-Top“, Krystynę. Weźmiecie kilku wywiadowców i postaracie się załatwić to szybko. Nie mamy wiele czasu. Ja tymczasem skończę z mecenasem.

Gdy wracał do pokoju, w którym przesłuchiwał Szajewskiego, uśmiechnął się do własnych myśli.

„A to stary lis, myśli, że mnie odsunie od sprawy, która go niepokoi, dlatego tak śpiewa... Wydłuży mu się ten rasowy pysk, gdy usłyszy, co Żończyk znalazł w pokoju pani Schnaps na Polnej.“

\*

— Przepraszam pana, mecenasie — Przywara usadowił się wygodnie za biurkiem. — Przypuszczam, że pan nie nudził się przez ten czas.

Szajewski siedział wygodnie rozparty, nogę założył na nogę, palił papierosa. Jego szlachetnie rzeźbiona twarz przybrała wyraz obojętny, niemal znudzony. Widać było, że czas nieobecności oficera wykorzystał doskonale dla przybrania tej pozy.

— To drobnostka, panie kapitanie. Doskonale rozumiem, pan jest obecnie bardzo zajęty i jest mi niezwykle miło, że mogę panu służyć pomocą, zwłaszcza że chodzi tu o tę nieszczęsną dziewczynę...

— Jestem panu niezmiernie wdzięczny, panie mecenasie. Teraz wypada mi tylko podziękować panu — wyciągnął rękę.

Szajewski uściśnął jego dłoń z powściągliwą radością.

— To drobnostka, panie kapitanie. Jeżeli będzie pan mnie potrzebował, to zawsze jestem do pańskiej dyspozycji — skłonił się i opanowanym krokiem skierował się ku drzwiom. Przywara patrzył za nim z kpiącym uśmiechem. Gdy mecenas był już u drzwi, kapitan zatrzymał go:

— Jeszcze chwileczkę, panie mecenasie... Coś mi się przypomniało...

Mecenas zwrócił ku niemu swą uśmiechniętą, pełną uprzejmości twarz. Skinieniem głowy dał znak, że gotów jest zaczekać, ale w jego głęboko osadzonych oczach pojawił się błysk lęku. Przywara gładził palcami policzek.

— Niech mi pan wytłumaczy, panie mecenasie, jak to się stało, że pewien ciekawy dziennikarz znalazł w mieszkaniu kompozytora Brauna żółtą, zaplombowaną paczkę z nadrukiem firmy Jaretz und Sohn.

Szajewski pobladł, a twarz jego zdrętwiała. Chwilę patrzył na Przywarę rozszerzającymi się oczami. Potem wzruszył lekko ramionami, jak gdyby chciał się otrząsnąć z nagłego zakłopotania.

— Pan wybaczy, ale ja tego nie rozumiem.

— Czy pan nie podejrzewa, że Brauna oprócz nut interesowały również narzędzia chirurgiczne?

Mecenas jeszcze raz wzruszył ramionami.

— Pan chyba żartuje, panie kapitanie. To bardzo wybitny kompozytor.

Przywara odpowiedział podobnym wzruszeniem ramion.

— W takim razie skąd ta paczka w jego mieszkaniu?

— Nie rozumiem, to bardzo dziwne.

— Ja też nie rozumiem. Jednak miałem nadzieję, że pan mecenas potrafi mi to wytłumaczyć. Widzę, że jesteśmy obaj zdziwieni. W takim razie może pan wie, skąd podobna paczka znalazła się w mieszkaniu tej nieszczęsnej Zuli Michalczyk?

Mecenas aż syknął.

— To już zakrawa na mistyfikację — powiedział z przejęciem.

Przywara uśmiechnął się jakby do siebie.

— Na mistyfikację, prawda? Paczka z chirurgicznymi narzędziami u modelki z „Tip-Top“.

Na szlachetnie sklezione czoło mecenasa wystąpiły drobne kropelki potu.

— Zupełnie tego nie rozumiem.

— W takim razie — ciągnął Przywara z lodowatym spokojem — może wytłumaczy mi pan, skąd się wzięła paczka z nadrukiem firmy Jaretz und Sohn w mieszkaniu pani Walentyny Schnaps?

Starannie wygolone policzki mecenasa drgnęły, jakby je raził elektryczny prąd. Chciał coś powiedzieć, ale jedynie zagryzł wargę siniejącą pod uciskiem zębów. Dłonią wykonał jakiś ruch świadczący o bezradności. Trwało to moment, jednak baczne oko Przywary uchwyciło każdą fazę tych nieskoordynowanych ruchów. Kapitan uderzył ołówkiem:

— Nie wie pan.

— Doprawdy nie wiem... — wyszeptał.

— Mam panu podpowiedzieć?

Przez twarz mecenasa przebiegł skurcz nagłego gniewu, był to jak gdyby sygnał czujności. Mecenas usiadł wygodniej, dłonią musnął siwiejące włosy, chrząknął, jakby chciał przywołać całą uwagę przeciwko nagłemu rozprężeniu.

— To zbyt cenne, panie kapitanie — powiedział chłodno. — Sprawa ta wymaga szczegółowego wyjaśnienia.

— Proszę, proszę, niech pan się nie krępuje.

— Pani Schnaps przez dłuższy czas była moją przyjaciółką. Mam wobec niej pewne zobowiązania, wobec tego pragnąłem jej w jakiś dyskretny sposób pomóc...

— Rozumiem — przerwał mu Przywara — dlatego kazał jej pan paczkę z narzędziami chirurgicznymi ukryć tak, by nikt jej nie mógł znaleźć. Szczególny sposób pomocy.

— Narzędzia chirurgiczne stanowią pewną wartość, zwłaszcza zagraniczne...

Przywara z pasją cisnął ołówkiem.

— Dość tej zabawy. Proszę powiedzieć, co było w tej paczce?

Małe kropelki na czole mecenasu napęczniały. Kilka



drobnych strużek potu popłynęło szukając drogi wśród pięknie wykrojonych brwi. Mecenasa nieopanowanym ruchem otarł czoło!

— Narzędzia chirurgiczne — odpowiedział z wysiłkiem.

Przywara uderzył pięścią w stół.

— Pan kłamie.

— Ja nie zanosilem tej paczki, skąd mogę wiedzieć.

— Kto ją zanosił?

Mecenas wyjął chusteczkę, starannie ocierał czoło i twarz. Ręka mu drgnęła, gdy wkładał chusteczkę do kieszeni.

— Kto ją zanosił? — powtórzył ostro Przywara.

— Nie wiem... Dałem w kancelarii polecenie, by zanesiono paczkę na Polną.

— Komu?

— Gońcowi.

Przywara roześmiał się.

— A ten goniec okazał się bardzo elegancką i przystojną kobietą?

Mecenas rozłożył ręce.

— Nie mam pojęcia, co goniec zrobił z paczką.

— Spotkał na ulicy wytworną damę, dał jej pięć złotych i kazał zanieść paczkę na Polną. Niech pan sobie przypomni, kto to była ta kobieta, panie mecenasie, bo znowu będę musiał panu podpowiadać. — Stukał miarowo tępym końcem ołówka, jak gdyby odmierzał mecenasowi czas do namysłu.

Szajewski zwrócił ku Przywarze nabrzmiałe nienawiścią oczy.

— To była pani Paczewska.

Kapitan uniósł ołówek i zakreślił nim w powietrzu mate kółeczko.

— Zgadza się. A czy mógłby mi pan wyjaśnić, skąd Paczewska знаła Brauna?

— Pani Mira uwielbia muzykę. Prosiła mnie, bym ją poznał z tym znakomitym kompozytorem. Uczyniłem to z wielką przyjemnością.

— Aha... więc pani Paczewska bywała u Brauna.

— O tak. Często zapraszał nas, by nam przegrać swe ostatnie utwory. To były dla nas wielkie przeżycia.

Przywara uśmiechnął się złośliwie.

— Niezapomniane przeżycia... — powiedział przeciągle i nagle jego głos nabrał ostrości. — A co było w tej paczce?

Szajewski przymrużył oczy.

— Paczka była zaplombowana.

— Czy mam panu powiedzieć, co było w paczce?

Szajewski milczał.

— W paczce były... — Przywara poskrobał się ołówkiem po skroni. — Wolałbym, żeby sam pan powiedział.

— Zapewniam pana, że nie wiem.

— To ja panu powiem. W paczce były zegarki. W tej, którą przyniosła pani Paczewska, i w tej, którą Napieralski znalazł u Brauna, i w tej, która w dziwny sposób zniknęła z mieszkania Zuli Michalczykówny. A pan o tym doskonale wiedział i na podobne paczki czeka pan obecnie, konferując z urzędnikami celnymi, by przepuścili nowy transport bez szczegółowej rewizji. — Wstał, rozłożył ręce. — Myślałem, że pan mi pomoże, a tymczasem utrudnia mi pan moją pracę. Widzi pan, panie mecenasie, niestety przytrzymanie pana to nie pomyłka. Bardzo mi przykro, ale będę musiał prosić prokuraturę w Warszawie, żeby dała nakaz aresztowania.

## V

Kapitanie, „Aksamitnego” i tego Gaspara nie ma w Sopocie. — Kajetański mówił przyciszonym głosem. Jego gumowy płaszcz ociekał deszczem. Na czole i brzegu włosów perlily się drobne kropelki wody. — Gaspar podobno wyjechał w nocy, a o „Aksamitnym” ani słychno, ani dychu.

— Trudno — rzekł Przywara — próba generalna odbędzie się bez dwóch aktorów. Niech Sałyga porozumie się z Warszawą, może tam mają o nich jakieś wiadomości.

Przywara stanął na środku wielkiej sali jak reżyser na pustej widowni. Rozejrzał się dokładnie. Ogołoczone z

obrusów stoliki połyskiwały szklanymi powierzchniami jak kra w zamkniętej zatoce. Na podwyższeniu dla orkiestry stał kontrabas. W płóciennym pokrowcu wyglądał jak kulący się pod ścianą pijany człowiek w płaszczu. W kącie, przy oszklonych drzwiach, tkwiła wielka palma. Zdawało się, że jej liście szeleszczą pod uderzeniami wyjącego za oknami wiatru. Dalej była pusta, smutna plaża z powywracanymi koszami, a w głębi zamglone, pieniające się morze i molo ginące jak most w popołudniowej szarzyźnie.

— Poruczniku — zawołał na Kajetańskiego — możecie ich wprowadzić.

Z bocznych drzwi wyłoniło się kilka postaci. Szły wolno, bojaźliwie, jak gdyby przerażone mroczną pustką sali.

— Czy jest ten kelner, który podawał? — zapytał Przywara.

Niski, szczupły człowiek wysunął się zza szerokich pleców mecenasa Szajewskiego.

— Jestem, proszę pana.

— To dobrze. Który stolik zajmowali ci państwo?

— Ten w rogu — wskazał kelner na pusty stolik umieszczony między oknem a palmą.

Przywara zapraszał szerokim ruchem ręki:

— Proszę zająć te same miejsca, które państwo zajmowali wczoraj wieczorem.

Wysoka, zgrabna kobieta zbliżyła się do kapitana.

— Czy to długo potrwa? — zapytała zniecierpliwionym głosem. — Wieczorem mam jeszcze jeden pokaz. Muszę się przygotować.

Przywara ogarnął ją zaciekawionym spojrzeniem. Była ubrana w jasnozielony tweedowy kostium. Wyglądała młodo i powabnie. Zerknął na zegarek.

— Jest dopiero czwarta. Zresztą to wszystko zależy od państwa. Nie chciałbym nikogo przetrzymywać, muszę jednak przeprowadzić wizję lokalną...

— Brawo. To może być całkiem zabawne — wdarł się wesóły głos niskiego, szczupłego mężczyzny.

— Jeżeli się nie mylę, to pan Hroniewicz — Przywara zbliżył się do niego. — Słyszałem, że pan zawsze wprowadza

towarzystwo w humor.

Hroniewicz uśmiechnął się nonszalancko.

— Cóż robić, kiedy takie smutne czasy.

— Nie na darmo nazywają pana „Wesołym Włodziem“ — zażartował Przywara.

— Ma się trochę tej popularności.

— Ma się, ma — Przywara pokiwał głową. Potem zwrócił się do wszystkich: — Proszę zajmować miejsca. To naprawdę może być zabawne — rzekł z przekąsem. — I czujcie się państwo tak, jak wczoraj wieczorem.

Towarzystwo zasiadło dokoła stołu. Pod ścianą usadowiła się Mira Paczewska z miną znudzonej księżniczki. Obok niej mecenas Szajewski z twarzą kamienną jak posąg. Z boku nieśmiało przycupnęła wysoka, smukła modelka, naprzeciw niej stale uśmiechnięty Hroniewicz.

Przywara wskazał na dwa wolne krzesła, odwrócone oparciami do sali.

— Niestety brakuje nam do towarzystwa dwóch osób. Gdzie siedział pan Gaspar? Tutaj? Dobrze. Pozwolicie państwo, że posadzę na jego miejscu porucznika... — skinął na Kajetańskiego. — A ja usiądę sobie na miejscu panny Zuli Michalczykówny.

— To straszne — westchnęła Paczewska unosząc oczy do góry. Nikt jednak nie zorientował się, co chciała wyrazić tym westchnieniem, czy żal za swą modelką, czy też ubolewanie nad swą sytuacją. Wszyscy spojrzeli po sobie, jak gdyby chcieli znaleźć odpowiedź.

Przywara skinął na kelnera.

— Niech pan dobrze się przypatrzy. Czy przypomina pan sobie ten stolik?

— Tak jest.

— Czy wszyscy byli tu obecni?

Kelner potoczył po ludziach niepewnym wzrokiem. Dłuższy czas przypatrywał się Hroniewiczowi.

— Mnie się zdaje, że tego pana nie było — pokazał na niego.

Hroniewicz roześmiał się sarkastycznie. Wlepił swe lekko

wylupiaste oczy w kelnera.

— Człowieku, niech pan sobie dobrze przypomni. Zamawiałem u pana butelkę „Loupiacu“.

Kelner przejechał dłonią po łysiejącej czaszce.

— Może się mylę, trudno pamiętać wszystkich w takim tłoku.

— Przecież pan nie był pijany — zaśmiał się Hroniewicz.

Przywara zwrócił się do siedzących.

— Więc jak, pan Hroniewicz siedział przy tym stoliku czy nie?

— Oczywiście, że siedział — powiedziała Paczewska wciąż jeszcze znudzonym głosem.

— Pani też tak twierdzi? — zwrócił się do modelki.

— Tak! — skinęła kształtną główką.

— Dziękuję — powiedział Przywara. — Teraz ustalmy, kto przyszedł pierwszy?

— Ja — odezwał się mecenas.

— O której?

— Była chyba dziewiąta albo trochę po dziewiątej.

— Z kim pan się umówił?

— Z panią Paczewską i z panem Gasparem.

— Przyjechał pan samochodem?

— Tak.

— A kto przyszedł następny?

— Ja z Krystyną — skinęła głową Paczewska.

— O której?

— Nie wiem dokładnie, ale było po pokazie, a więc po dziesiątej.

Przywara zwrócił się do Szajewskiego.

— A kiedy przyszedł pan Hroniewicz?

„Wesoły Włodzio“ uprzedził mecenasa.

— Ja przyszedłem po pani Mirze.

Przywara syknął.

— Proszę odpowiadać tylko na moje pytania i proszę nie porozumiewać się ze sobą. Więc pan przyszedł po pani Paczewskiej. Skąd pan przyszedł?

— Po kolacji poszedłem przejść się po molo i potem

wróciłem do hotelu.

— Pan tu mieszka?

— Tak.

— Jedźmy dalej: kto dołączył się do towarzystwa po przybyciu pana Hroniewicza?

Na chwilę zaległa cisza. Siedzący wokół stołu spojrzeli po sobie, jakby chcieli się porozumieć, kto z nich ma odpowiadać. Wreszcie odezwał się mecenas:

— Potem przyszedł pan Gaspar.

— Sam?

— Tak.

— O której pan się z nim umówił?

— O dziewiątej.

— A więc spóźnił się więcej niż o godzinę.

— Widocznie miał jakieś przeszkody.

— Czy Gaspar był na pewno sam? Czy nie przyszedł z Zulą? Mecenas wykonał gest zniecierpliwienia.

— Jeżeli pan nie wierzy, to proszę spytać kogoś innego.

Wtedy po raz pierwszy odezwała się modelka Krystyna. Wysunęła do przodu swą małą główkę, osadzoną na zgrabnej szyi. Miała taki wyraz twarzy jak debiutantka wkraczająca na scenę.

— Zula przysłała dopiero po jakimś kwadransie.

— Kto się z nią umówił?

Znowu cisza. Znowu krzyżujące się spojrzenia.

— Prawdopodobnie pan Gaspar — powiedziała Paczewska cedząc z niechęcią słowa.

Szajewski zapalał nowego papierosa.

— Gdy zjawiła się na sali, wyglądało tak, jak gdyby kogoś, szukała.

— Kto ją pierwszy zauważył?

— Ja — odezwała się Krystyna.

— Była pani zaskoczona jej widokiem?

— Tak. Byłam bardzo zdziwiona i uradowana jednocześnie.

Pan pewno nie wie, że Zula zginęła w Warszawie. Nie przychodziła do pracy.

— Może mi pani powie, jak komentowały koleżanki

zniknięcie Zuli?

Modelka posłała błyskawiczne spojrzenie Paczewskiej, jakby u niej szukała pomocy. Chwilę ssła ładnie wykrojoną dolną wargę, potem powiedziała wolno:

— Wszystkie wiedziały, że kogoś ma.

— A wczoraj, gdy przysła Zula, czy zorientowała się pani, że ją coś łączy z Gasparem?

— Wyglądało na to, że się gniewają... Zresztą wywnioskowałam to z rozmowy z Zulą.

Przywara ożywił się. Przysunął bliżej krzesło, oparł się łokciami o krawędź stolika.

— Więc pani z nią rozmawiała?

Szybkie, pytające spojrzenie Krystyny strzeliło znowu w stronę Paczewskiej. Ta jakby lekko skinęła głową.

— Rozmawiałam z nią u siebie na górze. Zula przysła w sportowym kostiumie. Nie chciała zostać... Zaproponowałam, że jej pożyczę moją suknię wizytową. Miałyśmy mniej więcej te same figury, więc Zula zgodziła się. Poszłyśmy na górę i tam rozmawiałyśmy trochę. Ona była bardzo zdenerwowana. Zapytałam, dlaczego nie przychodzi do zakładu, co się z nią stało? Powiedziała, że musi wyjechać z Warszawy, że nie może tam zostać, bo się boi...

Szajewski zakaszłał głośno i znowu jego spojrzenie skrzyżowało się z szybkim, alarmującym spojrzeniem Paczewskiej. Krystyna przerwała na chwilę. Patrzyła na nich nieruchomymi oczami.

— Niech pani dalej mówi — powiedział Przywara, a jego ciężki, dociekliwy wzrok spoczął na Szajewskim. — Pan mecenas przeziębził się... Nic dziwnego, taka okropna pogoda — popatrzył ponad głowami siedzących na plażę.

Krystyna wyciągnęła z torebki chusteczkę, musnęła nią ładne nozdrza.

— A więc kogo się bała ruda Zula? — zapytał kapitan.

Krystyna uśmiechnęła się jakoś dziwnie.

— Tego mi nie powiedziała. Mówiła tylko, że się boi...

— Może pani pamięta dokładnie, co Zula powiedziała na

ten temat?

— Była bardzo zdenerwowana. Mówiła urywanymi zdaniami, nie kończyła słów. Powiedziała na przykład tak: „Ja już nie wiem, co robić, gdzie się podziać... Mówię ci, Krycha, człowiek zawsze odpowiada za swe błędy...” Potem dorzuciła: „Gdybym była mądrzejsza, tobym już wyjechała, a tak, zdaje mi się, że wszystko do chrzanu...”

— Czy nie wspominała, dokąd miała wyjechać albo z kim miała wyjechać?

— Nie. Zapytałam ją o to, bo pan sam rozumie, byłam strasznie ciekawa, ale ona powiedziała: „Szkoda o tym mówić... Ja zawsze mam takie parszywe szczęście...” To mnie też zdziwiło, bo mi się zawsze zdawało, że Zula ma naprawdę szczęście. Zawsze miała powodzenie u mężczyzn...

— Jeszcze jakie — Hroniewicz aż cmoknął dla podkreślenia swej aprobaty, potem pokręcił z uznaniem głową.

Przywara przyłożył tylko do ust palec.

— Potem panie zeszły na dansing? — skierował pytanie do Krystyny.

— Tak... Zula szalowo wyglądała w tej sukni. Pan sobie wyobraź, piękny turkusowy jedwab do jej rudych włosów i śmietankowej cery. Mówię panu, szalowo...

Mecenas skrzywił się z niesmakiem i posłał Paczewskiej zgorzone spojrzenie. Ta coraz mocniej skręcała jelonkowe rękawiczki w swych klasycznie smukłych dłoniach. Hroniewicz zachichotał, ale pod surowym spojrzeniem Przywary wnet opanował śmiech. Krystyna szybkim ruchem uniosła chusteczkę.

— Ach, prawda, zupełnie o tym zapomniałam. Gdy byliśmy już w hallu, zjawił się nagle ten przystojny chłopiec.

— „Aksamitny“? — rzucił gwałtownie Przywara.

— Nie... Ten student, Adaś...

Twarz Przywary znieruchomiała, brwi uniosły się wysoko.

— Łabanowicz?

— Nie wiem, jak on się nazywa, znałam go jako Adasia. On często przychodził po Zulę do zakładu. Bardzo się wszystkim podobał. Żeby pan wiedział, jaką on miał głupią gębę, gdy



zobaczył Zulę.

— A ona?

— Ona okropnie się spieszyła. Chciała cofnąć się na piętro, ale nie zdążyła. Podbiegł do niej i złapał ją za rękę. „Zula, chciałem jeszcze kilka słów z tobą zamienić“ — powiedział takim straszliwie głupim głosem, że miałam ochotę parsknąć. A Zula do niego swym anielskim głosikiem: „Adam, dlaczego jesteś taki uparty? Przecież wiesz, że już nic z tego nie wyjdzie...“ Chciałam jakoś załagodzić tę przykrą sytuację. „Panie Adasiu, może pan z nami pójdzie potańczyć?“ A on jak na mnie spojrzy, to mnie ciarki przeszły. Zresztą dobrze, że nie poszedł, boby go kelner na salę nie wpuścił. Był w czarnym swetrze i podartych portkach jak egzystencjalista...

— Dobrze... — przerwał jej Przywara. — O czym oni ze sobą mówili?

— Nie wiem. Nie lubię takich scen. To przecież śmieszne. Ulotniłam się jak najszybciej i zaczekałam na Zulę w sali restauracyjnej.

— Długo pani czekała?

— Nie. Musiała go szybko spławić.

— Gdy wróciła, co powiedziała?

— Była jeszcze bardziej zdenerwowana. Powiedziała: „Biedny chłopiec...“ czy coś w tym guście. Potem poszliśmy do dansingowej sali.

— Dziękuję! — Przywara gładził palcami krawędź stołu. Jego przenikliwe oczy błędziły po otaczających go twarzach. Zatrzymały się na posępnym obliczu Szajewskiego. — Teraz wraca panna Krystyna z Zulą. Jak zachowuje się Gaspar? Może pan mecenas będzie uprzejmy powiedziec coś na ten temat jako człowiek, który ma doskonałą pamięć i zmysł obserwacji.

— Cóż ja mogę powiedziec — Szajewski rozłożył szeroko ręce. — Widziałem, że przywitali się dość chłodno, a jednocześnie jakoś tak, jak gdyby mieli do siebie pretensje. Potem poszli tańczyć... To znaczy, jeśli się nie mylę, Zula wzięła go za rękę i dała w ten sposób znać, że ma ochotę

zatańczyć. Wrócili nieco weselsi.

— Przepraszam — przerwał mu Przywara — w jakim języku porozumiewali się ze sobą?

— Zula uczyła się angielskiego u Metodystów — wyjaśniła szybko Krystyna. — Ona była piekielnie zdolna. Mówiła już zupełnie dobrze... to znaczy mogła się porozumieć.

— Jesteśmy w momencie, kiedy Gaspar z Zulą wracają z parkietu. Potem jaki moment utkwił pani w pamięci?

— Potem, zdaje mi się, podszedł kelner i powiedział panu Gasparowi, że ktoś czeka na niego.

— Czy tak było? — kapitan obrócił się w stronę kelnera.

— Tak jest — rzekł kelner giętkim głosem. — W przejściu na salę zaczepił mnie jakiś młody człowiek. Wskazał na cudzoziemca, który siedział przy tym stoliku, i poprosił mnie, bym go zawołał.

— Czy długo ze sobą rozmawiali?

— Raczej krótko.

— Słyszał pan, o czym rozmawiali?

— Nie. Ten młody człowiek bardzo elegancko z nim się przywitał, potem wziął go pod rękę i zaprowadził za tamte duże drzwi. Stali chwilę. Młodzieniec coś cicho tłumaczył. Nagle tamten zachnął się gniewnie, zawołał coś i szybko odszedł...

— Dziękuję — Przywara skinął mu głową i powiódł oczyma po siedzących wokół stołu. — A podczas tej rozmowy co się tu działo przy stoliku? — zagadnął Krystynę.

Modelka wolnym ruchem uniosła dłoń do czoła. Zastanawiała się.

— Niech pani dobrze sobie przypomni — powiedział łagodnie Przywara — to bardzo ważny moment.

— Pani Paczewska chciała zatrzymać Zulę.

— Pan to widział? — Przywara wskazał na Szajewskiego.

— Nie przypominam sobie.

— A pan, panie Hroniewicz?

„Wesoły Włodzio” uśmiechnął się z trudem.

— Ja tańczyłem z panią Paczewską.

Kelner chrząknął.

— Mnie się zdaje, że wtedy orkiestra nie grała.

— Oczywiście — potwierdził Przywara. — Gdyby orkiestra grała i ludzie tańczyli, pan mecenas nie mógłby dojrzeć w drzwiach Maniewicza. — Spojrzał chłodno na Paczewską. — Dlatego pani zatrzymała Zulę?

Kierowniczką domu mody straciła panowanie nad swymi dobrze wystudiowanymi ruchami. Uniosła przed siebie dłonie, jak gdyby chciała się bronić.

— Jeżeli nawet tak było, to przecież nie mogłam dopuścić do awantury.

— O kogo pani wtedy chodziło?

— O nas wszystkich. Nie lubię zbyt drastycznych scen.

— A skąd pani mogła przypuszczać, że zanoszą się na drastyczną scenę?

— Zula była bardzo porywcza.

— Czy pani знаła Ryszarda Maniewicza?

Paczewska drgnęła.

— Nie! — zawołała.

— Więc dlaczego starała się pani zatrzymać Zulę?

Paczewska wykrzywiła usta jakimś rozpaczliwym grymasem. Dotknęła czoła przegubem dłoni.

— Ależ pan nas męczy.

Przywara patrzył na nią z drwiącym uśmiechem, o jego grube palce z nalotem tytoniu wokół paznokci wybijały niespokojny takt na krawędzi stołu.

— Nie może sobie pani przypomnieć. W takim razie może pani mi powie — wskazał ruchem głowy na modelkę.

— Ja też sobie nie przypominam — wyszeptła Krystyna nie patrząc na niego.

— W takim razie kto sobie przypomni? — spojrzął na Szajewskiego i Hroniewicza. Obaj milczeli. W tę napiętą ciszę wdarł się nagle szum morza.

Pierwszy odezwał się kelner. Gładząc wierzch łysiejącej głowy, powiedział spokojnie:

— Widziałem tę rudą panią, jak biegła przez salę ku szklanym drzwiom. W drzwiach natknęła się na tego cudzoziemca. On ją zatrzymał. Chciała się wyrwać i pobiec

za tamtym. Ale tamten znikł. Widocznie przeszedł do hallu. Cudzoziemiec nie pozwolił jej odejść. Po chwili oboje wrócili na salę. Wtedy już grała orkiestra. Nie podeszli do stolika, tylko zaczęli tańczyć...

Hroniewicz z pasją kręcił głową. Chciał coś powiedzieć, ale Przywara dał mu znak ręką, by milczał. Kapitan żuł chwilę wargę. Jego szeroka twarz zakrzepła w zamyśleniu. Naraz sięgnął po leżące przed nim papierosy, zapalił i zaczął mówić szybko, dobitnie.

— Ta para wraca po tańcu do stolika. Po zejściu, jakie miało miejsce przy oszklonych drzwiach, wszyscy oczywiście są zainteresowani ich osobami. Jak oni się zachowali? — zagadnął Krystynę.

Modelka, zaskoczona ostrym, nie znoszącym sprzeciwu głosem, cofnęła się gwałtownie.

— Proszę mówić! — przynaglił ją jeszcze ostrzej. — Teraz skończyło się zebranie towarzyskie. Jestem oficerem służby śledczej i żądam precyzyjnych odpowiedzi.

Modelka zatrzepotała gęsto wytuszowanymi rzęsami.

— Oboje byli smutni... On może zły... Ona przygnębiona. Zrobiło się jakoś nieswojo. Wszyscy milczeli. Pan Gaspar zażądał rachunku. Wstał. Zamienił kilka słów z panem mecenasem i odszedł.

— O czym z panem rozmawiał? — kapitan zwrócił się do Szajewskiego.

— Powiedział, że wyjeżdża do Warszawy. Prosił, żebym do niego zatelefonował.

Przywara skierował ostre spojrzenie na modelkę.

— A Zula jak się zachowała?

— Zula?... — zastanowiła się Krystyna. — Ona była bardzo przygnębiona. „Muszę się nieco uspokoić, bo nie wiem, co ze mną będzie“ — powiedziała. Nałała do szklanki wody sodowej i zażyła jakiś proszek.

— Miała te proszki przy sobie?

— Tak. Wyjęła z torebki fiolkę.

— Jakie to były proszki?

— Nie mam pojęcia.

— A jaką miała torebkę?

— Czarną, zamszową. Trochę niestosowna do jej sukni, ale nie miałam dla niej innej, więc zeszła z tą swoją.

— Co było następnie?

— Już mówiłam, zrobiło się strasznie głupio. Nikt Już nie miał ochoty do zabawy. Wszyscy byli milczący...

— I co dalej?

— Wtedy Zula wstała i powiedziała do mnie: „Ja Już pójdę, czy mogłabyś wejść ze mną na górę“. Skorzystałam z okazji i poszłam z nią do numeru.

— O czym rozmawiała z panią po drodze?

— Och, ona nie rozmawiała, biegła po schodach. W pokoju rzuciła szybko suknię. Zapytałam ją, co się stało? Powiedziała ponuro: „Muszę z tym wszystkim skończyć“. Potem proponowałam jej, że ją odprowadzę. Powiedziała, że nie trzeba. Wybiegła z pokoju, nawet się nie pożegnała. Mówię panu, że przeraziłam się, tak była zmieniona.

— Jeszcze jedno pytanie. Czy zabrała ze sobą torebkę?

— Tak, jestem tego pewna.

Przywara rozejrzał się. Twarze otaczających go ludzi były skupione, posępne. Tylko Hroniewicz uśmiechał się do siebie, jakby chciał w tej chwili zaznaczyć, że niebezpiecznie nazywano go „Wesołym Włodziem“. W ramie wielkiego okna tkwił szary, zamglony obraz deszczowego popołudnia. Wiatr szarpał płótnom powalonych koszy, a fala biła o brzeg srebrzystymi grzywami i zalewała rude łachy piasku.

Przywara odsunął się od stołu, jak gdyby chciał lepiej ogarnąć spojrzeniem siedzących wokół.

— Czy ktoś z obecnych po zejściu przy drzwiach widział jeszcze Maniewicza?

Odpowiedziało mu milczenie.

— Pozostało więc ustalić, co każdy z państwa robił po odejściu Zuli. A więc pani Paczewska?

— Byłam zmęczona tym wszystkim, poszłam spać.

— A pan, panie Hroniewicz?

— Ja? — uśmiechnął się zuchowato. — No cóż, zabawa się

nie udało, poszedłem do baru. Nie lubię zasypiać znudzony.

— Co pan tam robił?

— Co można robić w barze?

— Proszę odpowiadać ściśle na pytania.

— Piłem.

— Z kim?

— Z kim się dało.

— Może pan sobie kogoś przypomni, kto pana widział?

— Zalane było bractwo, w pijanym widzie. Kto by to pamiętał.

— A potem?

— Potem poszedłem spać.

— O której?

— Jak zamykali lokal.

— To znaczy?

— Pewno po trzeciej.

— Niech pan się zastanowi. Możemy sprawdzić!...

— Proszę bardzo — łypnął wylupiastymi gałkami oczu i roześmiał się cicho.

— A pan? — Przywara skierował wzrok na Szajewskiego.

— Ja wróciłem do domu.

— Do Oliwy?

— Tak.

— Własnym wozem?

— Nie. Nigdy nie prowadzę wozu nawet po kieliszku alkoholu.

— Przecież pan mówił, że przyjechał pan tutaj swoim wozem.

Szajewski zmarszczył brwi. Nagłe zmieszanie pokrył jakimś nieokreślonym gestem ręki.

— Zostawiłem wóz.

— Tak bez opieki? Nie obawiał się pan, że ktoś pana skradnie?

— Wolałbym to niż mieć do czynienia z milicją.

— Aha... — Przywara uniósł głowę. — To zapewne tę korbę, o której pan wspominał, skradli panu w ciągu tej nocy?... Korbę skradli, a wóz zostawili, prawda?

Mecenas nerwowo uniósł ramiona.

— Doprawdy nie mam pojęcia, kiedy zginęła mi ta rura do windy.

— Aha... — mruknął kapitan. — Jeszcze jedno pytanie, panie mecenasie. Czy wychodząc z „Grandu“ nie widział pan Zuli?

— Nie.

— A kogoś, kto wydałby się panu podejrzany?

— Nie.

— Jak pan dostał się do domu?

— Elektrycznym pociągiem.

— O której pan stąd wyjechał?

— Chyba przed północą.

— A kiedy pan wrócił po samochód?

— Z samego rana.

— O której?

— Chyba o ósmej.

— Kolejką?

— Nie, trolejbusem.

— I znalazł pan samochód nie tknięty, tylko tej rury do windy nie było?

— Brak rury zauważyłem dopiero potem.

Przywara skinął ręką, jakby chciał powiedzieć: „gadaj zdrów“, potem położył dłoń na plecach Kajetańskiego, który przez cały czas trwania śledztwa notował zeznania.

— No co, skończymy chyba, poruczniku.

— Chwała Bogu — westchnęła z ulgą Paczewska, wstając pierwsza. Twarz jej przybrała wyraz znudzenia. Przywara zastopował ją uniesieniem ręki.

— Bardzo mi przykro, ale niestety nie będzie pani mogła wziąć udziału w dzisiejszym pokazie.

Uniosła ładnie zarysowane brwi.

— Pan chyba żartuje?

— Nie. Jestem zmuszony zatrzymać całe towarzystwo z wyjątkiem tej młodej osoby — ruchem głowy wskazał na modelkę.

## VI

O jedenastej przed południem na biurku Żończyka zabrzączał telefon. Porucznik gwałtownym ruchem zdjął słuchawkę.

— Tu komisariat na Saskiej Kępie — usłyszał niski, spokojny głos — mówi starszy sierżant Kapała. Ujeliśmy poszukiwanego przez was człowieka.

— Kogo? — ryknął Żończyk.

— Ryszarda Maniewicza... tego „Aksamitnego Rysia“... Ale on już nie będzie aksamitny — w słuchawce coś zabulgotało, jak gdyby ktoś zaśmiał się i stłumił z trudem ten wybuch śmiechu.

— Mówcie konkretnie, do jasnej... — irytował się Żończyk.

— No tak, panie poruczniku, ktoś oblał mu twarz witriolem.

— Co się stało?

— Oblał mu twarz witriolem. Znalazł go rejonowy mi ulicy Czeskiej w bramie pod dwudziestką piątką. Pół gęby mu zrobili na szaro. Teraz leży w szpitalu Przemienienia, pod dozorem oczywiście.

— To ci niespodzianka — powiedział Żończyk do siebie, a potem huknął w słuchawkę: — Szczegóły, sierżancie. To dla nas cholernie ważna rzecz.

— Przeczytam wam meldunek... Zaraz... Słuchacie?

— Tak. Szybciej, do jasnej...

— „O godzinie dziesiątej piętnaście, przechodząc ulicą Czeską zauważyłem zbiegowisko przed posesją nr 25. W bramie tego domu znalazłem człowieka, który, trzymając się za jedną część twarzy, pojękiwał. Został on poszkodowany przez niestwierdzonych osobników, którzy oblali mu jakimś żrącym płynem lewą część twarzy, a potem zbiegli w niewiadomym kierunku. Poszkodowanym okazał się poszukiwany przez Komendę Główną Ryszard Maniewicz,



urodzony 12 lutego 1933 roku. Wezwałem natychmiast pogotowie ratunkowe. Poszkodowany nie chciał odpowiadać na zadawane pytania, lecz nie stawiał oporu. Jeden ze świadków zajścia twierdzi, że poszkodowany przychodził do wyżej wzmiankowanego domu do mieszkającej w tymże, mieszkania nr 6, niejakiej Mirosławy Paczewskiej, w charakterze nieokreślonym, i często tam przebywał przez całą noc”. Meldunek złożył plutonowy Kurasik...

Żończyk nie mógł pohamować nagłego ataku śmiechu.

— Do jasnej... nauczcie tego Kurasika składać meldunki. Koń by się z tego uśmieł.

— To wcale nie do śmiechu — odrzekł urażony starszy sierżant — on ma naprawdę gębę spryskaną witriolem. Urządzili go na cacy...

— Zaraz, zaraz... Do kogo on przychodził?

— Do Mirosławy Paczewskiej — usłyszał głos sierżanta.

— Paczewskiej, nie mylicie się?

— Tak jest w meldunku.

— Innych danych o niej nie ma?

— Nie, poruczniku.

— Sprawdźcie natychmiast, czy to jest Mirosława Paczewska, kierowniczka domu mody „Tip-Top“. Dacie mi znać, gdy się dowiecie. Ja teraz jadę do Przemienienia. — Odłożył słuchawkę. Uderzył się dłonią w czoło: „Ale ze mnie tuman, ale ze mnie fujara — pomyślał. — Jak ja mogłem nie zrozumieć, że to właśnie pani Mira Paczewska. To znaczy tego gogusia wiązało coś z Paczewską. To może nam wiele wyjaśnić...” — Narzucił na ramiona płaszcz, zadzwonił na dyżurnego milicjanta, kazał przygotować samochód, a sam wpadł po drodze do majora Knapa.

Knap siedział w rozchełstanej koszuli i swoim zwyczajem miętosił dłonią tęgą, owłosioną pierś. Wiadomość o wypadku Maniewicza przyjął tak obojętnie, jak gdyby mu powiedziano, że w tej chwili przestał padać deszcz. Należał bowiem do ludzi, którzy niczemu się nie dziwią i nic ich nie potrafi wyprowadzić z równowagi.

— Załatwcie to szybko — powiedział ospałym głosem — i

wracajcie. Będę miał dla was nową robotę.

— Czy nie myślicie, że to może nam bardzo pomóc?

Knap uniósł na młodego porucznika ciężkie od zamyślenia oczy.

— Zobaczymy.

— Czy była jakaś wiadomość od Robańskiego?

— Telefonowali, ale co mi z tego. „Błatego“ jeszcze nie ma i w ogóle wszystko do kitu.

— A kapitan dojechał już do Gdańska?

Knap zmarszczył szerokie, spocone czoło.

— Idźcie już, Żończyk, bo nie mogę na was patrzeć. Róbcie swoje.

Porucznik ulotnił się jak mógł najszybciej. Wiedział, że Knap, dopóki nie rozwiąże powierzonych mu zadań, będzie siedział ponury jak borsuk. To nie był Przywara, który, zachowując spokój, działał jak prawdziwy artysta i przeżywał każdą fazę śledztwa. Knap każdą fazę musiał przecierpieć. Mimo to miał opinię doskonałego fachowca. Mówiono o nim w Komendzie, że z ponurym uporem potrafi rozwikływać najtrudniejsze zagadki kryminalne.

\*

Młody lekarz wolnymi ruchami wycierał szkła swych okularów. Potem uniósł je pod światło i przymrużywszy krótkowzroczne, mętne oczy, chuchnął.

— Miał szczęście — powiedział przeciągle — że nie uszkodzili mu oka. Byłoby nie do uratowania. Ale ze-szpecony będzie do końca życia, a szkoda... przystojny jak gwiazdor filmowy z Hollywood:

Żończyk syknął zniecierpliwiony.

— To nas w tej chwili nie interesuje. Czy będzie można go przesłuchać? Czy może odpowiadać?

— Doznał wprawdzie tylko obrażeń zewnętrznych, ale to bardzo bolesne — powiedział lekarz tym samym tonem, jak gdyby kontynuował jakiś wykład.

— Sprawa jest bardzo pilna.

— Ja traktuję go jako pacjenta...

— A ja jako osobę podejrzaną w pewnej sprawie.

Lekarz wzruszył chudymi ramionami.

— Niech pan spróbuje — założył okulary, gwałtownym ruchem ręki wskazał na białe drzwi i dodał: — Jednak proszę to załatwić dyskretnie.

Żończyk pchnął drzwi. Znalazł się w niewielkim pokoiku przylegającym do ambulatorium. Był to pokój lekarski i pacjenta umieszczono tutaj chwilowo z braku miejsca w szpitalnych salach. W kącie pod oknem, na kozetce obitej białą ceratą, leżał Maniewicz. Głowę miał tak szczelnie omotaną bandażem, że wyglądał z daleka jak rzucona na kozetkę biała kukła. Spomiędzy zwojów bandaży spoglądało jedno ruchliwe, ciemne oko.

Żończyk szybkim krokiem podszedł do kozetki.

— Przepraszam, czy można z panem porozmawiać?

Spomiędzy bandaży odezwał się głos cichy, przybity.

— O co chodzi?

— Jestem z Milicji Obywatelskiej. Musimy ustalić, kto był sprawcą tego napadu na pana.

Maniewicz gwałtownie podkurczył nogi i uniósł się na łokciach, jakby chciał zerwać się do ucieczki. Jedno oko błysnęło wśród bieli.

— Dajcie mi teraz spokój — zawołał przytłumionym głosem. — Czy pan nie widzi, w jakim jestem stanie?

Żończyk uniósł rękę uspokajającym gestem.

— Proszę się nie denerwować. Chciałem tylko zapytać, kto na pana napadł? Kto to zrobił?

— Ja nie wiem — głos mu się załamał. On sam wolno opadł na poduszkę.

— Nie widział pan?

— Nie.

— Przecież było zupełnie jasno.

— Nie widziałem.

— A kogo pan podejrzewa?

— Nikogo.

— Dlaczego pan nie chce nam pomóc?

— A dlaczego pan mnie męczy?

— Musimy wykryć sprawców.

— To i tak mi nic nie pomoże.

— Do kogo pan szedł?

Maniewicz podźwignął się z wysiłkiem.

— Czy pan nie może odłożyć tej rozmowy?

— Może pan jednak da nam pewne wyjaśnienia.

Błyszcząca ciemne oko Maniewicza powlokło się mgłą.

— Przecież pan widzi, co ze mną zrobili — wyszeptał i nagle głos mu się załamał.

— Niech pan zrozumie, że przyszedłem tu dla pana dobra.

— Dziękuję. Teraz już mi wszystko jedno.

— Naszym obowiązkiem jest...

— W dupie mam wasze obowiązki — jęknął Maniewicz siadając na kozetce i uniósłszy ręce na wysokość twarzy, zawołał: — Dajcie mi nową głębę albo zatłuczcie mnie, bo mi się nie chce żyć.

Zończyk cofnął się o krok.

— Niech się pan uspokoi — powiedział twardo.

Załawione oko Maniewicza błysnęło gniewnie.

— Może pan nie przychodzić i tak nic wam nie powiem.

\*

Młodzieniec z czarnymi baczkami stanął przed biurkiem majora Knapa. Nie wiedział, co ma zrobić ze swymi krótkimi, muskularnymi łapami. Duże, mięsiste dłonie tarł o brudny drelich spodni. Major długo wpatrywał się w jego pobladłą twarz. Wreszcie odezwał się:

— He... rozmyśliłeś się, przyjacielu? Jak ci to na imię?

— Marian.

— Maniuś?... To ładnie. — Major rozchmurzył się nieco. — Siadaj, Maniuś, i opowiadaj, co ci leży na sercu.

Młodzieniec z baczkami niezręcznym ruchem przysunął krzesło. Usiadł ostrożnie. Rozejrzał się.

— Przepraszam — powiedział cicho — a tamten pan, który nas wtedy przesłuchiwał?...

— Chciałeś z nim pogadać, co? — uśmiechnął się major i podsunął młodzieńcowi paczkę z papierosami.

— Nie martw się, ze mną też możesz gadać jak z rodzonym ojcem. Boisz się „Bladego“, co?

Młodzieniec przytaknął ruchem głowy. Wyglądał teraz jak potulny, grzeczny chłopiec. Z oczu zniknęła cwaniacka hardość, a na ustach nie pojawił się ani razu kpiący uśmiezek. Patrzył pod nogi, jak gdyby szukał upuszczonego przed chwilą przedmiotu.

— Nie martw się — ciągnął major zapalając papierosa. — Zapal sobie, to cię trochę pokrzepi, a potem wyspowiadaj się jak przed księdzem. Postaram się być wyrozumiały. Więc jak to było z tą paczuszką? — zapytał i podał mu zapalki.

Młodzieniec włożył do ust papierosa, ale go nie zapalił, tylko ssał przez chwilę, a potem wyjął i obracał w palcach.

— No, Maniuś, mów, przyjacielu — major zmrużył porozumiewawczo oko. — Od „Bladego“ dostaliście tę paczkę, co?

Maniuś jeszcze bardziej opuścił głowę. Kurczył się pod badawczym spojrzeniem majora.

— Czy macie już „Bladego“? — zapytał zapalając papierosa.

— Zapewniam cię, że „Blady“ już nic ci nie robi. Nie bój się, my się już nim dobrze zaopiekujemy. Więc od niego dostaliście tę paczkę? — zapytał ostrzej.

— Nie... My ją zabrali od grubej Loli — wyszeptał młodzieniec z baczkami.

Knap przypomniał sobie krótki meldunek Robańskiego: „Jestem na Żymirskiego. »Blady« ma przyjść do spelunki grubej Loli...”

— Aha... — rzekł głośno — od tej z Żymirskiego?

— Tak.

— Kto was tam posłał?

— „Blady”.

— Kiedy to było?

— Wczorem.

— O której?

— O ósmej.

Knap oparł się wygodnie o krawędź stołu.

— Mów, synu, jak to było z tą paczką. Opowiadaj.

Maniuś przejechał brudną łapą po zlepionych włosach.

— Przecież powiedziałem, że „Blady”...

— Szczegółowo, synu. Nam chodzi o szczegóły. Gdzie spotkaliście „Bladego”?

— „Pod Wiaduktem”.

— I co dalej?

Maniuś z zakłopotaniem przetarł ogorzałe czoło.

— No nic... — powiedział ociągając się. — Przyszedł tam „Blady”. Potem posłał Geńka do pedeciaka, żeby mu kupił jakiś jedwabny szalik i pistolet na wodę... Taka zabawka, co wodą sika...

— Na co mu był potrzebny ten pistolet?

Maniuś wzruszył ramionami.

— A bo ja wiem. Sam się dziwiłem. Przecie nie ma dzieci. Ale potem Geniek powiedział mi, że to pomysł racjonalizatorski. Naciąga się do pistoletu wiotriolu zamiast wody i facetowi w pysk...

Knap lekko odsunął się od stołu. „No tak — pomyślał — teraz już wiemy, kto urządził tego «Aksamitnego».”

— Czy „Blady” wam mówił, na kogo ma być ten pistolet? — zapytał głośno.

— Nie mówił, ale my wszyscy wiedzieli. On miał porachunki z pewnym facetem o jedną cizię.

— O kogo?

— O taką rudą Zulejkę, co z nim przedtem była.

— A kto to ten facet?

— Jeden taki ciepły facet. Nazywają go „Aksamitny Rysiek”.

— Zgadza się — Knap uderzył rozwartą dłonią w blat stołu.

— Zgadza się, Maniuś. My to wszystko wiemy. Mówisz jak na spowiedzi. A teraz powiedz mi, jaki to był ten szalik?

— Taki jedwabny, włoski, za trzysta sześćdziesiąt. Importowany towar pierwszego gatunku. „Blady” był zwykowny facet, a szalik na medal.

— Czy kupił ten szalik dla siebie?

— Chyba tak. On przepadał za taką modną konfekcją w dobrym gatunku.

Knap sięgnął do szuflady, wyciągnął zwinięty szalik i szybkim ruchem położył go na biurku.

— Taki był ten szalik?

Maniuś spojrział nań jak na kuglarza.

— Taki — wydusił z zaciśniętej krtani.

Knap widząc, jak przesłuchiwany rozdziawił ze zdumienia usta, roześmiał się.

— Tak, tak — pokiwał głową — u nas jak w magicznym pokoju, wszystko się udaje. A z ciebie, Maniuś, dobry chłopak, tylko trzeba umieć podejść do ciebie... spokojnie, bez krzyku. Co „Blady“ zrobił z tym szalikiem?

Maniuś drżącą dłonią zapalał drugiego papierosa.

— Wsadził go do kieszeni razem z pistoletem. Potem kazał nam iść do grubej Loli po tę paczkę. Geniek miał już przygotowany futerał do harmoszki. „Blady“ powiedział, że mamy wrócić „Pod Wiadukt“ i czekać na takiego jednego faceta. Jak przyjdzie i powie, że potrzebne mu lampy do telewizora, to trza mu oddać tę paczkę. A potem mieliby iść na róg Polnej i Mokotowskiej i tam czekać na „Bladego“...

Knap przechylił się gwałtownie ponad krawędzią biurka.

— Na róg Polnej, mówisz?

— No tak. Tak kazał „Blady“. Powiedział, że będzie tam o jedenastej.

— Nie mówił, w jakim celu?

— On nigdy takich rzeczy nie mówił.'

— Wiedzieliście, co w tej paczce?

— Nie, ale Geniek powiedział, że to pewno złoto, bo paczka mała, a ciężka jak jasna cholera.

— O której miał przyjść ten facet?

— O dziesiątej.

— Nie znaliście jego nazwiska?

— Nie. Skądże my mogli znać? To precyzyjna robota. A przy takiej robocie obowiązuje tajemnica. — Maniuś zdusił papierosa w popielniczce i dorzucił smutnym głosem: — Mówiłem Geńkowi, żeby nie pił, bo jak „Blady“ zniucha, to

będzie żałosna polka. No i potem była ta draka... I... — urwał nagle, trzepnął się dłonią w kolano, spochmurniał.

Nastała chwila ciszy. Potem odezwał się brzęczyk telefonu. Knap, nie spuszczać oczu z Maniusia, podniósł słuchawkę. Dzwonił lekarz z kliniki chirurgicznej. Donosił, że stan redaktora Napieralskiego znacznie się poprawił.

— Dziękuję, panie doktorze — powiedział Knap. — Czy moglibyśmy go odwiedzić?

— Nie. To niemożliwe. Musi mieć idealny spokój. Nie dopuszczamy do niego nikogo prócz opieki szpitalnej. Redaktor prosił natomiast, żeby panom przekazać kilka wiadomości. Powiedział, że gdy wszedł do bramy, dostał nagle cios w głowę. Cios był zadany z tyłu. Nie widział, kto go uderzył. Prócz tego prosił, żeby zawiadomić milicję, że przed wyjściem z domu była u niego pewna dziewczyna, znajoma Ryszarda Maniewicza. Na imię ma Dora i można ją spotkać w „Barze Owocowym“ na MDM-ie... I jeszcze jedno. Po jej wyjściu telefonowała do niego jakaś kobieta.

— Co mówiła? — przerwał mu zniecierpliwiony Knap.

— Zaraz... Mam zapisane na kartce. Powiedziała: „Niech pan natychmiast przyjeżdża na Polną. Zula jest w domu. Czeki na pana.“

— To wszystko?

— Tak.

— Jeżeli będzie można go odwiedzić, to proszę nas natychmiast zawiadomić. Dziękuję panu, doktorze. Opiekujcie się tym naszym redaktorem. Czołem... — Odłożył słuchawkę, sięgnął po nowego papierosa, uderzył nim o wierzch dłoni.

— Tak... — zwrócił się do Maniusia, który obserwował go spod zmarszczonych brwi. — To ciebie z Genkiem posyłał „Blady“ do redaktora Napieralskiego?

Maniuś skinął głową.

— Czy wczoraj nie mówił nic o nim?

— Nie.

— I kazał wam przyjść na róg Mokotowskiej i Polnej.

— Tak.



Knap podniósł gwałtownie ręką, jak gdyby chciał uderzyć siedzącego przed nim młodzieńca z czarnymi baczkami, ale dłoń jego zawisła nad biurkiem.

— To ja ci powiem. Po północy w bramie kamienicy na Polnej znaleziono nieprzytomnego redaktora Napieralskiego z rozbitą głową. Jak ci się, synu, zdaje, kto to mógł zrobić?

Maniuś szeroko rozwarł oczy. Był wystraszony. Machinalnym ruchem uniósł ramiona.

— I jeszcze coś ci powiem. Redaktor, w chwili gdy go znaleziono, miał narzucony na twarz taki właśnie szalik — przykrył dłonią leżący przed nim kawałek błyszczącego jedwabiu. — A więc, jak myślisz, kto narzucił ten szalik na twarz redaktora?

— „Blady“?... — młodzieniec z baczkami wybałuszył zdumione oczy.

— To ja pytam ciebie.

Młodzieniec z baczkami opuścił głowę. Zaczął trzeć dłonią o wyświecony drelich spodni.

— Wszystko możliwe — powiedział jakby do siebie, a potem dodał jeszcze ciszej: — Może dla nas lepiej, że wynikła ta draka.

Knap zawołał milicjanta, kazał odprowadzić przesłuchiwanego. Gdy został sam, podniósł słuchawkę.

— Proszę połączyć mnie z Gdańskiem, z Komendą, ale galopem, ważna sprawa.

\*

Smętne były myśli porucznika Robańskiego, gdy spojrzął na zegarek i stwierdził, że minęło już południe. Nawet hejnał mariacki płynący z głośników radiowych nie potrafił wzbudzić w nim weselszej refleksji. Od świtu sterczał na Żymirskiego, ale do tej pory „Blady Wiktor” nie zjawił się ani nie dał znaku życia.

Nad ranem w melinie grubej Loli ucichły wszelkie odgłosy. Widocznie znużeni całonocną grą karciarze usnęli kołysani cichym poszumem siąpiącego deszczu.

A deszcz osnuł ulicę szarą przedzą i zatopił ją w strugach mętnej wody i w biocie. W taki dzień chandra dobiera się do najpogodniejszych ludzi, nawet do oficerów służby śledczej, którzy z wrodzoną cierpliwością czekają na swe ofiary.

„Ukichać się można — myślał Robański obserwując róg ulicy i pusty prostokąt bramy. — Psia ta nasza służba. Człowiek musi warować jak kundel na łańcuchu. Sterczę tu, a «Blady» może w ogóle nie przyjść. Czy można wierzyć jakiejś tam kurewce? Nabiła cię w butelkę, stary capie, a ty z uporem myślisz, że ci się uda zasadzka... A może »Blady« był wtedy u Loli, a ta, bojąc się wsypy, zbyła dziewczynę jakimś kłamstwem. Może był to sygnał ostrzegawczy. «Blady» przysł z całym towarzystwem, a Lola śpi w najlepsze, spokojna, że nic jej nie grozi. Trzeba będzie posłać wywiadowcę, niech zobaczy, co się tam dzieje, bo uśniemy tu obaj na tym deszczu...”

Już miał przywołać wywiadowcę, który właśnie wyłonił się zza węgła narożnej kamienicy, lecz pomyślał: „To będzie zbyt ryzykowne. Trzeba być cierpliwym. Już nieraz zawałem robotę przez nieostrożność”. Uśmiechnął się. Przypomnił sobie, że koledzy nazywają go „Rudym Buldogiem”. Miało to określać jego nieustępliwość. Knap powiedział mu kiedyś: „Z was, poruczniku, to buldog, jak chwycicie kogoś za łydkę, to nie popuścicie...” „Dobrze — prowadził dalej myśl — buldog buldogiem, ale czy buldog musi cały dzień moknąć na tym przeklętym deszczu?”

Wtedy właśnie usłyszał warkot silnika. Zza rogu wyłoniła się szara „Warszawa”. Taksówka pruła przez ulicę w bryzgach tryskającej spod kół wody. Wywiadowca spokojnym krokiem przeciął jezdnię, kierując się ku bramie. Robański nasunął głębiej kapelusz, skulił się i ruszył naprzeciw zbliżającego się samochodu. Hamulce zazgrzytały, opony zaświstały na kamieniach i taksówka zatrzymała się nie pod strzeżoną bramą, lecz dwie kamienice bliżej.

Robański zwolnił, niby to z rozmysłem i uwagą omijając lśniące kałuże, ale spod nasuniętego runda kapelusza

obserwował samochód. Widział szofera, jak przechyliwszy się przez oparcie odbierał zapłatę. Potem drzwi taksówki mocno pchnięte otworzyły się i na chodnik wyskoczył wysoki mężczyzna w berecie, a za nim „Błady Wiktor”. Robański poznał go w jednej chwili. Wiktor był bez płaszcza. Szybkim ruchem podniósł kołnierz marynarki i kuląc się, ruszył za mężczyzną w berecie. Idąc rozglądał się. Przez chwilę zatrzymał wzrok na przechodniu z przeciwnego chodnika. Potem zadarł głowę, jakby chciał sprawdzić, co się dzieje w mieszkaniu Loli.

W tym momencie Robański dał wywiadowcy umówiony znak ręką, zawrócił i szybko przeszedł przez jezdnię. Wywiadowca zagroził im drogę. Mężczyzna w berecie zatrzymał się gwałtownie, uczynił taki ruch, jak gdyby chciał uciekać. Wiktor stanął pod ścianą kamienicy i obejrzał się, ale Robański był już przy nich.

— Nie ruszać się — szepnęła zdławionym głosem, ściskając w kieszeni pistolet.

Twarz „Błego Wiktora“ zastygła w nagłym napięciu. Była niemal przezroczysta. Człowiek w berecie posłał mu rozpaczliwe spojrzenie. Wiktor cofnął się jeszcze o pół kroku, przywarł plecami do ściany, jak gdyby chciał się od niej odbić do skoku, ale wnet znieruchomiał, a jego ręce opadły bezsilnie. Był to gest zupełnej kapitulacji.

— Czego pan chce ode mnie? — zapytał cichym głosem.

Robański pokręcił tylko głową.

— Znowuśmy się spotkali.

— Ciekawy jestem, w jakiej sprawie?

— O tym pogadamy później. Teraz chodźmy do bramy. Nie chcę robić zbiegowiska.

Wiktor szybkim spojrzeniem ogarnął jego postać.

— Długo pan na mnie czekał?

— To moja sprawa.

— Przemókl pan zupełnie. Nie mógł pan poczekać na górze?

— Do bramy! — rozkazał Robański.

Wiktor uśmiechnął się kpiąco.

— Tym razem nie mam nic na sumieniu. Pomylił się pan.

— Zobaczymy.

Wiktor ruszył pierwszy. Za nim kroczył człowiek w berecie. Twarz miał niemal obojętną. Gdy weszli do bramy, w drzwiach stróżówki ukazała się pełna, rumiana twarz kobiety.

— Co tam?

— Nic, nic — uspokoił ją wywiadowca. — My z milicji.

Cofnęła się zostawiając uchylone drzwi. Przyglądała się z kłopotliwym zaciekawieniem.

— Pod ścianę! — rozkazał Robański. Potem skinął na wywiadowcę. — Sprawdźcie, czy nie mają broni.

„Błady Wiktor“ prychnął krótkim, stłumionym śmiechem.

— Za kogo pan mnie ma? Znam się na kodeksie. Trzy lata leci za nielegalne posiadanie.

Robański wzruszył ramionami. Wywiadowca sprawnymi ruchami obmacywał kieszenie stojących pod ścianą.

— W porządku? — zapytał Robański, gdy wywiadowca skończył rewizję.

— W porządku.

— No to walcie po taksówkę. Ja ich odwiozę, a wy pójdziecie na górę. Potem przyślę wam kogoś do pomocy.

Wywiadowca znikł w szarych strugach deszczu.

## VII

Deszcz przestał już padać, tylko porywisty wiatr strząsał z drzew grad ciężkich kropel. Przed hotelową bramą kilku letników zastanawiało się, czy warto wyjść na przechadzkę; korciło ich czyste, pachnące jodem powietrze, powstrzymywały chłodne podmuchy wiatru. Przywara z przyjemnością nastawiał rozpaloną twarz na powiew świeżego powietrza. Czuł, że ogarnia go senność, że myśli stają się leniwe i ciężkie i tylko wiatr nie pozwala przymknąć piekących powiek. „Trzeba będzie wypić podwójną kawę, bo inaczej zasnę jak dziecko”.

Po chwili nadjechał samochód z Komendy. Wyskoczył z niego porucznik Łatyszewski. Jego jasna, sympatyczna twarz promieniała zadowoleniem.

— Mamy dobre wieści, kapitanie — powiedział zbliżając się do Przywary. — Jest już ten Austriak.

— O!... — Przywara uśmiechnął się pojednawczo.

— I telefonowali z Olsztyna, że zatrzymali na dworcu tego kompozytora z jakąś kobietą.

Przywara położył rękę na ramieniu porucznika.

— To naprawdę dobre wiadomości. — Ruszył do samochodu, pociągając za sobą Łatyszewskiego. — Gdzie znaleźli Gaspara?

— Wyobraźcie sobie, co za pech. Przecież wszystkie posterunki wzdłuż szosy warszawskiej były zawiadomione, a on tymczasem siedział w jakiejś dziurze pod Tczewem. Miał poważny defekt. Nie mógł się ruszyć.

— To rzeczywiście pech. Ale grunt, że już się znalazł — powiedział Przywara, gdy byli w samochodzie. — A ten Braun?

— On już w drodze. Zatrzymali go na dworcu w Olsztynie, wracał z Giżycka.

— To ciekawe. Widocznie szukał tej dziewczyny albo chciał się porozumieć z Gasparem.

— W ogóle ta cała sprawa jest niezwykle skomplikowana.

Przywara skierował na Łatyszewskiego pytające spojrzenie.

— Tak uważacie?

— No tak... W tym czasie, kiedy siedzieliście w „Grandzie“, jeszcze raz przeszukaliśmy cały ten odcinek brzegu od hotelu aż po „Marysieńkę“. Myślałem, że trafię na jakiś ślad, że znajdę albo torebkę, albo sandał, albo kogoś, kto widział tę dziewczynę.

— Słusznie — wtrącił Przywara. — Okazuje się, że ona opuściła hotel z torebką i w sandałach.

— No właśnie... Ale nic z tego. Dowiedziałem się tylko, że w nocy ktoś skradł z przystani żaglówkę...

Przywara ożywił się nagle.

— Jaką żaglówkę? Skąd ją skradł?

— Przyszedł do mnie pewien tutejszy rybak i mówi, że trzeba zawiadomić WOP, bo ktoś w nocy odczepił z boi żaglówkę i wypłynął w morze.

— To była jego żaglówka?

— Nie. Żaglówka była klubowa, ale jego była łódź, którą ten facet dopłynął do boi. Tam przycumował łódź, odcumował żaglówkę i popłynął. Rybak mówi, że już chyba po tym śmiałku, bo na małej „Słońce“ nie mógł się utrzymać na takiej fali.

— Zawiadomiliście WOP?

— Oczywiście. A czy myślicie, że to mogło mieć coś wspólnego z naszą sprawą?

— Tak. Był ktoś, kto miał zamiłowanie do żeglarstwa. Zaznajomiliście się z notatnikiem Napieralskiego?

— Oczywiście — Łatyszewski wydał stłumiony okrzyk i uderzył się dłonią w czoło. — Ale ze mnie gapa. Przecież ten student...

— No proszę — przerwał mu Przywara. A potem dokończył spokojnym głosem jak doświadczony człowiek, który udziela rady: — Widzicie, że dzięki Napieralskiemu, a zwłaszcza jego notatnikowi, nasza sprawa jest bardzo ułatwiona. — A po chwili szybko zapytał: — Gdzie była przycumowana ta łódź?

— Blisko mola.

— Dobrze, a czy to blisko tego miejsca, gdzie znaleziono dziewczynę?

— Mniej więcej w połowie drogi między hotelem a „Marysieńką“.

— Bliżej hotelu?

— Tak.

Przywara rozłożył szeroko ręce.

— Kochany poruczniku, przecież o tej łodzi trzeba było mówić na samym początku.

Pił gorącą kawę. Przed sobą miał odcinki taśmy dalekopisowej. Były to meldunki z Warszawy. Przerzucał je szybkimi ruchami, zatrzymując wzrok na najbardziej interesujących go fragmentach. Wybierał niektóre odcinki i odkładał je na bok. Gdy przełknął ostatni łyk krzepiącego napoju, w drzwiach ukazał się Kajetański. Chciał coś powiedzieć, ale Przywara uprzedził go.

— Czy jest jakaś wiadomość z WOP-u?

— Telefonowałem, ale do tej pory nie wiedzą nic o zaginionej łodzi.

— A dowiadywaliście się u rybaków?

— Od wczoraj ani jedna łódź nie wyszła w morze.

— To trzeba w takim razie zawiadomić kapitana portu. Może oni będą coś wiedzieli.

— Już zawiadomiłem.

Przywara skinął z uznaniem głową.

Kajetański skorzystał z chwili przerwy.

— Chciałem zapytać, czy przyprowadzić tego Austriaka?

— Jeszcze nie. Muszę wpierw przejrzeć meldunki.

— On się strasznie ciska. Mówi, że na rano ma zamówiony bilet na samolot.

— Nie szkodzi. Niech jeszcze chwilę poczeka.

— Dobrze, ale pospieszcie się.

Przywara skinął tylko głową, a gdy został sam, przeczytał dokładnie odłożone kartki. Był tak zmęczony, że nawet wiadomości o wypadku „Aksamitnego Rysia“ i ujęciu „Błego Wiktora“ nie zrobiły na nim większego wrażenia. Dopiero gdy przeczytał fragment zeznań Maniusia, świsnął z przejęciem. „O, cholera, to coś nowego. Czyżby «Błady» maczał palce w napadzie na Napieralskiego? Ciekawe, jaki przebieg będzie miało jego przesłuchanie. Ale dlaczego nie zatrzymali dotychczas tej Dory? Przecież zeznanie redaktora wskazuje jasno, że ona właśnie była ostatnią osobą, która z nim rozmawiała.“ Potem wrócił w myślach do „Aksamitnego Rysia“. Uśmiechnął się. „Ho, ho, to pani Paczewska zmartwi się, gdy się dowie, że jej aksamitny chłopiec został oszpecony w tak straszny sposób. Teraz nie będzie mogła

wypierać się znajomości. To ciekawe: «Znałam go tylko z widzenia...», a tymczasem ten «nieznajomy» szuka schronienia w jej mieszkaniu na Saskiej Kępie. Dlaczego tak bardzo się spieszył do Warszawy? O jedenastej buszował jeszcze w Sopocie, a przed południem był już w Warszawie”.

Odłożył kartki i zostawił ostatnią, na której był raport z Poznania. Przeczytał ją uważnie:

*„Komenda MO miasta Poznania donosi, że dnia 17 czerwca zgłosił się w Komendzie obywatel austriacki — Hans Gaspar, przedstawiciel wiedeńskiej firmy Jaretz und Sohn. Doniósł on, że w transporcie zawierającym narzędzia chirurgiczne zauważył brak jednej skrzyni. Potem jednak cofnął swoje oświadczenie, twierdząc, że zaistniała pomyłka w asygnatach przesyłkowych, a ilość towaru zgadza się z listami przewozowymi, wystawionymi przez kolej austriacką. W tym czasie zatrzymano w Poznaniu Włodzimierza Hroniewicza, zam. w Warszawie, ul. Prokuratorska 15, pod zarzutem kontaktowania się z agentami firm zagranicznych, zwłaszcza z agentem firmy Jaretz und Sohn, niejakim Tonim Allgebrunerem, który z ramienia w/w firmy zajmował się urządzaniem stoiska na Targach Poznańskich. Stwierdzono, że Hroniewicz wypłacił Allgebrünerowi pewną sumę dolarów, w zamian za co miał otrzymać część wystawianych przez firmę Jaretz und Sohn towarów, mianowicie narzędzi chirurgicznych. Hroniewicza jednak zwolniono na interwencję Bohdana Szajewskiego, adwokata z Warszawy, występującego jako doradca prawny firmy Jaretz und Sohn. Szajewski zeznał, że wręczone dolary pochodziły z depozytu firmy. Co zresztą potwierdził przedstawiciel w/w firmy, Hans Gaspar. Na tej podstawie zwolniono Hroniewicza.“*

Kapitan uderzył palcami w leżącą przed nim kartkę.

— To dobrze — zaśmiał się. — „Miał otrzymać część towaru, mianowicie narzędzi chirurgicznych“. Ładne



narzędzia. — Wstał, podszedł do drzwi, uchylił je i zawołał do siedzącego przy biurku dyżurnego sierżanta: — Dajcie mi tego Austriaka. — Gdy wracał, pomyślał: „Jak to dobrze, że będę z nim rozmawiał po niemiecku. Gdyby był innej narodowości, musiałbym wołać tłumacza, a to bardzo uciążliwe.“

\*

Hans Gaspar wszedł do pokoju bardzo wzburzony.

— Proszę wejść w moje położenie. Samochód zepsuty, ja czekam tutaj już godzinę, a na jutro rano mam bilet na samolot do Wiednia.

Przywara wykonał uspokajający gest ręką. Jednym dociekliwym spojrzeniem ogarnął całą jego postać. Był to młody, postawny mężczyzna o miłych, delikatnych rysach, oczach łagodnych nawet teraz, gdy cała jego postać wyrażała wzburzenie. Ostrzyżony był krótko na szczotkę. Ubrany w zamszową kurtkę i flanelowe spodnie, robił wrażenie wysportowanego, zdrowego młodzieńca.

— Proszę siadać — kapitan spokojnym ruchem wskazał krzesło. — I niech się pan uspokoi. Gdyby nie ważne powody, nie zatrzymywałbym pana. — Spozrzegł z zadowoleniem, że niemiecki idzie mu zupełnie gładko.

Gaspar jednak nie usiadł. Stał przed biurkiem w zaczepnej postawie.

— A ja proszę, żeby mi pan wyjawiał przyczynę nagłego zatrzymania.

— Bardzo proszę, niech pan siada — powiedział kapitan z naciskiem. — Zaraz panu wszystko wyjaśnię.

Gaspar zachnął się, lecz szybko się opanował i usiadł naprzeciw kapitała Przywary. Ten uśmiechnął się kącikami ust, jakby chciał powiedzieć: „Po co się szarpiesz, młodzieńcze”. Potem zapytał: — Kiedy widział pan ostatni raz Zulę Michalczykównę?

Ogorzała, połyskująca brązem twarz Gaspara zastygła w nagłym zdumieniu. Nie spodziewał się tego pytania. Potem

odrzekł cicho:

— Wczoraj... Czy dlatego pan mnie zatrzymał?

Przywara udał, że nie słyszy pytania.

— Wczoraj, ale kiedy?

— Wczorajem... raczej w nocy, na dansingu w „Grandzie“.

— Czy pan się z nią umówił?

— Nie.

— Z kim pan się umówił?

— Z panem Szajewskim.

— W jakiej sprawie?

— W sprawach handlowych.

— Czy pan ma do Szajewskiego zaufanie?

Gaspar uśmiechnął się jakby do swoich myśli.

— On prowadzi pewne sprawy naszej firmy. Widocznie firma ma do niego zaufanie.

— Kto go angażował?

— Nasz agent, Allgebrüner.

— Dlaczego Allgebrüner wybrał właśnie mecenasa Szajewskiego?

— Trudno mi na to odpowiedzieć. Prawdopodobnie pan Szajewski jest dobrym prawnikiem.

— Czy pan zna panią Paczewską?

— Poznałem ją wczoraj w „Grand Hotelu“. Przedstawił mi ją pan mecenas Szajewski.

— A pana Hroniewicza?

Gaspar uniósł dłoń do warg i przesuwając po nich palcami jak chłopiec zastanawiający się nad zadaniem.

— Hroniewicz... Hroniewicz — powtarzał szeptem i nagle trzasnął palcami w powietrze. — Oczywiście, znam to nazwisko. Miałem nawet z jego powodu pewne przykrości...

— Wiem — przerwał mu Przywara i uniósłszy ołówek skierował go swym ulubionym sposobem na przesłuchiwanego. — Ale czy zna go pan osobiście?

— Nie — odrzekł bez zastanowienia.

— Nigdy go pan nie widział?

— Nie.

— A wczoraj?

— Wczoraj? — Gaspar uniósł brwi i tak spojrzął na kapitana, jakby ten zarzucał mu coś niewłaściwego.

— Kto wczoraj był przy pańskim stoliku?

— Pan Szajewski... pani Paczewska, jakaś młoda, elegancka panna... no i Zula.

— A Hroniewiczza nie było?

Gaspar zerwał się jeszcze bardziej wzburzony.

— Nie rozumiem, o co panu chodzi. Jeżeli ma pan Jakieś podejrzenia w stosunku do mnie, to proszę mi powiedzieć. Ja już mam dość tego. To wszystko dla mnie jest niezrozumiałe. Niezrozumiałe — powtórzył z naciskiem. — Muszę panu powiedzieć, że byłem szantażowany...

— O!... — Przywara wydał okrzyk zdziwienia. — Dlaczego nie zawiadomił pan o tym milicji?

Gaspar rozłożył ręce gestem krańcowego zniecierpliwienia.

— To wszystko takie dziwne, że trudno mi uwierzyć.

Przywara skinął tylko głową.

— Proszę się nie denerwować. Niech pan siada. Może wspólnie wyjaśnimy.

Spokojny, lecz stanowczy głos kapitana podziałał Jak strumień zimnej wody. Gaspar usiadł. Wyjął z wewnętrznej kieszeni swej kurtki portfel, a z portfela złożony arkusz papieru i podał go Przywarze. Ten rozłożył go szybko, wyprostował i wygładził dłonią. Był to list pisany na maszynie po niemiecku. Treść jego brzmiała krótko:

„Szanowny Panie. Jutro, tj. 6.VII. br. o godzinie 19<sup>30</sup>, zgłosi się do Pana pewien człowiek, który przedstawi się jako przedstawiciel firmy «Delta». Wyplaci mu pan 50 000 zł lub równowartość w dolarach. Jeżeli Pan tego nie uczyni, zawiadomimy milicję, że w przesyłkach firmy Jaretz und Sohn przemyca Pan do Polski zegarki. W razie niespełnienia naszej prośby pańskiej przyjaciółce grozi wielkie niebezpieczeństwo. Dyskrecja naszej transakcji stuprocentowo zapewniona.“

Przywara jeszcze raz przebiegł wzrokiem po równych rzędach maszynopisu. Potem położył dłoń na papierze, jak gdyby chciał zakryć list przed wpatrzonym weń Gasparem.

— Tak... — rzekł przeciągle — autor tego listu był bardzo pewny swego sukcesu. Kiedy pan otrzymał list?

— W piątek rano.

— Skąd był nadany?

— Sądząc po pieczętce, z Warszawy.

— Jak pan przypuszcza, kto go wysłał?

Gaspar uderzył dłonią w stół.

— Nie przypuszczam, ale wiem. Ten człowiek przyszedł wczoraj do „Grand Hotelu“, wywołał mnie przez kelnera i jeszcze raz próbował mnie szantażować.

— Taki przystojny, elegancki brunecik?

— Tak.

— Dlaczego pan nie zawiadomił o tym milicji?

Bezradny ruch ramion.

— To był podwójny szantaż. Byłem w takiej sytuacji, że nie wiedziałem, co robić. — Gaspar zakrył dłońmi twarz. Przetarł oczy, jakby był bardzo zmęczony albo chciał odpędzić przykre myśli. — Das ist schrecklich! — westchnął głęboko.

Przywara pochylił się lekko, jakby tym ruchem chciał mu wyrazić chęć pomocy.

— Czy mógłby mi pan wyjaśnić, jaką rolę odgrywała w tej sprawie Zula Michalczykówna?

Gaspar spojrzał na niego błagalnie.

— Niech mi pan oszczędzi tej przykrości.

— Zapewniam panu dyskrecję. To dla nas niezwykle ważne. Pan nie zawiadomił milicji ze względu na nią, prawda?

— Tak — powiedział pospiesznie. — I prosiłbym pana, by mnie pan nie pytał...

Twarcz kapitana stężała w nagłym postanowieniu.

— To nie ma już znaczenia.

Gaspar drgnął, jakby coś przeczuł.

— Dlaczego?

— Bo ona już nie żyje.

Gaspar cofnął się gwałtownie.

— Das ist unmöglich — wyszeptał, a potem zawołał

zdławionym głosem: — Das is...

Przywara uniósł ołówek i opuścił go.

— Niestety, to jest prawda. Znalaziono ją dzisiaj rano na plaży.

Gaspar z niedowierzaniem patrzył w znieruchomiałe oczy oficera. Potem gwałtownie zakrył twarz dłońmi.

— Schrecklich... schrecklich... — powtarzał. — Ja przeczuwałem, że tak się stanie. Dlaczego?...

Przywara wstał. Zbliżył się do niego. Powiedział głosem stanowczym:

— Niechże się pan opanuje. Pana zeznania mogą nam bardzo pomóc.

Gaspar opuścił dłonie, odsłaniając twarz bardzo zmienioną.

— Pan tego nie rozumie. To dla mnie okropne. Ja mogłem temu zapobiec.

Przywara położył mu dłoń na ramieniu.

— Czy pan może ze mną szczerze porozmawiać?

— To i tak nie ma znaczenia. Ona już nie żyje.

— To ma dla nas olbrzymie znaczenie.

Gaspar jeszcze raz uniósł dłonie do twarzy. Tarł z roztargnieniem skronie.

— Ona była bardzo dziwna, bardzo tajemnicza — zaczął cichym, przytłumionym głosem. — Zwłaszcza ostatnio. Ukrywała coś przede mną. Pytałem, co jej dolega, wtedy stawała się jeszcze bardziej milcząca... — urwał, wzrok utkwiał w nieokreślonym punkcie i patrzył jak człowiek pijany.

Przywara wrócił na swoje miejsce. Uniósł ołówek.

— Kiedy pan ją poznał? — zapytał dość ostro, chcąc wyrwać Gaspara z chwilowego odrętwienia.

— W Poznaniu, podczas Targów.

— A czy widywał ją pan z innymi mężczyznami?

— Nie. Cały wolny czas spędzaliśmy razem. Potem ona wyjechała do Warszawy. Ja jeszcze kilka dni zostałem w Poznaniu, żeby doprowadzić do końca sprawy firmy, i później pojechałem do Warszawy.

— Bywał pan w jej mieszkaniu?  
— Byłem tylko raz w dniu poprzedzającym nasz wyjazd.  
— Czy poznał pan kogoś ze znajomych Zuli w Warszawie?  
— Nie. To dziwne, ale zdawało mi się, że jej na tym zależy, bym nie poznał nikogo z jej otoczenia.

— Pan później wyjechał z nią do Giżycka? — zapytał Przywara wykruszając z papierosa tytoń.

— Miałem wrócić do Wiednia, ale Zula prosiła mnie, żebyśmy wyjechali z nią z Warszawy.

— Czy domyślał się pan, dlaczego chciała wyjechać?

— Mówiła mi, że chce ze mną spędzić kilka miłych dni z dala od ludzi, ale wyczuwałem, że ona ucieka z tego miasta. Chciałem jej pomóc, więc pod pozorem, że mam przyjąć transport, którego oczekiwaliśmy w Gdańsku, wyjechałem pod Giżycko do Wilkasów. Tam dopiero uspokoiła się zupełnie. Była naprawdę urocza, póki nie przyszedł ten anonim...

Przywara zapalił papierosa.

— Jak ona na to zareagowała?

— Była niezwykle wzburzona. Przysięgała, że nie ma z tym nic wspólnego.

— Czy pan podejrzewał, że ona mogła mieć z tym coś wspólnego?

— Początkowo nie, ale potem, gdy powiedziałem, że zaniosę anonim na policję, a ona błagała mnie, bym tego nie zrobił, wydało mi się to podejrzane. Na tym tle doszło między nami do sprzeczki. Wtedy Zula oświadczyła mi, że wyjeżdża do Warszawy. Byłem bardzo zaskoczony tą nagłą decyzją, ale poznałem Zulę na tyle, że nawet nie starałem się jej zatrzymać. Przy pożegnaniu powiedziała mi: „Przekonasz się, że mnie niesłusznie posądzałeś.”

— Wyjechała w piątek wieczorem?

— Tak.

— Bardzo pana przepraszam, muszę jednak poruszyć sprawę dość delikatne. Czy mógłby mi pan powiedzieć, jakie były pana zamiary wobec tej dziewczyny? — uniósł lekko dłoń i koniuszki palców uderzył o siebie.

Na pobladłą twarz Gaspara napłynął ciemny rumieniec. Dłoń powolnym ruchem przesłoniła oczy.

— Czy to ma jakieś znaczenie? — zapytał, jakby kierował pytanie do siebie.

— Dla nas tak.

Gaspar odsunął dłoń od oczu. Spojrzał bez lęku.

— Początkowo traktowałem tę znajomość jako przygodę. Potem jednak bardzo się przywiązałem do Zuli. To było nawet więcej niż przywiązanie. Najlepszy dowód, że chciałem się z nią ożenić.

— Czy poczynił pan w tym kierunku jakieś kroki?

— Pytałem w naszym konsulacie o procedurę załatwienia wszystkich formalności. Jako człowiek rozwiedziony nie miałem jeszcze uporządkowanych pewnych spraw, dlatego postanowiłem pojechać do Wiednia, załatwić je i dopiero po powrocie ożenić się z Zulą.

— Mówił jej pan o tym?

— Oczywiście. Ale ona była bardzo niecierpliwa. Nalegała, żebym ją jak najszybciej wywiózł z Polski.

— Czy wtedy, kiedy Zula wyjechała z Wilkasów, miało to być zerwanie?

— Przynajmniej tak sądziłem.

— Nie umawiał się pan z nią na przyszłość?

— Nie.

— Dlaczego więc przyjechała do Gdańska?

— Wiedziała, że mam się spotkać z mecenasem Szajewskim.

— Mówił pan jej o tym?

— Tak.

— A pan kiedy wyjechał z Wilkasów?

— W piątek wieczorem, zaraz po jej wyjeździe.

— Co pan robił do soboty wieczór?

— Byłem bardzo wstrząśnięty tym zajściem. Nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Jeździłem samochodem po najgorszych wertepach.

— Czy pan przypuszczał, że spotka Zulę?

— Nie. To mnie ogromnie zaskoczyło.

Przywara wstał, wyprostował się. Za chwilę zaczął przemierzać pokój długimi, ciężkimi krokami. Spod namarszczonych brwi rzucał dociekliwe spojrzenia w stronę Gaspara. Ten wyciągnął chusteczkę, starannie wycierał wilgotną od potu twarz. Naraz kapitan zatrzymał się przed nim.

— Czy mógłby mi pan szczegółowo opowiedzieć przebieg wczorajszego wieczoru?

Gaspar wzruszył ramionami.

— Proszę bardzo. Powiedziałem już panu, że byłem ogromnie zaskoczony zjawieniem się Zuli. Początkowo nie rozmawialiśmy z sobą. Czułem się bardzo skrepowany jej obecnością, a jednocześnie cieszyłem się, że znowu ją widzę... Zula nie potrafiła ukryć zdenerwowania. Nie śmiała spojrzeć mi w oczy. Potem ta młoda, przystojna panna, która była w naszym towarzystwie, odeszła z nią. Zula wróciła przebrana. Bardzo efektownie wyglądała w wieczorowej sukni. Gdy usiadła, położyła rękę na mojej dłoni i powiedziała: „Czy chcesz ze mną zatańczyć?“ Oczywiście poprosiłem ją do tańca. W tańcu powiedziała, że anonim był idiotycznym żartem koleżanek. Zapewniała mnie, że już nigdy nie będę miał przykrości z jej powodu. Prosiła, bym jej przebaczył. Tłumaczenie to wydało mi się nieco naiwne, lecz nie chcąc robić jej przykrości, przyjąłem je bez zastrzeżeń. Wróciliśmy niemal pojednani... Wtedy nadszedł kelner i powiedział mi, że ktoś czeka na mnie w przejściu do hallu. Myślałem, że to ktoś z zagranicznych gości, których wtedy sporo było w hotelu. Poszedłem więc we wskazanym kierunku i wtedy podszedł do mnie ten szantażysta.

— Czy pan może dokładnie powtórzyć przebieg wczorajszej rozmowy?

— Ależ oczywiście. Podszedł do mnie, zwrócił się bardzo elegancko po angielsku, że chciałby ze mną zamienić kilka słów. Potem, kiedy byliśmy już za drzwiami, zapytał, czy otrzymałem list w sprawie pięćdziesięciu tysięcy złotych. Wtedy ja równie uprzejmie odparłem, że chyba żartuje. Na to on zapewnił mnie, że to bardzo poważna sprawa i



natychmiast żąda tych pieniędzy. Na moment straciłem panowanie nad sobą. Krzyknąłem, że zawezwę milicję. Uśmiechnął się cynicznie, powiedział: „Porozmawiam jeszcze z Zulą”. I ulotnił się. W tym momencie nadbiegła Zula. Chciała biec za nim. Zatrzymałem ją jednak, obawiając się, by nie wynikła przykra scena. Potem poprosiłem ją do tańca. Nie chciałem rozmawiać z nią przy ludziach. Może zbyt ostro powiedziałem jej, że nie chcę mieć nic wspólnego z szantażystami, że okłamywała mnie, zmyślając naiwne bajeczki o niesmacznym żarcie koleżanek. Próbowwała zaprzeczać, bronić się, lecz byłem tak wstrząśnięty, że nie chciałem jej słuchać. Powiedziała mi wtedy: „Ty nie masz pojęcia, jak mnie krzywdzisz. To chyba już koniec”. Zrozumiałem, że chodzi oczywiście o zerwanie między nami. Zaprowadziłem ją do stolika, pożegnałem się i wyszedłem. — Westchnął i gwałtownym ruchem zakrył twarz. — Czy ja mogłem przypuszczać, że to się tak skończy. Przecież to dla mnie okropne... Ja tego nie mogę pojąć...

Przywara dotknął go lekko końcami palców.

— A potem?...

— Potem pojechałem w stronę Gdańska, lecz po kilku kilometrach zawróciłem. Pan nie ma pojęcia, co się ze mną działo. Wciąż miałem przed sobą jej bladą, przerażoną twarz, jej oczy pełne żalu. Pomyślałem, że tak nie mogę się z nią rozstać. Wróciłem przed hotel. Kiedy wysiadałem z samochodu, podszedł do mnie jakiś młody człowiek. Był źle ubrany. Odezwał się łamaną angielszczyzną: „Czego pan od niej chce? To moja dziewczyna. Pan jest obcokrajowcem... Pan ją krzywdzi. Niech pan lepiej odjedzie... Pan może nas wszystkich unieszczęśliwić...” Oczy mu płonęły jak w gorączce, twarz miał bladą, robił wrażenie człowieka zrozpaczonego. Byłem tak zaskoczony, że bez słowa wsiałem do samochodu i odjechałem. Na szosie wpadłem do rowu i zламаłem resor... Pan rozumie, człowiek w takim stanie nie powinien prowadzić samochodu...

Zaległa chwila ciszy. Gaspar wbił dłonie w kieszenie swej zamszowej kurtki, zacisnął mocno wargi i otępiłymi oczami

wodził po pokoju. Przywara zapalał następnego papierosa.

— Jak był ubrany ten młodzieniec, który pana zaczepił przy samochodzie?

Gaspar wzruszył ramionami.

— Nie przyjrzałem mu się dokładnie. Pamiętam, że był ubrany bardzo lichy.

— Miał na sobie czarny sweter, golf?

— Chyba tak.

— Czy pan skojarzył go sobie z kimś ze znajomych Zuli?

— Domyśliłem się, że to ten student, o którym mi kiedyś wspominała.

— Jeszcze jedno pytanie... Czy pan kiedyś słyszał nazwisko Braun?

Gaspar namyślał się chwilę.

— Tak. Zula wspominała mi kiedyś, że ma przyjaciela, jakiegoś znanego kompozytora o tym nazwisku. Przypominam sobie dokładnie, że raz powiedziała: „On jeden mnie rozumie. To prawdziwy, dobry przyjaciel.”

— Kiedy to powiedziała?

— W Wilkasach, gdyśmy się posprzecjali.

— Wczoraj nie wspominała o nim?

— Nie.

— A mecenas Szajewski nie opowiadał panu o Braunie?

— Nie. W każdym bądź razie nie przypominam sobie.

Przywara uniósł się, jak gdyby chciał zakończyć rozmowę.

— Więc pan twierdzi, że wczoraj przy stoliku nie było Hroniewicza?

— Oczywiście, że nie było. Były tylko te osoby, które panu wymieniałem.

Ktoś zastukał. Przywara przeprosił Gaspara, podszedł do drzwi. Gdy je otworzył, zobaczył porucznika

Łatyszewskiego.

— Mamy wiadomość z Urzędu Celnego. Nadszedł transport, na który czekał Szajewski. Po dokładnej rewizji znaleziono paczki z zegarkami.

— To było do przewidzenia — Przywara uśmiechnął się porozumiewawczo. Potem zwrócił się do Gaspara. — Ta

wiadomość na pewno pana zainteresuje. Wylądowano transport z Londynu.

Gaspar uśmiechnął się cierpko.

— Czy jest w tym coś szczególnego? Widocznie statek opóźnił się z powodu sztormu.

— Nie chodzi o opóźnienie. Wśród paczek z precyzyjną aparaturą znaleziono również paczki ze zwykłymi zegarkami.

Gaspar wyprostował się.

— To niemożliwe. Znam dokładnie listy transportowe.

Przywara podszedł bliżej. Położył mu rękę na ramieniu.

— Czy nadal ma pan zaufanie do mecenasa Szajewskiego?

Gaspar ożywił się.

— To jakaś afera — zawołał napiętym głosem.

Przywara pokiwał głową.

— Nic nowego. To dalszy ciąg tej samej sprawy, która zaczęła się w Poznaniu.

## VIII

Major Knap podszedł do okna, otworzył je szerzej. Fala chłodnego powietrza ogarnęła jego rozpalone policzki. Patrzał chwilę na płat czystego błękitu wyłaniający się spoza ciężkich zwalów chmur i pomyślał, że się wypogadza. Asfalt na ulicy osychał, jak gdyby koła sunących samochodów spędzały z jezdni wilgotne plamy. Drzewa stały w gęstej rosie. Gdy lekki podmuch strząsnął z nich perliste krople, zdawało się, że osypuje się żywe srebro.

„Jakby to było dobrze wyjść teraz na spacer“ — pomyślał wchłaniając pachnące wilgotną ziemią powietrze. Ale myśl ta wydała mu się nierealna. Od pół godziny przesłuchiwali z Robańskim „Błatego Wiktora“.

Wolnym krokiem powrócił do biurka. Przechodząc obok Robańskiego zamienił z nim porozumiewawcze spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „Jedźmy dalej!“ Teraz blada, jakby odlana z gipsu twarz siedzącego przed nim człowieka wydała

mu się jeszcze bardziej odrażająca. Patrzył nań z nienawiścią. „Blady Wiktor” uniósł w tajemniczym uśmiechu kąciki wąskich, sinych warg.

— Jeżeli pan myśli, panie komisarzu, że to ja urządziłem tego redaktora, to się pan grubo myli.

— Masz odpowiadać na pytania! — wrzasnął Knap, lecz wnet opanował ten gwałtowny wybuch gniewu i zapytał spokojniej: — To po coś umawiał się z Olszakiem i Piechutowskim na rogu Mokotowskiej i Polnej?

— Już mówiłem. Miałem się spotkać z jedną cizią.

— Z kim?

— To tajemnica mojego serca — zadrwił.

Knap poczerwieniał. Wykonał gwałtowny ruch, jakby chciał uderzyć przesłuchiwanego. Ręka zawisała w powietrzu, potem szybko przesunęła leżący na stole arkusz papieru.

— Mam ci powiedzieć, z kim?

— Jeżeli obaj wiemy, to po co mówić.

— Z rudą Zulą.

„Blademu“ nawet nie drgnęła powieka. Wzruszył tylko nieznacznie ramionami.

— Powiedzmy, że z rudą Zulą.

— O której miałeś się z nią spotkać?

— Cudów nie ma. Jej nie było w Warszawie.

— Wczoraj była.

— Szkoda, że nie wiedziałem. Chętnie bym się z nią spotkał.

Robański poruszył się. Położył rękę na krawędzi biurka. — Słuchaj, „Blady” — powiedział z naciskiem — znamy się jak łyse konie. Przed nami nie będziesz odstawiał swoich numerów. Wiemy, że chodziłeś na Polną dowiadywać się, czy Zula wróciła.

— To się zgadza — skinął „Blady“ głową.

— I wczoraj po jedenastej też tam byłeś.

— To też się zgadza. Ale redaktora na oczy nie widziałem.

— To skąd dowiedziałeś się, że miał ten wypadek?

— Prosta sprawa. Dzisiaj rano miałem się z nim spotkać. Nie przyszedł. Przeprowadziłem lekki wywiad w redakcji.

Nie trzeba było się wysilać. Wszyscy o tym gadali.

Knap pochylił się nad biurkiem.

— O której byłeś na Polnej?

— Według rozkładu jazdy — rzekł kpiąco.

— O której?

— O pół do dwunastej.

— Sam byłeś?

— Sam.

— Dlaczego na jedenastą umawiałeś się z tymi dwoma?

— To moja obstawa — zaśmiał się sucho.

— Dla kogo kazałeś kupić ten szalik w cedecie?

— Podobał mi się.

— Gdzie go masz?

— O, właśnie... — uśmiechnął się znowu — zgubiłem. A szkoda, taki szalowy szalik. Podobno włoski.

— Gdzie go zgubiłeś?

— Na Polnej. Miałem w kieszeni. Wyciągałem papierosy i na pewno się wyśliznął, bo to prawdziwy jedwab włoski.

Robański zmrużył porozumiewawczo oko.

— Chcesz, to my ci pomożemy go znaleźć.

— Teraz wątpię, czy będzie mi potrzebny.

— A ten pistolet na wodę? — wtrącił Knap masując dłońią tłustą pierś — do czego ci był potrzebny?

Cienkie, przezroczyste powieki „Bładego“ zwęziły się nagle, jak pod wpływem oślepiającego strumienia światła. Kąciki warg lekko drgnęły.

— Lubię takie drobiazgi — wyszeptał.

— Do zabawy, co? — zaśmiał się Robański.

— Czasem nawet warto się zabawić.

Knap zbladł, zwiniętą dłońią uderzył w krawędź stołu.

— To były wasze porachunki z „Aksamitnym Ryśkiem”.

Twarz „Bładego“ znowu przybrała wyraz gipsowej maski. Tylko małe oczy o ostrych źrenicach wpiły się w pulchną twarz majora.

Robański pokręcił głową.

— Aleś go, człowieku, urządził.

„Blady“ milczał.

— To za tę rudą Zulę? — zapytał Knap.

„Blady“ przymknął lekko oczy. Teraz twarz jego wyglądała jak martwa. Robański zabębnił palcami.

— Odgrażałeś się, to my wiemy. Myślę, że ten rozdział jest zupełnie jasny. Trzeba ci będzie tylko udowodnić, a to prosta sprawa. Powiedz tylko, skąd ty wiedziałeś, że on nocuje u tej Paczewskiej? Nie odpowiadasz? Ja wiem, że z ciebie mruk, ale ten szczegół potrzebny nam jest do innej sprawy, która ciebie powinna też zainteresować. Chodzi przecież o rudą Zulę. Wiesz zapewne, że ona pracowała w „Tip-Top“ u Paczewskiej, bo i tam chodziłeś dopytywać się o nią. — Patrzył na „Bladego Wiktora“ i widział, jak jego twarz coraz bardziej tężeje. Przez chwilę miał takie wrażenie, jak gdyby patrzył na martwego człowieka. Zwrócił oczy ku Knapowi. Ten uczynił dłonią gest zniecierpliwienia i zawołał podniesionym głosem:

— To jeszcze jeden z jego numerów. Udaje niemowę. — Nagle zwrócił się do „Bladego Wiktora”: — Ty, słuchaj, mamy dla ciebie jeszcze jedną wiadomość...

„Blady Wiktor“ drgnął, otworzył oczy. Chciał coś powiedzieć. Już otwierał usta, lecz gdy spojrzął na Knapa, zadrżał, jakby coś przeczuł.

Wtedy Knap powiedział cicho:

— Zula nie żyje.

„Blady“ wyprężył się jak człowiek, który nagle dostaje nożem w plecy. Przez chwilę zdawało się, że się zerwie i w napadzie szału rzuci się na siedzących przed nim ludzi. Ale wnet postać jego zwiotczała. Opadł zgiętym ramieniem na krawędź biurka i jęknął zdławionym głosem:

— Dlaczego ona do mnie nie wróciła?

Wtedy właśnie zadzwonił telefon. Knap podniósł słuchawkę. Telefonował redaktor Ochniewski z „Wieczoru“.

— Jest tu u nas panna Dora Płowińska, chciałyby złożyć zeznanie w sprawie Napieralskiego — mówił podnieconym głosem.

— To pewno ta z „Owocowego“? — zapytał Knap. — Zaraz przyjdzie od nas oficer. Niech zaczeka. — Odłożył słuchawkę i spojrzał na „Błatego“. Ten siedział z głową wtuloną w zgięcie ramienia, jakby spał.

— To nie poczekalnia kolejowa — zawołał Knap.

„Błady“ nawet nie drgnął. Mimo mozolnych usiłowań obu oficerów nie powiedział już ani słowa.

\*

Po przesłuchaniu Gaspara Przywara pojechał do „Grandu“. Portier z nocnej zmiany miał wygląd jowialnego człowieka, który potrafi pogodnie patrzeć na otaczający go świat. Gdy Przywara podszedł do niego, okrągła, uśmiechnięta twarz spoważniała nagle i nabrała urzędowego wyrazu. Widocznie jego kolega zdążył go już uprzedzić.

— To pan przyjmował wczoraj telefoniczne zlecenie z Warszawy dla pana Hroniewicza?

— Tak jest — portier skłonił swą dobrze ulizaną głowę, z prościutkim przedziałkiem na środku.

— Czy pan pamięta treść tego zlecenia?

— Bardzo mi przykro, ale... pan rozumie... takich zleceń przyjmuję dziesiątki...

— Aha — uśmiechnął się kapitan — pana też zawodzi pamięć.

Portier zatarł pulchne dłonie i skłoniwszy się, rzekł niezwykle uprzejmie:

— Gdybym był wiedział, że pana zainteresuje treść tego zlecenia, to nie omieszkałbym być bardziej uważny.

— Kto to mówił, kobieta czy mężczyzna?

Krótkie ręce jowialnego portiera wykonały gest zakłopotania. — Pan wybaczy, ale naprawdę nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

Przywara pokiwał głową.

— Cholera, wszyscy cierpicie na zanik pamięci. — Potem zapytał ostro: — Ten szwajcar przy bramie, Fiałek, prawda?

— Tak jest — portier skłonił uprzejmie głowę, a na jego

rumianą twarz spłynął znowu uśmiech pełen zyczliwości. Zapewne cieszył się, że ma za sobą tę przykrą rozmowę.

Szwajcar Fiałek otwierał właśnie drzwi czarnej limuzyny, która przed chwilą zatrzymała się przed bramą hotelu. Z gorliwością dobrze obliczoną na sute napiwki pomagał jakiejś tęgiej kobiecie wytoczyć się z niskiego wozu. Gdy zamiast napiwka otrzymał jedynie zdawkowy uśmiech, powrócił na swój posterunek z nieco zawiedzioną miną.

— Pan tu wczoraj miał służbę przez całą noc? — zapytał Przywara.

Szwajcar ogarnął go lekceważącym spojrzeniem.

— Wczoraj jak co dzień — odparł niechętnie.

— Jestem ze służby śledczej Milicji Obywatelskiej — wyjaśnił Przywara, żeby nie narażać się na opryskliwość człowieka, który w tej chwili szacował ludzi według wytworności ich ubioru. Szwajcar przyjął to wyjaśnienie obojętnym wzruszeniem ramion. — Chciałbym dowiedzieć się od pana — ciągnął Przywara — czy zauważył pan wczoraj około jedenastej przystojną, rudą dziewczynę w szarym kostiumie.

Przebiegłe oczy Szwajcara ożywiły się.

— Trzeba było od razu tak mówić — powiedział mrugając porozumiewawczo. — Widziałem taką jedną.

Zaraz mi wpadła w oko, bo była albo pijana, albo nie wiem co...

— Zaraz, zaraz — przerwał mu Przywara. — Po czym pan sądzi, że była pijana?

— Tak się zachowywała, proszę szanownego pana, jakby była na dużej bańce. Ja otwieram, proszę szanownego pana, drzwi, moje szanowanie... mówię, a ona nawet na mnie nie spojrzała, tylko zatoczyła się. Byłaby, proszę szanownego pana, upadła, gdybym jej nie podtrzymał. Mnie coś tknęło: taka ładna, młoda dziewczyna sama z lokalu wychodzi. Patrzę, a tu do niej podchodzi jakiś facet...

— Jak był ubrany?

— Jak łachudra, proszę szanownego pana. Ja go już przedtem widziałem. On się tu cały wieczór kręcił. Wszedł



nawet do hallu. Ale' co miałem powiedzieć? Każdemu przecież wolno wchodzić. Demokracja, proszę szanownego pana. Ale on mi się wydał podejrzany, bo cały czas tutaj się kręcił. Chodził tam i z powrotem, jakby mu za to płacili. Widocznie czekał na tę dziewczynę, proszę szanownego pana, bo jak ona wyszła, to zaraz do niej podszedł. Ale ona w ogóle nie chciała z nim rozmawiać... tylko coś krzyknęła. On ją złapał za rękę, jakby ją chciał zatrzymać, a ona chodu... i zaczęła uciekać. Tak uciekała, proszę szanownego pana, że jeden pantofel zgubiła. Ale musiała być pod dobrą bańką, bo nawet po niego nie wróciła, tylko dalej w jednym pantoflu zasuwiała... aż mi się jej żal zrobiło.

— A ten facet?

— Ten facet stał, jakby go ktoś w pysk strzelił. Potem podniósł pantofel i pobiegł za nią — ściszył nagle głos i spojrzał pytająco: — Pewno to ta sama, proszę szanownego pana, co ją rano na plaży znaleźli?

Przywara ominął pytanie.

— W jakim wieku był ten człowiek?

— Młody, bardzo młody.

— Jak był ubrany?

— Licho, proszę szanownego pana, tak jak to ci nasi sportowcy. Jakiś sweter, jakieś wąskie welwetowa portki. Nic dobrego nie miał na sobie.

— W którym miejscu on ją zaczepił?

— O tam, przy tym klombie — pokazał szwajcar.

— Co jej powiedział?

— Żebym ja to słyszał. To dość daleko.

— Czy ją dogonił?

— Tego to ja nie wiem. Znikła mi za tymi tam drzewami — pokazał na kępę starych grabów. — Ale chyba jej nie złapał, bo mówię panu, gnała jak na wyścigach.

— Czy oprócz tego młodego nikt się tu nie kręcił?

— Kręcili się jacyś ludzie, bo to, proszę szanownego pana, ruch, sezon, auta przyjeżdżają i odjeżdżają, ale ten w swetrze wpadł mi w oko, bo snuł się jak pokutujący duch — zachichotał cienko, a gdy spostrzegł, że Przywara nie ma

ochoty żartować, dodał szybko: — Tacy to się rzucają w oko. Przywara położył mu rękę na ramieniu.

— Pan ma dobrą pamięć — powiedział zachęcająco — pan zna tutaj stałych bywalców.

— Zna się trochę gości. Od tego tu jestem.

— To pan na pewno zna pana Hroniewicza?

— Pana Hroniewicza?... No tak... Taki niski, z przedziałkiem, taki zawsze wesoły. Oczywiście, że znam.

— Czy widział go pan wczoraj?

— Wczoraj to chyba nie, ale jest u nas, bo go już kilka razy widziałem.

— A pana mecenasa Szajewskiego?

— Kto by nie znał pana mecenasa Szajewskiego. — Zmrużył oko i zachichotał po swojemu: — On tu często na dziewczynki przyjeżdża. Taki elegancki, przystojny pan.

— Jeździ własnym samochodem.

— Tak, takim granatowym hilmanem. Ale wczoraj to mnie się zdaje, że taksówką przyjechał.

— Taksówką? Jest pan pewny?

— No tak, jeszcze mnie prosił, żebym mu sto złotych rozmiął, bo nie miał drobnych dla szofera.

— Ach tak — uśmiechnął się skąpo Przywara. — A czy pan zna takiego ładnego młodzieńca, którego nazywają „Aksamitny Rysio“?

— Tego to nie znam — rzekł z odcieniem żalu.

— Może go pan wczoraj widział. Elegancko ubrany, lśniące kręcone włosy, śniady, przystojny. Po prostu taki młody człowiek, który rzuca się w oczy.

Szwajcar uniósł dłoń do czoła.

— Zaraz, zaraz... Był tu taki jeden... — szybkim ruchem dłoni przeciął powietrze: — Niechże to licho weźmie. Oczywiście, że był.

— Kiedy?

— Jakby to panu powiedzieć... Zaraz potem, jak ta ruda uciekła. Podszedł do mnie i zapytał się, o której odjeżdża nocny pociąg do Warszawy. Powiedziałem mu, że kilka minut po północy. Wtedy on zapytał, czy nie widziałem

takiej rudej... Na to ja mu powiedziałem: „Przecież przed chwilą tu była”, i pokazałem drogę, którą odeszła, a on podziękował i poszedł w tamtym kierunku. Że też ja o tym zapomniałem.

\*

— Mnie się zdaje, że to do pana telefon z Komendy Gdańskiej — jowialny portier skłonił się z wrodzoną uprzejmością i na chwilę zatrzymał na Przywarze uważne spojrzenie.

Przywara szybko podszedł do recepcyjnego kontuaru. Podniósł słuchawkę. Poznał głos Kajetańskiego.

— Co nowego, poruczniku?

— Jak to dobrze, kapitanie, że was złapałem — zawołał uradowany Kajetański. — Odnalazł się nasz student. Nad ranem wyłowił go jakiś statek fiński. Dopiero teraz odesłali go motorówką do portu, gdyż statek stał długo na redzie. To cud, że ta żaglówka nie zatonała...

— Bez cudów — przerwał mu Przywara — niech pan mówi, gdzie on teraz jest.

— W Gdyni, w szpitalu.

— W którym?

— W szpitalu numer dwa. Zaraz dowiem się, na której to ulicy.

— Nie trzeba, kierowca na pewno zna adres. Zaraz tam jadę. A wy zawiadomcie natychmiast Warszawę, żeby przesłuchali Maniewicza, rozumiecie? Bez względu na stan zdrowia. Powiedzcie im, że to konieczne.

Lekarz dyżurny był niezwykle zaskoczony nieoczekiwaną wizytą oficera śledczego. Patrzył na Przywarę spod namarszczonych brwi spojrzeniem nieufnym i pełnym zakłopotania.

— Dalibyście chłopcu spokój — powiedział, gdy kapitan wyjaśnił mu cel wizyty. — Jemu potrzebny odpoczynek. Pan chyba nie wyobraża sobie, co on przeżył podczas tej nocy. To

chyba cud, że zobaczyli żaglówkę z pokładu tego fińskiego statku. Pan zapewne nie uprawia żeglarsstwa?

— Nie — uśmiechnął się skąpo Przywara — ale mam na tyle wyrobioną wyobraźnię, że mogę odtworzyć przebieg tej nocy. Pan natomiast, doktorze, nie wie, w jakich okolicznościach doszło do tej romantycznej wyprawy.

Lekarz spojrział przychylniej.

— To dziwny wypadek — powiedział z namysłem. — Nie widać fizycznego wyczerpania. Młody organizm zniósł znakomicie trudy tej przygody, jednak występuje załamanie psychiczne. Odnoszę takie wrażenie, że on chciał popełnić samobójstwo. Kto wypływa w morze w takich warunkach?

Przywara niecierpliwił się przedłużającą się rozmową, lecz nie chciał zrazić sobie lekarza, więc powiedział pojednawczo:

— Przyrzekam panu, że będę z nim rozmawiał bardzo oględnie. A jeżeli pan mi nie ufa, to może pan wejść ze mną.

— Tu nie chodzi o zaufanie — oburzył się lekarz. — Zależy nam na tym, by nie wprowadzać go w stan zdenerwowania, który potem może spowodować jeszcze większą depresję. Chętnie więc będę panu towarzyszył, jeżeli to oczywiście nie utrudni pracy.

— W tym wypadku na pewno nie.

W małej czteroosobowej sali szpitalnej światło było przyciemnione. W kącie pod zasłoniętym oknem leżał Łabanowicz. Oczy miał przymknięte, śniade ręce spoczywały na pościeli jak martwe. Lekarz pierwszy przystąpił do jego łóżka, delikatnie ujął go za rękę.

— Jak pan się czuje? — zapytał szeptem.

Łabanowicz otworzył oczy. Wzrokiem błędził chwilę po nachylonych nad nim twarzach. Było to spojrzenie spokojne, niemal obojętne.

— Dziękuję, panie doktorze — odparł słabym głosem i zatrzymał wzrok na Przywarze, jakby chciał zapytać: kto to?

Przywara zrozumiał to spojrzenie. Uśmiechnął się przyjaźnie.

— Niech się pan nie obawia. Przyszliśmy z doktorem, żeby

z panem chwilę pogawędzić. Dowiedziałem się, że miał pan wypadek. No, ale na szczęście wszystko skończyło się szczęśliwie. Mam nadzieję, że czuje się pan lepiej. Pan się nazywa Adam Łabanowicz?

Student skinął głową.

— No właśnie — podjął Przywara. — Otrzymaliśmy zawiadomienie z Warszawy, że pan zginął. Jestem bardzo zadowolony, gdyż będę mógł zawiadomić pańskich kolegów, że zguba się znalazła.

— To oni mnie szukali?

— Oczywiście — uśmiechnął się Przywara, chcąc nadać rozmowie żartobliwy ton. — Zawiadomili nawet milicję. Była to nie tylko przezorność, ale troska. Widzę, że ma pan dobrych przyjaciół.

Na chłpięcej twarzy studenta pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech.

— Niech ich pan zawiadomi, że już wszystko w porządku.

— Uczynię to z wielką przyjemnością, zwłaszcza że byliśmy wszyscy bardzo zaniepokojeni — mówił tak przekonywującym głosem, że po chwili z oczu Łabanowicza znikła podejrzliwość. Student patrzył teraz na Przywarę obojętnie, ale bez lęku.

— Bardzo panu dziękuję, to naprawdę niezwykle uprzejmie z pana strony.

— To drobnostka — odparł Przywara i uniósł rękę do czoła, jakby się nad czymś zastanawiał. Potem powiedział z dobrze udanym zażenowaniem: — Przepraszam pana, ale mam jednak obowiązek wyjaśnić pewne szczegóły związane z pańską przygodą. Poszukując pana, dowiedzieliśmy się, że wczoraj w nocy był pan w „Grand Hotelu“...

— To już nieważne — przerwał mu gwałtownie Łabanowicz. — To już wszystko skończone.

— Podobno miał pan scysję z pewną młodą dziewczyną?

Łabanowicz uniósł się na łokciach i potrzęsnał głową:

— Ona dla mnie już nie istnieje — powiedział twardym, zdecydowanym głosem i opadł na poduszkę. — To się skończyło tej nocy — mówił teraz jakby do siebie. — Byłem

straszliwie głupi. Chciałem przez nią iść na dno razem z łodzią. Leżałem na pokładzie i czekałem, aż fala przewróci łódź i wszystko się skończy, ale właśnie wtedy zrozumiałem, że to błazeństwo. Ja pójdę na dno, a ona za tydzień wyjedzie za granicę. — Otworzył oczy i spojrzał na Przywarę bardzo trzeźwo. — Pana zapewne to nie obchodzi. Przecież to moje osobiste sprawy.

— Pan ma na myśli Zulę Michalczykównę?

Lekkie skinienie głowy.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, dokąd ona poszła po tej waszej scysji przed „Grandem“?

— Uciekła, nie poszła.

— Pan jej nie szukał?

— Początkowo biegłem za nią, bo chciałem jej oddać pantofel, który zgubiła, potem jednak zawróciłem. Byłem bardzo zdenerwowany, poszedłem na plażę i tam ujrzawszy zagłówkę, postanowiłem wypłynąć w morze.

— Jeszcze jedno pytanie. Czy pan w sobotę widział się z Zulą w Warszawie?

— Tak.

— I co panu powiedziała?

— Mówiła, że wyjeżdża do Wiednia.

— Więc dlatego przyjechał pan za nią do Sopotu, żeby ją odwieść od tego zamiaru.

— Byłem bardzo przygnębiony.

— Rozumiem. I dlatego zaczął pan przed „Grandem“ tego cudzoziemca?

— Tak, ale wiedziałem, że to i tak nic nie pomoże. Za dobrze poznałem Zulę, a właściwie wiedziałem, że jej w ogóle nie znam...

— Sądzi pan, że ona wyjedzie z tym cudzoziemcem?

— Przypuszczam, że tak, zwłaszcza że ona ma pewne powody, żeby wyjechać z Polski.

— Pan wie jakie?

— To jej osobista sprawa.

— Przepraszam, ostatnie pytanie. Czy pan zna niejakiego Maniewicza?

— Znam go, ale tylko z widzenia.

— Czy po tej scysji przed „Grandem“ nie spotkał go pan albo nie zauważył, że idzie za wami?

— Nie. Zresztą byłem tak wzburzony, że na nic nie zwracałem uwagi.

— Dziękują. — Dał znak lekarzowi, że mogą już odejść, a gdy znaleźli się przy drzwiach, zwrócił się jeszcze raz do Łabanowicza: — Życzę szczęśliwych wiatrów na przyszłość!

Na korytarzu lekarz kręcił z uznaniem głową:

— Muszę przyznać, że podszedł pan do tego młodzieńca z wielkim wyczuciem psychologii. Ale przepraszam za wtrącanie się w nie swoje sprawy. Niech mi pan powie, czego pan chciał dowiedzieć się od niego? Przecież nie powiedział panu nic konkretnego.

Przywara uśmiechnął się wyrozumiale.

— Przeciwnie, dowiedziałem się rzeczy najbardziej istotnych. Słyszał pan rozmowę o tej dziewczynie? Otóż była to jego przyjaciółka. On do tej pory nie wie, że ona nie żyje. Właśnie to chciałem sprawdzić.

\*

Knap uniósł do góry paczkę odcinków taśmy dalekopisowej. Pokazał ją Robańskiemu.

— Widać, że Przywara pracuje na pełnych obrotach. On zawsze ma szczęście. Trafił na całe towarzystwo i teraz załatwia ich hurtem — roześmiał się głośno i kładąc odcinki na biurku, dodał: — Nie będziemy dłużej czekać na Żończyka. Zresztą wolałbym, żebyście wy, poruczniku, pogadali z tym „Aksamitnym“. Żończyk jest za miękki. Tego gogusia trzeba mocno przycisnąć, a jeżeli odmówi zeznań, przeniesiemy go do szpitala więziennego. Już porozumiałem się z prokuratorem.

Robański uniósł się wolno z krzesła.

— Jeżeli wam na tym zależy... — powiedział chcąc zaznaczyć, że powierzone zadanie niezbyt go interesuje.

— Ja wiem, że wy z takimi umiecie rozmawiać.

— Mogę zabrać samochód?

— Oczywiście. Tylko go zaraz odeślijcie. Będzie nam potrzebny.

„Aksamitny Rysio“ wciąż jeszcze leżał w pokoju lekarskim.

— Jeżeli nie macie miejsca — powiedział Robański do młodej lekarki, która zaprowadziła go pod drzwi — to możemy go stąd zabrać.

— Sądzę, że wieczorem zwolni się jakieś miejsce na ogólnej sali.

— Tymczasem mogę z nim pokonferować?

Lekarka nie wyrażała sprzeciwu. Spoglądała jednak nieufnie, jak na intruza, który mąci spokój szpitala. Robański pchnął energicznie drzwi, wszedł do pokoju E przekonaniem, że poradzi sobie z szantażystą. Na jego widok Maniewicz usiadł na łóżku.

— Kto pan jest? — zapytał ostro.

— Ze służby śledczej — Robański powiedział tonem twardym, nie znoszącym sprzeciwu.

— Przecież prosiłem, żeby nikogo nie wpuszczano.

— Jest pan pod dozorem milicji i nie dysponuje pan swoją osobą. Prokurator już wydał nakaz aresztowania pana za usiłowanie szantażu.

Maniewicz zachnął się, jak gdyby chciał zrzucić z głowy bandaż.

— To chyba jakieś nieporozumienie?

Robański skinął tylko głową.

— Bądź, bracie, spokojny. — Przeszedłszy na „ty“ poczuł się jeszcze pewniejszy. Zdawało mu się, że w ten sposób łatwiej będzie przesłuchiwać „Aksamitnego“. — Bądź spokojny — powtórzył — już ja dobrze wiem, co mówię. Szantażowałeś tego Austriaka. Ale mnie się zdaje, źle trafiłeś.

Maniewicz zrobił taki ruch, jakby chciał się cofnąć pod ścianę.

— Pan mi imputuje rzeczy, o których nie mam pojęcia.

Robański podsunął krzesło, usiadł okrakiem, oparł się ramieniem o poręcz łóżka. Naraz uśmiechnął się cwaniacko i



przymrużył oko.

— Kochasiu, po co ta mowa. Ja jestem za stary na takie numery. Mamy twój list i zeznania Gaspara. Szantażowałeś Szajewskiego, szantażowałeś jeszcze innych, ale tym razem potknąłeś się, bracie. Powiedz mi lepiej, dlaczego „Blady Wiktor“ tak szpetnie cię urządził?

Maniewicz oparł się plecami o ścianę.

— Nie mam pojęcia, kto mnie urządził.

— Ale ja wiem. Od jak dawna znasz Paczewską?

— Nie znam jej.

— To znaczy, że ona sypiała z nieznajomym? — zakpił i naraz zmienił ton: — Słuchaj — rzekł mrużąc oczy — nie baw się w dżentelmena. Skąd wiedziałaś o zegarkach?

— O jakich zegarkach?

— Mam ci przypomnieć, co pisałeś w liście do Gaspara i o czym później rozmawiałeś z nim w „Grandzie“?

— Już panu powiedziałem, że żadnego listu nie pisałem.

— Pisałeś!... — Robański uderzył pięścią w poręcz łóżka. — Niepotrzebnie się wypierasz. Paczewska już aresztowana, Szajewski aresztowany, „Blady“ aresztowany, wiemy już wszystko, czego chcieliśmy się dowiedzieć.

„Aksamitny Rysio“ wzruszył ramionami.

— W takim razie niepotrzebnie pan się trudzi.

Robański aż syknął. Mięśnie szczęk drgnęły mu pod napiętą skórą, ale wnet się opanował. Pokiwał tylko głową i powiedział niemal spokojnie:

— Ale z ciebie cwany drań... Przewiozą cię do szpitala więziennego, to inaczej będziesz ze mną rozmawiał. Może powiesz coś.

— Nie ma żadnych dowodów.

— To się okaże — powiedział porucznik w zamyśleniu i nagle wydało mu się, że traci panowanie nad tym człowiekiem. Nie mógł znaleźć sposobu na jego chłodne wyrachowanie, zuchwały spokój i nonszalancję. Zdawało mu się, że nie potrafi powiedzieć słowa, że nie znajdzie nawet myśli, którą mógłby przeciwstawić szantażyście. Wtedy przypomniał sobie fragment notatek Napieralskiego,

mówiący o spotkaniu dziennikarza z Dorą i Maniewiczem w „Barze Owocowym”. — Skoro tak ze mną rozmawiasz, to ja ci coś powiem — rzekł z naciskiem. — To, że jesteś żigolakiem i szantażystą, potwierdziła nawet twoja dobra znajoma z „Owocowego Baru“, Dora Płowińska. Może jej też nie znasz?

Maniewicz poruszył się nerwowo.

— Znam ją, ale jej opinia o mnie nie jest dowodem.

— W takim razie powiedz, po coś jeździł w sobotę do Sopot?

— Na pokaz mody... pooglądać kociaki — zadrwił.

— I o kociakach rozmawiałeś z Gasparem?

— Prawdopodobnie.

— Skąd wiedziałeś, że Gaspar jest w Sopocie?

— W ogóle o tym nie wiedziałem.

— To po coś go zaczepił?

— Wydał mi się bardzo sympatyczny.

— Dziwne masz zwyczaje. Przyjeżdżasz do Sopot po to tylko, żeby zamienić kilka słów z sympatycznym cudzoziemcem, bo na pokaz mody już nie zdążyłeś. Pociąg z Warszawy przyjechał o dziewiątej z minutami. Może ci powiedzieć, od kogo dowiedziałeś się, że Gaspar jest w Sopocie?... Od Zuli.

Żrenica zdrowego oka Maniewicza rozszerzyła się gwałtownie.

— To jedynie przypuszczenia.

— Mamy na to dowody. Lepiej byś zrobił, gdybyś powiedział całą prawdę. Po co przedłużać tę hecę? Może powiesz, że dlatego spieszyłeś się do Warszawy, żeby ci „Blady“ spryskał twarz witriolem?

Maniewicz uniósł dłoń do odsłoniętego oka, jakby chciał przekonać się, że zostało nie naruszone.

— Czego pan chce ode mnie?

Robański wyczuł w jego głosie ton słabości.

— O której wyjechałeś z Sopotu? — zapytał przynaglająco.

— O zero dziesięć.

— A może wracałeś samochodem?

- Nie. Jeżeli pan nie wierzy, może pan sprawdzić. W ubraniu jest bilet na wagon sypialny.
  - Bilet można dostać od byle kogo na dworcu.
  - Może pan sprawdzić w Orbisie.
  - Kto cię podrzucił samochodem do Warszawy?...
- Wzruszenie ramion.
- Może Hroniewicz?
  - Nie znam Hroniewicza.
  - Nie znasz „Wesołego Włodzia“?
  - Nie.
  - A myśmy słyszeli, że znasz.
  - Jeżeli powiedziała to Dora Płowińska, to się myliła. Ona zna go dobrze... ale ja nie.

## IX

Samochód sunął ze świstem po mokrym asfalcie. Czasem, gdy trafił na nierówność, zakolysał się gwałtownie. Wtedy Przywara otwierał oczy i rozglądał się jak człowiek oszołomiony mocną dawką narkotyków. Wydawało mu się, że ta podróż trwa już bardzo długo, bał się jej końca. Postacie, które w chwilach świadomości powracały do niego, były jak bohaterowie dawno czytanych książek albo dawno oglądanych filmów. Zjawiały się twarze — Szajewskiego, Paczewskiej, Hroniewicza, jowialnego portiera, wąsatego szwajcara, młodej modelki, studenta... Patrzyły drwiąco, wyzywająco, dociekliwie, błagalnie i znikwały, zanim zdołał ustalić ich prawdziwy wyraz.

Zbliżali się do Sopotu. W zamglonej szybie samochodu przesuwało się coraz więcej świateł. Przywara przetarł zmęczone oczy. Dotknął ramienia kierowcy.

— Podwieźcie mnie do mola — powiedział ziewając. — Przejdę się trochę.

— To panu, kapitanie, dobrze zrobi. Jest pan bardzo zmęczony.

— Trudno, taka cholerna robota.

Mrok gęstniał. Idący od morza wiatr rozdzierał na strzępy chmury, spośród których jak mielizny wyłaniały się płaty nieba zasypane gwiazdami. Morze huczało przeciągle. Językami pian wgryzało się w jasny pas plaży. W konarach przybrzeżnej topoli tkwił chudy rożek księżyca. W głębi przepastnego mroku migzło światło latarni morskiej.

„To pewno na Helu“ — pomyślał Przywara. Szedł wolnym krokiem grzęznąć po kostki w mokrym piachu. Głowę wtulił w podniesiony kołnierz płaszcza. Rękoma przytrzymał trzepocące na wietrze poły.

Kiedy minął pierwsze falochrony, za ciemnym zarysem wydm ujrzał jaśniejszy krąg światła. Po chwili z mroku wyłonił się niski budynek kiosku. Pomyślał, że warto by napić się piwa. Od ciągłego palenia czuł w ustach gorycz i zaschło mu w gardle. Przeciął więc plażę i zbliżył się do kiosku. Wtedy w kręgu bijącego z okien światła ujrzał, znajomą postać. Poznał porucznika Łatyszewskiego, który żywo gestykułując rozmawiał z odzianą w biały fartuch kioskarką.

Łatyszewski na widok Przywary zdębiał na chwilę. Potem przywitał go radosnym okrzykiem:

— Jak to dobrze, kolego, że jesteście. Mamy nowy ślad. Okazuje się, że nasza denatka wstąpiła tutaj i zostawiła torebkę. Ta pani — wskazał na kioskarkę — telefonowała do Komendy. Wziąłem wóz i właśnie jestem.

Kobieta wychyliła głowę przez uchylone okienko.

— Ja bym już dawno o tym zawiadomiła — starała się usprawiedliwiać. — Ale nie wiedziałem, że to się tak stało... Doprawdy nie wiedziałam. Rano wyjechałam do Gdyni po towar. Siostra mnie tutaj zastępowała. Wracam z Gdyni, a tu ludzie opowiadają, że rano znaleźli ją na plaży. Mój Boże, taka młoda...

— Przepraszam — przerwał jej Przywara — może pani opowie dokładnie, jak to było?

Zaczęła mówić z wielkim przejęciem, jak gdyby znowu przeżywała zdarzenia wczorajszego dnia.

— My zwykle zamykamy o jedenastej, ale jak jest ruch, to

nawet o dwunastej, bo zawsze ktoś wpadnie piwa się napić albo po papierosy. Już miałam zamykać, już obliczałam kasą, a tu zjawia się ta ruda. Najpierw pomyślałam, że pijana, bo oczy miała błędne i mówiła niewyraźnie, ale potem zmiarkowałam, że jej coś jest. Tak na mnie patrzyła, proszą panów, jakby mnie nie widziała. „Co pani sobie życzy?” — pytam, a ona tylko jedno słowo: „Wody”. „Wody sodowej nie ma” — mówią, bo rzeczywiście zabrakło. „Może być oranżada”. A ona jeszcze ciszej: „Zwykłej wody!” Podałam jej szklankę, a ona wyjęła z torebki jakieś lekarstwo, wysypała na dłoń, połknęła i popiła. Aż mnie ciarki przeszły, gdy widziałam, jak połyka to świństwo.

„Czy pani niedobrze?” — pytam, ale ona nawet na mnie nie spojrzała, tylko odwróciła się i poszła prosto na wydmy.

— Jak była ubrana? — zapytał Przywara.

— O, właśnie, to mnie najwięcej zastanowiło, bo wyobraźcie sobie, panowie, ubrana była bardzo elegancko, powiedziałałabym nawet, że szykownie, tylko nie miała butów. Mogę przysiąc, że nie miała. „Jakaś wariatka” — pomyślałam i dopiero wtedy spostrzegłam, że zostawiła torebkę. Wołam za nią, ale ona była już daleko. Wskoczyłam na wydmy, ale już jej nie zobaczyłam, bo ciemno się zrobiło i zaczął padać deszcz. Byłabym dalej za nią pobiegła, ale się bałam, bo pieniądze w kiosku zostawiłam...

— Gdzie ta torebka?

Łatyszewski wyjął spod peleryny czarną płaską torebkę. Podał ją Przywarze.

— To chyba jej torebka. Zgadza się z opisem, jaki podali mi przesłuchani ludzie. To znaczy ten pośrednik i kobieta, u której dziewczyna wynajęła pokój.

— Tak... — mruknął Przywara. Ważył chwilę torebkę w dłoni. Potem otworzył ją ostrożnie. Jej zawartość była skromna. Srebrny grzebyk, szminka w złotym etui, plastikowy rozpylacz do perfum, zmięta chusteczka, kilka starych biletów tramwajowych, portmonetka z drobnym bilonem, a na samym dnie szklana fiolka. Przywara wyjął ją ostrożnie, przyjrzał się jej pod światło. Na dnie spoczywała

jeszcze jedna pastylka. Przeczytał uważnie napis na małej etykietce — „Phanodorm“.

— To środek nasenny — odezwał się Łatyszewski.

— Znacie ten środek? — zapytał kapitan.

— Oczywiście. Mieliśmy tutaj niedawno taki wypadek. Truła się pewna wczasowiczka w Jelitkowie. Zażyła tego coś dwie fiołki.

Przywara uniósł fiołkę pod światło.

— Dwie fiołki, mówicie. Ile pastylek mieści się w jednej, jak myślicie?

— Chyba z dziesięć.

— To znaczy dziesięć nie wystarcza...

— To zależy. Trzeba będzie zapytać lekarzy.

— Wciąż jeszcze nie ma wyniku sekcji?

— Telefonowałem do kliniki. Powiedzieli, że już kończą. Pewno już będzie w Komendzie. — Łatyszewski jeszcze raz zerknął na fiołkę. — To pewno samobójstwo.

Przywara wzruszył ramionami.

— Tak sądzicie? Ja wcale nie jestem pewny.

Do rozmowy wtrąciła się kioskarka.

— Taka młoda — westchnęła z przejęciem. — Mówię panom, że jak ją zobaczyłam, to od razu coś mnie tknęło.

Przywara zapytał ostro:

— Czy nie widziała pani kogoś, kto by się tutaj wtedy kręcił?

— Nikogusieńko nie było. Zaczął właśnie padać deszcz, więc ludzi jakby wymiotło.

— Pani widziała, jak ona łykała te proszki. Czy zauważyła pani, ile było pigułek w fiołce?

— Nie, proszę pana. Widziałam tylko, że coś wysypała na dłoń i potem łyknęła.

— Dziękuję — skinął kioskarce, potem ujął Łatyszewskiego pod rękę. — Poruczniku, trzeba będzie zaraz dać tę ostatnią pastylkę do analizy. A teraz wracamy.

Gdy otwierał drzwi, był przekonany, że śledztwo potrwa jeszcze bardzo długo. W korytarzu natknął się na Kajetańskiego. Chciał o coś zapytać, ale porucznik uprzedził go:

- Jest już ten niewidomy kompozytor.
- Gdzie go macie?
- Siedzi w dyżurce z jakąś dziewczyną...
- Kiedy go przywieźli?
- Przed chwilą.

Przywara, jakby nagle otrzymał wzmacniający zastrzyk, ruszył rażnym krokiem w kierunku pokoju dla dyżurnego. Gdy otworzył drzwi, pod ścianą na ławce zobaczył mężczyznę w ciemnych okularach, a obok młodą dziewczynę o zmęczonej, przygnębionej twarzy. Obserwował ich chwilę. Niewidomy siedział wyprostowany, jak gdyby oczekiwał na czyjeś przybycie. Miał na sobie długie, płócienny deszczowiec. Dłonie wsparł na srebrnej gałce laski. Palcami przebierał nerwowo. Na jego kolanach spoczywał czarny, dobrze sfatygowany kapelusz z dużym rondem. Dziewczyna była wynędzniała, znużona, obojętna na wszystko.

— To pan Braun? — Przywara zapytał głośno siedzącego za barierą oficera milicji.

Braun, usłyszawszy swe nazwisko, zerwał się i zanim oficer zdołał odpowiedzieć, rzekł głośno:

— To ja. — Postąpił krok naprzód, jak gdyby chciał się z kimś przywitać, i dodał szybko: — Może pan mi wyjaśni, dlaczego zostałem zatrzymany?

— Zaraz wszystko wyjaśnimy — powiedział Przywara spokojnym głosem. Spojrzał na dziewczynę: — A pani?

— To jest moja znajoma — rzekł kompozytor. — Prosiłem ją, żeby mi towarzyszyła w podróży. Jak pan widzi, jestem...

— Tak, rozumiem — przerwał mu kapitan i zwrócił się bezpośrednio do dziewczyny. — Pani nazwisko?

— Stefania Karolak...

— Ach tak!... — momentalnie skojarzył stojącą przed nim dziewczynę z notatnikiem Napieralskiego. Ogarnął ją badawczym spojrzeniem i rzucił porozumiewawczo: —

Stenia, co?

Dziewczyna uśmiechnęła się kwaśno.

— Może być Stenia — rzekła zaczepnie. — Tylko niech pan nas wypuści, bo to jakaś głupia heca. Wyjechałam w charakterze opiekunki i nie myślę włóczyć się po komisariatach.

Przywara ujął Brauna pod ramię.

— Zaraz wszystko wyjaśnimy. Pan pójdzie ze mną, a pani — skinął na dziewczynę — zaczeka tutaj.

— Już mam dość tego czekania! — zawołała płaczliwie i zagroziła im drogę.

Kapitan odsunął ją energicznie.

— Pani tutaj zaczeka — powiedział z naciskiem. Zaprowadził Brauna do pokoju, który chwilowo zajmował. Pomógł mu zdjąć płaszcz. Posadził go naprzeciw siebie.

— Skąd ta dziewczyna znalazła się w pana towarzystwie?

Braun umieścił swą laseczkę między kolanami. Położył dłonie na krawędzi biurka.

— To zwykły przypadek — powiedział cicho. — Przyszła do mnie w sobotę wieczorem. Prosiła mnie, żebym jej znalazł jakąś pracę. Skorzystałem z jej obecności i poprosiłem ją, by towarzyszyła mi w podróży.

— W jakim celu wyjechał pan z Warszawy?

— To wymaga dłuższego wyjaśnienia. Ale wpierw niech mi pan powie, czy Zuli nic się nie stało? — zapytał i poruszył się niespokojnie.

— Proszę odpowiadać na moje pytania — powiedział kapitan spokojnie, lecz stanowczo. — Po co pan wyjeżdżał z Warszawy?

— Bałem się o Zulę. Muszę panu wyjaśnić, że nas łączyła głęboka i dawna przyjaźń.

— Od czasu, kiedy zaczęła do pana przychodzić, prawda?

Palce Brauna poruszyły się nerwowo na krawędzi biurka. Chrząknął, jakby chciał zwrócić kapitanowi uwagę, że zahaczył o niezbyt dyskretny temat.

— Jestem do niej bardzo przywiązany — powiedział z naciskiem. — Ostatnio była w bardzo złym nastroju. Miała



pewne kłopoty.

— Co pan uważa przez „ostatnio“? Widział się pan z nią w sobotę?

— Tak. Właśnie w sobotę.

— Wiedział pan, że przyjechała z Wilkasów?

— Tak.

— Wiedział pan, z kim tam była?

— Tak.

— Znał pan pana Gaspara?

— Nie.

— Dlaczego Zula przyjechała do Warszawy?

— Miała pewne kłopoty.

— Zwierzała się panu?

— Mówiła, że ktoś ich szantażuje.

— To znaczy ją i Gaspara. Czy wspomniała, kto?

— Tego Zula mi nie powiedziała. — Braun cofnął się, ujął ostrożnie gałkę laski i ją obracać ją w dłoniach. — Muszę panu wyjaśnić pewne sprawy — ciągnął z namysłem. — Zula to dziewczyna bardzo subtelna i bardzo skomplikowana. Ma przy tym wiele zahamowań i kompleksów związanych z jej dzieciństwem i późniejszymi losami — mówił wolno, jak wykładowca starający się przekonać audytorium. — Głównym jej kompleksem jest kompleks strachu.

— Uważa pan — wtrącił Przywara — że kompleks ten rozwinął się w niej w związku z obawą przed zemstą „Błego Wiktora“?

Braun uniósł gwałtownie głowę, jak gdyby w ten sposób chciał wyrazić swe zdziwienie.

— Mam dość dokładne informacje — wyjaśnił krótko Przywara. — Proszę, niech pan mówi dalej.

— Bardzo trafnie pan to ujął — podjął kompozytor. — Ona żyła w ciągłym strachu przed tym człowiekiem i nagle dowiaduje się, że on ma opuścić więzienie. Można sobie wyobrazić, jakie to na niej wywarło wrażenie. Poczuli się znowu osaczona i wszelkimi sposobami zaczęła szukać wyjścia z tej matni.

— Tym wyjściem miał być wyjazd z Gasparem do Austrii?

— Widzę, że pan jest naprawdę dobrze poinformowany.

— Pragnę tylko uzupełnić nasze informacje, dlatego byłbym panu niezmiernie wdzięczny, gdyby mi pan dokładnie opisał sobotni dzień.

Braun skłonił lekko głową.

— Proszę bardzo. W sobotę rano Zula zjawiała się nagle w moim mieszkaniu. Była bardzo przygnębiona.

— Dlaczego nie zatrzymała się u siebie na Polnej?

— Prawdopodobnie dlatego, żeby ten ciemny typ nie dowiedział się, że ona jest w Warszawie. Jak już wspomniałem, przyjechała bardzo przygnębiona... To słowo nie określa dobrze jej stanu. Ona była po prostu zrozpaczona. Przeraziłem się jej stanem. Chciałem się dowiedzieć, co spowodowało tę gwałtowną depresję. Początkowo milczała, potem jednak opowiedziała mi o szantażu. „Ja już mam takiego pecha — powiedziała. — Nic mi się w życiu nie udaje. Ten list przekreślił wszystkie moje nadzieje“. Potem jednak, jakby się otrząsnęła z przygnębienia i powzięła jakieś desperackie postanowienie, rzekła ze złością: „Ale ja mu pokrzyżuję jego plany. Ja do tego nie dopuszczę“. Mówiła zapewne o szantażyście. Zostawiła u mnie swą torbę podróżną i wyszła.

— Czy pan domyślał się, kto ją szantażuje?

— Nie. Przypuszczałem jedynie, że ktoś z kręgu jej dawnych znajomych, z kręgu, z którego tak bardzo chciała się wyrwać.

— O której wróciła?

— Była chyba dwunasta albo nieco po dwunastej.

O pierwszej miała pociąg, na który bardzo się spieszyła. Wróciła jeszcze bardziej wzburzona. Mieliśmy krótką rozmowę, podczas której powiedziała: „Spróbuję jeszcze raz. To moja ostatnia szansa. Jeśli to się nie uda, to nie wiem, co ze sobą zrobię“. Przeraziłem się tymi słowami. Chciałem się dowiedzieć, jak załatwiła tę sprawę. Błagałem ją, by nie wyjeżdżała sama, gdyż — pan rozumie — co mogło ją spotkać ze strony tego typu. Powiedziałem jej to. Wtedy ona roześmiała się: „Wyobraź sobie, spotkałam właśnie Wiktora.

On już się postara, żeby mnie nikt nie szantażował“. Potem krótko wyjaśniła mi całą swą grę. Otóż ten typ musiał przez swoich ludzi szukać jej od dawna, gdyż zjawił się nagle w „Barze Owocowym,“ gdy tylko tam wstąpiła. Nie opowiedziała mi przebiegu ich rozmowy. Wspomniała jedynie, że przyrzekła Wiktorowi wrócić do niego, ten zaś miał się postarać, żeby szantaż nie doszedł do skutku. Byłem zupełnie zaszokowany. „Przecież to hazard!“ — zawołałem wzburzony. Znowu się roześmiała. „Cóż miałam robić? I tak nigdy do niego nie wrócę. Ma czekać na mnie o jedenastej na Polnej, a ja już będę daleko... Trzeba walczyć tą samą bronią co oni...“ Staralem się wytłumaczyć jej, że jeśli ma czyste sumienie, nie powinna mieszać się w te podejrzane sprawy... Nie chciała mnie słuchać. Bardzo się spieszyła. Poprosiła mnie o drobną pożyczkę i wyszła. Potem ze zdumieniem przekonałem się, że zostawiła podrózną torbę.

Przywara słuchał uważnie jak człowiek, który nie chce uronić ani jednego słowa.

— Ile pan jej pożyczył?

— Sto złotych. Niestety nie miałem więcej, gdyż właśnie w sobotę chciałem podjąć pieniądze z książeczki. Zresztą powiedziała mi, że to powinno wystarczyć na drogę.

— Czy nie wspominała panu o jakimś innym spotkaniu?

— Nie przypominam sobie.

— Czy mówiła panu, dokąd wyjeżdża?

— Nie. Nawet nie pytałem o to, gdyż byłem pewny, że wraca do Wilkasów.

Zapanowała długa chwila ciszy. Słysząc było jedynie kroki dudniące w pustym korytarzu i szum drzew za uchylonym oknem. Przywara wpatrywał się w bladą, znużoną twarz kompozytora. Naraz w krążkach ciemnych szkieł okularów ujrzał własne odbicie i doznał takiego uczucia, jak gdyby stał przed wysokim, trudnym do pokonania murem. Denerwowała go myśl, że nie może spojrzeć w oczy przesłuchiwanego.

— Więc dlaczego wyjechał pan za nią do Wilkasów? — krzyknął niemal i wstał.

Ramiona Brauna drgnęły lekko.

— Już panu mówiłem... Ja się bardzo o nią bałem.

— Czy tylko dlatego?

Przywara ujrzał znowu lekkie wzruszenie ramion. Okrążył biurko, stanął przed Braunem. Ten zadarł lekko głowę, wyczuwając bliskość człowieka.

— O której pan wyjechał? — zapytał po chwili kapitan.

— Pociąg odchodzi o dwudziestą drugą z minutami — odparł cicho. Naraz odsunął się, jak gdyby chciał zwiększyć dystans między sobą a Przywarą. Położył łaskę na kolanach i zagadnął: — Bardzo pana przepraszam. Rozumiem, że jest pan funkcjonariuszem organów śledczych, jednak może mi pan łaskawie wytłumaczyć, w jakim celu pan mnie przesłuchuje?

— Już panu powiedziałem. Pragnę uzupełnić nasze informacje.

— Czy Zula wmieszana jest w jakiś... — nie dokończył pytania, jak gdyby zląkł się tej myśli. Potem zapytał głosem zmienionym, jakby nie swoim: — Czy jej stało się coś złego?

Przywara ominął to pytanie.

— Musimy ustalić pewne fakty. Wspominał pan, że łączą pana z Zulą Michalczykówną więzy głębokiej przyjaźni... — wyszeptał z naciskiem i naraz zapytał ostrym tonem: — Czy ona była pana kochanką?

Braun uniósł łaskę, jakby chciał się bronić przed czymś natarciem. Jego posępna twarz wykrzywiła się w nagłym skurczu.

— Powiedziałem, że łączyły nas więzy przyjaźni.

— Nie chciałbym pana urazić, ale wiem, że początek pana znajomości z Zulą nie był platoniczny.

Braun odsunął się jeszcze dalej.

— Pan tego nie zrozumie — powiedział jakby do siebie — Zula nigdy nie była moją kochanką.

— Może źle to określiłem, w każdym razie otrzymywała od pana pewną rekompensatę...

— Człowieku — przerwał mu gwałtownie Braun — przecież ja jestem ślepcem. Czy pan myśli, że młoda, ładna

dziewczyna przyszła by do takiego kaleki...

— Rozumiem — przerwał mu cierpko Przywara. Był już bardzo zmęczony. — Nas jednak najbardziej interesują fakty. Czy pan odwiedzał Zulę na Polnej?

— Nie. Nigdy tam nie byłem.

— Czy pan przypomina sobie wizytą redaktora Napieralskiego?

— Ach tak... oczywiście. Bardzo mi się spodobał. To miły i ciekawy człowiek.

— Co go do pana sprowadziło?

— Jeżeli się nie mylę, to dopytywał się o Zulę... Zaraz panu to wytłumaczę. Matka Zuli zaniepokoiła się jej zniknięciem i prosiła redaktora, by się dowiedział, co się z nią dzieje.

— Przecież pan mówił redaktorowi Napieralskiemu, że pan nic nie wie o zniknięciu Zuli.

— Tak... Przyrzekłem Zuli, że nikomu nie powiem o jej wyjeździe.

— A dlaczego, w takim razie, chciał pan telefonować na milicję?

Braun poruszył się nerwowo.

— No wie pan... Chciałem stworzyć pozory... Mogę pana jednak zapewnić, że nie zawiadomiłbym milicji.

— Pamięta pan dokładnie ten dzień, w którym odwiedził pana Napieralski. Proszę mi powiedzieć, kto był u pana po jego odejściu?

— Przyszła do mnie pani Mira Paczewska — odparł bez namysłu.

— W jakiej sprawie?

— Chciała zabrać paczkę, którą uprzednio u mnie zostawiła.

— Kiedy zostawiła tę paczkę?

— Było to chyba w poprzednim tygodniu.

— Zuli już wtedy nie było w Warszawie?

— Chyba nie...

— Czy pan wiedział, co było w tej paczce?

— Nie. Pani Paczewska pytała mnie jedynie, czy może zostawić paczkę, gdyż miała jakąś wizytę i nie chciała jej

nosić ze sobą.

— Później nie zgłosiła się po nią?

— Przyszła właśnie kilka minut po wyjściu redaktora.

Powiedziała, że wpadła po paczkę.

— Zabrała ją?

— Zachowywała się trochę dziwnie. Najpierw zapytała, gdzie jest ta paczka. Odpowiedziałem jej, że W tym samym miejscu, w którym ją położyła, to znaczy na dole w bibliotece. Wtedy bardzo się zdenerwowała, zaczęła gorączkowo szukać. Oznajmiła mi, że prócz butelki koniaku i kieliszków nic nie ma na dolnej półce. Wspomniałem, że był u mnie pewien redaktor, z którym piłem koniak, może on stawiając butelkę przesunął paczkę na inne miejsce. Przyznam się, że byłem bardzo zaskoczony tym niemiłym zdarzeniem, ponieważ redaktor opowiadał mi o tajemniczym zniknięciu jakiejś tajemniczej paczki z mieszkania Zuli. Wspomniałem o tym. Pani Paczewska — tak mi się przynajmniej zdawało — była tym zaszokowana. Później jednak uspokoiła się, gdyż znalazła paczkę.

— Jest pan pewny, że znalazła?

— Tak przynajmniej powiedziała. Niestety przy moim kalectwie nie mogłem tego stwierdzić.

— Czy pani Paczewska wiedziała, że był u pana właśnie Napieralski.

— Tak. Pytała mnie o nazwisko redaktora.

Wszedł Kajetański. W rękę trzymał dalekopisową taśmę. Zbliżył się do Przywary i szepnął:

— Mamy zeznania tej dziewczyny z „Owocowego Baru”. Ciekawe — mrugnął wesoło.

Przywara podziękował mu skinieniem głowy. Potem zwrócił się do Brauna:

— Chwilowo dziękuję panu.

Kompozytor podniósł się. Wyciągnął przed siebie rękę, jak gdyby chciał zatrzymać kapitana.

— Czy ja nigdy nie otrzymam wyjaśnienia, w jakim celu pan mnie przesłuchuje?

— Chwilowo jeszcze nie — rzekł oschle Przywara. —

Potrzebne mi jeszcze pewne drobne fakty. Ale to później. — Nie zwracając uwagi na dalsze protesty Brauna dał znak Kajetańskiemu, żeby go wyprowadził. Zaczął uważnie czytać zeznania Dory Płowińskiej. Gdy skończył, zerwał się, kilkoma skokami dopadł drzwi i uchyliwszy je zawołał:

— Dawajcie mi tamtych troje!

\*

Pierwszy wszedł „Wesoły Włodzio”. Przy drzwiach skłonił się szarmancko i posłał kapitanowi nonszalancki uśmiezek. Widać było, że kilkugodzinne oczekiwanie w Komendzie nie nadważyło jego zdrowych nerwów.

— Zlitujcie się nad nami — rzekł bez cienia urazy. — Jesteśmy głodni, a tymczasem w „Grandzie” czeka kolacja.

Paczevska wyszeptala znudzonym głosem:

— To okropne. Co oni zrobią beze mnie? Chyba pokaz się nie udał.

Jedynie mecenas Szajewski nie zdradzał chęci odgrywania komedii. Był zrezygnowany. Nie patrząc na Przywarę, pierwszy zajął miejsce.

Kapitan wskazał dwa wolne krzesła.

— Proszę siadać — zwrócił się do Hroniewicza i Paczevskiej.

— Myślałem, że pan nas zwalnia — starał się żartować „Wesoły Włodzio”, ale gdy zobaczył surowe spojrzenie Przywary, zamilkł i usiadł obok Szajewskiego.

Paczevska ociągała się jeszcze chwilę.

— Niech nam pan wyjaśni...

— Zaraz wszystko wyjaśnimy — przerwał jej ostro Przywara i naraz zwrócił się do Szajewskiego.

— Kiedy pan był ostatnio w Londynie?

Mecenas wyprostował się, splótł dłonie, przymrużył oczy i odpowiedział cicho:

— W marcu odwiedzałem swego kuzyna.

— I spotkał pan u niego agenta firmy Jaretz und Solin, Allgebrünera.

Mecenas odpowiedział nerwowym wzruszeniem ramion.

— I tam obgadaliście całą sprawę przemytu zegarków. Niech się pan nie wypiera. Mam zeznania pana Gaspara i zapewniam pana, że się nie mylę. Gdybym się jednak mylił w pewnych drobnych szczegółach, to proszę mnie poprawić — mówił z sarkazmem. — A więc w Londynie doszło do porozumienia... Potem do Poznania w jednej skrzyni zamiast narzędzi chirurgicznych przysłano zegarki. Mieliście panowie jednak pecha, gdyż Gaspar, który nie był wtajemniczony w tę kombinację, zgłosił brak tej skrzyni. Do tego doszła wsypa z dolarami. Zapewniam pana, że nie pochodziły one z depozytu firmy, lecz z misternie przeprowadzonych transakcji... Proszę mi nie przerywać... Kiedy pan wszedł w spółkę z Hroniewiczem?

Szajewski uśmiechnął się blado i rozłożył ręce.

— Pan wybaczy, ale ja naprawdę nie wiedziałem o żadnych transakcjach pomiędzy panem Hroniewiczem a Allgebrünerem.

— Dlatego interweniował pan, żeby ich zwolniono?

— To była interwencja pana Gaspara.

— Za pana wstawiennictwem. Bronił pan swego wspólnika, który dzięki swym zdolnościom organizacyjnym miał się zająć rozprowadzeniem towaru. Panu nie odpowiadała ta brudna robota. Rozumiem pana. Hołduje pan zasadzie: jak najmniejszy wysiłek i ryzyko przy jak największym zysku. Sądząc z pana stylu życia nie wystarczały panu dochody z praktyki adwokackiej.

Szajewski chciał mu przerwać, lecz Przywara osadził go krótko:

— Proszę odpowiadać tylko na moje pytania. Skończyły się rozmowy towarzyskie. — Teraz spojrzenie skierował na Paczewską. Z jej twarzy znikł wyraz znudzenia. Ściągnięte brwi, zaciśnięte wargi, przymrużone oczy zdradzały wzrastający niepokój.

— Pani twierdziła, że nie zna Ryszarda Maniewicza. Otóż chciałem pani zakomunikować, że Maniewicza znaleziono dzisiaj na klatce schodowej pani domu z twarzą opryskaną



witriolem...

Paczewska wydała cichy okrzyk i uniosła dłoń do twarzy.

— Widzę, że wiadomość ta zrobiła na pani duże wrażenie. Chciałem jeszcze dodać, że w kieszeni Maniewicza znaleziono klucze do pani mieszkania, zaś dozorca domu twierdzi, że ten młodzieniec odwiedzał panią dość często, i to w porze, która wskazuje, że nie były to zwykłe wizyty towarzyskie.

Błada, zwiotczała twarz Szajewskiego wyrażała niezadowolenie.

— Pan wybaczy — wyszeptał — ale mnie się zdaje, to osobiste sprawy pani Paczewskiej.

Przywara potrząsnął nerwowo głową.

— Maniewicz jest podejrzany o zamordowanie Michalczykówny, a poza tym szantażował Gaspara.

Paczewska jęknęła cicho.

— To straszne...

— Straszne, ale prawdziwe — powiedział Przywara. — Mam wrażenie, że pani też nie uniknęłaby szantażu. Zwłaszcza że informacje o paczkach z zegarkami otrzymał zapewne od pani. Był przekonany, że ta afera to dzieło Gaspara, i to go niestety zgubiło.

Szajewski z Hroniewiczem zamienili zdumione spojrzenia. Potem mecenas nachylił się w stronę Paczewskiej :

— Miro, przepraszam, ty nie protestujesz?...

Przywara zabębnił w stół.

— Prosiłem już pana... Zresztą pani Paczewska nie ma zamiaru protestować, zbyt jest przejęta wypadkiem aksamitnego chłopca — mówił wolno i dosadnie. — Teraz już wiemy, dlaczego tak gwałtownie zareagowała, gdy zobaczyła go w „Grandzie”. — Wpatrywał się w nią z uporem. Siedziała lekko pochylona. Oczy zasłaniała dłonią. Po chwili wyszeptała:

— To koszmarnie...

Kapitan zastukał ołówkiem.

— Niech pani sobie przypomni, w jakim celu przyszła pani w czwartek wieczorem do Brauna?

Paczewska zachnęła się gwałtownie.

— Nie wiem, co on panu naopowiadał, ale to przecież niepoczytalny człowiek.

— Rozmawiałem z nim. Wygląda na zupełnie normalnego.

— To narkoman — powiedziała ze złością.

— O! — zdziwił się Przywara. — Ciekawy szczegół. Ale to jednak nie zmienia faktu, że pani była u niego w czwartek wieczorem.

Paczewska spojrzała mętnymi oczami.

— Czego pan właściwie chce ode mnie?

— Zaraz pani wytłumaczę. Pani skontaktowała Hroniewicza z mecenasem Szajewskim, prawda? Nie protestuje pani? Świetnie. Po wyspie, w Poznaniu doszliście państwo do przekonania, że z rozprawdzeniem towaru należy trochę poczekać, a towar trzeba ulokować w bezpiecznych miejscach. — Powiódł oczami po siedzących naprzeciw ludziach. Spuszczali wolno głowy. Hroniewicz z wściekłością ssał wargę, Szajewski przypatrywał się swym dłoniom, a Paczewska znęcała się nad rękawiczkami, skręcając je i gniotąc. Kapitan chrząknął niby nauczyciel, który zwraca uczniom uwagę. — Jedną z paczek zaniósł pani do niejakiej Walentyny Schnaps na Polną, drugą ulokowała pani w bibliotece pana Brauna, a trzecią... — Ujrzał, jak Paczewska drgnęła, więc skinął jej uspokajająco: — Nie, nie... trzecią zaniósł kto inny. Czy była pani bardzo zmartwiona, gdy nie znalazła pani paczki u Brauna?

Paczewska potrząsnęła głową.

— Nic z tego nie rozumiem.

— Chciałbym się dowiedzieć, czy to pani pojechała do redaktora Napieralskiego, gdy się pani dowiedziała, że redaktor był przed panią u Brauna?

Długa chwila milczenia.

— Więc to pan, panie Hroniewicz — zwrócił się do „Wesołego Włodzia” — zawiadomiony przez panią Paczewską udał się do mieszkania redaktora Napieralskiego. Tam stwierdził pan z radością i ze zdumieniem, że drzwi są otwarte, wszedł pan do pokoju i zabrał z biurka paczkę.

Trzeba przyznać, że miał pan dobrego nosa i wyjątkowe szczęście.

„Wesoły Włodzio” zachnął się.

— Ja nie wiem nic o jakichś tam paczkach. Pan to wszystko wysłał z palca.

Przywara zmarszczył gęste brwi i wlepił wzrok w Hroniewicza.

— Jeżeli chodzi o trzecią paczkę, o której nam wiadomo, schował ją pan w mieszkaniu Zuli Michalczykówny na Polnej.

Hroniewicz cofnął się, jakby otrzymał gwałtowny cios. Jego sucha twarz nabrała wyrazu sępiej bystrości.

— To są jedynie domysły — wyszeptał opuszczając oczy.

Przywara uśmiechnął się kącikami warg.

— Mamy na to dowody. Co pan robił ubiegłej środy między ósmą a dziewiątą wieczorem?

— Pan wybaczy, ale nie prowadzę pamiętników — odrzekł bezczelnie Hroniewicz.

— Ma pan rację, zbyteczny trud. Czynił to za pana ktoś inny, na przykład redaktor Napieralski. Otóż redaktor Napieralski widział, jak pan w środę między ósmą a dziewiątą wchodził do kamienicy na Polnej.

— To mu się chyba tylko zdawało.

— Nie — przerwał mu Przywara. — W swoich notatkach opisał nawet, jak pan był ubrany, a raczej przebrany...

Z suchej ogorzalej twarzy Hroniewicza spłynęły resztki krwi. W oczach pojawił się lęk.

— Pan chyba żartuje.

— Nie mam ochoty żartować. Niech pan sobie łaskawie przypomni pewien wieczór u kompozytora Brauna, kiedy naprawiał pan zepsuty magnetofon. Wieczór był zapewne deszczowy, gdyż Braun ubrał się w długi, nieprzemakalny płaszcz, miękki, czarny kapelusz i wtedy właśnie... podsunął panu pomysł przebrania się za ślepcę.

Hroniewicz roześmiał się wymuszonym śmiechem.

— To jednak żarty.

— Nie chciał pan, żeby pana poznano w kamienicy, w

której poprzednio często pan bywał. Chciał się pan podszyc pod Brauna. To pan podczas nieobecności Zuli przychodził do jej mieszkania...

— Ja do Zuli? — chciał protestować. — Ja z nią dawno skończyłem.

— Tak — zawołał Przywara. — Zostawił pan jej mieszkanie, ale klucze zachował pan na wszelki wypadek. Podczas jej nieobecności wykorzystał pan jej garsonierę dla ukrycia paczki z przemycanymi zegarkami. Gdy jednak dowiedział się pan, że dziennikarz zainteresował się zniknięciem Zuli, postanowił pan wynieść paczkę. W środę spłoszyli pana i musiał pan uciekać przez okno łazienki i zburzoną klatkę schodową. Tą samą drogą wycofał się pan wczoraj.

— Przecież pan wie, że wczoraj byłem na dansingu w „Grandzie”.

— Nie był pan — powiedział wolno Przywara i skierował się do Szajewskiego: — Chciałbym pana zawiadomić, że pan Hroniewicz nie był wczoraj w towarzystwie państwa na dansingu w „Grandzie”. Natomiast pojechał pana samochodem do Warszawy i tam...

Hroniewicz zerwał się. Wymachując rękami zawołał:

— To nieprawda! Nie ma pan dowodów.

— Proszę siadać! — głos kapitana zabrzmiał lodowato. — O tym, że pana nie było w „Grandzie”, zeznał Gaspar, a dowody mamy tutaj — podsunął Hroniewiczowi zeznania Dory Płowińskiej.

\*

O kilka godzin wcześniej porucznik Żończyk biegł po schodach redakcji „Wieczoru”. Gdy znalazł się na drugim piętrze, woźny skierował go do gabinetu redaktora naczelnego. W gabinecie zastał Ochniewskiego i młodą elegancką dziewczynę. Siedziała w głębokim fotelu w swobodnej pozycji i paliła papierosa. Na widok porucznika uśmiechnęła się kokieteryjnie, jak gdyby witała kogoś znajomego.

Ochniewski wyszedł zza biurka. Przywitał się z porucznikiem.

— To jest panna Płowińska — wskazał na dziewczynę. — Telefonowałem do Komendy, ponieważ panna Płowińska chciała złożyć zeznanie w sprawie napadu na redaktora Napieralskiego.

Dora jeszcze raz posłała porucznikowi uśmiech i wyciągnęła na przywitanie rękę, lecz Żończyk zignorował ten odruch. Stał przed nią i zapytał ostro:

— To pani jest tą dziewczyną, którą poznał redaktor w „Barze Owocowym“?

Opuściła rękę na poręcz fotela, a w oczach jej zamigotały drwiące błyski.

— On mnie po prostu zaczepił. Ale to przecież nieważne. Zwyczajny zbieg okoliczności. Niech pan siada, będzie panu wygodniej — wskazała na drugi fotel i zaciągnęła się papierosem.

Żończyk ogarnął ją zakłopotanym spojrzeniem. Dziewczyna była kusząco ładna, młoda i tak się zachowywała, jakby to było przyjęcie, a nie przesłuchanie. Chciał coś powiedzieć, ale zanim otworzył usta, Dora roześmiała się:

— No, niechże pan siada. Chciałam panu powiedzieć, że to ja byłam wczoraj w nocy u redaktora Napieralskiego, a potem... telefonowałam do niego.

— Dlaczego pani nie zawiadomiła nas o tym wcześniej?

— Nie wiedziałam, że to się tak przykro skończyło. Dopiero dzisiaj dowiedziałam się, że redaktor leży w szpitalu.

— Więc dlaczego pani telefonowała? — zawołał Żończyk, który patrząc na dziewczynę tracił panowanie nad sobą.

— To dłuższa sprawa — powiedziała w zamyśleniu.

— Więc może pani łaskawie wyjaśni.

— Po to właśnie tu przyszłam. Niech pan usiądzie spokojnie i niech pan na mnie tak nie patrzy. Żał mi redaktora, wydał mi się bardzo sympatyczny i ciekawy. Sądzę jednak, że i bez mojego telefonu zdarzyłyby się ten przykry wypadek...

— Proszę konkretnie — przerwał jej zniecierpliwiony Żończyk. — To pewnie Maniewicz kazał pani telefonować.

Parsknęła śmiechem.

— Nie. Rysiek wyjechał do Sopotu. Niech się pan nie denerwuje. Zaraz wszystko wytłumaczę. — Zdusiła w popielniczce papierosa i natychmiast zapaliła następnego.

— Więc kto panią do tego nakłonił?

Przez jej śniadą twarz przemknął cień. Zachmurzyła się. Wyglądała teraz dużo poważniej.

— Pan się pewno dziwi, że sama przyszłam sypać gościu. To nie w moim stylu, ale nie lubię głupich kawałów. Nie znoszę, jak mnie ktoś nabiera. Zresztą to przecież grubsza granda, a nie zabawa. A mnie się stale zdawało, że oni się bawią jak malcy. Dziwna zabawa.

— Przepraszam, ale o czym pani mówi?

— Wciąż o tym samym — odrzekła z przekąsem i nie patrząc na porucznika, ciągnęła: — Dopiero dzisiaj zrozumiałam, że to się mogło źle skończyć. Dlatego przyszłam do redakcji i powiedziałam wszystko panu redaktorowi — wskazała ruchem głowy na Ochniewskiego.

— Czy pani wie, kto napadł na redaktora Napieralskiego?

— Nie wiem, ale przypuszczam.... Zresztą to, co powiem panu, wiele powinno wyjaśnić. Do Napieralskiego posłał mnie Hroniewicz...

— „Wesoły Włódzio”! — wyszeptał Żończyk.

— On również nakłonił mnie do zatelefonowania.

— Przecież Hroniewicz jest w Sopocie. Czy porozumiał się z panią telefonicznie?

— Wczoraj przyjechał na kilka godzin do Warszawy.

— Skąd go pani zna?

— Od dwóch tygodni mieszkam u niego.

— To pani krewny?

Wydęła wargi.

— Czy mieszka się tylko u krewnych? Zresztą ta moje osobiste sprawy. Zamieszkałam tam, gdzie mi było wygodniej.

Żończyk pokręcił głową.

– No, no... Więc twierdzi pani, że Hroniewicz był wczoraj w Warszawie. Ciekawe, co go do tego skłoniło?

– Miał pewne kłopoty.

– Jakie?

– To jego sprawa. Sądzę jednak, że z powodu tego, co Napieralski napisał w „Wieczorze”.

– Z czego pani tak wnioskuje?

– Telefonowali do niego w tej sprawie.

– Kto?

– Był pewien facet, którego nie znam. Telefonował z jego mieszkania.

– O czym rozmawiali?

– Niewiele mnie to interesowało, ale prawdopodobnie o tym artykule, bo ten facet czytał mu z gazety.

– O której to było?

– Po południu. Dokładnie nie pamiętam, bo czytałam właśnie książkę.

– Zna pani tego człowieka?

– Widywałam go z Włodkiem, ale nie zwracałam na niego uwagi. Nieciekawo. Wielu takich przychodziło.

– Ten człowiek wzywał Hroniewicza do Warszawy?

– Tego nie wiem. W każdym razie Hroniewicz o dziesiątej był już w domu.

– Pani na niego czekała?

– Nie. Mówiłam panu, że miałam bardzo interesującą powieść.

– Przyjechał pewno samochodem. Jeżeli się nie mylę, żaden pociąg z Gdańska nie przyjeżdża o tej porze.

– Tak. On doskonale prowadzi.

– Jakim samochodem przyjechał?

– Nie znam się na samochodach.

– A potem co robił? Jak się zachowywał?

– Był trochę zdenerwowany, ale po nim to bardzo trudno poznać. Zachowuje zawsze spokój, jakby mu na niczym nie zależało. Wziął tego faceta i pojechali gdzieś razem.

– A pani?

Uśmiechnęła się drwiąco.

— Ja? Ja wciąż czytałam tę powieść.

— Kiedy pani przyjechała do Napieralskiego?

— To było nieco później, chyba o jedenastej. Włodek wrócił. Był jeszcze bardziej zdenerwowany. Powiedział, że ma do mnie prośbę. Grożą mu pewne komplikacje w interesach i chce się przekonać, czy Napieralski ma zamiar pisać artykuł o sprawie zegarków. Zaproponował mi, bym pojechała do Napieralskiego...

— To znaczy, on wiedział, że pani zna Napieralskiego? — przerwał jej Żończyk.

— Opowiadałam mu o naszym zabawnym spotkaniu w „Barze Owocowym”. On natomiast wspomniał mi, że Napieralski zaczął go w „Stylowej”. Więcej nie rozmawialiśmy o nim.

— Czy Hroniewicz wiedział, gdzie mieszka redaktor?

— Przypuszczam, że tak, gdyż zawiózł mnie niemal pod jego dom.

— Czy pani domyślała się, co on robił w tym czasie, kiedy wyjechał z tym facetem, który na niego czekał?

— Nie zastanawiałam się nad tym. Pamiętam tylko, że ten facet mówił Włodekowi, że z kimś się umówił w sprawie zegarków.

Żończyk zamilkł.

„No tak — pomyślał — on pewno umówił się z «Bładym». Całe zeznanie tej oryginalnej dziewczyny wskazuje na to, że «Błady» konsekwentnie przeprowadził swój plan, który przedstawił Napieralskiemu.“ Powiedział więc głośno: — W takim razie może pani opowie mi, jaki miała przebieg pani wizyta u redaktora Napieralskiego.

Dora uśmiechnęła się tajemniczo.

— To było zabawne. Zgodziłam się tam pojechać, gdyż redaktor wydał mi się interesujący. Powiem nawet więcej, podobał mi się. Chciałam zobaczyć, jak mieszka, co robi o tej porze. Włodek prosił mnie, żebym zorientowała się, czy redaktor pisze coś w sprawie tych zegarków. „Ty jesteś inteligentna dziewczyna — powiedział mi w drodze. — Tobie to łatwo przyjdzie”. Nie miałam co do tego wątpliwości,



zwłaszcza że posiadałam pewne wiadomości, na których redaktorowi bardzo zależało...

— Ciekawe, jakie to wiadomości? — przerwał jej Żończyk.

— Redaktor poszukiwał pewnej modelki... — Otóż przed południem spotkałam się z Rysiem. Powiedział mi, że ta dziewczyna była w Warszawie.

— Skąd on o tym wiedział?

— Prawdopodobnie zobaczył ją, może nawet z nią rozmawiał. Chyba tak, bo dowiedział się, że wyjeżdża do Gdańska, i postanowił jechać za nią.

— W jakim celu? — głos Żończyka zabrzmiał niecierpliwie.

— To mnie nie interesowało. Rysiek miał prawdopodobnie jakiś cel, skoro chciał za nią wyjechać — rzekła z przekąsem.

— Ale pana interesuje moja wizyta u redaktora. Otóż muszę panu powiedzieć, cieszyłam się, że tam pójde.

— Wiem już o tym — wtrącił zniecierpliwiony.

Dora zapalała nowego papierosa.

— On był okropnie zaskoczony. Myślałam, że mnie wyrzuci... bo właśnie pracował. Pisał coś na maszynie, ale robota mu nie szła, bo widziałam w koszu kilka zmiętych kartek. To zabawne, że ludzie przejmują się takimi głupstwami, jak zwykle notatki prasowe... W każdym razie miał już tytuł do swego artykułu — ogromnie banalny — „Tajemnice warszawskiego podziemia”. Zwróciłam mu na to uwagę. Ze złością wydarł kartkę z maszyny, a ja już wiedziałam, że zamierza pisać o tych tajemniczych zegarkach. Nie zabawiłam długo. Wyszłam. Na dole czekał na mnie Włodek. Powiedziałam mu o tym tytule. Nic nie odpowiedział. Był to najlepszy dowód, że się przejął tą wiadomością. Wsiadliśmy do wozu. Ruszyliśmy w kierunku miasta. Włodek zatrzymał wóz przy budce telefonicznej na Placu Inwalidów. Poprosił mnie, żebym zatelefonowała do redaktora i powiedziała mu, że Zula czeka na niego na Polnej.

Żończyk uderzył pięścią w poręcz fotela.

— Czy pani nie domyśliła się, że to jakiś podstęp?

Wzruszyła ramionami.

— To było w jego stylu. Początkowo nie chciałam telefonować, ale Włodek zaczął nalegać. „Czy ty się nie znasz na kawałach? — powiedział — Czy ty nie masz poczucia humoru?” Miałam na tyle poczucia humoru, żeby go porządnie wykpić. Był wściekły. Pierwszy raz widziałam go wyprowadzonego z równowagi. Zaczął mi grozić, że ze mną zerwie. Wykpiłam go jeszcze bardziej, ale wkrótce pomyślałam, że dla jakiegoś kawału nie warto tracić tak wygodnego mieszkania. Powiedziałam więc Włódkowi: „Słuchaj, mój drogi, ja zatelefonuję, ale jeśli to będzie coś śmierdzącego, to nie chcę cię znać.” Na to on się roześmiał: „Czy ty mnie nie znasz? Zrobimy mu tylko kawał. Niech się nie miesza do cudzych spraw”. No i... zatelefonowałam.

Zończyk z pasją pokręcił głową.

— Piękny kawał. Czy pani teraz też tak sądzi?

— Gdybym teraz też tak sądziła, nie przyszedłabym tutaj. Po prostu nabrał mnie ordynarnie.

— Nie żał pani tego wygodnego mieszkania?

Wydeła wargi i spojrzała na Zończyka z pobłażaniem.

— Wyszukam sobie inne. To nie jest takie trudne.

— Zwłaszcza gdy się ma pani warunki zewnętrzne! — Porucznik zamienił z Ochniewskim porozumiewawcze spojrzenie. Redaktor naczelny uśmiechnął się kącikami warg i objął dziewczynę tak zaciekawionym spojrzeniem, jakby ją dopiero teraz zobaczył.

— Ciekawe, ile pani ma lat?

Wykonała gest zniecierpliwienia.

— Mam nadzieję, że nie będziemy prowadzili rozmowy na temat moralności i dzisiejszej młodzieży.

Zończyk uniósł się z fotela. Stał przed Dorą.

— Tymczasem nie. Niech pani mi powie, coście robili po tym telefonie?

— Włodek odwiózł mnie do domu. Zabrał z przedpokoju mały nesoser. Na pożegnanie powiedział: „Liczę na twoją dyskrecję“. Idiota, myślał, że dam się tak po chamsku nabrać.

— Pani została w domu, a on pojechał. Kiedy wrócił?

— Nie wrócił już do domu. Powiedział, że ma pilne sprawy w Gdańsku.

— Czy nie przebierał się przed odjazdem?

— Nie.

— A pani? Pani co robiła?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Ja? No cóż... wróciłam do tej powieści. Mówię panu, pasjonująca książka. Polecam panu jako lekturę,

— Ciekawe, co takiego?

— Michał Anioł... Schultza.

\*

Hroniewicz nerwowym ruchem odsunął kartki zawierające zeznania Dory Płowińskiej.

— To dla mnie nie są dowody — powiedział przyciszonym głosem. Był blady. Ręka mu drżała. Z suchej twarzy spłynęły resztki krwi, a opalona skóra na jego skroniach miała teraz odcień starego pergaminu. Nie patrzył na Przywarę.

— To dla pana nie są wystarczające dowody? — zapytał kapitan przeciągając słowa. — W takim razie muszę panu dostarczyć jeszcze bardziej przekonujących, prawda?

Zaległa cisza. Szajewski i Paczewska patrzyli na Hroniewicza. Ten wbił oczy w ziemię. Przywara zwrócił się do Szajewskiego.

— Pan mecenas twierdzi, że zginęła mu rurka do samochodowej windy. Muszę pana pocieszyć, że rurka znalazła się w Warszawie. Pańską rurką został ugodzony w głowę redaktor Napieralski, a uczynił to pana wspólnik. — Teatralnym niemal gestem wskazał na Hroniewicza. Potem szybko dorzucił: — Bardzo żałuję, że panowie nie uzgodniliście wcześniej szczegółów. Mogę je uzupełnić dalszymi. — Spojrzał na Hroniewicza. — Kiedy odwiózł pan Dorę do domu, zabrał pan z przedpokoju mały neseser, w którym przechowywał pan płaszcz, kapelusz i ciemne okulary. Przebrał się pan w samochodzie. Potem pojechał pan w stronę Polnej. Tam ukrył się pan w bramie, czekając

na przyjazd Napieralskiego. I jeszcze jeden szczegół: w bramie znalazł pan jedwabny szalik, który (o tym pan nie mógł wiedzieć) uprzednio zgubił dobrze panu znany i niebezpieczny osobnik — „Blady”. Nie... niech się pan nie denerwuje, niech pan nie protestuje. Co za ciekawy zbieg okoliczności, prawda? Zwłaszcza że przed godziną osobnik ten szantażował pana. W obawie przed tym szantażem postanowił pan sprzątnąć Napieralskiego. Myślał pan, że szalik zmyli organa śledcze. Miał pan rację. Początkowo sądziliśmy, że szalik jest własnością pewnej kobiety, mieszkającej na trzecim piętrze tej nieszczęsnej kamienicy. — Skłonił się porozumiewawczo w stronę mecenasa. — Jednak później okazało się, że ta roztargniona kobieta znalazła szalik w rękawie własnego szlafroka. — Przywara odetchnął. — Akcja dobiega końca. Wchodzi Napieralski. Pan — gwałtowny ruch w stronę Hroniewicza — zadaje mu cios w tył głowy, potem zarzuca mu na twarz ów znaleziony szalik. Chce pan wyjść z bramy, jednak z daleka słyszy pan czyjeś kroki. Decyduje pan wycofać się inną drogą — przez mieszkanie Zuli. Popełnił pan jednak zasadniczy błąd. Niech no pan powie dla zaspokojenia mojej ciekawości, dlaczego porzucił pan rurkę od windy samochodowej? Czy pan nie wytrzymał nerwowo, czy pana ktoś jeszcze spłoszył, czy rurka wypadła panu z płaszcza?

Hroniewicz opuścił głowę. Milczał.

— Zresztą — kapitan podjął po chwili zmęczonym głosem — to nie jest jedyny dowód. Prócz tej rurki pozostawił pan jeszcze w Warszawie guzik od marynarki. Jeżeli będzie panu potrzebny, to chętnie zwrócimy.

Przymknął oczy. Czuł, że wali się na niego zmęczenie. Było mu duszno. Myślał o szerokiej morskiej plaży, o pachnącym wietrze i gwiazdach migocących wśród obłoków. Jak dobrze byłoby wyjść teraz na brzeg i grzęznąc w piasku iść przed siebie. Naraz otworzył oczy i zapytał cicho: — A teraz może ktoś z państwa pomoże mi w rozwiązaniu drugiej zagadki — kto spowodował śmierć Zuli Michalczykówny?

Zaległa cisza. Słysząc było daleki szum wiatru i bulgot

wody w rynnie. Paczewska westchnęła cicho i spojrzała na Szajewskiego. Mecenasa uniósł lekko ramiona ruchem zdradzającym rezygnację. Hroniewicz wciąż patrzył w jeden punkt.

— To wszystko, co mieliście mi państwo powiedzieć? — kapitan wstał i jeszcze chwilę wodził spojrzeniem po zasepionych twarzach.

\*

Korytarz był pusty, źle oświetlony. Gdzieś na pierwszym piętrze łomotało niedomknięte okno. W głębi jarzyła się lampka nad drzwiami do pokoju służbowego. Przywara zatrzymał się przed drzwiami. Zastanawiał się chwilę, czy jeszcze raz przesłuchiwać Brauna.

Wtedy za sobą usłyszał czyjeś kroki. Obejrzał się. Zobaczył Kajetańskiego. Porucznik zbliżał się trzymając w rękę jakieś papiery.

— Jest nareszcie wynik sekcji i analiza.

Przywara wyrwał mu kartki z dłoni.

— To dobrze — powiedział zmęczonym głosem — ale na dziś mamy już wszyscy dość.

— Połóżcie się, kapitanie. Przygotowali dla nas pokój na drugim piętrze.

— Zaraz... zaraz — Przywara odczytywał Uważnie wynik sekcji zwłok Michalczykówny. Komisja Lekarska stwierdziła, że denatka zażyła pewną dawkę środków nasennych, która jednak nie mogła spowodować śmierci. Innych zmian w organizmie nie zauważono. Na drugiej kartce była analiza laboratorium. Wykazała ona, że tabletkę pozostawiona w fiolce, którą znaleziono w torebce denatki, jest morfiną 0,24. Dawka taka powoduje szybką śmierć, lecz nie pozostawia żadnych śladów w organizmie i jest niewykrywalna w czasie sekcji zwłok.

— Morfina? — szepnęła Przywara. — Przecież Paczewska wspominała, że Braun jest narkomanem. — Pchnął gwałtownie drzwi i wszedł do pokoju służbowego. Na ławce

pod oknem ujrzał śpiącą dziewczynę i Brauna, który wsparł czoło na laseczce. Na odgłos otwieranych drzwi Braun zerwał się. Przywara podszedł do niego. Chwyił go mocno za przegub dłoni.

— To pan dał Zuli morfinę? — zapytał głosem ostrym i przynaglającym.

Braun opadł na ławkę jak podcięty.

— Czy ona żyje? — wykrztusił.

— Nie.

Braun wypuścił z dłoni laseczkę. Potoczyła się z łomotem pod ławkę. Wysunął przed siebie długie, białe ręce, jakby chciał o coś prosić, i jęknął:

— To pomyłka... straszliwa pomyłka.

Przywara zaśmiał się sucho.

— To nie pomyłka. Pan jej dał morfinę wraz ze środkami nasennymi. Pan chciał ją otruć, żeby nie wyjechała z Gasparem.

— Nie, nie — zawołał Braun. — To straszliwa pomyłka. Ja jej nie chciałem zabić.

— Dlaczego pan nie powiedział wcześniej o tej swojej pomyłce?

— Łudziłem się, że jeszcze nie zażyła morfiny.

— Bał się pan?

— Nie. Przecież pojechałem za nią. Chciałem jej odebrać tę fiolkę.

— Kiedy pan jej dał tę morfinę?

— Ja myślałem, że to phanodorm. Wczoraj, gdy wyjeżdżała, prosiła, żebym jej dał jakiś środek nasenny. Powiedziałem, że jest w szufladce mego biurka. Zapomniałem, że mam tam fiolkę z phanodormem i morfiną.

— Pan specjalnie zmieszał phanodorm z morfiną? To perfidna zbrodnia.

— Nie... nie — kompozytor uniósł dłonie do skroni — przecież ja nie mógłbym tego zrobić. Ja ją tak bardzo... — urwał i nagle głos mu się załamał i przeszedł w łkanie.

— Pan ją kochał — dokończył za niego Przywara — dlatego pan nie chciał, żeby wyjechała z Gasparem. Uczynił pan to w

chwili wzburzenia, pod wpływem zazdrości. Później zrozumiał pan całą ohydę swej zbrodni i postanowił pan pojechać za nią. Ale dlaczego pan nikogo nie zawiadomił o tej pańskiej zmyślonej pomyłce?

— Pastylki były na dnie. Myślałem, że nie zdoła zażyć wszystkich proszków.

— Ile było tych pastylek?

— Dwie.

— Dlaczego na dnie?

— Jestem morfinistą. Musiałem je ukrywać. Pan przecież wie, że nabywanie narkotyków jest karalne. Zapewniam pana, że to straszliwa pomyłka.

— Niestety, dla nas pańskie zapewnienia nie mają znaczenia. Śledztwo wszystko wyjaśni.

## X

Minęły dwa tygodnie. Dzień był słoneczny. Nad dachami budynków szpitalnych rozpościerało się czyste, prześwietlone łagodnym blaskiem niebo. Na jego tle jak siny obłoczek przesuwano się stado gołębi.

— Przyniosłem panu, redaktorze, pański notatnik — powiedział do Napieralskiego Przywara, gdy usiedli na ławce dziedzińca, osłoniętego cieniem rozłożystego kasztanu. — Pańskie zapiski bardzo nam pomogły w prowadzeniu śledztwa. — Z wyrazem współczucia i troskliwości spojrzął na obandażowaną głowę redaktora i zapytał: — Jak pan się czuje?

— Dziękuję — uśmiechnął się dziennikarz. — Czerep, chwała Bogu, zrasta się, a mózg pracuje normalnie. — Ale, ale... nie powiedział mi pan najważniejszej rzeczy, jak zakończyło się śledztwo w sprawie rudej Zuli?

Przywara wykonał nieokreślony gest ręką.

— Będziemy mieli nadzwyczaj ciekawy proces poszlakowy.

— To znaczy, nie wiadomo, czy Braun dał jej umyślnie tę morfinę, czy też była to tragiczna pomyłka?

– Niestety są w naszej pracy sprawy, których nie można stuprocentowo ustalić.

– A pan prywatnie jak sądzi?

Przywara urwał listek bzu, bawił się nim, kręcąc go w palcach.

– Powiem panu szczerze, ja też nie mam na tę sprawę sprecyzowanego poglądu. To bardzo skomplikowany przypadek. Mogę tylko przedstawić stan faktyczny. Braun niewątpliwie kochał się w rudej modelce. Potwierdziła to taśma, którą znaleźliśmy w jego magnetofonie. Dziwny to dokument. Braun, jako niewidomy, nagrywał na niej swe kompozycje, a między fragmentami muzyki notował na taśmie osobiste impresje dotyczące głównie Zuli. Stworzył w ten sposób rodzaj dźwiękowego pamiętnika ilustrowanego muzyką. W przeddzień tragicznego wypadku, zanim jeszcze Zula wróciła do Warszawy, zanotował, że wyjazd jej za granicę byłby dla niego wielkim ciosem. Określił to mniej więcej tak: „Tracę cel swego życia. Zostaje mi jedynie muzyka, ale cóż warta muzyka bez Zuli? Mój ciemny świat staje się zupełnie pusty. Ginie ostatni promień. Gdybym mógł, zatrzymałbym ją siłą, ale sił mi brak...” Wyczuwa się olbrzymie przywiązanie do tej dziewczyny. W innym miejscu mówi jednak, że pragnie szczęścia Zuli i nawet, gdyby miał cierpieć, gotów jest poświęcić się dla niej. W postępowaniu Brauna jest wiele sprzeczności. Pragnie, by Zula była szczęśliwa, a jednocześnie chce ją zatrzymać siłą. W szufladzie biurka znaleźliśmy wprawdzie nie napoczętą fiolkę z phanodormem, co wskazywałoby, że mogła zaistnieć pomyłka. Ale w takim razie dlaczego nie zaalarmował władz i nie ostrzegł Zuli? Twierdzi, że dwie pastylki były ukryte na samym dnie, więc mógł się spodziewać, że Zula nie zużyje wszystkich. Jednak człowiek zakochany nie powinien popełnić tak rażącej nieostrożności. Może bał się, że w ten sposób władze dowiedzą się, iż zakupuje zabronione narkotyki? No dobrze, ale czy w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa zakochany człowiek dba o własną opinię? Wszystko to wydaje się niejasne, zwłaszcza że dziewczyna,



która towarzyszyła mu w podróży do Wilkasów, zeznała, że jego zachowanie było podejrzane. Kilka razy powtórzył słowa: „Co ja zrobiłem? Ja ją zabiłem?” Po przyjeździe do Wilkasów i stwierdzeniu, że nie ma tam Zuli, Braun, zamiast zaalarmować władze, postanawia wracać do Warszawy, a gdy zostaje przewieziony do Gdańska i później rozmawia ze mną podczas przesłuchania, zataja sprawę morfiny...

— To należy wytłumaczyć stanem przygnębienia — wtrącił redaktor. — A skoro weźmie się pod uwagę fakt, że był narkomanem, można też wyjaśnić pewne sprzeczności.

— Więc pan jest skłonny sądzić, że to raczej fatalna pomyłka?

Redaktor rozłożył ręce.

— Jestem skłonny sądzić, że to bardzo ciekawa sprawa. Z mojej wizyty u Brauna odniosłem jednak wrażenie, że to postać nieco zagadkowa, otoczona atmosferą tajemniczości. Przypuszczam więc, że proces będzie bardzo interesujący, a sędziowie staną przed wielkimi trudnościami. W tej niesamowitej historii przewija się nic jakiegoś fatalizmu. Sądząc z przeprowadzonego śledztwa, Zula i tak chciała popełnić samobójstwo. Dziewięć pastylek phanodormu nie spowodowałyby prawdopodobnie śmierci. Zaważyła ta jedna pastylka morfiny. Jeżeli założymy, że była to pomyłka, a śmierć spowodował człowiek, który był jej szczerze oddany — czy to nie tragiczne?

Przywara westchnął głęboko.

— Tak, to bardzo tragiczne... Nie wierzymy w fatum. Wydaje mi się, że ten tragiczny koniec był konsekwencją tragicznego, pełnego powikłań życia Zuli. Weszła na niebezpieczną drogę i już nie mogła z niej zbroczyć. Ona też żyła na czarnym marginesie naszego życia jak pan to trafnie określił w nie dokończonym artykule. — Naraz nakrył dłonią dłoń Napieralskiego i powiedział ciepłym tonem: — Panie redaktorze, wydaje mi się, że pan już więcej nie będzie zajmował się tym czarnym marginesem. Sparzył się pan porządnie.

Napieralski roześmiał się głośno.

— Myli się pan, kapitanie. Będę może nieco ostrożniejszy...

— Ach, wy dziennikarze! — Przywara z niedowierzaniem pokręcił głową.

— Czy to nie pasjonujący zawód?

— Tak, tak, wystarczy spojrzeć na pańską głowę.

— Wystarczy przejrzeć rejestr schwytanych przestępców — zażartował redaktor. — Ładny garnitur.

CENA 20 — ZŁ

CZYTELNIK

W takim samym wydaniu:

John Dickson Carr  
TABAKIERKA CESARZA

Anna Klodzińska  
NIE BÓJ SIĘ NOCY

Jerzy Edigey  
PRZY PODNIESIONEJ KURTYNIE

